MIESIĘCZNIK

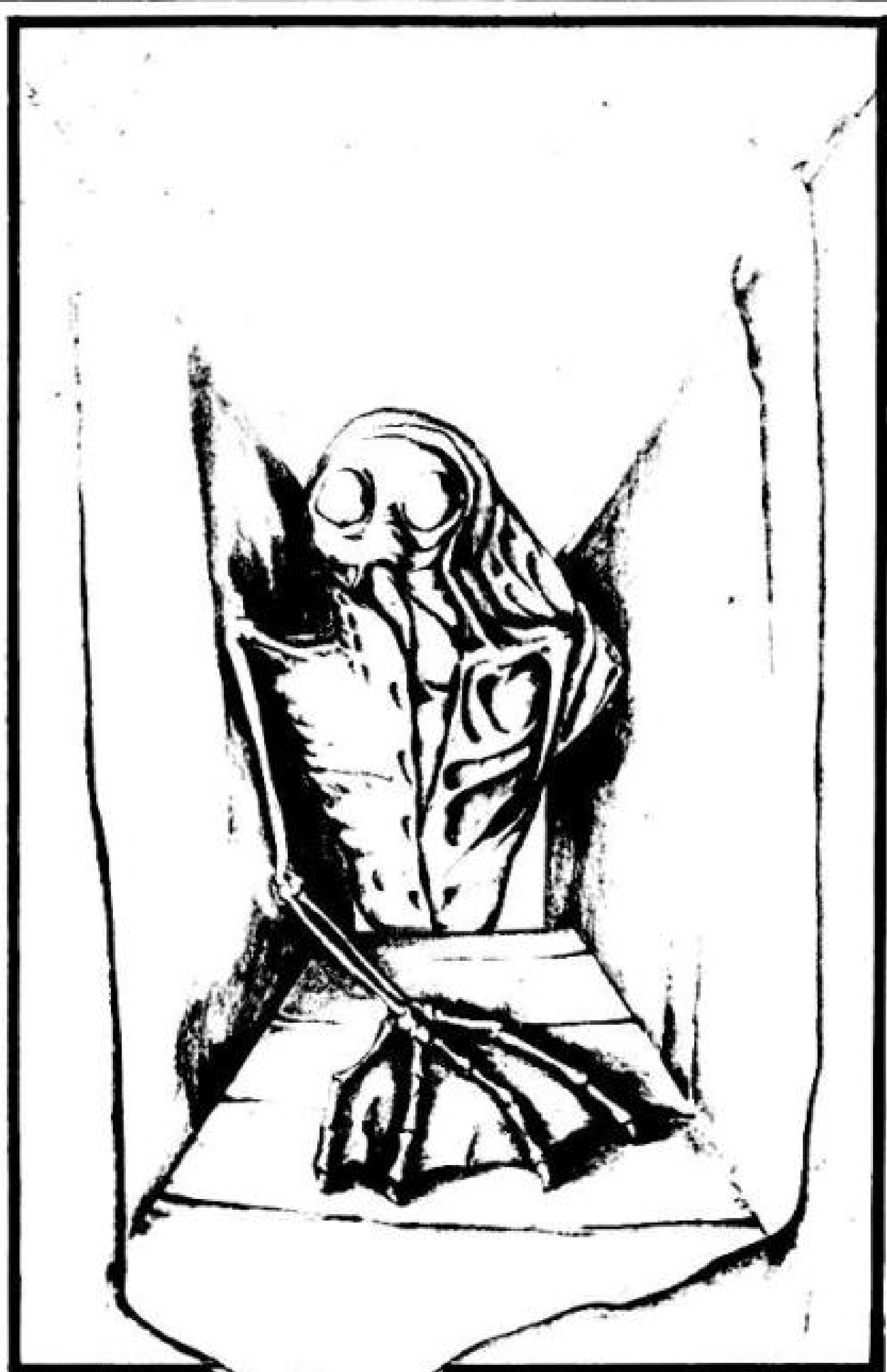
7(10) lipiec 1983 cena 50 zł.

Fantastyka



NASI LAUREACI

Maciej Wdowikowski



Tym razem przedstawiamy prace Macieja Wdowikowskiego. Są one wykonane w ołówku. Uderzyła nas jego wyobraźnia i sprawność warsztatowa. Myślimy również, że w niedługim czasie będziemy w stanie zaprezentować jego obrazy olejne. Ponadto pracami konkursowymi Sławomira Kota i Macieja Wieczorkiewicza są zilustrowane opowiadania „Mordair" i „Głowa Kasandry". Kilka słów o pozostałych pracach. Otrzymaliśmy ich bardzo dużo. Ale wiele z nich to nieporozumienie. Sporo jest nieudanych naśladowań zagranicznych komiksów, czy też w sposób nieporadny narysowanych sekwencji z filmów SF, prezentowanych na naszych ekranach. Musimy również zrezygnować z drukowania wielu prac ze względu na ich niestaranne wykonanie. Życząc wam powodzenia i – jak w każdym konkursie – szczęścia, zachęcamy tych z was, którzy czują się na siłach, do kontynuowania pracy we wcale nie tak łatwym – jak się okazuje – dziale ilustracji.

(A.B.)





14

Rodem z kraju Czapka i Haszka. Próbka – chyba reprezentatywna – kunsztu nowelistycznego jednego z najpopularniejszych współczesnych autorów fantastyki w Czechosłowacji, który zdobył sobie również zasłużoną renomę na Zachodzie.

Josef NESVADBA – „Mordair".

Opowiadania

Z polskiej fantastyki

Powieść

Dział krytyki

Nauka i SF

Wydawnictwa i autorzy

Czytelnicy i „Fantastyka"

...3...2...1...



Od literatury science fiction żąda się znacznie więcej niż od innych gatunków pisarstwa. Ważne są nie tylko jej artystyczne wartości lub wartości rozrywkowe. Czy tego fantaści sobie życzą czy nie, czy im to w smak czy nie w smak, science fiction ma od początku swego istnienia duże znaczenie 'dydaktyczne i wychowawcze w bardzo szerokim tych pojęć znaczeniu. Wielką rolę odegrała niewątpliwie fantastyka naukowa jako inspiratorka nowości technicznych. Ileż wynalazków, które dzisiaj są w powszechnym użyciu, wcześniej wymyślił i opisał Juliusz Verne. Jak potężnym ostrzeżeniem przed wojną atomową stały się i są nadal utwory fantastów zarówno z krajów naszego obozu, jak i wielu zachodnich.

Zresztą nie o samą jedynie materialną przyszłość, bliższą i dalszą, troszczą się pisarze SF. Chodzi im głównie o pomyślne perspektywy życia narodów, społeczeństw, stąd w utworach fantastycznych ostrzegawcze obrazy niebezpieczeństw, odchyleń od normy grożących społecznościom. Fantastyka niejednokrotnie także przydaje skrzydeł nauce, której stwierdzenia stały się dalekie od stabilności.

Jeszcze, na przykład, zgodnie z teoriami współczesnej fizyki, nauka zdaje się zamykać drogę do fantazjowania na temat podróży szybszych niż wynosi graniczna prędkość światła. Ale fantaści dawno popuścili wodze wyobraźni i podróżują w przestrzeni z prędkościami ponadświetlnymi. W ten sposób wyprzedzili teorie naukowe: już bowiem poczyna robić postępy „teoria tachyonów", cząstek szybszych od światła, wymagająca jeszcze potwierdzenia eksperymentalnego.

W tym ciągłym korowodzie, w tej wymianie poglądów między nauką a fantastyką, między tym, co chce być stabilne w naturze ludzkiej, a tym co musi być lotne, niestałe w tejże naturze, warto przypomnieć zdanie Brytyjczyka, znanego pisarza SF, Artura Clarke'a: „Gdy szanowny, starszy uczony oświadcza, że coś jest możliwe, ma na pewno rację. Gdy jednak twierdzi on, że coś jest kompletnie niemożliwe – na pewno błądzi"

Rola fantastyki, jej międzynarodowy, zrozumiały dla wszystkich (wtajemniczonych i niewtajemniczonych) język, sprawy awansu społecznego i literackiego tego pisarstwa – stały się punktem wyjścia do omawiania wzajemnych kontaktów między twórcami polskiej i radzieckiej science fiction. Na zaproszenie Wszechzwiązkowej Agencji Autorskich Praw (WAAP) nasza dwuosobowa delegacja przebywała przez kilka dni w Moskwie, serdecznie przyjmowana przez pisarzy, których grupie przewodził jeden z najbardziej znanych zarówno w samym ZSRR, jak i za granicą – doktor Jeremiej Parnow. Interesującą jego powieść zatytułowaną „Obudź się w Famaguście" będziemy wkrótce drukować. Oddaliśmy ją już do tłumaczenia. O sytuacji w fantastyce radzieckiej, o rozmowach jakie prowadziliśmy z jej twórcami piszemy oddzielnie w tym numerze „Fantastyki". Warto jeszcze tylko odnotować we wstępie do naszego kolejnego orbitowania wielkie zaciekawienie, jakie wzbudziły egzemplarze naszego pisma przywiezione przez nas. Polska SF jest w ogóle dobrze znana i dobrze notowana w Kraju Rad. Książki Lema osiągają tam wielomilionowe nakłady. Podobnie jak i u nas, wszystkie książki i almanachy prezentujące ten gatunek – krajowe i zagraniczne – znikają natychmiast z półek księgarskich. Świadczy to na pewno pozytywnie o zaletach science fiction, literatury, która już dawno przestała być pisana i odbierana jako przede wszystkim rozrywka. Niesie coraz więcej treści trudnych, dyskusyjnych. Ostrzega i przeraża. Zjawisko znikania z półek wydawnictw SF, tak dla naszego i innych krajów socjalistycznych charakterystyczne, nie istnieje na Zachodzie. Tam książki długo, czasem bardzo długo czekają na swego czytelnika. Pisaliśmy o tym po wizycie na zeszłorocznym Euroconie w RFN i po rozmowach z pisarzami, wydawcami i krytykami zachodnimi.

Wydaje mi się jednakże, iż rozszyfrowanie tajemnicy różnic rynkowych nie jest znowu aż tak bardzo trudne. Konkurencja kaset wideo, ofensywa „kultury obrazkowej" w krajach, w których technika i interes handlowy taką kulturę rozpowszechniają, zmusza do ustępowania „kultury pisanej", do stopniowego rezygnowania z książek. Czy te tendencje są trwałe, czy się rozpowszechnią, jaki wpływ rozpowszechnienie ich na całym świecie wywarłoby na psychikę ludzką, na ludzkie zachowania – oto problemy już nie dla fantastów, lecz przede wszystkim dla uczonych-humanistów. Problemy, obok których nikt nie może przejść obojętnie. Także i my, którym na razie to nie zagraża. Jestem więc pewny, że z pasją zostanie doczytana do końca fantasy Andre Norton „Świat czarownic". Z zagranicznej fantastyki proponujemy dziś opowiadanie „Mordair" Josefa Nesvadby, nazywanego nieraz czeskim Lemem, oraz nowelę Lisy Tuttle i George'a R. R. Martina „Planeta Burz".

Uwaga! Po raz pierwszy wyróżniamy opowiadanie przysłane na nasz konkurs! Zygmunt Jazukiewicz prezentuje swoje „Niebezpieczne sprzężenia". Powolutku z ogromu nadesłanych materiałów zaczynają się wyłaniać rzeczy nadające się do druku. Będziemy je zamieszczać, a w jednym z najbliższych numerów „Fantastyki" omówimy cały plon konkursu. Przedstawimy jego blaski i cienie. Naprawdę, przyszło tego morze, dlatego jeszcze raz prosimy autorów o cierpliwość i wyrozumiałość dla grupy czytających. Bo czyta prace nie jedna osoba, lecz spora grupa redakcyjnych speców.

Jako uzupełnienie lektury nasz dział krytyki proponuje Czytelnikom zapoznanie się z esejem Barbary Okólskiej na temat „Science fiction – Fantastyka – Baśń". Domagają się często nasi korespondenci wyjaśniania różnic między poszczególnymi gatunkami – oto jedna z prób tego wyjaśnienia.

Proponuję również zapoznanie się z „Socjologią kosmosu" Helgi Reuter. Jest to relacja z badań (tak jest, z badań!) nad przyszłością. Przyszłością, w której całe grupy ludzkie będą stopniowo zasiedlać kosmos. Pisaliśmy swego czasu, że niektórym badaczom zasiedlanie to wydaje się tak prawdopodobne, a nawet konieczne, że już obecnie powstają projekty konstrukcji całych kosmicznych osiedli. I traktuje się je z wielką powagą.

Jak wygląda pisarstwo fantastyczne w świetle nauki? Oto tematyka ciekawej rozmowy przeprowadzonej (na zamówienie naszych Czytelników!) przez Macieja Parowskiego ze znanym pisarzem Januszem A. Zajdlem, autorem „Cylindra van Troffa" i „Limes inferior".

Żegnam do następnego orbitowania.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK
Fantastyka

02-784 Warszawa-Ursynów, ul. Służby Polsce 2, tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)

Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.)
Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malski (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia (z-ca sekr. red.), Darosław J. Toruń, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).

Opracowanie graficzne: Marek Zalejski, Andrzej Brzezicki.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26.

Warunki prenumeraty:

● **dla zakładów pracy**
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

● **dla prenumeratorów indywidualnych**
– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy,
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603,

● **prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę** przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty:

● od prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" do 31 maja 1983 na III kwartał i II półrocze br. oraz do 31 sierpnia 1983 r. na IV kwartał br.

● od instytucji, zakładów pracy i prenumeratorów indywidualnych zamieszkałych na wsi i w małych miasteczkach do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

Druk i oprawa P.Z.Graf. RSW Łódź. Zam.1795/83 r. N. 150 000 egz. M-6

planeta BURZ

(Storms of Windhaven)

Lisa Tuttle i George R.R. Martin

Ach, gdyby każdy z nas mógł latać jak ptak! Balony czy samoloty nie mogą do końca zadośćuczynić tej wrodzonej namiętności, temu pragnieniu, które od wczesnego dzieciństwa przenika każdego z nas. Szybowanie jest najbliższe lataniu, to prawda... ale na Planecie Burz, świecie wysp, wichrów i gęstej atmosfery, szybowanie nie jest ostatecznym rozwiązaniem; jest zaledwie początkiem...

R. WOJTYŃSKI

Maris płynęła na falach wichury wzniesiona dziewięć stóp nad powierzchnią morza, poskramiając wiatr swymi szerokimi, metalicznymi skrzydłami. Leciała, upajając się niebezpieczeństwem, muskając wodny pył wzbity przez wzburzone fale, nie zważając na przenikliwy ziąb. Niebo było złowieszczo błękitne, wiatr przybierał na sile, ale ona unosiła się pewnie w powietrzu i to jej wystarczało. Czuła, że mogłaby teraz umrzeć. Tak, latając umarłaby szczęśliwa.
Leciała lepiej niż kiedykolwiek przedtem, zakręcając i ślizgając się, niemal instynktownie łapiąc prądy wstępujące i zstępujące, które niosły ją coraz dalej i coraz szybciej. Leciała bezbłędnie; ani razu nie wciągnęło jej w zbyt niebezpieczną bliskość szalejących fal. Jej lekkomyślne harce były celowe i kontrolowane - przynosiły poczucie niezwykłej radości.
Z pewnością byłoby bezpieczniej lecieć wysoko ponad falami, tak wysoko, jak tylko jest to możliwe. Tam byłaby bezpieczna. Lecz Maris muskała powierzchnię morza jak Ptak.
Każde niekontrolowane zanurzenie skrzydła, każde uderzenie o powierzchnię wody mogło oznaczać żałosny upadek w bezdenną otchłań. I śmierć. Nie można przecież płynąć, gdy ma się przytwierdzone do ramion skrzydła o rozpiętości dwudziestu stóp.
Wiatry stawały się coraz zimniejsze. Burza zbierała siły. Maris była sama, lecąc niezmordowanie przez pusty, zaciemniający się nieboskłon. Jedynym towarzyszącym jej dźwiękiem był szum wichru w skrzydłach.
Po pewnym czasie ze wzburzonego morza wyłoniła się wyspa. To Sighing, cel jej podróży. Żałując kończącego się lotu Maris zaczęła szykować się do lądowania. Dyżur na lądowisku pełnili Gina i Tor - dwójka miejscowych lądowców. Zatoczyła nad ich głowami koło dla zwrócenia na siebie uwagi. Powstali z miękkiego piasku wymachując w jej kierunku rękami. Gdy po raz drugi pojawiła się w ich pobliżu byli już przygotowani. Leciała coraz niżej, aż jej stopy znalazły się w odległości kilku cali nad ziemią. Gina i Tor biegli równolegle do niej. Kiedy zaszurała palcami o ziemię i zaczęła zwalniać, wzbijając tumany piachu, każde z nich chwyciło skrzydło i pomagało jej w wyhamowaniu.
Maris ciągnęła ich przez kilka stóp, tak że pozostawili potrójny ślad na lądowisku. Ostatecznie zatrzymała się, upadając twarzą na chłodny suchy piasek. Czuła się głupio.
Gina i Tor powstali, otrzepując się z piasku. Gdy Maris próbowała powstać zaczęli składać jej skrzydła, złącze po złączu. Kiedy wszystkie rozpory zostały rozpięte i złożone, materiał pomiędzy nimi zwiotczał, a po wyciągnięciu ekstenserów skrzydła zmieniły się w dwie metalowe fałdy, luźno zwisające z centralnej osi przypiętej do palców Maris.
- Spodziewaliśmy się Colla - powiedziała Gina składając ostatnią rozporę. Maris potrząsnęła głową. Być może powinien przylecieć Coll, lecz Maris wzięła skrzydła i poleciała, zanim Coll się obudził.
- Będzie miał dość latania po przyszłym tygodniu - powiedział Tor wesoło. Stanął przed Maris pomagając jej odpiąć skrzydła.
- Poniosę je sama - warknęła Maris, zniecierpliwiona i rozdrażniona jego protekcjonalnym tonem. Cóż on mógł rozumieć? Co ktokolwiek z n i c h mógł zrozumieć? Byli przecież lądowcami.
Ruszyła w kierunku domku. Gina i Tor szli krok w krok za nią. Tam jak zwykle odświeżyła się i stojąc przed dużym kominkiem przez pewien czas grzała się i suszyła rzeczy. Na zadawane jej przyjazne pytania odpowiadała krótko i grzecznie, starając się nie myśleć: „to może być ostatni raz". Ponieważ była Ptakiem wszyscy szanowali jej milczenie. Czuła jednak rozczarowanie. Dla większości lądowców Ptaki były jedynym źródłem informacji o tym, co działo się na innych wyspach. Ciągle wzburzone morza, nawiedzane przez Scylle, Koty Morskie i innych drapieżców, były zbyt niebezpieczne dla regularnej żeglugi, z wyjątkiem może wysp bardzo blisko siebie położonych. Ptaki były łącznikami i wszyscy oczekiwali od nich wiadomości, plotek, piosenek, opowieści, romansów.
- Nadlądowiec oczekuje cię gdy tylko wypoczniesz - powiedziała Gina.
Maris ocknęła się myśląc: „Tak, tobie wystarczy, że służysz Ptakom. Chciałabyś poślubić Ptaka, może Colla gdy dorośnie - ale nie wiesz co to znaczy dla mnie, że to właśnie Coll będzie Ptakiem, a nie ja". Ale powiedziała jedynie: - Jestem gotowa. To był łatwy lot. Wiatry zrobiły całą robotę za mnie.
Gina zaprowadziła ją do sąsiedniego pomieszczenia,gdzie Nadlądowiec oczekiwał na przyniesione przez nią wiadomości. Pokój był długi, umeblowany oszczędnie, z jasnym ogniem palącym się w kamiennym kominku. Nadlądowiec siedział w obitym poduszkami krześle koło ognia. Powstał, gdy Maris weszła. Ptaki zawsze były witane jak równi nawet na tych wyspach, gdzie Nadlądowcy byli czczeni niczym bóstwa i posiadali boską niemal władzę.
Po wymianie konwencjonalnych powitań Maris zamknęła oczy i wyrecytowała przyniesioną wiadomość. Nie wiedziała co mówi ani nawet nie zwracała na to uwagi. Używała po prostu głosu do wypowiadania słów bez zaprzątania sobie świadomości. Wiedziała, że chodzi prawdopodobnie o politykę. Ostatnio ciągle była mowa o polityce.
Gdy wiadomości skończyły się Maris otwarła oczy i uśmiechnęła się do Nadlądowca. - Dziękuję - powiedział cicho. - Spisałaś się dobrze.
Poproszono ją, aby została na noc, ale odmówiła. Burza mogłaby się skończyć do rana. Poza tym lubiła nocne latanie. Tor i Gina towarzyszyli jej na zewnątrz i dalej kamienną ścieżką, prowadzącą do skały Ptaków. Latarnie osadzone w kamieniu co parę stóp czyniły karkołomną wspinaczkę nieco bezpieczniejszą.
Na szczycie skały znajdował się naturalny występ poszerzony i pogłębiony ludzkimi rękami. Poza nim - czterdziestostopniowa przepaść i grzywiaste fale uderzające o skalistą plażę. Na miejscu Gina i Tor pomogli jej rozpiąć skrzydła. Maris skoczyła.
Wiatr złapał ją, podźwignął w górę. Znowu leciała. Pod sobą miała ciemne morze, nad sobą gwałtowną burzę. Nie zwróciła się w kierunku domu. Popłynęła z wiatrami gwałtownie wiejącymi na zachód. Wkrótce odezwą się pierwsze grzmoty, nadejdzie deszcz i Maris będzie zmuszona wzbić się ponad chmury, gdzie niebezpieczeństwo, że zostanie strącona przez piorun było mniejsze.
Wiatr grał jej w uszach, popychał ją i płynęła wdzięcznie podniebnym strumieniem. Nagle, nie wiadomo skąd, przyszedł jej na myśl Coll i straciła wyczucie. Zachwiała się, opadła w dół. Wypchnęła się gwałtownie w górę, lawirując, szukając utraconej równowagi. I przeklinając siebie. Tak dobrze było dotąd - czy musiało się tak skończyć? To przecież mógł być jej ostatni lot i musiał być najlepszy. Na próżno jednak - straciła pewność siebie. Maris i wiatr przestali być parą doskonale rozumiejących się kochanków.
Zaczęła lecieć wprost na burzę, zmagając się zaciekle, walcząc, aż wyczerpane i obolałe mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Nabrała teraz wysokości: gdy raz straciło się wyczucie wiatru nie było bezpiecznie lecieć tak nisko nad wodą.
Była całkowicie wyczerpana, zmęczona walką, gdy napotkała wzrokiem skalistą twarz Eyrie. Zdała sobie sprawę jak daleką drogę przebyła.
Eyrie była ogromną skałą wyrastającą z morza, kruchą wieżą kamieni otoczoną gniewnymi spienionymi falami załamującymi się na prostopadłych ścianach. Nie była to wyspa - nie wyrosłoby tu nic oprócz lichego ziela. W nielicznych osłoniętych od wiatru szczelinach gnieździło się ptactwo, natomiast na szczycie skały Ptaki zbudowały schronienie dla siebie. To tutaj właśnie, gdzie nie mógł zacumować żaden statek, gdzie nikt prócz ptaków - tych prawdziwych i tych ludzkich - nie mógł nocować, właśnie tu mieściła się ich kamienna siedziba.
- Maris!
Popatrzyła w górę, w kierunku, z którego dobiegał głos i zobaczyła Dorrela, nurkującego wprost na nią, uśmiechniętego, ze skrzydłami ciemnymi na tle chmur. W ostatnim momencie skręciła gwałtownie, unikając zderzenia. Ścigał ją wokół Eyrie, a Maris, zapominając o zmęczeniu i bólu, zatraciła się w radości latania.
Kiedy w końcu wylądowali, zaczął padać deszcz, zacinając gwałtownie ze wschodu, zwilżając ich twarze, uderzając ciężko o skrzydła. Maris zdała sobie sprawę, że jest prawie sztywna z zimna. Zeszli do jamy naturalnie wyciętej w skale. Maris pośliznęła się na błotnistym gruncie. Upłynęło około 5 minut zanim wstała, a następnie starała się uporać się z potrójnymi paskami, opasującymi jej ciało. Przywiązała starannie skrzydła do umocowanej w skale linki, a następnie podeszła do koniuszków skrzydeł i zaczęła je zwijać.
Gdy skończyła, zęby szczękały jej konwulsyjnie, a całe ramiona odrętwiały z bólu. Dorrel zmarszczył brwi, przypatrując się jej czynnościom: jego skrzydła, starannie złożone, przewieszone były przez ramiona.
- Czy długo leciałaś? - zapytał. - Powinienem był ci pozwolić lądować od razu. Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy. Musiałaś przecież cały czas lecieć w burzy. Trudna pogoda. Czy dobrze się czujesz?
- Ależ tak. Byłam zmęczona, ale już mi przeszło. Cieszę się, że spotkaliśmy się w górze. To było wspaniałe latanie. Potrzebowałam tego. Ostatni etap lotu miałam ciężki - myślałam, że spadnę. Ale dobry lot jest lepszy niż wypoczynek.
Dorrel uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.
- Wejdź do domu zanim zamarzniesz. Garth przyniósł kilka butelek kivasu z Shotanów. Jedna z nich musi już być gorąca. Z nami i z kivasem szybko się ogrzejesz.
Wspólny pokój w domku był jak zawsze ciepły i przytulny, lecz prawie pusty. Jedyną osobą we wnętrzu był Garth, niski, dobrze zbudowany Ptak o dziesięć lat starszy od niej. Popatrzył na nich ze swego miejsca przy kominku i wymówił ich imiona.
- Niczym drewnianoskrzydły idiota trzymałem ją w tym zimnie - powiedział Dorrel. - Czy kivas jest już gorąca? Nalej nam trochę.
Zdjął z siebie mokre i zabłocone rzeczy i wyciągnął dwa duże ręczniki z szafki koło kominka. Maris wyżęła wodę ze swych długich włosów, patrząc na ślady jakie pozostawiła na kamiennej podłodze. Znikły tak szybko, jak się pojawiły. Przypatrywała się Dorrelowi, starając się zapamiętać jego muskularną, szczupłą sylwetkę - sylwetkę dobrego Ptaka. Odwrócił się, gdy poczuł na sobie jej wzrok i wyraz jego oczu stał się łagodniejszy. Przesunął lekko ręką po jej twarzy.
- Wciąż drżysz - wziął ręcznik z jej rąk i owinął ją. - Garth, wyciągnij z ognia tę butelkę, zanim pęknie, i pozwól się nam rozgrzać.
Pili kivas, gorące wino korzenne zmieszane z orzechami i rodzynkami. Pierwszy łyk wpuścił cienkie strugi ognia w jej żyły. Dreszcze ustały.
Garth uśmiechnął się i zapytał:
- Co u twojego brata? Nie widuję go.

Maris pociągnęła długi łyk, trzymając puchar obiema rękami, by opanować drżenie rąk. – Osiągnie wiek w przyszłym tygodniu – powiedziała ostrożnie. – Skrzydła staną się jego własnością. Nie widujesz go? Nie wiem gdzie bywa. Może po prostu nie lubi twojego towarzystwa?
– Hmm – mruknął Garth. – Dlaczego miałby nie lubić? – dodał lekko urażonym tonem. Maris machnęła ręką i zmusiła się do uśmiechu. Miało to wyglądać naturalnie.
Garth kontynuował:
– Wszyscy go bardzo lubimy, prawda Dorrel? Jest młody, spokojny, może trochę zbyt ostrożny, ale wyrobi się. Jest trochę inny niż wszyscy – ale jak pięknie opowiada! A jak śpiewa! Lądowcy szybko będą uwielbiali widok jego skrzydeł. – Garth potrząsnął głową z uznaniem. – Gdzie on się uczy tych wszystkich opowieści i piosenek? Widziałem więcej świata niż on, ale...
– Wymyśla je – powiedziała Maris.
– Sam? – Garth zdziwił się. – Będzie naszym pieśniarzem. Odbierzemy pierwszą nagrodę Ptakom ze wschodu podczas następnych zawodów. Zachód zawsze miał lepsze Ptaki – przyznał lojalnie – ale nasi pieśniarze nigdy nie byli najlepsi.
Maris siedziała patrząc w ogień, myśląc, ściskając jeszcze ciągle ciepły trunek. Czuła się tutaj, na Eyrie dobrze, nawet po tym, jak Garth wspomniał Colla. Co dziwniejsze, czuła się tu naprawdę wygodnie. Nikt nie mieszkał na tej skale, był to jednak dom. Jej dom. Nie mogła pogodzić się z myślą, że być może już tu nie wróci.

Przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy ujrzała Eyrie. Było to około sześciu lat temu, wkrótce po osiągnięciu wieku uprawniającego ją do latania. Była wtedy trzynastoletnią dziewczynką, dumną, że przeleciała samotnie tak wielki dystans, a równocześnie trochę przerażoną i nieśmiałą. Wewnątrz domku spotkała około tuzina Ptaków, siedzących dookoła kominka, śmiejących się i pijących. Gdy weszła uspokoili się na moment, posyłając jej uśmiechy. Garth był wtedy spokojnym młodym człowiekiem. Dorrel kościstym chłopcem niewiele starszym od niej. Nie znała żadnego z nich. Jednakże Helmer, Ptak w średnim wieku pochodzący z wyspy położonej najbliżej jej własnej, wprowadził ją w towarzystwo.
Wszyscy powitali Maris bardzo serdecznie i wkrótce wydawało się, że była tu honorowym gościem. Nie bacząc na jej wiek dali jej wina i prosili, by śpiewała razem z nimi.
Było to dziwne, niezapomniane przyjęcie, z którego szczególnie jeden incydent utkwił jej głęboko w pamięci. Kruk, jedyne wschodnie skrzydła w tej grupie, bardzo się przechwalał. W końcu, trochę podpity, rzucił wyzwanie:
– Nazywacie siebie Ptakami – powiedział pijackim głosem, który Maris na zawsze zapamiętała. – Chodźcie ze mną, pokażę wam prawdziwe latanie.
Wszyscy wyszli na zewnątrz i ruszyli w kierunku Skały Ptaków na Eyrie, najwyższej skały ze wszystkich. Kruk, niosąc swoje złożone skrzydła, podszedł na skraj przepaści. Rozwinął trzy pierwsze złącza bardzo uważnie i przypiął je do ramion, ale nie zablokował ich – zawiasy poruszały się swobodnie, a rozpory zginały się do przodu i do tyłu zgodnie z ruchem jego ramion. Pozostałe rozpory trzymał zwinięte w rękach.
Maris zastanawiała się co zamierzał zrobić. Podbiegł do przepaści i skoczył tak daleko, jak mógł. Skrzydła miał ciągle zwinięte.
Maris podbiegła do krawędzi. Inni podążyli za nią, niektórzy zdziwieni, inni szczerzący zęby w uśmiechu. Dorrel stał obok niej.
Kruk spadał pionowo w dół, z rękami przy bokach, skrzydła powiewały jak peleryna. Leciał głową w dół i wydawało się, że to trwa wieczność. Wtem, w ostatniej chwili, gdy był już prawie na skałach, a Maris prawie czuła uderzenie – srebrne skrzydła rozbłysły nagle w świetle słońca. Skrzydła znikąd. Kruk złapał wiatr i poleciał.
Maris przepełniona była nabożnym lękiem. Jamis Senior, najstarszy z Ptaków Zachodu, uśmiechnął się tylko. – To stary trick Kruka – zarechotał. – Robił to już dwa razy. On oliwi rozpory skrzydeł. Gdy spadnie dostatecznie nisko, mocno wyrzuca skrzydła od siebie. Rozpory rozwierają się i zatrzaski zatrzaskują się kolejno. Sprytne, nie? Możecie być jednak przekonani, że ćwiczył to wiele razy, zanim zdecydował się wystąpić przed publicznością. Jednakże pewnego pięknego dnia jakiś zawias zatnie się i nikt już nie usłyszy głosu Kruka.

Głos Dorrela przywołał ją z powrotem z krainy wspomnień:
– Maris – powiedział – tylko nie zaśnij w naszym towarzystwie.
Maris odłożyła pusty puchar. Z pewnym wysiłkiem odwróciła głowę i podniosła sweter.
– Jeszcze nie wysechł – zaprotestował Garth.
– Czy nie jest ci zimno? – zapytał Dorrel.
– Nie. Muszę już wracać.
– Ależ jesteś zbyt zmęczona – powiedział Dorrel. – Zostań na noc.
Maris odwróciła wzrok od jego oczu.
– Nie mogę. Będą się o mnie niepokoić.
Dorrel westchnął.
– To weź przynajmniej suche rzeczy. – Wstał, przeszedł na koniec wspólnego pokoju i otworzył drzwi drewnianej, rzeźbionej szafy. – Chodź i wybierz sobie coś, co będzie na ciebie pasować.
Maris nie ruszyła się. – Nie, lepiej zabiorę swoje rzeczy. Nie wrócę tu już.
Dorrel zaklął.
– Maris. Nie rób ceregieli – przecież wiesz – chodź i weź te rzeczy. Przecież wiesz, że masz prawo do nich. Jeśli chcesz zostaw w zamian swoje.
Razem z Dorrelem przeszukała stertę ubrań, aż znalazła odpowiednie spodnie i sweter. Dorrel patrzył, jak ubierała się, a potem szybko wyszukał ubranie dla siebie. Podeszli do wieszaka przy drzwiach i zdjęli skrzydła. Maris szybko sprawdziła czy nie ma jakichś uszkodzeń – skrzydła rzadko zawodziły, ale kiedy już, to psuły się przeważnie złącza. Sam materiał był tak samo miękki i silny jak wtedy, gdy gwiezdni żeglarze przybyli do tego świata. Miały dobrą linię, Coll będzie je nosił latami, a po nim wiele pokoleń jego następców.
Garth stanął obok niej. Popatrzyła na niego.
– Nie umiem mówić tak pięknie jak Coll albo Dorrel – rozpoczął. – Ja... no cóż. Do widzenia Maris – zarumienił się, wyglądał żałośnie. Ptaki nie mówiły sobie do widzenia. „Ale ja nie jestem Ptakiem" – pomyślała i przytuliła Gartha, pocałowała go i powiedziała: „do widzenia". Pożegnaniem lądowców.

Długi, samotny lot nad oświetlonym gwiazdami morzem. Stały wiatr z zachodu zmuszał ją do ciągłego lawirowania, przez co traciła wiele na szybkości i czasie. Było już po północy, gdy ujrzała światła na Amberly Mniejszej, jej ojczystej wyspie.
Ujrzała też inne światła poniżej, na plaży lądowiska. Zobaczyła je, gdy gładko i płynnie zbliżała się do brzegu. Pomyślała, że to muszą być ludzie pełniący dyżur na lądowisku. Ale nie powinno już być nikogo. O tej porze latało bardzo niewiele Ptaków. Wyraz zdziwienia pojawił się na jej twarzy w momencie, gdy uderzyła o grunt. Jęknęła.
Pośpiesznie wstała i zaczęła odpinać skrzydła. Powinna umieć dostatecznie dużo, by nie potrzebować pomocy przy lądowaniu. Światło skierowało się w jej kierunku.
– A więc jednak zdecydowałaś się wrócić – usłyszała ostry głos. Był to Russ, jej ojczym, idący ku niej z latarnią w zdrowej ręce. Jego prawe ramię zwisało martwe.
– Zatrzymałam się na Eyrie – powiedziała tłumacząc się. – Chyba się nie niepokoiliście?
– Miał lecieć Coll, nie ty. – Wyraz jego twarzy stał się surowy.
– Był ciągle w łóżku – powiedziała Maris. – Jest zbyt wolny – wiedziałam, że straci najlepszy wiatr sztormowy. Złapałby co najwyżej deszcz i straciłby mnóstwo czasu zanim by się tam dostał. Jeżeli w ogóle by się dostał. Nie jest jeszcze zbyt dobry w deszczu.
– A więc musi latać, by stać się lepszy. Musi popełniać błędy. Właśnie teraz ma na to czas. Byłaś jego nauczycielką, ale już wkrótce skrzydła będą jego własnością. To on jest Ptakiem, a nie ty.
Maris zamrugała oczyma jak po ciężkim ciosie. Tak mówił do niej człowiek, który uczył ją latać, który był tak dumny z niej i z jej niemal instynktownego wyczucia przestrzeni. Nie jeden raz mawiał jej, że skrzydła będą na zawsze należały do niej, chociaż nie była jego córką. On i jego żona adoptowali ją, gdy wydawało się, że nigdy już nie doczekają się własnego potomka, który odziedziczyłby skrzydła. Miał wypadek i musiał zaprzestać latania. Jego żona nie chciała się uczyć – przeżyła 35 lat jako lądowiec i nie zamierzała zakładać skrzydeł. Poza tym było już za późno – Ptaki musiały uczyć się za młodu. A więc to Maris była osobą, którą adoptował, uczył i w końcu pokochał – Maris, córka rybaka, która zawsze wolała spędzać czas przypatrując się Ptakom, niż bawić się z rówieśnikami.
A potem, niespodziewanie, przyszedł na świat Coll. Matka zmarła po przedłużonym i ciężkim porodzie. Maris, wtedy jeszcze dziecko, zapamiętała tą ciemną noc pełną gwaru i biegających tam i z powrotem ludzi, i ojczyma płaczącego samotnie w kącie. Coll pozostał przy życiu. Maris, dziecko, które nagle zostało matką, opiekowała się nim i w końcu pokochała go. Z początku nie spodziewali się, że Coll wyżyje. Była szczęśliwa,. gdy jego życiu nic już nie zagrażało. Przez trzy lata kochała go jak brata i syna zarazem, praktykując latanie pod czujnym okiem ojczyma.
Aż do tej pamiętnej nocy, gdy ten sam ojczym oświadczył jej, że Coll, malutki Coll, musi dostać jej skrzydła.
– Latam dużo lepiej niż on kiedykolwiek będzie – powiedziała teraz, na plaży, drżącym głosem.
– Nie przeczę. To jednak nie ma żadnego znaczenia. On jest moim synem.
Takie było prawo Ptaków, niezmienne od pokoleń, od czasów żeglarzy gwiezdnych, legendarnych twórców skrzydeł. „Pierworodne dziecko każdej rodziny latającej odziedziczy skrzydła po rodzicu". Zdolności nie były w ogóle brane pod uwagę – to było prawo dziedziczenia, i Maris, pochodząca z rodziny rybaków, odziedziczy po nich najwyżej sterany wrak ich drewnianej łodzi.
– To nie jest w porządku.
– W porządku czy nie, to jest prawo, Maris. Znasz je od dawna, nawet jeżeli zdecydujesz się je ignorować. Przez sześć lat bawiłaś się w Ptaka, a ja pozwalałem ci na to, ponieważ kochałaś to, ponieważ Coll potrzebował nauczyciela, i wreszcie – ponieważ ta wyspa jest za duża, by mogły wystarczyć jej dwa Ptaki. Ale wiedziałaś przecież cały ten czas, że ten dzień nadejdzie.
„Mógłby przynajmniej być bardziej grzeczny" – pomyślała dziko. „Musi wiedzieć co to znaczy porzucić niebo".

– A teraz chodź ze mną – powiedział. – Już nigdy nie będziesz latać.
Jej skrzydła były wciąż rozpostarte – tylko jeden uchwyt zluzowany.
– Ucieknę – powiedziała z desperacją w głosie. – Nigdy mnie już nie ujrzysz. Polecę na wyspę, która nie ma własnego Ptaka. Przyjmą mnie z radością, nie pytając skąd mam skrzydła.
– Nigdy – odparł smutnie ojczym. – Inne Ptaki unikałyby wyspy, tak jak robiły to na wschodzie po tym, jak szalony Nadlądowiec z Kennehut skazał na śmierć Ptaka - Który - Przyniósł - Złe - Wieści. Odebrano by ci skradzione skrzydła wszędzie, gdziekolwiek byś się udała. Żaden Nadlądowiec nie zaryzykowałby przyjęcia cię.
Pomógł jej odpiąć i zwinąć skrzydła i poszli razem do domu.

Tydzień mijał nieubłaganie.
Wiele razy w ciągu tych nieskończenie długich dni odwiedzała skałę startową i stojąc z rękami w kieszeniach patrzyła w morze. Widywała łodzie rybaków, mewy i jeden raz, hen w oddali, polującą grupę gładkofutrych szarych Kotów Morskich. To nagłe skurczenie się świata, zaciśnięcie się linii horyzontu wokół niej, powiększało jej rozpacz. Stała tam, pragnąc wiatru, ale jedyną rzeczą, którą wiatr unosił były jej włosy.
Pewnego razu ujrzała Colla przyglądającego się jej z oddali. Żadne z nich nie wspomniało potem o tym spotkaniu.
Skrzydła miał teraz Russ, s w o j e skrzydła. Zawsze były jego i będą do czasu, gdy je weźmie Coll. Gdy Amberly Mniejsza potrzebowała Ptaka, był do dyspozycji Corm mieszkający na dalekim krańcu wyspy lub Shalli, wesoła kobieta, która czuwała nad Maris, gdy ta uczyła się prostego wyczucia nieba.
Stosunek Russa do Maris zmienił się. Czasami wściekał się na nią, gdy znajdował ją zamyśloną, a czasami otaczał ją swym zdrowym ramieniem i szlochał. Nie mógł wybrać pomiędzy złością i współczuciem, więc będąc bezradnym, próbował jej unikać. Spędzał czas z Collem, podniecony i rozentuzjazmowany. Chłopiec, w poczuciu swego obowiązku, starał się przejąć jego nastrój. Jednakże Maris wiedziała, że on również, kiedy tylko może, wymyka się na długie spacery i spędza dużo czasu samotnie ze swoją gitarą.
W przeddzień tego dnia, w którym Coll miał osiągnąć wiek, Maris usiadła wysoko na skale startowej, machając nogami nad przepaścią, obserwując jak Shalli zatacza koła na tle południowego nieba. Była Ptakiem dostatecznie długo, by rozpoznać lot dla samej radości latania. Nawet teraz, gdy siedziała jak w pułapce, czuła odległe echa tej radości – coś podrywało się w niej, gdy Shalli szybowała, a posrebrzany płomień odbijał się od skrzydła.
„Czy tak się to kończy?" – zapytywała siebie. „Niemożliwe. Nie, tak się zaczyna. Pamiętam".
Naprawdę pamiętała. Myślała czasem, że przypatrywała się Ptakom jeszcze przed urodzeniem, chociaż matka zapewniała ją, że to nieprawda. Maris miała żywy obraz skały startowej w pamięci – uciekała i przychodziła tu prawie każdego tygodnia, gdy miała cztery, pięć, sześć lat. Tam – tutaj – siadywała, obserwując przelatujących i odlatujących. Jej matka zawsze ją tu znajdowała i Maris była wtedy wściekła.
– Jesteś lądowcem, Maris – mawiała po wymierzeniu jej paru klapsów.– Nie zawracaj sobie głowy głupimi mrzonkami. Nie pozwolę, by moja córka została Drewnianoskrzydłą.
Była to stara ludowa legenda. Matka opowiadała ją za każdym razem, gdy zastała ją na wzgórzu. Drewnianoskrzydły był to syn cieśli, który pragnął zostać Ptakiem. Ale, co oczywiste, nie pochodził z rodziny Ptaków. Nie przejmował się tym jednak – nie słuchał ani przyjaciół, ani rodziny, pragnął tylko latania. W końcu w warsztacie swego ojca skonstruował sobie parę pięknych skrzydeł – wielkie skrzydła motyla, wyrzeźbione z drewna i pięknie wypolerowane. Każdy przyznawał, że są piękne, każdy oprócz Ptaków. Ptaki kiwały tylko głowami w milczeniu. W końcu Drewnianoskrzydły wspiął się na skałę startową. Oczekiwano go tam. Milczący tłum, tłoczący się dookoła w świetle wschodzącego słońca. Drewnianoskrzydły pobiegł i spadł na spotkanie śmierci.
– A morał z tego - zwykła była mówić matka Maris – że nie powinnaś starać się być tym, kim nie jesteś.
Ale czy taki b y ł morał? Maris nie martwiła się tym zbytnio – po prostu stwierdziła, że Drewnianoskrzydły był głupcem. Jednak, gdy była starsza, ta historia często do niej wracała. Czasem wydawało się jej, że matka całkowicie źle ją rozumiała. Drewnianoskrzydły przecież wygrał, myślała. On l e c i a ł, jeżeli nawet tylko przez krótką chwilę, to wystarczyło. To było warte wiele, nawet życie. To była śmierć Ptaka. A Ptaki nie przyszły tam, aby go wyśmiać, czy też ostrzec – nie – oni lecieli pilnując go, ponieważ był początkujący i ponieważ rozumieli go. Lądowcy często śmiali się z Drewnianoskrzydłego – to imię stało się synonimem głupca. Ale każdy Ptak słysząc tę historię mógł jedynie płakać.

Nadszedł ten dzień, który musiał nadejść.
Przyjęcie było małe, chociaż sam Nadlądowiec był gospodarzem. Był to postawny mężczyzna, wesoły, z uprzejmą i łagodną twarzą, ukrytą za gęstą brodą, która miała nadawać mu wyraz surowości i stanowczości. Gdy witał gości w drzwiach jego ubiór ociekał przepychem – bogato haftowane materiały, miedziane i mosiężne pierścienie, a na dodatek ciężki naszyjnik z prawdziwego, kutego żelaza. Przywitanie było jednak serdeczne.
W środku domu był wielki pokój przyjęć. Drewniane belki ponad głowami, pochodnie palące się jasno wzdłuż ścian, szkarłatny dywan pod nogami. No i stół uginający się pod ciężarem potraw – kivas z Shotanów, wina z Amberly, sery z Culhall, owoce z Wysp Zewnętrznych, wielkie półmiski zielonej sałaty. A w środku – Kot Morski nadziany na rożen.
Wszyscy zaprzyjaźnieni z nimi lądowcy byli obecni, tłocząc się wokół Colla, gratulując. Niektórzy poczuwali się do obowiązku, aby porozmawiać z Maris, powiedzieć jej, że powinna być szczęśliwa, że ma brata Ptaka i że sama była Ptakiem. Była, była, była... Chciała krzyczeć.
Ale Ptaki były gorsze. Corn, przystojny jak zawsze, roztaczający wokół siebie czar, stał w jednym kącie, opowiadając o bardzo odległych miejscach dziewczętom-lądowcom o oczach jak gwiazdy. Shalli tańczyła: zanim skończył się wieczór wykończy z pół tuzina mężczyzn swoją szaloną energią. Pozostałe Ptaki przybyły z innych wysp. Anni z Culhall, chłopięcy Jamis Młodszy, szybko posuwający się w latach Helmer, którego córka odziedziczy jego skrzydła za mniej więcej pół roku, z pół tuzina innych z Zachodu, trzech ze Wschodu. Wszystko to jej przyjaciele, jej bracia, jej towarzysze z Eyrie.
Teraz jednak unikali jej. Anni uśmiechała się grzecznie, patrząc w innym kierunku. Jamis przekazał pozdrowienia swego ojca, popadając w kłopotliwe milczenie, przestępując z nogi na nogę, aż Maris pozwoliła mu odejść. Westchnienie ulgi, jakie mu się wyrwało było aż nazbyt głośne. Nawet Corm, mówiący o sobie, że nigdy się nie denerwuje, czuł się skrępowany jej obecnością. Przyniósł jej puchar gorącej kivas, a potem zobaczył w drugim końcu przyjęcia, z którym k o n i e c z n i e musiał porozmawiać.
Czując, że wszyscy jej unikają, Maris znalazła skórzany fotel koło okna. Usiadła tam, sączyła swoją kivas, słuchając wiatru uderzającego w okiennice. Nie miała im tego za złe. Jak można rozmawiać z Ptakiem pozbawionym skrzydeł?
Cieszyła się, że Garth i Dorrel nie przyszli, jak też, że nie przyszedł żaden z tych, których szczególnie polubiła. Było jej trochę wstyd, że się z tego cieszy.
Nagle koło drzwi zrobił się ruch i jej nastrój poprawił się nieznacznie. Przyszedł Barrion.
Maris uśmiechnęła się trochę wbrew sobie. Bardzo lubiła Barriona, wysokiego, szpakowatego i poważnego, z gitarą przyszytą prawie do ręki i z dudniącym głębokim głosem. Powszechnie uważano, że jest najlepszym pieśniarzem Amberly. A przynajmniej twierdził tak Coll, no i oczywiście sam Barrion. Poza tym Barrion utrzymywał, że odwiedził aż dwanaście wysp, rzecz wprost niewiarygodna w przypadku człowieka nie mającego skrzydeł. Twierdził również, że jego gitara przybyła przed pokoleniami z Ziemi, razem z żeglarzami gwiezdnymi. Jego rodzina przekazywała ją z pokolenia na pokolenie. Mówił to poważnie, jakby spodziewał się, że Maris i Coll w to uwierzą. Ale pomysł był bzdurny – traktować gitarę jakby to była para skrzydeł.
Jednakże, kłamał czy nie, szczupły Barrion był bardzo wesoły i bardzo romantyczny, i śpiewał niczym wiatr. Coll uczył się śpiewania pod jego kierunkiem. Zostali wielkimi przyjaciółmi.
Rozpoczął pieśnią o Gwiezdnych Żeglarzach. Była to najstarsza z ballad, pierwsza, którą mieli prawo nazywać swoją. Barrion śpiewał swobodnie, ze znajomością rzeczy i Maris zmiękła na dźwięk jego głębokiego głosu. Jakże często słyszała Colla, późno w noc uderzającego w swój własny instrument i śpiewającego tę samą piosenkę. Przechodził mutację – doprowadzało go to do wściekłości. Co trzecia zwrotka kończyła się okropnie fałszywym tonem i minutą przekleństw. Maris leżała zwykle w łóżku i śmiała się bezlitośnie z hałasów dobiegających z dołu.
Teraz słuchała słodkiego głosu Barriona śpiewającego o gwiezdnych żeglarzach i ich wielkim statku o srebrnych żaglach rozpostartych na setki mil dla złapania dzikich wiatrów gwiezdnych. W pieśni była zaklęta cała epopeja. Tajemnicza burza, uszkodzony statek, trumny, w których chowano tych, co umarli w czasie podróży. Potem, zepchnięci z kursu, przybyli t u t a j, do tego świata bezmiernego oceanu, wściekłych burz, świata, w którym jedynym lądem były tysiące wysp rozrzuconych po morzu, wzburzonym wiecznie wiejącymi wiatrami. Pieśń mówiła o lądowaniu statku, który nie miał lądować, o śmierci tysiąca ludzi złożonych w trumnach, i o sposobie w jaki żeglowali – nieco cięższy od powietrza statek płynął po morzu srebrząc wody dokoła Shotanów. Barrion śpiewał o zaklęciach żeglarzy gwiezdnych i ich śnie o zreperowaniu statku i o powolnym końcu snu. Śpiewał melancholijnie o zanikaniu mocy ich maszyn, zanikaniu, które skończyło się w mroku.

Lisa TUTTLE

urodziła się w Teksasie w 1952 roku. Jako autorka opowiadań SF zadebiutowała w 1972 roku utworem **„Stranger in the House"** opublikowanym w antologii „Clarion 2" redagowanej przez Robina Scotta Wilsona. W 1975 roku Lisa Tuttle została wyróżniona John W. Campbell Award przyznawaną corocznie najlepszemu autorowi młodego pokolenia. Wśród wielu utworów Lisy Tuttle jedną z najwyżej cenionych pozycji jest napisane wspólnie z George R. R. Martinem opowiadanie **„Storms of Windhaven"** (Planeta Burz) stanowiące preludium do obszernej powieści. Opowiadanie to w 1975 roku otrzymało nominację do nagrody Hugo.

Na koniec przyszła bitwa – gdy Stary Kapitan i jego zwolennicy postanowili bronić drogocennych metalowych żagli przed swymi synami. Potem synowie gwiezdnych żeglarzy, pierwsi synowie Planety Burz, pocięli żagle na kawałki, kawałki lekkie, giętkie, niesłychanie silne. I zrobili skrzydła. Porozrzucani po Planecie Burz ludzie potrzebowali bowiem łączności.
Ostatnie akordy zafalowały w powietrzu. „Biedni żeglarze" – jak zawsze pomyślała Maris. Stary Kapitan i jego załoga też byli Ptakami, ale ich skrzydła były skrzydłami kosmicznymi. Ich sposób latania musiał odejść, by mógł pojawić się nowy.
Barrion uśmiechnął się i na czyjąś prośbę rozpoczął nową pieśń. Wykonał pół tuzina pieśni z Ziemi, a potem potoczył dookoła potulnym wzrokiem i zaproponował swoją kompozycję, sprośną pijacką piosenkę o zadziornej Scylli, która statek rybacki wzięła za małżonka. Maris prawie nie słuchała. Jej myśli były ciągle przy gwiezdnych żeglarzach. W jakiś sposób przypominali jej Drewnianoskrzydłego – tak jak on nie chcieli zrezygnować ze swych snów. A to znaczyło, że musieli zginąć. Ciekawe, czy uważali, że dla snów warto ginąć.
– Barrion – zawołał od drzwi Russ. – To dzień narodzin nowego Ptaka. Zaśpiewaj nam parę pieśni o Ptakach!
Pieśniarz uśmiechnął się i przytaknął. Maris popatrzyła na Russa. Stał koło stołu, z lampką wina w zdrowej ręce, z uśmiechem na twarzy. „Jest dumny" – pomyślała. „Jego syn wkrótce zostanie Ptakiem. O mnie już zapomniał". Czuła się chora i zdruzgotana.
Barrion śpiewał pieśni o Ptakach – ballady z Wysp Zewnętrznych, z Shotanów, z Culhall, Amberly i z Poweet. Zaśpiewał pieśń o siwowłosym Roynir, który w wieku osiemdziesięciu lat stracił wnuka-Ptaka. Wziął jego skrzydła i ścigał winowajcę, by go zabić.
Zaśpiewał pieśń o Aronie i Jeni, pieśń najsmutniejszą ze smutnych. Jeni była lądowcem, na dodatek ułomnym: nie mogąc chodzić całymi dniami wysiadywała w oknie, obserwując skałę startową na Shotanie Mniejszym. Zakochała się w Aronie, czarującym, wesołym Ptaku i w jej snach on ją również kochał. Pewnego dnia, siedząc samotnie w domu, ujrzała jak Aron zabawia się w powietrzu z innym Ptakiem, ognistowłosą kobietą, którą po wylądowaniu pocałował. Gdy matka przyszła do domu Jeni była już martwa. Aron dowiedział się o tym i chociaż jej nie znał, nie pozwolił jej pochować. Wziął ją na ręce i poniósł na skałę startową, potem wieszając ją pod sobą, pożeglował daleko w morze i dał jej pogrzeb Ptaka.
Drewnianoskrzydły też miał swą piosenkę, chociaż nie najlepszą – był w niej komicznym głupcem. Barrion zaśpiewał ją, i tę o Ptaku-Co-Przyniósł-Złe-Wieści i Taniec Wiatru, zaślubinową pieśń Ptaków i wiele innych. Maris siedziała zasłuchana nie śmiąc się poruszyć. Kivas w jej ręku stała się zimna jak lód, zapomniana pod wrażeniem słów. Czuła się dobrze, w swym bezmiernym smutku, z napływającymi wspomnieniami wiatru.
– Twój brat jest z urodzenia Ptakiem – usłyszała łagodny szept nad sobą i ujrzała Corma, opierającego się o jej krzesło. Z wdziękiem wskazał lampką wina Colla, siedzącego u stóp Barriona. Młodzieniec obejmował swe kolana, z zachwytem wpatrując się w śpiewaka.
– Patrz, jak go wzruszają pieśni – powiedział Corm z prostotą. Nie tylko pieśni o lądowcach, ale znacznie bardziej te o Ptakach. Oboje wiemy o tym, Maris, i twój brat również. Widzę to. Wiem co przeżywasz, dziewczyno, ale pomyśl o nim. On to kocha tak samo jak ty.
Maris spojrzała na niego i zaśmiała się z jego mądrości. Tak, Coll wyglądał na przejętego, ale ona znała prawdziwy powód. Tym, czym się zachwycał, był śpiew – piosenka, a nie jej temat. Ale jak mógł wiedzieć o tym Corm, przystojny i uśmiechnięty, tak pewny siebie, a wiedzący tak mało.
– Czy uważasz, że tylko Ptaki mają swe marzenia, Corm? – zapytała go szeptem i szybko odwróciła wzrok, patrząc na kończącego pieśń Barriona.
– Istnieje bardzo dużo piosenek o Ptakach – powiedział Barrion. – Gdybym chciał wszystkie śpiewać, siedzielibyśmy tu do rana i nie zdążyłbym nic zjeść. – Popatrzył na Colla. – Nauczysz się ich więcej niż ja, gdy znajdziesz się na Eyrie. Widziałem tylko dwanaście wysp, a Ptaki widziały ich setki.
Coll wstał.
– Chcę zaśpiewać jedną.
– Myślę, że mogę powierzyć ci swą gitarę – uśmiechnął się Barrion. – Nikomu innemu, ale tobie tak. – Wstał, robiąc miejsce spokojnemu, bladolicemu chłopcu.
– Chciałbym zaśpiewać piosenkę o Ptaku, piosenkę nową. Ja... sam... napisałem ją. Nie byłem przy tym, sami rozumiecie, ale słyszałem tę historię, jest prawdziwa. Już dawno powinna powstać na ten temat pieśń, ale powstała dopiero teraz. – Coll uśmiechnął się i spojrzał na Maris. – Nazwałem ją „Upadek Kruka".
Zaśpiewał. Jasno i czysto, pięknym głosem, po prostu tak jak było. Maris patrzyła na niego rozszerzonymi oczami, słuchała z napięciem. Oddał to wspaniale. Zdołał nawet wyrazić uczucie wzruszenia, jakie opanowało ją, gdy jasne, lustrzane skrzydła Kruka rozbłysły w słońcu i gdy wspiął się w górę od śmierci. Cała dziecinna miłość, jaką żywiła do Kruka była w tej piosence. Kruk przedstawiony był jako wspaniały uskrzydlony rycerz, tajemniczy, śmiały, wyzywający. Tak jak Maris go sobie wtedy wyobrażała.
„Ma talent" – pomyślała Maris. Z drugiego końca pokoju Coll popatrzył na nią pytająco. Maris skinęła mu głową. Uśmiechnął się dumnie. Zrobił to dobrze.

A Maris wtedy zdecydowała się ostatecznie.
Wtem, zanim Coll zaczął następną piosenkę, Russ wysunął się do przodu.
– Teraz – powiedział – musimy przejść do rzeczy poważnych. Śpiewaliśmy, rozprawialiśmy, piliśmy i jedliśmy. A na zewnątrz wieją wiatry.
Wszyscy słuchali z należytą uwagą i nagle dźwięk wiatru, dotychczas jakby zapomniany, odłożony na bok, zdał się przepełniać pokój. Maris usłyszała i zadrżała.
– Skrzydła – powiedział ojciec Maris. Nadlądowiec wysunął się do przodu, trzymając je w rękach niczym jakiś cenny depozyt. Odezwał się zwykłymi przy takich okazjach słowami.
– Bardzo długo te oto skrzydła służyły nam, łącząc nas z innymi mieszkańcami Planety Burz. Służą nam już od pokoleń, poczynając od żeglarzy gwiezdnych poprzez Marion, córkę żeglarza gwiezdnego, jej córkę Jeri, jej syna Jana i Anni, i Denis... – nastąpiła długa lista kolejnych posiadaczy skrzydeł – ...kończąc na Russie i jego córce Maris. – Powstało lekkie zamieszanie – Nadlądowiec złamał nieco tradycję. Maris nie była prawdziwym Ptakiem, nie powinna być wymieniona. – A teraz obejmuje je w posiadanie Coll i tak jak od wieków czynią to Nadlądowcy, biorę je na krótką chwilę w dłonie, by moim dotknięciem przynieść im szczęście. A przeze mnie cały lud Amberly dotyka tych skrzydeł i moim głosem woła: „Lataj szczęśliwie Coll!!!"
Nadlądowiec wręczył zwinięte skrzydła Russowi, a ten wziął je i zwrócił się do Colla. Coll stał ściskając kurczowo gitarę. Wydawał się być bardzo mały i blady.
– Nadszedł czas gdy ktoś musi zostać Ptakiem – powiedział Russ. – Nadszedł czas, abym przekazał skrzydła Collowi, i aby ten przyjął je. A ponieważ byłoby głupie przypinać skrzydła w domu, pójdziemy na skałę startową i popatrzymy jak chłopiec staje się mężczyzną.
Ludzie niosący pochodnie, Ptaki – wszyscy byli gotowi. Opuścili dom, Coll na honorowym miejscu pomiędzy swoim ojcem i Nadlądowcem, inne Ptaki też za nimi z pochodniami w ręku. Maris z resztą towarzystwa podążała nieco z tyłu.
Był to dziesięciominutowy spacer, wolnym krokiem, w głębokim milczeniu. Stanęli w końcu na płaszczyźnie skały. Russ, samotnie stojąc na krawędzi, przypiął skrzydła swemu synowi. Twarz Colla była kredowobiała. Stał nieruchomo, patrząc w otchłań, na dnie której fale uderzały o plażę, a ojciec przypinał i rozwijał mu skrzydła.
W końcu wszystko było gotowe.
– Synu mój, jesteś Ptakiem – zakrzyknął Russ i wycofał się, stając blisko Maris. Coll stał samotnie pod gwiazdami, rzucony na skraj urwiska. Jego ogromne srebrzyste skrzydła czyniły go mniejszym niż kiedykolwiek. Maris chciała krzyknąć, przerwać, coś zrobić, czuła jak do oczu napływają jej łzy. Nie mogła jednak ruszyć się z miejsca. Jak wszyscy inni, czekała na tradycyjny pierwszy lot.
A Coll, wciągnąwszy głęboko powietrze, w końcu odbił się i skoczył. Stawiając ostatni krok, potknął się i upadł w przepaść znikając wszystkim z oczu. Tłum ruszył przed siebie. Gdy uczestnicy przyjęcia znaleźli się na krawędzi, Coll odzyskał już równowagę i mozolnie wspinał się w górę. Zatoczył szerokie koło nad oceanem, następnie prześliznął się w bezpośredniej bliskości skały i wrócił nad ocean. Niektóre młode Ptaki urządzały przyjaciołom pokaz, ale Coll do nich nie należał. Jak uskrzydlony cień błąkał się po niebie, które z pewnością nie było jego domem.
Inni zaczęli rozwijać swe skrzydła – Corm, Shalli i wielu innych przygotowywało się do lotu. Wkrótce dołączą do Colla, przelecą z nim kilka razy w szyku, a potem pozostawią lądowców i odlecą na Eyrie, by spędzić tam resztę nocy, celebrując przyjęcie nowego członka do swego bractwa.
Zanim jednak ktokolwiek zdołał odbić się od ziemi, wiatr zmienił się. Coll zachwiał się wyraźnie. Nieznacznie zanurkował, walcząc o uratowanie się. Ktoś zadyszał ciężko. Nagle Coll opanował się i zaczął lecieć w ich kierunku. Jednakże leciał ciężko, bardzo ciężko. Wiatr był ostry, spychał go w dół. Coll zmagał się z nim i ustępował mu.
– Ma kłopoty – powiedział Corm i odpiął energicznym wyrzutem ostatnie rozpory skrzydeł. – Będę go asekurował. – Gdy skończył to mówić był już w powietrzu.
Było już jednak za późno na efektywną pomoc. Coll wyrzucając skrzydła do przodu i do tyłu, trzepotał się w nagłym porywie wiatru. Spychało go w kierunku plaży lądowiska. Bez słowa wszyscy ruszyli mu na spotkanie. Maris i jej ojciec na czele. Coll schodził w dół, szybko, zbyt szybko. Nie płynął z wiatrem, był spychany. Jego skrzydła zadrżały gdy upadł. Przewrócił się tak, że jedno skrzydło szorowało o piasek, podczas gdy drugie wskazywało niebo. Źle, źle,

George R. R. MARTIN
urodził się w Bayonne (New Jersey) w 1948 roku. Debiutował w 1971 roku opowiadaniem **„The Hero"**. Największym pisarskim osiągnięciem Martina stała się **„Pieśń dla Lyanny"** (A Song for Lya), wyróżniona w 1975 roku nagrodą Hugo w dziedzinie mikropowieści. Utwór ten (poprzedzony nieco szerszą niż ta notką o autorze) publikowaliśmy na naszych łamach („Fantastyka" nr 1/82 i 2/82).

wszystko źle. Gdy przybyli na plażę usłyszeli straszny zgrzyt metalu, a potem ujrzeli wielką fontannę piasku.
Lewe skrzydło było uszkodzone, złamane.
Russ był przy nim pierwszy. Ukląkł i zaczął borykać się z zapiętym ciałem. Inni zebrali się wokół. Coll podniósł się nieco i ujrzeli, że drżał cały, oczy zaś miał pełne łez.
– Nie przejmuj się – powiedział Russ serdecznym głosem, w którym było trochę drwiny. – To tylko rozpora, synu, one ciągle nawalają. Łatwo to naprawić. Byłeś trochę niezdecydowany, ale wszyscy są tacy za pierwszym razem. Następnym razem pójdzie lepiej.
– Następnym razem, następnym, następnym! – wykrzyknął Coll. – Nie potrafię, nie mogę, ojcze. Ja n i e c h c ę następnego razu! Nie chcę twoich skrzydeł! – Płakał teraz otwarcie, nie ukrywając łez. Jego ciało drżało od szlochu.
Goście stali w niemym zdumieniu. Twarz ojca przybrała wyraz surowości.
– Jesteś moim synem i Ptakiem. Następny raz b ę d z i e . I nauczysz się.
Coll w dalszym ciągu drżał i zanosił się płaczem, odpięte skrzydła leżały bezużyteczne i złamane u jego stóp. Lot na Eyrie nie odbędzie się tej nocy.
Ojciec chwycił Colla za ramię i potrząsnął nim.
– Czy słyszysz? Czy ty s ł y s z y s z ? Nie chcę więcej słuchać takich bzdur. Będziesz latał, albo nie jesteś moim synem.
Nagła determinacja Colla prysła. Skinął głową, połykając łzy. Spojrzał na ojca.
– Tak, ojcze – powiedział. – Przepraszam. Najadłem się trochę strachu tam na górze. Nie chciałem tego wszystkiego powiedzieć. – Miał zaledwie trzynaście lat, przypomniała sobie Maris. Trzynaście lat, wystraszony i na pewno niepowołany do bycia Ptakiem.
– Nie wiem dlaczego to wszystko powiedziałem. Nie chciałem, naprawdę nie chciałem.
Maris wreszcie znalazła odpowiedni moment.
– Tak, chciałeś – powiedziała głośno, pamiętając sposób, w jaki Coll śpiewał o Kruku, pamiętając podjętą wtedy decyzję. Wszyscy odwrócili się, patrząc zaszokowani, a Shalli położyła jej ostrzegawczo rękę na ramieniu. Ale Maris odepchnęła ją i wysunęła się naprzód, stojąc między Collem a ojcem.
– On chciał to powiedzieć – powiedziała spokojnym i opanowanym głosem, chociaż serce biło jej ze zdenerwowania. – Czy nie widziałeś, ojcze? On nie jest Ptakiem. Jest dobrym synem i powinieneś być z niego dumny, ale nigdy nie pokocha wiatru. Nie obchodzi mnie co prawo ma do powiedzenia na ten temat.
– Maris – powiedział Russ. W jego głosie nie było ciepła, a tylko rozpacz i uraza. – Czy mogłabyś zabrać skrzydła swemu bratu? Zdawało mi się, że go kochasz!
Jeszcze tydzień temu wybuchnęłaby płaczem, ale teraz jej łzy wyschły.
– Kocham go i życzę mu by żył długo i szczęśliwie. Nie będzie szczęśliwy jako Ptak, robi to jedynie dla zaspokojenia t w o j e j dumy. Coll jest pieśniarzem, będzie dobrym pieśniarzem. Dlaczego chcesz zabrać mu to, co tak kocha?
– Nie zabieram mu niczego – powiedział chłodno Russ. – Tradycja...
Maris rozejrzała się za sprzymierzeńcem i ujrzała Barriona, przepychającego się przez tłum. – Głupia tradycja! Maris ma rację. Coll śpiewa jak anioł, a jak lata, wszyscy widzieli. – Potoczył wyzywającym wzrokiem po Ptakach. – Wy, Ptaki, jesteście takimi niewolnikami tradycji, że zapomnieliście co to znaczy myśleć. Tak ślepo trzymacie się tradycji, że nie zważacie czy to kogoś boli czy nie!
Niemal niezauważony Corm wylądował i zwinął swe skrzydła. Teraz stał przed nimi, jego smukła twarz była czerwona ze złości.
– To Ptaki i ich tradycje uczyniły Amberly wielką. To one kształtowały historię Planety Burz w ciągu tysiącleci. Nie obchodzi mnie jak pięknie śpiewasz, Barrion. Nie jesteś poza prawem. – Popatrzył na Russa i ciągnął dalej. – Nie martw się przyjacielu, zrobimy z twego syna najlepszego Ptaka w historii Amberly.
Ale nagle Coll podniósł się i chociaż łzy ciągle spływały po jego twarzy była w niej złość i determinacja.
– Nie! – krzyknął, spoglądając śmiało na Corma. – Nie uczynisz ze mnie nikogo, kim nie mam ochoty zostać, kimkolwiek jesteś. Nie jestem tchórzem, ani dzieckiem, ale nie chcę latać, nie chcę, nie chcę. NIE CHCĘ! – Słowa wykrzykiwane w wiatr płynęły z niego niczym rwący strumień. Jego tajemnica wypłynęła na wierzch i równocześnie zanikły wszelkie bariery. – Wam, Ptakom, wydaje się, że jesteście tak doskonali, że wszyscy inni są od was gorsi. Ale nie jesteście, nie jesteście! Barrion widział tuzin wysp, ale zna pieśni więcej niż tuzin Ptaków. Nie obchodzi mnie co o tym myślisz, Corm. On nie jest przywiązany do lądu, on płynie statkiem tam, gdzie nikt nie odważyłby się popłynąć. Wy, Ptaki, trzymacie się na dystans od Scylli, ale on zabił jedną harpunem, żeglując małą drewnianą łódką. Założę się, że o tym nie wiedzieliście. Mogę zostać tym, czym on jest. Mam talent. On się wybiera do Wysp Zewnętrznych i obiecał zabrać mnie ze sobą. Obiecał również dać mi swoją gitarę. On może śpiewać o lataniu i uczynić z niego rzecz piękną, ale to samo może uczynić z rybołówstwem, z myślistwem i ze wszystkim. Ptaki tego nie potrafią, ale on tak. On jest B a r r i o n e m ! On jest pieśniarzem, a to jest tak samo zaszczytne jak bycie Ptakiem. Ja też to potrafię, jak to udowodniłem dziś śpiewając pieśń o Kruku. – Spojrzał na Corma z nienawiścią. – Zabierz te stare skrzydła i daj je Maris, ona jest Ptakiem! – wykrzyknął kopiąc leżące u jego stóp uszkodzone skrzydła. – Ja chcę iść za Barrionem!
Nastała cisza. Russ stał milcząc dłuższą chwilę, a potem spojrzał na swego syna. Twarz miał starszą niż kiedykolwiek. – To nie są jego skrzydła, by miał je wziąć, Coll – powiedział. To były moje skrzydła, a przedtem mojego ojca i jego matki i tak chciałem by były, były... – jego głos załamał się.
– To ty jesteś za to odpowiedzialny – powiedział Corm ze złością spoglądając na Barriona. – I ty, tak TY, jego własna siostra – dodał, przesuwając wzrok na Maris.
– W porządku, Corm, jesteśmy odpowiedzialni – powiedziała Maris. – Jesteśmy odpowiedzialni, ponieważ kochamy Colla i chcemy by był szczęśliwy i – żywy. Ptaki zbyt długo trzymały się swojej tradycji. Barrion ma rację, czy nie widzisz tego? Każdego roku ludzie nie umiejący latać biorą skrzydła swoich ojców i giną wraz z nimi. I Planeta Burz staje się uboższa, ponieważ skrzydeł raz straconych nie można niczym zastąpić. Jak wiele Ptaków było w czasach gwiezdnych żeglarzy, a ilu jest obecnie? Czy nie widzisz dokąd prowadzi nas tradycja? Skrzydła są zbyt cenne – powinny być w posiadaniu tych, co kochają niebo, co latają najlepiej i najlepszy z nich robią użytek. Zamiast tego, jedynym kryterium przyznawania skrzydeł pozostaje urodzenie. Urodzenie, nie zdolności. A zdolności są tym, co decyduje o życiu Ptaka, a więc o tym wszystkim, co wiąże mieszkańców naszej Planety.
Corm żachnął się.
– To hańba, Maris. Nie jesteś Ptakiem i nie masz prawa wypowiadać się o tych sprawach. Twoje słowa obrażają niebo i gwałcą wszelką tradycję. Jeżeli twój brat zrezygnuje z przysługującego mu z urodzenia prawa, to jego sprawa. Ale nie uda mu się zadrwić z naszego prawa i nie odda skrzydeł komu się mu podoba. – Potoczył wzrokiem po osłupiałym tłumie. – Gdzie jest Nadlądowiec? Niech powie jakie jest prawo?
Nadlądowiec odezwał się głosem pełnym zakłopotania.
– Prawo... tradycja... ale ten przypadek jest wyjątkowy, Corm. Maris dobrze służyła Amberly i wszyscy wiemy jak lata. Ja...
– Co mówi prawo? – upierał się Corm.
Nadlądowiec potrząsnął głową. – Prawo mówi, że gdy Ptak odrzuca skrzydła, powinny być one wzięte przez najstarszego Ptaka z tej wyspy i on, wraz z Nadlądowcem, powinien sprawować nad nimi opiekę, aż do czasu gdy znajdzie się nowy Ptak. Ale, Corm, nigdy żaden Ptak nie odrzucił skrzydeł – prawo znajduje zastosowanie, gdy Ptak umiera bez dziedzica, a w tym przypadku, Maris jest...
– Prawo jest prawem – powiedział Corm.
– A ty posłuchasz go ślepo – wtrącił Barrion.
Corm zignorował go.
– Ja jestem najstarszym Ptakiem Amberly, ponieważ Russ przekazał już swe skrzydła. Ja więc obejmę nad nimi opiekę, aż znajdzie się ktoś godny, by go nazwać Ptakiem, kto będzie umiał docenić zaszczyt i dochować tradycji.
– Nie! – krzyknął Coll. – Ja chcę by skrzydła otrzymała Maris.
– Nie masz już nic do powiedzenia w tej sprawie – powiedział Corm. – Jesteś lądowcem. – Mówiąc to pochylił się i podniósł odrzucone i złamane skrzydła. Z rozmysłem zaczął je składać.
Maris rozejrzała się, jakby szukając pomocy, ale sprawa była przegrana. Barrion rozłożył bezradnie ręce, Shalli i Helmer unikali jej wzroku, a jej ojciec był załamany, płakał. Już nie był Ptakiem, nawet z imienia, tylko starym kaleką. Uczestnicy przyjęcia jeden po drugim zaczęli odchodzić.
Nadlądowiec podszedł do niej.
– Maris – zaczął. – Jest mi przykro, dałbym te skrzydła tobie, gdybym tylko mógł. Ale prawo tego nie przewiduje – nie jest to żadna kara, lecz tylko wskazówka postępowania. To jest prawo Ptaków i nie mogę go zmienić. Jeżeli postąpię wbrew Cormowi, Amberly stanie się drugim Kennehut, a pieśni obwołają mnie szaleńcem.
– Rozumiem – powiedziała.
Corm ze skrzydłami pod pachą zaczął schodzić z plaży.
Nadlądowiec odwrócił się i poszedł, a Maris podeszła w kierunku Russa. – Ojcze... – zaczęła.
Popatrzył na nią.
– Nie jesteś moją córką – powiedział i odwrócił się od niej.

Dla Maris nastały ciężkie dni.
Barrion mieszkał w małej chatynce koło portu, tuż u wyjścia z opuszczonej przystani. To właśnie tam zamieszkali. Coll był szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. – Każdego dnia śpiewał z Barrionem. Teraz wiedział, że będzie pieśniarzem.
Dwa tygodnie po wydarzeniu na plaży, Barrion wrócił do domu po dniu spędzonym w porcie. Codziennie tam przesiadywał, by nauczyć się nowych piosenek, czy też pośpiewać w portowej gospodzie. Jedli właśnie mięsną polewkę, gdy powiedział:
– Załatwiłem łódź. Za miesiąc odpływam na Wyspy Zewnętrzne.
Coll uśmiechnął się z radością.
- Ale my też?
- Oczywiście, ty też. A Maris?
Potrząsnęła głową.
– Nie.
Pieśniarz westchnął.
– Nic nie wygrasz tkwiąc tutaj. Na Amberly będzie dla ciebie coraz gorzej. Nawet dla mnie nastały ciężkie czasy. Nadlądowiec podjudzany przez Corma jest przeciwko mnie i co szacowniejsi obywatele zaczynają mnie unikać. Poza tym jest tak wiele do zobaczenia

w świecie. Płyń z nami. – Uśmiechnął się. – Może nawet zdołam cię nauczyć śpiewu.
– Śpiewam gorzej niż mój brat lata, Barrion. Nie, nie mogę odejść. Muszę zostać, by na powrót wywalczyć skrzydła.
– Podziwiam cię Maris – powiedział – ale twoja walka jest beznadziejna. Co możesz uczynić?
– Nie wiem jeszcze. Coś mogę. Może Nadlądowiec... Pójdę do niego. To on stanowi prawo i lubi mnie. Jeżeli go przekonam, że tak jest lepiej dla ludu Amberly, to...
– On nie wystąpi przeciw Cormowi. To jest kwestia regulowana przez prawo Ptaków, a on nie ma na to wpływu. Poza tym... – zawahał się.
– Co?
– Są wieści. Mówi się o tym w porcie. Znaleźli nowego Ptaka, chociaż należałoby powiedzieć raczej – starego. Devin z Gavery jest już w drodze na Amberly, by tu się osiedlić i przejąć twoje skrzydła. – Popatrzył na nią z uwagą.
– Devin! – rzuciła widelcem o stół. – Czy te ich prawa zabrały im resztę zdrowego rozsądku? – Chodziła tam i z powrotem po pokoju. – Devin lata gorzej niż Coll. Przecież on stracił swe własne skrzydła, gdy zeszedł zbyt nisko i uderzył o wodę. Gdyby nie przepływający statek, byłby niechybnie zginął. A teraz Corm chce mu oddać drugą parę?
Barrion uśmiechnął się gorzko. – Ale on jest Ptakiem i dochowuje tradycji.
– Podróż zajmie mu co najmniej dwa tygodnie – powiedziała Maris. – Jeżeli mam coś zrobić, to muszę to uczynić przed jego przybyciem. Gdy raz weźmie skrzydła, sprawa jest przegrana.
– Ale, Maris – wtrącił Coll – cóż ty możesz zrobić?
– Nic – powiedział Barrion. – Oczywiście, zawsze można ukraść skrzydła. Corm je naprawił, są jak nowe. Ale gdzie byś się udała? Nikt by cię nie przyjął. Zaniechaj, dziewczyno. Nigdy nie zmienisz prawa Ptaków.
– Nie? – zapytała. Nagle jej głos się ożywił. Zaprzestała chodzenia i oparła się o stół. – Czy jesteś pewny? Czy rzeczywiście tradycje nigdy nie ulegały zmianom? Skąd one pochodzą?
Barrion popatrzył zaskoczony.
– Była rada zwołana po tym, jak Stary Kapitan został zabity, gdy Kapitan-Nadlądowiec z Wielkiego Shotanu stracił nowo zrobione skrzydła. To wtedy właśnie postanowiono, że nigdy żaden Ptak nie wyleci w niebo z bronią. Mieli jeszcze świeżo w pamięci bitwę i to, jak starzy gwiezdni żeglarze użyli ostatnich sani latających, by porazić ich ogniem z góry.
– Tak – powiedziała Maris – i były jeszcze dwie rady. Kilka pokoleń potem, gdy inny Kapitan-Nadlądowiec chciał nagiąć pozostałych Nadlądowców do swej woli i poddać swej kontroli całą Planetę Burz. Wysłał wtedy Ptaki z Wielkiego Shotanu z bronią, by uderzyły na Mały Shotan. Ptaki z innych wysp zwołały radę i potępiły go, już po pokonaniu jego Ptaków. Był on więc ostatnim Kapitanem-Nadlądowcem i od tego czasu Wielki Shotan jest po prostu zwykłą wyspą, taką jak inne.
– Tak – powiedział Coll – a trzecia rada spotkała się, gdy wszystkie Ptaki postanowiły nie lądować na Kennehut, po tym, jak Szalony Nadlądowiec zabił Ptaka-Który-Przyniósł-Złe-Wieści. Barrion potakiwał.
– Dobra. Ale od tego czasu nie zebrała się żadna rada. Czy jesteś pewna, że Ptaki zechciałyby zebrać się teraz?
– Oczywiście – powiedziała. – To niepisane prawo, jedna z tak cennych dla Corma tradycji. Każdy Ptak władny jest zwołać radę. Tam mogłabym przedstawić moją sprawę wszystkim Ptakom Planety Burz...
Urwała. Popatrzyli na siebie, mieli to samo na myśli.
– Każdy Ptak – powiedział z naciskiem Barrion.
– Tak, a ja nim nie jestem. – Opadła na krzesło.

Wiatr był zimny i wilgotny, chłostający o fale – ze wschodu nadchodziła burza.
– Dobra pogoda na latanie – powiedziała Maris. Łódka kołysała się pod nią łagodnie.
Barrion uśmiechnął się i owinął się szczelniej płaszczem.
– Gdybyś tylko mogła latać – powiedział.
Jej wzrok powędrował na brzeg, gdzie na tle drzew stał dom Corma. W górnym oknie paliło się światło. Jeszcze trzy dni, pomyślała gorzko Maris. Jak długo mogli jeszcze czekać? Z każdą godziną zbliżał się Devin, człowiek, który zabierze jej skrzydła.
– Dziś w nocy? – zapytała Barriona.
Żachnął się.
– Powinnaś wiedzieć lepiej niż ja – powiedział. – Wieża świetlna jest ciągle ciemna. Jak często wzywa się Ptaki?
– Często – odpowiedziała zamyślona. – Ale czy właśnie Corm zostanie wezwany?
Pływali już tak dwie noce pod jego domem, czekając, aż ktoś wezwie go i można będzie wejść do opuszczonego domu. A może aż do przyjazdu Devina Nadlądowiec postanowił zlecać wszystkie zadania Shalli.
– Nie podoba mi się to – powiedziała. – Musimy coś zrobić.
Barrion spojrzał na zbierające się na wschodzie chmury.
– No i co? – powiedział. – Co więc możemy zrobić?
– Możemy nadać sygnał.
– Hmmm... – odpowiedział pieśniarz. Rozważał pomysł. – Tak, myślę, że moglibyśmy. – Uśmiechnął się do niej. – Maris, przecież my codziennie łamiemy jakieś prawo. Nie wystarczy, że mamy ukraść skrzydła, to jeszcze mam wedrzeć się na wieżę świetlną i nadać fałszywy sygnał. Jak to dobrze, że jestem pieśniarzem, bo inaczej przeszlibyśmy do historii jako najwięksi zbrodniarze tej wyspy.
– Czy to, że jesteś pieśniarzem, pomoże?
– A jak myślisz, kto układa pieśni? Zrobię z nas bohaterów.
Wymienili uśmiechy.
Barrion chwycił wiosła i skierował łódź do brzegu, na podmokłą plażę, ukrytą między drzewami, niezbyt daleko od domu Corma.
– Czekaj tu – powiedział wchodząc do wody. – Ja idę do wieży. Wejdź i bierz skrzydła, gdy tylko Corm wyjdzie z domu.
Przez blisko godzinę siedziała samotnie w gęstniejących ciemnościach, patrząc na światła błyskawic, pojawiające się daleko na wschodzie. „Już wkrótce burza będzie nad nami" – już teraz wyczuwała poryw wiatru. Wreszcie na najwyższym wzgórzu Amberly punkt świetlny zaczął mrugać w rytmie staccato. Maris zdała sobie sprawę, że Barrion zna prawdziwy sygnał. Ten pieśniarz wiedział więcej, niż się spodziewała.
Parę minut potem drzwi domu Corma otworzyły się i wyszedł z nich ciemnowłosy Ptak ze skrzydłami przewieszonymi przez ramię. Ubrany był ciepło, jak do lotu. Poszedł wzdłuż drogi.
Po jego odejściu było już łatwo znaleźć kamień i uderzyć nim w okno. Na szczęście Corm nie był żonaty i mieszkał samotnie – o ile nie miał tej nocy u siebie żadnej kobiety. Ale przecież obserwowali dom przez cały dzień i nie zauważyli nikogo prócz sprzątaczki, która przychodziła w dzień.
Maris zgarnęła zbite szkło, podciągnęła się na parapet i była w domu. Poszukiwania były krótkie. Jej skrzydła wisiały tuż koło drzwi frontowych, na wieszaku, gdzie między lotami Corm wieszał swoje skrzydła. Zdjęła je ostrożnie i ręką przesunęła wzdłuż zimnego metalu, by sprawdzić czy nie ma jakichś uszkodzeń. „Nareszcie" – pomyślała. „Już nigdy mi ich nie zabiorą".
Przymocowała je i pobiegła drogą inną niż ta, którą poszedł Corm. Musiała się dostać na skałę startową.
Zabrało jej to pół godziny. Dwa razy musiała się chować, by uniknąć spotkania z nocnym wędrowcem. Ale nawet na skale znajdowało się parę osób i Maris musiała ukryć się i czekać.
Była sztywna od niewygodnej pozycji i drżała z zimna, kiedy daleko, nad morzem ujrzała parę zbliżających się szybko srebrzystych skrzydeł. Ptak zatoczył niskie koło nad plażą dla zwrócenia uwagi strażników, a potem płynnie wylądował. Maris poznała Anni z Culhall. Na pewno przybyła z wiadomością. to była jej szansa. Strażnicy na pewno odprowadzą ją do Nadlądowca.
Kiedy strażnicy odeszli razem z Anni, Maris szybko podążyła w górę ścieżką prowadzącą do skały startowej. Rozwinięcie skrzydeł było zadaniem żmudnym, ale poradziła sobie, chociaż zawiasy lewego były sztywne i musiała próbować kilka razy, zanim ostatni wskoczył na swoje miejsce. „Corm nie bardzo się nimi opiekował" – pomyślała z goryczą.
Potem, zapominając o tym, zapominając o wszystkim, pobiegła i skoczyła w wiatr.

Wiele godzin później w ciemnościach rozbłysły pierwsze światła Laus. Maris skierowała się w ich kierunku i wkrótce cielsko starego zamczyska znalazło się pod nią.
Przeleciała tuż ponad środkiem małej górzystej wysepki w kierunku pasa lądowiska znajdującego się na południowo-zachodniej, piaszczystej ostrodze. Laus była zbyt słabo zaludniona, by mieć strażników, którzy opiekowaliby się lądującymi Ptakami. Maris była za to wdzięczna losowi. Nikt nie wyjdzie jej na spotkanie, nie zasypie pytaniami. Wylądowała niezauważona, w fontannach piasku, szybko uwolniła się od skrzydeł.
Przy końcu pasa, na tle masywu skały startowej, mieścił się samotny domek Dorrela. Wydawał się pusty. Maris otworzyła niezaryglowane drzwi, wymawiając jego imię. Nikt nie odpowiadał. Poczuła lekki zawód, który szybko przeszedł w zdenerwowanie. Gdzie on może być? Jak długo go nie będzie? A co, jeśli Corm domyśli się, że ona tu jest i przybędzie przed powrotem Dorrela?
Przytknęła chrust do słabo tlących się węgli w palenisku i zapaliła świecę piaskową. Następnie rozejrzała się po skromnie urządzonej, schludnej chacie, szukając odpowiedzi na pytanie gdzie i na jak długo mógł wyjść Dorrel. Spojrzała w kierunku dalekiego kąta chaty. Na żerdzi nie było Anitry. Miała odpowiedź – Dorrel wyszedł popolować ze swym jastrzębiem.
Wzbiła się w powietrze. Miała nadzieję, że nie odszedł zbyt daleko. Znalazła go odpoczywającego na skale na zdradliwych mieliznach zachodniego Laus. Skrzydła miał przypięte, lecz zwinięte. Anitra spoczywała na jego ramieniu, dziobiąc rybę, którą przed chwilą złowiła. Dorrel mówił coś do ptaka i nie widział Maris, aż zamachała nad nim skrzydłami, zasłaniając mu gwiazdy.
Przez chwilę patrzył na nią, jak krążyła niebezpiecznie nisko i nie mógł jej rozpoznać.
– Dorrel – krzyknęła, napięcie zaostrzyło jej głos.
– Maris? – Niedowierzanie pojawiło się na jego twarzy.
Zawróciła, chwytając prąd do góry.
– Przyleć na brzeg. Muszę z tobą pomówić.
Dorrel wstał i wypuścił ptaka. Jastrząb z niechęcią zrezygnował z ryby i na swych mlecznobiałych skrzydłach wzbił się w niebo, krążąc bez wysiłku i czekając na swego pana. Maris odleciała w kierunku, z którego przybyła.
Tym razem zejście było nieudane, niezdarne i pokaleczyła kolana przy nagłym upadku. Dorrel wylądował w pobliżu, płynnie, łagodnie. Podszedł w jej kierunku i wyciągnął ramiona, by ją objąć.

– Oto masz – powiedziała Maris, podając mu swoje skrzydła – powierzam ci je. Ukradłam je od Corma i powierzam je i samą siebie twojej opiece. Przybyłam, by cię prosić o zwołanie dla mnie rady, ponieważ jesteś Ptakiem, tylko Ptak może zwołać radę.
Dorrel wpatrywał się w nią, wstrząśnięty. Maris poczuła przypływ zniecierpliwienia i przemożnego zmęczenia.
Wszystko ci wytłumaczę – powiedziała. – Wpierw chodźmy do domu.
Muszę odpocząć.

– To wyjdzie – powiedział Dorrel. – Będą musieli to rozpatrzyć. Nie mogę ci tego odmówić. – Siedzieli następnego dnia przy śniadaniu. Dorrel zajęty był herbatą i jajkami, a ona wyjaśniała mu swój plan w szczegółach.
Teraz śmiała się i rozbijała kolejne skorupki jajek na miękko. Czuła się szczęśliwa i pełna nadziei. – Kto poleci pierwszy by, zwołać radę?
– Myślałem, że Garth – powiedział z zapałem. – Złapię go w domu, podzielimy pobliskie wyspy między siebie i rozdzielimy się. Inni na pewno też zechcą pomóc. Żałuję, że nie możesz też polecieć – powiedział z rozmarzonym wzrokiem. – Fajnie by było znów razem polatać.
– Jeszcze się nalatamy razem, Dorr. J e ż e l i ...
– Tak. Będziemy mieli dużo czasu, by latać razem, ale – to byłoby szczególnie miłe dziś.
– Tak, byłoby fajnie. – Uśmiechała się dalej, aż wreszcie i on musiał się uśmiechnąć. Właśnie sięgał poprzez stół, by schwytać jej rękę czy też pogładzić ją po twarzy, gdy rozległo się pukanie do drzwi, głośne i autorytatywne. Zmroziło ich. Dorrel wstał, by otworzyć. Maris w swym krześle była doskonale widoczna z drzwi. Nie było sensu się ukrywać. Na zewnątrz stał Helmer: zwinięte skrzydła miał przypięte do pleców. Patrzył prosto na Dorrela, a nie w głąb domu, na Maris.
– Corm odwołał się do swego prawa zwołania rady – powiedział głosem bezbarwnym, nadmiernie formalnym. – Dla rozpatrzenia sprawy byłego Ptaka – Maris z Amberly Mniejszej, która ukradła skrzydła będące własnością innego. Twoja obecność jest pożądana.
– Co? – Maris poderwała się. – Helmer! C o r m zwołał radę? Dlaczego?
– Dlaczego, Helmer? – powtórzył spokojniej pytanie Dorrel.
– Powiedziałem ci. I nie mam czasu stać tutaj, marnując czas. – Muszę poinformować innych, a dziś nie najlepszy dzień do latania.
– Poczekaj na mnie – powiedział Dorrel. – Powiedz do kogo mam polecieć, pomogę ci.
Kąciki ust Helmera zadrżały.
– Nie przypuszczałem, że zechcesz podjąć taką misję. Nie zamierzałem prosić cię o pomoc. Ale skoro sam się ofiarowałeś...

Minął miesiąc, zanim zebrała się rada.
Pierwszego dnia Dorrel zawiadomił cztery Ptaki, następnego pięć dalszych, a każdy z tych zawiadomionych zawiadomił inne, a te z kolei inne, tak że wiadomość zataczała coraz szersze kręgi poprzez morza Planety Burz. Umyślny Ptak wysłany został do Wysp Zewnętrznych, a inny do pustynnej Artellii, wielkiej zamarzniętej wyspy na dalekiej północy. Wkrótce wszyscy byli powiadomieni i jeden po drugim przybywali na spotkanie.
Miejscem rady została Amberly Większa. Według prawa rada powinna się odbyć na Amberly Mniejszej, którą zamieszkiwali zarówno Corm, jak i Maris. Jednak ta wyspa nie posiadała sali, która pomieściłaby tak wielkie zebranie, a Amberly Większa miała wielki ponury hall, rzadko używany.
Do niego przybywały Ptaki z Planety Burz. Nie wszystkie z nich oczywiście, ponieważ kilka musiało zostać na wypadek niebezpieczeństwa, inne nie otrzymały wiadomości, jeszcze innych nie zastano w domu, ale większość przyleciała. To wystarczyło. Nikt z obecnych nie przypominał sobie tak wielkiego zgromadzenia. Nawet coroczne zawody na Eyrie wydawały się być lokalnym zlotem w porównaniu z tym, którego byli obecnie uczestnikami. Tak przynajmniej wydawało się Maris w ciągu miesiąca oczekiwania, gdy ulice Ambertown napełniały się uśmiechniętymi Ptakami.
W końcu wszyscy, którzy mieli przylecieć, przylecieli. Radę zwołano na wieczór. Nie będzie tej nocy tłoku w knajpkach Ambertown.
– Masz wielką szansę – powiedział Barrion do Maris na stopniach wielkiego hallu tuż przed rozpoczęciem obrad. Towarzyszyli jej również Coll i Dorrel. – Większość z nich jest w dobrym nastroju, po tygodniach wina i pieśni. Uczestniczę w rozmowach, śpiewach, słucham i wiem jedno: będą cię słuchali. – Zaśmiał się swym wilczym uśmiechem. – A dla Ptaków to jest coś niezwykłego
Dorrel potaknął.
– Garth i ja rozmawialiśmy z wieloma. Mają dużo sympatii dla ciebie, szczególnie młodsi. Starsi delegaci skłaniają się do zdania Corma i są po stronie tradycji, ale i oni nie są zupełnie zdecydowani.
Maris potrząsnęła głową.
– Starsi znacznie przeważają liczbą, Dorr.
Barrion ojcowskim ruchem położył rękę na jej ramieniu. – A więc musisz przeciągnąć ich na swą stronę. Po tym, co dotychczas zdziałałaś, powinno to być łatwe. – Uśmiechnął się.
Wszyscy delegaci weszli już do hallu i Maris spoza drzwi usłyszała głos Nadlądowca Amberly Większej, wypowiadającego ceremonialne słowa, które sygnalizowały otwarcie obrad.
– Musimy iść – powiedziała. Barrion potaknął. Jako nie-Ptak był wykluczony z obrad. Jeszcze raz uścisnął jej ramię na szczęście, wziął gitarę i odszedł. Maris, Coll i Dorrel pospieszyli do środka.
Hall przypominał ogromną kamienną jaskinię. Na środku znajdował się długi stół. Ptaki siedziały dookoła na twardych kamiennych siedzeniach, które, rząd po rzędzie, wznosiły się w górę. Jamis Senior, z twarzą pooraną przez wiek, siedział na głównym miejscu przy długim stole. Chociaż już od wielu lat był lądowcem, jego doświadczenie i charakter wciąż były powszechnie szanowane. Przebył długą drogę łodzią by przewodniczyć obradom. Po obu jego stronach siedzieli dwaj jedyni dopuszczeni lądowcy – smagły Nadlądowiec z Amberly Większej oraz postawny władca Amberly Mniejszej. Corm zajmował czwarte miejsce po prawej stronie stołu. Piąte po lewej było puste.
Podeszła do niego Maris, a Dorrel i Coll wspięli się na swoje miejsca na widowni. Zabrzmiały fanfary, wezwanie do ciszy. Maris usiadła i rozejrzała się po hallu, który z wolna uspokajał się. Coll znalazł swe miejsce wysoko, pomiędzy nieuskrzydlonymi młodzieńcami. Wielu z nich przybyło tu na łodziach z pobliskiej wyspy, by być świadkiem tych historycznych wydarzeń, ale podobnie jak Coll nie mieli prawa głosu. Wszyscy oni, jak było do przewidzenia, ignorowali Colla. Młodzi, wyrywający się do nieba, nie mogli zrozumieć chłopca, który dobrowolnie zrezygnował ze skrzydeł. Czuł się samotny i nie na swoim miejscu, tak samo zresztą jak Maris.
Fanfary ustały. Jamis Senior powstał i jego głęboki głos wypełnił hall.
– Jest to pierwsza rada Ptaków za życia każdego z nas – powiedział.
– Większość z was zapewne zna już okoliczności, które doprowadziły do jej zwołania. Porządek rady jest prosty. Pierwszy zabierze głos Corm, ponieważ on zwołał zebranie. Następnie Maris, którą oskarża Corm, będzie miała szansę mu odpowiedzieć. Następnie zaś każdy z obecnych tu Ptaków lub eks-Ptaków będzie miał możność zabrania głosu. Proszę was tylko, byście mówili głośno i podawali swoje imiona zanim zaczniecie mówić. Nie wszyscy tutaj znają się nawzajem – usiadł.
– Zwołałem tę radę według starego prawa Ptaków – powiedział Corm głosem dźwięcznym i pewnym siebie. – Popełniono zbrodnię, której natura i implikacje są takie, że musieliśmy się zebrać, by wspólnie rozwiązać powstałe kwestie. Decyzja, którą tu podejmiemy ukształtuje naszą przyszłość, tak jak robiły to decyzje poprzednio zwoływanych rad. Wyobraźmy sobie jak wyglądałby nasz świat gdyby nasi ojcowie i matki zezwolili na noszenie broni w powietrzu. Braterstwo wszystkich Ptaków przestałoby istnieć – bylibyśmy rozdarci przez nieistotne zatargi regionalne zamiast być prawowiernymi synami nieba, wyższymi ponad kłótnie tego świata.
Kontynuował, malując straszny obraz zniszczenia, które niechybnie nastąpiłoby, gdyby ta w zamierzchłych czasach zwołana rada podjęła złą decyzję. „Jest dobrym mówcą" – pomyślała Maris. „Mówi tak, jak Barrion śpiewa". Otrząsnęła się z czaru, jaki roztaczał Corm i zastanawiała się co może mu przeciwstawić.
– Problem, który rozpatrujemy dzisiaj, jest równie poważny – mówił Corm – a wasza decyzja nie będzie dotyczyć jednej osoby, do której możecie czuć sympatię, ale wpłynie na los naszych dzieci i pokoleń, które przyjdą po nas. Pamiętajcie o tym, gdy będziecie słuchać dzisiejszych argumentów. – Rozejrzał się dookoła i chociaż jego płonący wzrok nie spoczął na niej, Maris poczuła się zastraszona.
– Maris z Amberly Mniejszej ukradła parę skrzydeł – powiedział wreszcie. – Ta historia, jak myślę, jest wam wszystkim znana – mimo wszystko Corm opowiedział ją, od jej urodzenia aż do sceny na plaży. – Znaleziono nowego nosiciela. Ale zanim Devin z Gavery, który znajduje się pomiędzy nami, zdążył przybyć, aby przejąć skrzydła, Maris ukradła je i odleciała.
– Ale to nie jest wszystko. Kradzież przynosi hańbę, ale nawet kradzież skrzydeł nie stanowi podstawy dla zwołania rady Ptaków. Maris dobrze zdawała sobie sprawę, że nie może mieć nadziei na zatrzymanie skrzydeł. Zabrała je nie po to, żeby latać, ale z myślą podniesienia buntu przeciwko naszym najbardziej żywotnym tradycjom. Kwestionuje ona najistotniejsze zasady, na jakich zbudowane jest nasze społeczeństwo. Postanowiła uczynić kwestię posiadania skrzydeł otwartą na dyskusję, zastraszyć nas anarchią. Jeżeli nie wyrazimy jasno swej dezaprobaty, nie osądzimy jej na tej naradzie, która przejdzie do historii, fakty łatwo mogą być przekręcone. A Maris może przejść do historii jako odważny buntownik, a nie jako złodziej, którym w rzeczywistości jest.
Skurcz przeszedł przez Maris na dźwięk tego słowa. „Złodziej! Czy rzeczywiście nim jest?"
– Ma ona przyjaciół pomiędzy pieśniarzami, którzy znajdą szczególną radość w wyśmiewaniu nas – mówił Corm – w układaniu pieśni na cześć jej śmiałości.
Maris przyszły na myśl słowa Barriona: „r a c z e j j u ż u c z y n i ę z n a s b o h a t e r ó w". Jej oczy odszukały Colla i zobaczyła, że siedzi wyprostowany z nikłym uśmiechem na ustach. Pieśniarze to rzeczywiście potęga, jeżeli są dobrzy.
– Musimy więc wyrazić się jasno, dla wszystkich przyszłych pokoleń, ujawniając to, co zrobiła – powiedział Corm. Stanął twarzą do Maris i zmierzył ją wzrokiem. – Maris, oskarżam cię o kradzież skrzydeł. I wołam do wszystkich Ptaków Planety Burz, którzy zgro-

madzili się na tej radzie, aby okrzyknęli cię Ptakiem wyjętym spod prawa i oświadczyli, że żaden z nich nie wyląduje nigdy na wyspie, którą ty nazwiesz swym domem.
Usiadł i cisza, która zapadła, pozwoliła jej domyślić się jak wielką czuł do niej urazę. Nie myślała, że zażąda tak wiele. Nie zadowoli się odebraniem jej skrzydeł. Chce zanegować jej prawo do życia, rzucić ją na jakąś odległą i pustą skałę, na nieprzyjazne wygnanie.
– Maris – powiedział Jamis przyjaźnie. Nie podniosła się. – Teraz twoja kolej. Czy zechcesz odpowiedzieć Cormowi?
Z wolna powstała, pragnąc mieć potęgę pieśniarza, a przynajmniej przemawiać z taką siłą i pewnością jaką demonstrował Corm.
– Nie mogę zanegować faktu kradzieży – powiedziała, lustrując wzrokiem rzędy bezbarwnych twarzy, ocean obcych. Jej głos był pewniejszy niż myślała. – Ukradłam skrzydła z rozpaczy, bo były moją jedyną szansą. Łódź byłaby zbyt wolna, a nikt z Amberly nie miał ochoty mi pomóc. Potrzebowałam skontaktować się z kimś, kto zwołałby dla mnie radę. Gdy tylko to zrobiłam oddałam skrzydła. Mogę to udowodnić, jeżeli... – spojrzała na Jamisa, który skinął głową przyzwalająco.
Dorrel zrozumiał wskazówkę. Podniósł się ze swego miejsca, znajdującego się w połowie wysokości amfiteatralnej widowni.
– Dorrel z Laus – powiedział głośno. – Ręczę za Maris. Gdy tylko przyleciała do mnie, oddała mi skrzydła na przechowanie nie mając zamiaru ich używać. Nie nazwałbym tego kradzieżą. – Dookoła niego rozległ się chór przychylnych pomruków – jego rodzina była powszechnie znana i szanowana, liczono się z jego słowem.
Maris wygrała jeden punkt. – Chciałam zwołać radę by rozpatrzyć sprawę, którą uważam za bardzo ważną dla nas wszystkich, dla naszej przyszłości. Jednakże Corm wyprzedził mnie. – Skrzywiła się nieznacznie, nieświadomie. Zauważyła, że na twarzach Ptaków, których nie znała, pojawiły się uśmiechy. Sceptycyzm? Potępienie? Czy też może poparcie i aprobata?
– Corm twierdzi, że zwalczam tradycje – kontynuowała – i jest to prawda. Powiedział również, że jest to rzeczą straszną, ale nie powiedział dlaczego. Nie wyjaśnił nam dlaczego tradycji należy bronić za wszelką cenę. Wydaje mi się, iż to, że coś było robione zawsze w ten sposób nie oznacza, że zmiana jest niemożliwa czy też niepożądana. Ludzie przez całe wieki nie lecieli w kosmos. Czy znaczy to, że lepiej było n i e l a t a ć? Wydaje mi się, że nie jesteśmy ptaszkami, które gdy ktoś im wsadzi dzioby w piasek pozostają w tej pozycji, aż padną i pozdychają – nie musimy zawsze podążać tymi samymi ścieżkami. Nie leży to w naszej naturze!
Usłyszała śmiechy na widowni i nabrała śmiałości. Mogła wyrażać się obrazowo nie gorzej od Corma! Te głupie kaczkowate ptaki jaskiniowe skojarzyły im się z kimś i wywołały śmiech. Wspomniała o złamaniu tradycji i pomimo to słuchano. Natchniona, mówiła dalej.
– Jesteśmy ludźmi i jeżeli mamy jakiekolwiek wrodzone instynkty, to są to instynkty zmiany. Rzeczy zawsze się zmieniały i jeżeli mamy być mądrzy, to niech te zmiany, zmiany na lepsze, wychodzą od nas. Zanim zostaniemy zmuszeni do tego przez okoliczności. Zwyczaj przekazywania skrzydeł z ojców na dzieci przez dość długi okres zdawał świetnie egzamin – z pewnością było to lepsze niż anarchia, czy też jeszcze starsza tradycja sądu przez walkę, która pojawiła się na Zachodzie w Dniach Smutku. Ale nie jest to droga jedyna ani tym bardziej najlepsza.
– Dosyć gadania! – ktoś warknął. Maris rozejrzała się wokoło i ujrzała Helmera, powstającego ze swego miejsca w drugim rzędzie. Jego twarz była surowa, stał ze złożonymi ramionami.
– Helmer – powiedział Jamis surowo – Maris ma głos.
– Nie obchodzi mnie to – odparł. – Maris atakuje nasze tradycje, lecz nie oferuje nic na ich miejsce. Przyczyna jest jasna. Tradycje te trwały przez tyle lat, ponieważ nie ma nic lepszego. Mogą one być surowe, to prawda. Z pewnością są surowe dla niej, ponieważ nie urodziła się jako Ptak. Rozumiem ją. Ale czy ma inny sposób?
– Tak – powiedziała głośno Maris, zdając sobie nagle sprawę z faktu, że cała sala w milczeniu czeka na jej odpowiedź. – Tak, mam inny sposób. Nigdy nie zdecydowałabym się zwołać rady jeżeli...
– Nie zwołałaś jej! – wykrzyknął ktoś wśród powszechnego śmiechu. Maris poczuła, że robi się jej gorąco i miała nadzieję, że nie zacznie się rumienić.
Jamis mocno uderzył w stół.
– Teraz przemawia Maris – oznajmił donośnym głosem. – Następna osoba, która jej przerwie zostanie usunięta.
Maris obdarzyła go wdzięcznym uśmiechem.
– Proponuję sposób inny, lepszy – powiedziała. – Proponuję, żeby prawo do noszenia skrzydeł wynikało z z a s ł u g i, a nie z urodzenia czy wieku. Proponuję by jedynym naprawdę liczącym się kryterium uczynić umiejętność i talent! – Mówiąc to miała już w głowie gotowy pomysł, bardziej dopracowany, bardziej złożony, bardziej s p r a w i e d l i w y niż jej oryginalny koncept absolutnie wolnego dostępu do skrzydeł. – Proponuję utworzenie akademii latania, dostępnej dla wszystkich, dla każdego dziecka, które marzy o lataniu. Wymagania będą oczywiście bardzo wysokie i wielu będzie musiało odejść z niczym. Ale każdy będzie miał prawo do próby – syn rybaka, córka pieśniarza, czy tkacza – każdy będzie mógł śnić i mieć nadzieję. A dla tych, którzy przejdą przez wszystkie próby, zorganizuje się próbę ostateczną. W czasie tej próby młodzi adepci będą mogli zmierzyć się z każdym wybranym przez siebie Ptakiem. I jeżeli okażą się lepsi, wezmą skrzydła pokonanego Ptaka!
– W ten sposób skrzydła zawsze będą należały do najlepszych. A pokonany Ptak będzie mógł czekać do następnego roku, by spróbować odebrać skrzydła temu, który mu je zabrał. Względnie będzie mógł wyzwać kogoś innego, jakiegoś gorszego Ptaka. W ten sposób żaden Ptak nie będzie mógł się lenić, nikt kto nie kocha nieba nie będzie zmuszony do latania i...– popatrzyła na Helmera, którego twarz przybrała nieodgadniony wyraz – zaproponuję jeszcze więcej. Nawet dzieci Ptaków będą musiały kogoś wyzwać by zdobyć niebo. Będą mogły wziąć skrzydła rodziców tylko wtedy, gdy będą do tego dostatecznie przygotowane, gdy będą rzeczywiście latać lepiej niż ich ojciec czy matka. Żaden Ptak nie będzie musiał stać się lądowcem z tego tylko powodu, że młodo się ożenił i że jego dzieci wcześnie osiągną odpowiedni wiek, podczas gdy on jest ciągle w pełni sił i sprawiedliwość wymaga, by ciągle mógł latać. Tylko umiejętności będą brane pod uwagę. Nie urodzenie, nie wiek – c z ł o w i e k, a nie tradycja!
Spojrzała ukradkiem na Helmera, na dziwny uśmiech na jego twarzy i z całą pewnością mogła powiedzieć, że będzie głosował za nią. Dała mu właśnie szansę przedłużenia swego życia bez potrzeby skrzywdzenia swej córki. Zadowolona, uśmiechnięta usiadła.
– To wszystko brzmi bardzo pięknie – powiedział Corm. Na widok jego spokoju Maris poczuła jak cała jej boleśnie zdobyta nadzieja znika. – Piękny sen córki rybaka, jest to zrozumiałe, ale nie rozumiesz jednej rzeczy, Maris. Czy wyobrażasz sobie, że rodziny, które latają od b a r d z o d a w n a oddadzą swe skrzydła w nieznane ręce, oddadzą je obcym, którzy nie mając tradycji lub rodzinnej dumy mogą nie dbać o nie odpowiednio, mogą ich nie szanować. Czy naprawdę myślisz, że ktokolwiek z nas przekaże swoje dziedzictwo jakiemuś zuchwałemu lądowcowi? Zamiast swemu dziecku? Pomyśl: jeżeli skrzydła będą przechodziły z rąk do rąk, niczym jakaś rzecz bez wartości, jeżeli będą w posiadaniu osoby przez rok czy dwa lata, to co się stanie z dumą, która powinna wynikać z ich posiadania? Byłyby one – pożyczone – nie posiadane, a każdy wie, że Ptak, by być naprawdę Ptakiem, musi posiadać swe skrzydła. Taka propozycja mogła wyjść tylko z ust lądowca!
Maris czuła, że poparcie widowni dla niej znika z każdym słowem Corma. Musiała mu odpowiedzieć, ale jak, jak? Przywiązanie Ptaka do swych skrzydeł było bardzo mocne, ale nie mogła temu zaprzeczyć i, co gorsza, nie mogła temu nic przeciwstawić.
– Skrzydła to depozyt – wypaliła. – Przecież nawet teraz każdy Ptak zdaje sobie sprawę, że któregoś dnia będzie zmuszony przekazać je swemu potomkowi.
– To zupełnie co innego – powiedział pobłażliwie Corm. Rodzina to nie obcy, a dziecko Ptaka to nie lądowiec.
– To jest rzecz zbyt ważna, by głupio upierać się przy więzach krwi! – mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. – Posłuchaj sam siebie, Corm! Posłuchaj tego snobizmu, który hodujesz w sobie, tak jak i inne Ptaki, posłuchaj swojej pogardy dla lądowców, tak jakby oni odpowiadali za to, kim są i za te prawa dziedziczenia, które mamy teraz! – jej słowa były gniewne, a publiczność stawała się coraz bardziej wroga – zdała sobie sprawę, że straci wszystko, jeżeli będzie przeciwstawiała lądowców Ptakom.
Wysiłkiem woli zmusiła się do spokoju.
– Odczuwamy dumę z naszych skrzydeł – powiedziała, świadomie wracając do swych najsilniejszych argumentów. – I ta duma właśnie, jeżeli jest dostatecznie wielka, powinna być gwarancją, że skrzydła będą należeć do nas. Dobre Ptaki będą zawsze miały skrzydła. Jeżeli ktoś je wyzwie, to z pewnością nie dadzą się łatwo pokonać. A jeżeli nawet, to prędzej czy później powrócą. Ale będą miały satysfakcję, wiedząc, że Ptak, który bierze ich skrzydła jest naprawdę dobry, wiedząc, że użytkownik przyniesie skrzydłom honor i że będzie używał ich dobrze, czy to będzie ich syn czy też nie.
– Skrzydła powinny być... – zaczął Corm, lecz Maris nie pozwoliła mu skończyć.
– Skrzydła nie powinny być tracone w morzu – powiedziała – a kiepskie Ptaki, które nigdy nie starały się doskonalić swych umiejętności, bo nie były do tego zmuszane, te właśnie Ptaki tracą skrzydła, które służą nam wszystkim. Niektórzy nie zasługują nawet na miano Ptaka. A co z dziećmi, które są w rzeczywistości za młode by latać, chociaż formalnie osiągnęły wiek? Wpadają w panikę, popełniają błędy, giną i biorą ze sobą skrzydła. – Popatrzyła szybko na Colla. – A co z tymi, którzy w ogóle nie powinni być Ptakami? Być dzieckiem Ptaka nie oznacza, że ma się jego umiejętności. Mój własny brat – Coll, którego kocham jak brata i jak syna zarazem, nigdy nie powinien zostać Ptakiem!
Zamilkła. Była wyczerpana. Ale jej słowa zelektryzowały publiczność, przeciągnęły na jej stronę. Tuzin rąk podniósł się w górę. Jamis wskazał jednego i solidnie zbudowany Shotaner powstał ze swego miejsca.
– Dirk ze Shotanu Wielkiego – ozwał się niskim głosem. – Chciałem po prostu powiedzieć...– potrząsnął głową z widoczną trudnością wydobywając słowa. – Niech to wszyscy! – powiedział w końcu. – Maris ma rację. Jestem prawie zawstydzony tym co mówię, choć nie powinienem, ale to jest prawda. Nie chcę, by mój syn miał moje skrzydła. Jest dobrym chłopcem i kocham go, ale on ma ataki, stale powtarzające się ataki drżączki. On nie może z tym latać, ale wychowany został w świadomości, że pewnego dnia weźmie skrzydła. Spodziewa się tego za rok. A w tym stanie rzeczy odleci i zginie, i nie będę miał ani syna, ani skrzydeł. Nie pozostanie mi nic innego jak czekanie na śmierć. Nie! – Usiadł.

Kilka głosów odezwało się popierając Dirka. Maris, napięta, spojrzała na Corma i zauważyła, że jego uśmiech staje się mniej pewny. Nagle zaczynał mieć wątpliwości.
Następnie ujrzała przyjazną, znaną jej twarz. Powstał Garth i uśmiechnął się do niej z wysoka.
– Jestem Garth ze Skulny – powiedział. – Głosuję również za Maris!
Inny mówca też ją poparł, potem inny i jeszcze inny. Maris uśmiechnęła się. Dorrel podjudził swych przyjaciół, którzy próbowali zakrzyczeć zgromadzenie. Wydawało się, że im się uda. Pomiędzy Ptakami od dawna jej znanymi pojawiły się zupełnie obce popierające ją twarze. Czy już zwyciężyła? Corm wydawał się zaniepokojony.
– Dobrze orientujesz się w złych stronach naszej tradycji, ale wydaje mi się, że twoja akademia nie rozwiąże problemu. – Słowa te wyrwały Maris z jej pogodnego optymizmu. Głos zabrała wysoka kobieta o blond włosach, czołowy Ptak z Wysp Zewnętrznych.
– Pewne racje przemawiają za naszą tradycją i nie powinniśmy o nich zapominać albo nasze dzieci powrócą do idiotycznego zwyczaju krwawych pojedynków. Do tego prędzej czy później doprowadzi ta akademia. Co natomiast powinniśmy zrobić, to lepiej uczyć nasze dzieci. Musimy obudzić w nich potrzebę dumy i rozwijać potrzebne umiejętności od najwcześniejszych lat. Tak przygotowała mnie moja matka i tak ja przygotowuję mojego syna. Wydaje mi się również, że pewien sprawdzian umiejętności jest konieczny. Pomysł wyzwania uważam za dobry. – Jej usta wykrzywiły się. –Przyznaję, że nie oczekuję z zapałem dnia, który zbyt szybko się zbliża. Dnia, w którym będę musiała oddać skrzydła Vardowi. Oboje będziemy zbyt młodzi, gdy ten dzień nadejdzie. To, że powinien walczyć ze mną by pokazać, iż jest równie dobry – nie, lepszy – uważam za świetną ideę.
Inne Ptaki potakiwały aprobująco. Tak, tak, dlaczego nie dostrzegli dotąd jakie zalety miałby taki sprawdzian. Każdy wiedział, że dzień osiągnięcia wieku był dość arbitralny. Niektórzy byli ciągle dziećmi, inni zaś byli w pełni dorośli. Tak, pozwólmy młodym sprawdzić swe umiejętności, nim sięgną po nasze skrzydła... idea pociągnęła zgromadzenie.
– Jednakże akademia – powiedziała kobieta łagodnie – nie jest konieczna. Rodzimy dostatecznie dużo dzieci. Znam twoją historię i rozumiem twe uczucia, ale nie mogę ich podzielać. To nie byłoby mądre. – Usiadła, a Maris miała uczucie jakby jej serce siadło wraz z nią. A więc skończy się na tym. Będą głosować za sprawdzianem, ale niebo wciąż będzie zamknięte dla dzieci zrodzonych z nie-Ptaków. Odrzucą więc najbardziej istotną część jej wniosku. Była tak blisko, prawie osiągnęła to, czego pragnęła, ale szczęśliwe zakończenie wciąż było daleko.
Wstał ponury człowiek, ubrany w srebro i jedwabie.
– Jestem Arris, Ptak i władca Artellii – powiedział. Jego błękitne oczy błyszczały pod srebrną koroną jak lód. – Głosuję tak jak moja siostra z Wysp Zewnętrznych. Moje dzieci mają krew królewską, są urodzone po to, by nosić skrzydła. Żartem byłoby zmuszanie ich by konkurowały z gminem. Ale sprawdzian, który pokazałby ile są warte, to pomysł godny Ptaka.
Po nim przemawiała ciemna, ubrana w skóry kobieta.
– Jestem Zeva-kul z Deeth z Archipelagu Południowego – zaczęła. – Każdego roku latam z wieściami dla mego Nadlądowca, ale równocześnie jestem służebnicą Boga Nieba, jak wszyscy z wyższych kast u nas. Pomysł przekazania skrzydeł komuś niższemu, prawdopodobnie niewierzącemu – n i e!
Pojawiły się inne głosy, przetoczyły się przez salę:
– Joi ze Stormhammer – Qutermost. Mówię tak, walczmy o nasze skrzydła, ale tylko pomiędzy nami.
– Tomas, Shotan Mały. Dzieci lądowców nigdy nie nauczą się kochać nieba tak jak nasze dzieci. Stratą czasu i pieniędzy byłoby budowanie tej akademii, o której mówiła Maris. Ale jestem za testem.
– Crain z Poweet. Dołączam się do innych. Dlaczego mielibyśmy walczyć z dziećmi rybaków? Oni nie chcą konkurować z nami o swe łodzie rybackie. – Hall zagrzmiał od śmiechu. – Tak, dobry żart. Bracia, wyszlibyśmy na głupców, ta akademia to świetny żart. Skrzydła należą od całych pokoleń do Ptaków, bo tak już po prostu jest. Inni ludzie są z tego zadowoleni i naprawdę niewielu z nich chce latać. Dla większości jest to przemijająca zachcianka lub rzecz zbyt przerażająca, by o niej myśleć. Dlaczego mielibyśmy pobudzać tak czcze marzenia. Oni nie są Ptakami, nigdy nimi nie byli i mogą godziwie spędzić życie w inny...
Maris słuchała z niedowierzaniem i rosnącym gniewem. Rozwścieczał ją jego zadufany ton... i nagle z przerażeniem stwierdziła, że inne Ptaki, również te najmłodsze, kiwają z aprobatą głowami. Tak, oni byli lepsi, ponieważ narodzili się z Ptaków. Byli czymś wyższym i nie chcieli się mieszać z innymi, tak, tak. Nagle przestało się liczyć, że jeszcze niedawno tak samo myślała o lądowcach.
– Wy snoby! – powiedziała ostro, nie zważając czy to jej pomoże, czy też zaszkodzi. – Wy wszyscy! Ciągle myślący o swojej wyższości z tego tylko tytułu, że urodziliście się Ptakami i odziedziczyliście skrzydła bez udziału was samych. Może też myślicie, że odziedziczyliście umiejętności waszych rodziców? A co z resztą waszego dziedzictwa? Czy rzeczywiście wszyscy z was pochodzą z małżeństw Ptaków? – Wskazała oskarżycielsko palcem na znajomą twarz z trzeciego rzędu. – A ty, Sar, potakiwałeś moim przedmówcom. Twój ojciec był Ptakiem, to prawda, ale twoja matka była handlarzem i córką rybaka. Czy patrzysz na nich z góry? Co by było, gdyby twoja matka wyznała, że twój ojciec nie był twoim prawdziwym ojcem, co gdyby powiedziała ci, że za twoje urodziny odpowiedzialny jest jakiś przygodnie spotkany handlarz ze wschodu? Co wtedy? Czy poczułbyś się zobowiązany oddać twe skrzydła i poszukać innego zajęcia?
Sar, z twarzą okrągłą niczym księżyc, wpatrywał się w nią zdumiony, nigdy nie był zbyt błyskotliwy i nie mógł zrozumieć dlaczego wybrała jego spośród tylu innych.
– Moim prawdziwym ojcem był rybak, wspaniały, odważny i uczciwy człowiek, który nigdy nie nosił skrzydeł i nie pożądał ich. Ale jeśli, j e ś l i by go wybrano Ptakiem, to byłby najwspanialszy ze wszystkich! Pisano by o nim pieśni! Jeżeli rzeczywiście dziedziczymy zdolności po ojcach, to spójrzcie na mnie. Moja matka potrafi prząść, a ja nie. Mój ojciec nie potrafił latać. Ja potrafię. I niektórzy z was wiedzą jak dobrze latam. Lepiej niż niejeden z was, urodzonych Ptaków. – Odwróciła się i spojrzała wzdłuż stołu. – Lepiej niż ty, Corm – powiedziała donośnym głosem, żeby słyszano ją w najdalszych zakątkach hallu.
Corm spojrzał na nią gniewnie, grube żyły pojawiły się na jego szyi. Nie powiedział jednak nic. Maris odwróciła się do widowni. Jej głos złagodniał i popatrzyła na nich z fałszywą troską.
– Czy boicie się? – zapytała. – Czy jedynym waszym tytułem do skrzydeł jest to, że je macie? Czy obawiacie się, że przyjdą dzieci rybaków i odbiorą je wam, udowodnią, że są lepsi od was i że wyjdziecie na głupców?
Nagle jej słowa skończyły się i jej gniew również. Maris spadła na swoje krzesło pośród grobowego milczenia. W końcu podniosły się w górę ręce pragnących zabrać głos, ale Jamis patrzył w przestrzeń przed sobą, nie widząc, głęboko zamyślony. Nikt się nie poruszył, aż przebudził się, jakby z głębokiego snu, i wskazał na kogoś z tłumu.
Wysoko pod ścianą, w migotliwym świetle pochodni stał jednoręki mężczyzna. Zgromadzenie zwróciło się w jego kierunku.
– Russ z Amberly Mniejszej – zaczął. Jego głos był łagodny. – Bracia moi, Maris ma rację. Byliśmy głupcami. Ale żaden z was nie był tak wielkim głupcem jak ja. Nie tak dawno stałem na plaży i powiedziałem, że nie mam córki. Dziś żałuję, że nie mogę cofnąć tych słów, żałuję, że nie mam już prawa nazwać Maris moją córką. Napełniła me serce dumą. Ale ona nie jest moja... Nie, tak jak to powiedziała, jest córką rybaka, mężczyzny lepszego niż ja. Wszystko, co dla niej zrobiłem to to, że nauczyłem ją latać i trochę ją kochałem. Nie wymagała wiele uczucia. Zawsze była pełna zapału. Moja mała Drewnianoskrzydła. Nic jej nie mogło zatrzymać, nic. Nawet ja, gdy jak głupiec próbowałem to zrobić po urodzeniu Colla. Maris jest najlepszym Ptakiem z Amberly i moja krew nie ma z tym nic wspólnego. Liczy się tylko jej pragnienie, jej marzenia. I jeżeli, moi bracia, tak pogardzacie lądowcami, to hańbą jest się ich bać. Czy tak mało wiary pokładacie w waszych dzieciach? Czy jesteście tak pewni, że nie potrafią utrzymać skrzydeł, wyzwani przez spragnionego latania syna rybaka? – Russ potrząsnął głową. – Nie wiem. Jestem już stary, a wiele się ostatnio zmieniło na świecie. Ale wiem jedno: gdybym jeszcze miał rękę, to nikt nie wziąłby m o i c h skrzydeł, choćby to był syn jastrzębia. I nikt nigdy nie odbierze ich Maris, aż sama zadecyduje, że trzeba je przekazać dalej. Nie. Jeżeli dobrze uczycie swoje dzieci, to będą panami nieba. Jeżeli macie dumę, którą tak szermujecie, to będziecie godni i udowodnicie ją przez to właśnie, że skrzydła będą zawsze tylko w posiadaniu najlepszych, tych co się sprawdzili w powietrzu.
Russ usiadł i pochłonęła go ciemność wierzchołka hallu. Corm chciał coś powiedzieć, ale Jamis Senior uciszył go. – Od ciebie już dość usłyszeliśmy – powiedział. Corm spojrzał ze zdumieniem.
– Myślę, że powinienem coś powiedzieć – powiedział Jamis. – A potem będziemy głosować. Russ powiedział wiele mądrych rzeczy, ale muszę dorzucić jedną myśl. Czyż my wszyscy nie pochodzimy od żeglarzy gwiezdnych? Planeta Burz to w rzeczywistości jedna wielka rodzina. I nie ma na niej nikogo, kto wśród swych przodków nie ma choć jednego Ptaka. Pomyślcie o tym przyjaciele. I pamiętajcie, że tylko wasz najstarszy syn może mieć skrzydła i latać, jego młodszy brat i siostra i ich dzieci przez wszystkie pokolenia będą lądowcami. Czy rzeczywiście powinniśmy odmówić im prawa do skrzydeł tylko dlatego, że ich przodkowie urodzili się jako drugie dzieci swych rodziców? – Jamis uśmiechnął się. – Może powinienem dodać, że byłem drugim synem mojej matki. Mój starszy brat zginął w wypadku na sześć miesięcy przed objęciem skrzydeł. Taka mała rzecz. Nie myślicie?
Przewodniczący spojrzał na dwóch Nadlądowców po swych bokach, którzy siedzieli przez cały czas w milczeniu, uciszeni przez prawo Ptaków. Powiedział coś szeptem do jednego, potem do drugiego i skinął głową.
– Uważamy, że propozycja Corma, by uczynić z Maris Wygnańca jest nie na miejscu – stwierdził Jamis. – Będziemy teraz głosować nad propozycją utworzenia akademii latania, dostępnej dla wszystkich. Ja głosuję za.
Po tym już nie było wątpliwości.

Przełożył: **Andrzej Wójcik**

(opowiadanie zostało wydrukowane z niewielkimi skrótami)

■


Jerzy Wróblewski

MORDAIR

(Mordair)

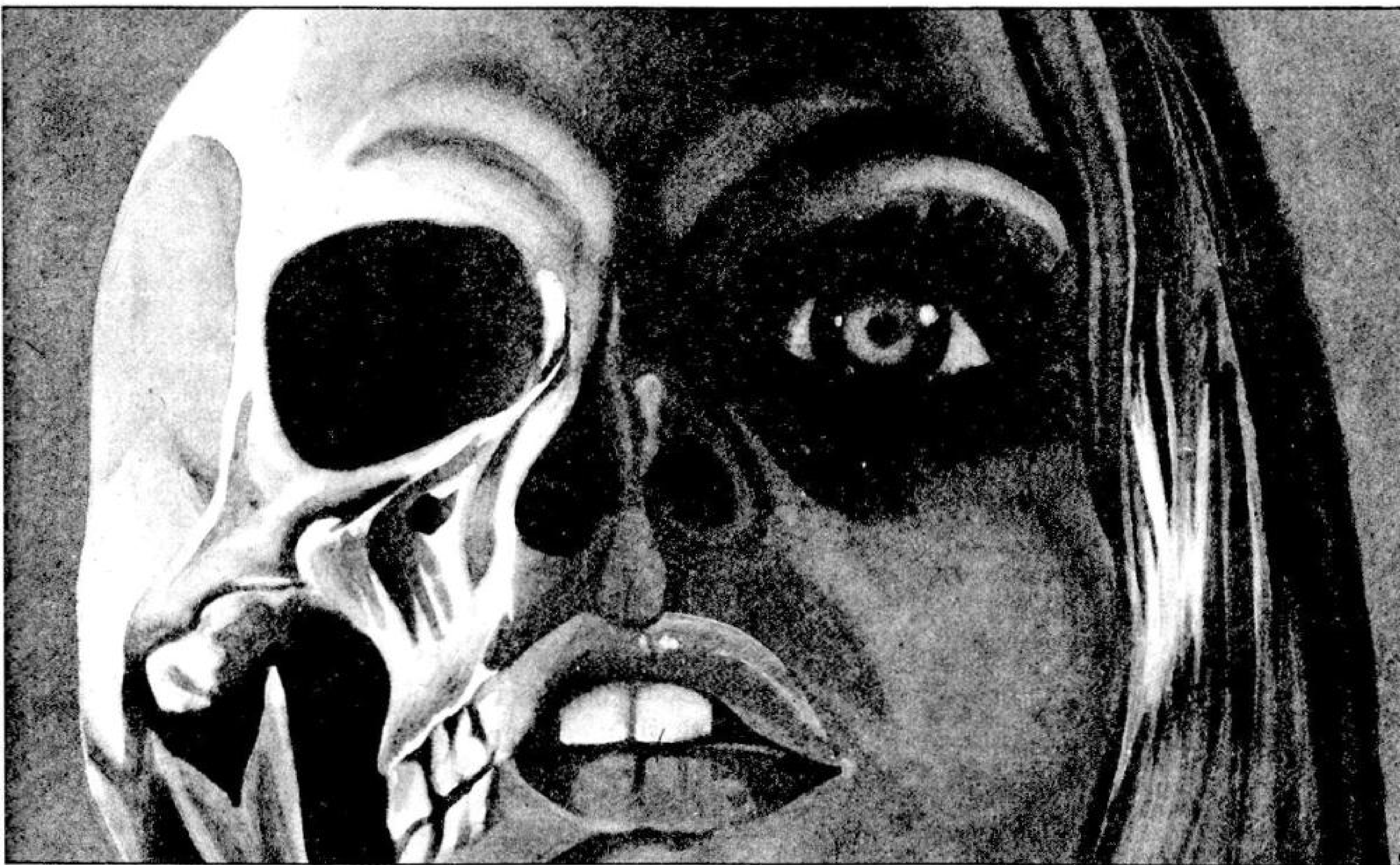
Josef Nesvadba

— Nie wolno panu lecieć – wykrzyknęła zadyszana i chwyciła mnie za łokieć. – Zginie pan!
Z początku nie mogłem jej poznać, mówiła bowiem po czesku. A wczoraj zapewniano mnie, że w całym lokalu zatrudnieni są wyłącznie Szwajcarzy. Chełpili się tym, ponieważ zwykle prace usługowe wykonywane są tu głównie przez włoskich pracowników sezonowych, którzy są tańsi i dlatego w jakimś stopniu traktowani pogardliwie.
– Jest pani Czeszką? Dlaczego nie powiedziała pani tego już wczoraj? Przecież pracuje pani w tej restauracji? – upewniłem się jeszcze. Dziś rano wyglądała trochę inaczej. Wczoraj miała tyrolski dirndl i warkocze, bezustannie się uśmiechała i zajmowała się swoimi gośćmi ze swego rodzaju oczekiwaniem. Przypomniałem sobie, jak wykrzyknęła radośnie, kiedy zamówiłem sznycel gordon bleu, przyjęła moje zamówienie jakby to był jakiś genialny pomysł, jakby nikt nigdy przede mną nie wpadł w tym lokalu na to, że mógłby zjeść na kolację gordon bleu, zupełnie tak jak gdyby ta potrawa nie była znana prawie ze wszystkich dzieł Dürrenmatta, na którego cześć ją właśnie zamówiłem – z literackich, a nie kulinarnych powodów – zwłaszcza, że byłem w państwie Dürrenmatta i chciałem to sobie tym aktem udokumentować. Bowiem cała ta historia wydarzyła się właśnie w Zurychu.
Nigdzie na świecie nie spotkałem się dotychczas z tak doskonałą i pełną zapału obsługą, jak wczoraj wieczorem. Pomyślałem sobie, że jest to specjalnością Szwajcarek, ponieważ do stołu podawały tylko kobiety w średnim wieku, wysokie i korpulentne, macierzyńskie postacie. Teraz nie było w niej nic macierzyńskiego, nie miała zachwyconej miny i nie była uśmiechnięta. Nadal dyszała gwałtownie.
– Nie chodzi o to, kim jestem. Przyszłam pana ostrzec. Jeżeli mnie pan nie usłucha, straci pan życie, czy pan rozumie?
Naprzeciwko stała ostatnia taksówka. Nie było czasu do stracenia. Samolot miał startować za godzinę. Spędziłem w Zurychu zaledwie jeden dzień, ponieważ miałem oczekiwać na samolot, który ląduje w tej afrykańskiej republice, która dopiero niedawno uzyskała niepodległość. A wieczorem przypadkowo spotkałem w hotelu kilku przedstawicieli naszego handlu zagranicznego, którzy właśnie wracali z tego kraju. To oni zaprowadzili mnie do tej ekskluzywnej restauracji na starym mieście, które tutaj nazywa się Niedersdorf, czyli Dolna Wieś. Czułem się trochę nieswojo, że tak sławne miasto jak Zurych dzieli się na dolną i górną wieś, jak jakaś Pipidówka. Ale były tam drogie lokale, gordon bleu nie kosztowało tyle nigdzie na świecie, a moi nowi znajomkowie nie oszczędzali. Piło się rose, chłodne różowe wino, butelka za butelką. Pomieszczenie było gotyckie, właścicielka lokalu przywitała nas jak swoich osobistych gości, aż dziw, że nie zapytała o zdrowie naszych rodzin i ostygła dopiero, kiedy usłyszała, że mówimy językiem słowiańskim. W kącie pan we fraku grał dyskretnie na fortepianie przyciszone melodie, a kucharz obchodził stoły, aby bezpośrednio przed gościem przygotować potrawy. Oświetlenie w sali przygasało, tak aby każdy mógł podziwiać ten fundamentalny i główny kunszt szefa kuchni, który nad swymi płomieniami wznosił się jak czarodziej.
– Musicie mieć w ministerstwie handlu zagranicznego wysokie diety – pozwoliłem sobie nadmienić przy trzeciej butelce. – Ja za granicą do tak drogich lokali chodzić nie mogę.
– Bzdura – zaśmiał się przedstawiciel poligrafii, który dotychczas zajmował się rozwiązywaniem problemu, gdzie obywatele nowego państwa będą nosić dowody osobiste, skoro w ciągu dnia nie noszą nic więcej prócz przepaski. – Zaoszczędziliśmy na przejeździe. Latamy tą nową linią lotniczą.
– Mordair – powiedział drugi dla jasności.
– Mają ceny o połowę niższe i nowe typy samolotów, w domu działy finansowe jeszcze o tym nie wiedzą, tak że właściwie to Mordair płaci za naszą kolację. Polecam panu tę linię. Podobno firmy konkurencyjne chcą wystąpić przeciwko niej do międzynarodowego sądu, ale póki co lata i oszczędza pieniądze. Jutro ma pan bezpośrednie połączenie. Oczywiście będzie musiał pan wstać wcześnie rano...
Teraz sobie przypomniałem, że obsługująca Szwajcarka, która jest w rzeczywistości Czeszką, przy tej uwadze upuściła sztućce. Tak, upuściła nakrycie. Przeprosiła ze łzami w oczach, właścicielka przybiegła natychmiast i syczała na nią jak żmija, trwało to tylko chwilkę, zaraz dostałem nowe nakrycie, ale powinienem był na to zwrócić uwagę. Reagowała na rozmowę. Widocznie musiała nas rozumieć. Tak jak zwróciła uwagę na pianistę. Przy czwartej butelce grał bowiem „Nocnego motyla", „Na cesarskiej łące stoi rząd topoli", „Wiatr wieje pustkowiem", „Na tej łące zielonej", wszystko przetransponowane na taką jakąś nowoczesną indyferentną wiązankę melodii, przeznaczoną dla uszu szwajcarskich pasibrzuchów, ale jednak były to melodie przedwojenej Pragi. Chciał oczywiście zwrócić nimi na siebie uwagę, ten czeski muzykant, którego los zagnał aż tutaj, do zuryskiego Niedersdorfu, do restauracji Zur Kolumna Treu, co jest podobno jakimś makaronizmem, którego nikt nie rozumie. Właśnie zapłaciliśmy i od wysokości rachunku zbielało mi oko.
– Oczywiście za swój bilet lotniczy zapłaciłem już w Pradze. Czy Mordair zwróci mi pieniądze, skoro lata tutaj? – zapytałem niepewnie.
– Oczywiście – śmieli się ze mnie. – I to w twardej walucie, przyjacielu. Na tym polega cały numer. – Szliśmy do wyjścia koło fortepianu, przy dźwiękach melodii „Dajo, nie wołaj". Musiałem się zatrzymać.
– Czy jest pan z Pragi? – zapytałem głupio, tak jakby każdy Czech musiał być z Pragi.
– Bitte? – zapytał bez uśmiechu i podniósł brwi, z lekka urażony. Wypalił coś miejscowym dialektem, który z trudem rozumieją nawet germaniści. Właścicielka już niosła mój płaszcz i oświadczyła, że było dla niej prawdziwym zaszczytem, że zjadłem gordon bleu z jej kuchni i że na pewno nie zapomnę przyjść znowu, pozdrawiała moją rodzinę i ojczyznę, odprowadzała nas aż do drzwi i nie mówiła po szwajcarsku, ale nienaganną niemczyzną, którą rozumieliśmy wszyscy. Pianista znowu grał, a olbrzymi cień kucharza zbliżał się od strony kuchni, światła przygasły, ponieważ znów będzie się przygotowywać Pokarm, moi przyjaciele byli już na dworze i tam szumieli, a ja nie mogłem zrobić ani kroku. Ten facet zaczął grać „Spieszmy dalej" i „Za sztandarem Sokoła", ten Szwajcar, który podniósł brwi, jak gdyby Praga była nieprzyzwoitym słowem, niegodnym tej restauracji, grał marsze Sokoła, jeden po drugim, przywitał nimi dwóch grubych Amerykanów, którzy się właśnie sadowili za naszym stołem. A tych melodii oczywiście nigdy nie słyszeli. Przyjaciele musieli mnie z lokalu wyciągnąć.
– Jakiś emigrant. Chcesz się z nim bić? Jak długo nie gra „Czerwono-białego sztandaru", to nie ma powodu, a jeśliby nawet zagrał, to i tak nie możesz nic zrobić. Tutaj nie ma naszej służby bezpieczeństwa. – Ciągnęli mnie uliczkami Niedersdorfu, gdzie w odróżnieniu od wszystkich innych miast Zachodu nie ma żadnych prostytutek i gdzie lokale nocne otwarte są jedynie do północy, tak że kwadrans po dwunastej ulice są już bezludne, tak puste, że podobno amerykańskie biura podróży pod hasłem „Nocne życie w Zurychu" wprowadzają połączenia pociągami pospiesznymi z najbliższymi miastami za granicami Szwajcarii.
– Nie zapomnijcie, że w tym kraju nic się nie zmienia. Nie przeżyli ani jednej wojny. Ludzie są tutaj bogaci od siedemnastego wieku. Nie ma tu nowych warstw społecznych jak w Niemczech, nie było tutaj żadnych zmian. Z wyjątkiem chyba tego, że rośnie kwota wkładów w bankach szwajcarskich, gdzie lokują swoje zyski międzynarodowi awanturnicy, ale w większości przypadków nie udaje się im z nich korzystać. Czytałem o tym dane statystyczne...
Nie interesowało mnie to. Nie mogłem przestać myśleć o tym czeskim muzykancie, o tym pajacu pianiście, który gdzieś tutaj szuka swej królewny, chociaż jest już pięćdziesięciolatkiem z łysiną, podbródkami i okularami.
– Ten pan przy fortepianie jest także Czechem? – zapytałem teraz swej wczorajszej kelnerki.
– To mój mąż – powiedziała nienawistnie. – A więc z Bogiem. Dużo zdrowia! I niech pan nigdy nie lata tą nową linią...
Uśmiechnąłem się:
– Nie opłaca się to pani?

- Co?
- To odradzanie. Czyżby konkurenci Mordairu nie znajdowali już żadnych innych sposobów? Słyszałem o tym, jak zmuszono KLM, aby nie przekarmiały swoich pasażerów, podobno także negocjowano tę sprawę w Hadze. Ja mam mało pieniędzy, muszę lecieć jak najtaniej. Nie bardzo mogę sobie pozwolić na wybieranie. A takich jak ja jest większość. Niech to pani powtórzy swoim pracodawcom...

Pokręciła głową z desperacją.
- Musi mi pan uwierzyć. Nie mam z tego ani korony. To jest ani franka - westchnęła. - Przyszłam pana ostrzec, gdyż jest pan rodakiem i podoba mi się pan. Oczywiście, że Mordair lata tanio. Dlatego, że z jego samolotów znikają ludzie. Ludzie! Czy pan rozumie? Ich nowe samoloty na żadnym postoju nie biorą paliwa, mają bowiem inny środek napędowy...
Musiałem się roześmiać.

minionego lata tuż przed samym zuryskim lotniskiem, grzebiąc przy tym wszystkich mieszkańców jakiejś tutejszej wioski. Przypomniałem sobie serię wypadków samolotów typu Boeing i nasze dwa zdruzgotane Tupolewy. Tkwi w tym pewne ryzyko. Ale przecież bez względu na to nie przestanę latać. Czyżbyśmy mieli tracić czas na statkach parowych i w pociągach? W samolocie człowiek ma indywidualną obsługę, piękne stewardessy, jedzenie podane pod sam nos, a w końcu i w pociągu może dojść do katastrofy. Często się mówi o katastrofach lotniczych, a zapomina, ile jest dzisiaj w powietrzu samolotów. Rozbija się ich znacznie mniej, niż samochodów osobowych. Czy może również mamy przestać jeździć samochodami? Czy to może śmierć uwodzi nas czarującymi uśmiechami stewardess? Człowiek myśli o tych rzeczach przed każdym startem, ale w końcu dolatuje szczęśliwie, o wszystkim zapomina i hardo mówi: przed trzema godzinami byłem jeszcze w Pradze... Nie dam się przecież zbałamucić przez zwariowaną rodaczkę. A może naprawdę jest agentką konkurencji?


Sławomir Kot

- No, teraz to pani przesadziła. To już nawet nie jest nieuczciwa konkurencja, ale nonsens. - Być może biedaczka w tej Szwajcarii zwariowała, pomyślałem sobie. Według tego, co tutaj widziałem, ten luksus jest chyba trochę nudny, więc nie wykluczone, że zwariowała z nudów. Albo z powodu swojego pianisty. - Proszę wybaczyć, panno... to jest madam. Spieszę się do taksówki. - Ale nie chciała się ruszyć. Chciałem ją odsunąć siłą. Bez mała zaczęliśmy się przed hotelem mocować.
- Przysięgam, że to prawda. Akcjonariusze tej linii mieli u nas przyjęcie, popili sobie i wykrzykiwali o tym, cały personel na drugi dzień wymieniono. Jedynie mnie i memu mężowi pozwolono zostać w lokalu. Nikomu dotąd tego nie zdradziłam...
- I nigdy niech pani tego nie mówi. Proszę zachować tę tajemnicę dla siebie - starałem się być uprzejmy. Niekiedy to pomaga, czasem można w ten sposób korygować błędne wyobrażenia. - Jedynie dla siebie - powiedziałem poważnie i wreszcie się jej wyrwałem. Zatrzymałem pierwszą przejeżdżającą taksówkę. Widziałem ją za sobą, nagle jakby o wiele mniejszą, przygarbioną i postarzałą.

W drodze na lotnisko oczywiście nie mogłem o niej zapomnieć. Wstałem już o piątej, ponieważ w nocy była burza i musiałem myśleć o dzisiejszym locie. Nie mogę powiedzieć, żebym przed każdym startem był całkowicie spokojny. Nie boję się, ale na przykład dziś rano bezustannie myślałem o tej Caravelle, która spadła

Zuryskie lotnisko jest supernowoczesne, walizki przewozi się na ruchomych chodnikach, celnicy nawet ich nie dotykają i jedynie paszporty ze Wschodu sprawdzane są trochę dłużej. Do sklepów wolnocłowych idzie się schodami, tłoczą się tam cudzoziemcy z ostatnimi frankami i kupują znacznie tańsze papierosy i whisky. Ja przeszedłem obok nich bez zainteresowania. Już bowiem na cle słyszałem komunikat: „Swissair z przykrością zawiadamia podróżnych, że samolot do Kairu nie wystartuje w oznaczonym czasie z powodu złej pogody". Zanim doszedłem do lotniskowego baru, podobne komunikaty nadały KLM, Air France, Lufhansa, izraelskie linie lotnicze i kilka innych prywatnych, których nazw dotychczas nie znałem. Być może dzisiaj żadnych lotów nie będzie.
Bar na lotnisku był przepełniony. Zafundowałem sobie coca-colę z rumem, coctail taki nazywa się „cuba libre". Barman popatrzył na mnie podejrzliwie. Może od czasu rewolucji kubańskiej nie pija się tego napoju w Szwajcarii? Czekałem zrezygnowany. Właściwie trochę mi ulżyło. Mogę odwlec decyzję. Co miała na myśli mówiąc, że nie używają benzyny? Czyżby można było spalać w silnikach ludzkie ciała? Zamiast benzyny? Co za nonsens. Postawiłem sobie jeszcze jedną cuba libre, a wtedy dał się słyszeć komunikat: „Mordair zawiadamia, że samolot do Afryki odlatuje zgodnie z rozkładem. Podróżni powinni zgłosić się przy autobusie numer cztery..." Zapłaciłem wszystko szybko, ręka mi trochę drżała. Zapomniałem kupić Newsweek, w którym właśnie pisali o zaburzeniach w Pra-

dze. Szkoda, na pewno bym się dowiedział sporo zabawnych rzeczy.
Przed autobusem numer cztery zgromadziło się co najmniej dwieście osób. Widzieliśmy jedynie własne sylwetki, ponieważ mgła tymczasem zgęstniała i wszędzie wokół paliły się światła, jakby wśród głębokiej nocy. Dwie piękne dziewczyny, brunetka i blondynka, zaczęły czytać nasze nazwiska. To musi być ogromny samolot. Tyle ludzi... mówiłem sobie, kiedy wsiadałem do autobusu mając już miejscówkę w kieszeni.
– Jak to jest, że Mordair startuje, podczas gdy wszystkie pozostałe towarzystwa nie latają? – zapytałem blondynkę rozmyślnie zmęczonym głosem.
– Ponieważ mamy nowy rodzaj samolotu – stewardesa pokazała w stereotypowym uśmiechu wszystkie swoje trzydzieści dwa zęby. – Latamy bezpiecznie i przy każdej pogodzie. Przygotowywany supersoniczny Concord, który obecnie opracowują Anglicy wspólnie z Francuzami, jest już o dwa lata opóźniony do naszego Mordairu. To nie będzie zwykły lot. Weźmie pan udział w akcie triumfu techniki!– popchnęła mnie głębiej w głąb autobusu.
Przejeżdżaliśmy przez to mleko ostrożnie, co chwilę tuż przed nami ukazywało się podwozie jakiegoś odrzutowego samolotu, a raz o mało co zderzylibyśmy się z wozem-cysterną. Mordair stał aż na końcu lotniska. Był to olbrzymi czarny samolot, daremnie szukałem śmigła lub silników odrzutowych. Wyglądał raczej jak rakieta z małymi skrzydełkami i był całkowicie czarny. Leżał tam pośród mgły, jak trumna na białym katafalku.
– A gdzie jest wóz-cysterna? – zapytałem się brunetki, kiedy czekaliśmy w kolejce przed wysokimi schodami, po których trzeba się było wdrapać do wejścia przy dziobie samolotu.
– Jaki wóz? – po raz pierwszy nie zdołała się uśmiechnąć i rozdarła się na mnie jak kapo w obozie koncentracyjnym.
– Nie wiem. Nie znam się na technice.
– Nie możecie przecież startować bez tankowania! – powiedziałem teraz, najgłośniej jak tylko mogłem. – Chyba że latacie używając innego materiału napędowego? – powiedziałem umyślnie „materiału", ponieważ było widać, że są zdenerwowane. Ludzie wokół mnie zaczęli się rozglądać, mówiłem po angielsku, wszyscy rozumieli, że przed startem należy tankować.
– Mordair posiada zapas benzyny na oba kursy – powiedziała blondynka. – Tankowaliśmy w Bamaku – uspokajała pozostałych.
– To nieprawda! – blefowałem. – Mój przyjaciel z wami przyleciał. Nie tankowaliście nigdzie... – I już słyszałem swoje nazwisko. Obróciłem się. Byłem wzywany do małych drzwiczek pod schodami, gdzie chyba musieli w tym samolocie wkładać bagaż.
– To ja – powiedziałem małej Murzynce, która wywoływła moje nazwisko już po raz trzeci, tak jakby nie wiedziała, że do niej idę. – Zapłaciłem za bilet tak jak wszyscy pozostali. Chcę lecieć z nimi – zaczynałem się martwić. To nie były już jedynie obawy. Spociłem się i ręce zaczęły mi się trząść.
– Kapitan chce z panem mówić – powiedziała Murzynka i ujęła mnie za rękę, jakbym był małym chłopcem.
Służbę wojskową odbyłem w lotnictwie i jeden rzut oka na kabinę kapitana mi wystarczył, aby spostrzec, że nie ma ona nic wspólnego z pilotażem odrzutowych czy śmigłowych samolotów. W miejsce dźwigni, przycisków i budzików, jak mawiają nasi piloci, widziałem zadziwiające szklane rurki z różnobarwnymi cieczami, retorty i zlewki. Czułem się jak w biologicznym laboratorium.
– Nie wolno panu wywoływać paniki – powiedział kapitan twardą angielszczyzną. Nie miał na głowie zwyczajnego hełmu lotniczego czy słuchawek, ale przedziwny czarny kaptur z wyciętymi otworami na oczy, wyglądał raczej na członka Ku-Klux-Klanu lub miejskiego kata. – Jesteśmy jedynymi, którzy dziś startują z tego lotniska. Podróżni powinni nam pomagać...
– Podróżni mają was gdzieś – wykrzyknąłem. – Nie damy się zarżnąć jak bydło dla waszej mordairowskiej firmy. Wiem o was wszystko. I wolę benzynę od krwi...
Wepchnął mnie na siedzenie. Powoli zdjął swój kaptur. Miał duże niebieskie oczy i wyraz twarzy zdziwiony i zaniepokojony równocześnie.
– Cóż pan wygaduje, przyjacielu? Czy pan nie wie, że podczas startu musi panować na pokładzie spokój?
– Jaki tam może być spokój przy egzekucji. Dobrze wiem, że wasz samolot pożera ludzi, mógłby się nazywać Moloch, a nie Mordair! – Czy sprawił to rum, mgła, czy ten niezwykły kokpit, dość że wykrzyczałem mu wszystko. Oczekiwałem, że mnie przekona. Że wszystko łatwo obali, chciałem uspokojenia...
– Ma pan rację – powiedział i wstał znudzony, jak gdyby wyjaśniał to już po stokroć. – To właśnie stanowi istotę naszego wielkiego odkrycia. Czy wie pan, ilu ludzi zginęło zeszłego roku w katastrofach lotniczych? Jeden na dziesięć tysięcy? I po co? Bez sensu. Na nic. Towarzystwa ubezpieczeniowe płaciły, drużyny ratownicze się wysyłały, propaganda musiała przekonywać. Ale nic się nie zmieniło. Stale występuje określone ryzyko, kiedy wstępuje się na pokład samolotu, tak samo jak przy wsiadaniu do pociągu, auta czy na statek. My z ryzyka korzystamy. Rozumie pan? Jeden z naszych podróżnych dowlecze zawsze pozostałych dziesięć tysięcy swoją ofiarą. Nie zamarznie na alpejskim lodowcu, nie utonie powoli w oceanie ani nie rozerwiemy mu wnętrzności w czasie upadku na łeb na szyję – jak inne linie lotnicze. Zużyjemy go higienicznie i bezboleśnie. Dlatego możemy przewozić tanio. Jesteśmy bardziej humanitarni niż konkurencja. I nie ma żadnych awarii, ponieważ je wykorzystujemy. Ofiarę ustala się drogą losowania. Działamy w ramach przypadku jak i pozostali. Więc dlaczego pan się tak podnieca? Powinien się pan cieszyć. W krótkim czasie wykorzystają nasz postęp wszystkie linie. Po co podróżni mają umierać za darmo i nadaremnie? Czy pan rozumie? Niech pan wraca na swoje miejsce. Uśmiechnął się do mnie. Zaśmiałem się także. No, oczywiście. Żartuje. Chce mnie uspokoić dowcipem. Śmiałem się na cały głos.
– Cieszę się. I niech pan zapamięta swój numer... – powiedział jeszcze, kiedy się żegnaliśmy.

Kabina dla podróżnych urządzona była jak w innych samolotach. Wszyscy już siedzieli posłuszni na swoich miejscach. Brunetka zaprowadziła mnie na sam dziób, miejsce przy oknie było już zajęte. Osunąłem się na siedzenie tuż obok przejścia. Muszę to wszystko przemyśleć. A może nie żartował? Czyżby ten kapitan w uniformie kata naprawdę tak sądził? Rozejrzałem się po podłodze. Każdy fotel był wpuszczony do małego aluminiowego czworokąta. Zapadnie? Siedzieliśmy wszyscy tak głęboko w tych poliestrowych leżankach, że nie byliśmy w stanie widzieć swoich sąsiadów. Wychyliłem się. Obok mnie siedział pianista z Kolumna Treu. Właśnie wkładał sobie watę do uszu. Udawał, że mnie nie widzi.
– Prosimy zapiąć pasy – poleciła brunetka, wyraźnie o wiele bardziej zdenerwowana niż jej koleżanka. – Dlaczego pan jeszcze tego nie zrobił? Zaraz startujemy. – I kilkoma ruchami umocowała na mnie pasy bezpieczeństwa. Skąd się tu wziął ten człowiek? Może kelnerka odradzała lecieć z jego powodu? Chciała mnie po prostu zatrzymać w Zurychu, gdy małżonek wyjeżdża, chciała sobie porozmawiać o ojczyźnie i dlatego wymyśliła tę historię? A kapitan uspokajał mnie tylko, jedynie wykazywał mi, jak nierozsądne są moje podejrzenia? Pod podłogą odezwało się dudnienie. – Żeby już być u celu – westchnął ktoś za mną po niemiecku. – Ale przecież kapitan mi dowiódł, że to wcale nie jest żaden wymysł. Że to jest prawda!

– A mimo wszystko najchętniej latam. Jest to o wiele szybsze i wygodniejsze – powiedział żeński głos za mną. Chciałem się odwrócić i im wszystko to powiedzieć, ale byłem tak dobrze przywiązany, że nie mogłem się nawet poruszyć.
Startowaliśmy. Zacząłem sobie pogwizdywać żałobne marsze rodem z krematoriów i cmentarzy. Pogrzebowe marsze i „Zaświeć mi słoneczko złote". Pianista skłonił się ku mnie z pytaniem w oczach.

– Bitte? – zapytałem i przyjąłem minę całkowicie szwajcarską. Więcej nie powiedziałem ani słowa.

Z czeskiego przełożył
Zbyszko Adam Naruniec

■

Josef NESVADBA

urodził się w Pradze w roku 1926, jest z zawodu lekarzem specjalizującym się w indywidualnej i grupowej psychoterapii. Działalność literacką rozpoczął początkowo jako tłumacz literatury angielskiej, a następnie jako autor krótkich utworów prozaicznych oraz sztuk dramatycznych. Jednakże swoją pozycję w literaturze zawdzięcza opowiadaniom oraz nowelom o tematyce fantastyczno-naukowej.
Były to zbiory **„Tarzanova smrt"** (1958), **„Einsteinuv mozek"** (1960), **„Vynalez proti sobě"** (1964), **„Vypravy opačnym směrem"** (1976). Zyskały one dużą popularność wśród czytelników czeskich, a także zagranicą. Znalazły miejsce w licznych światowych antologiach SF, m.in. w słynnych „The Year's Best SF", „World's Best SF" itp.
Jak dotychczas w Polsce opublikowano jedynie kilka luźnych opowiadań Josefa Nesvadby: **„Mózg Einsteina"** (1962), **„Idiota z Xeenemuende"** (1963), **„Anioł śmierci"** (1977) i **„Ostatnia przygoda kapitana Nemo"** (1977).

(Z. J.)

GŁOWA KASANDRY

W ostatnich dniach lipca w lasach pojawiły się nagle papugi. Niektóre okazy miały wielkość przedramienia dorosłego mężczyzny. Ich jaskrawo czerwone łebki i intensywnie zielone upierzenie, przechodzące do karmazynu na ogonie, czyniły świat radośniejszym. Teodor Hornic, mężczyzna w sile wieku, odziany w skórę tygrysa, długo przypatrywał się, jak ogłupiałe ptaki nieporadnie chybocząą się na gałęziach sosen i świerków.



Maciej Wieczorkiewicz

Igiełki wbijały im się w łapki, przystosowane przez naturę do tropikalnych, gładkich łodyg. Przez następne dwa dni Hornic zbudował siedem klatek z siatki ogrodzeniowej i nakrył nimi mrowiska przy drodze do wodospadu. Ptaszyska upodobały sobie rozgrzebywanie kopców i tarzanie się w nich. W pierwszą niedzielę sierpnia, to znaczy wczesną wiosną, jeżeli liczyć na papierze, nad doliną pojawił się myśliwiec bombardujący dalekiego zasięgu, którego typu Hornic nie znał. Samolot zatoczył trzy koła na pułapie sto i wypełnił ciszę ciepłego dnia rozdzierającym hukiem odrzutowych silników. Teodor Hornic przerwał świętowanie na leżaku wystawionym pod rozłożystym dębem i wyszedł na skraj pasa startowego zabierając ze skrzyni sygnałowej kraciastą chorągiewkę.

Wielka, czterosilnikowa maszyna z opuszczonymi do ziemi płatami poziomego usterzenia, kołowała już z powrotem ku środkowi pasa. Hornic wskazał pilotowi kierunek zjazdu z pasa. Samolot na chwilę zwiększył ciąg i potoczył się na wskazane miejsce. Z kadłuba po rampie ładunkowej zszedł po chwili pilot, rozpinając po drodze zamki skafandra. W milczeniu wyciągnęli dłonie, by raptem, bez ostrzeżenia – radość ze spotkania była zbyt wielka – paść sobie w objęcia. Kiedy minęło pierwsze wzruszenie, pilot przedstawił się po francusku.

– Jestem Yves Jefferson, z pułku łączności.
– Teodor Hornic – odrzekł witający i patrząc na naszywki skafandra lotniczego zapytał – Air Force?
– Nie, jestem niezależny – Jefferson był zmieszany – wszyscy przecież jesteśmy niezależni. To tylko naszywki.
Teraz dopiero Hornic dostrzegł, że wojskowy numer samolotu zakryty był zieloną farbą, a w jego miejscu, obok gwiazdy w kole, namalowano żółty klonowy liść.
– To wejdźmy do mnie. Zaraz coś zjemy, już prawie południe – powiedział Hornic.

Obiad składał się z trzech dań, a na koniec gospodarz przyniósł z magazynu dwie butelki czerwonego rocznikowego wina. Jefferson opowiadał o sobie, o pułku, o planach. O tym co ocalało i co powstało nowego. Tak działo się za każdym razem, kiedy ktoś odwiedzał dolinę. W ostatnim roku Hornic miał dwie powietrzne wizyty. Raz był to Rosjanin Wasilij na Migu-52, a drugim razem – Hindus Mishra na Fantomie 124. I byli to jedyni ludzie, jakich w tym czasie zobaczył. Innych nie szukał, choć w odległości 300 kilometrów na południowy wschód była osada licząca już ponad 600 mieszkańców. Niegdyś tam jeździł, aż uznał, że wizyty nic mu właściwie nie dają. Stał się samotnikiem i przywykł do tego. Od chwili, gdy wybuchła trzecia wojna światowa i gdy w pięć lat po niej spełniły się przepowiednie zapowiadające przebiegunowanie kuli ziemskiej, Teodor Hornic poszedł swoją drogą. Nie szukał ludzi. Kiedy ich spotykał, był z nimi bardzo krótko. Znalazł tę bazę lotniczą i objął ją w posiadanie, bo nie było nikogo, kto by się o nią upomniał. Tutaj, w ciągu trzynastu lat panowania, stał się legendą tej części kontynentu, powtarzaną po chatach i zajazdach. Był wielkim tropicielem, o którym mówiono, że z wyprawy nigdy nie wraca z pustymi rękami.

Yves Jefferson trzymał w palcach któryś z rzędu kieliszek z winem, by wreszcie zadać pytanie, które od dłuższej chwili ważył w sobie:
– Może to niezręcznie z mojej strony, Teodor, ale pułkownik chciałby wiedzieć, czy jesteś zorientowany, jak wyglądają sprawy, no... wiesz, ogólnie?
– Ogólnie? – podjął Hornic. – To znaczy czyje?

Jefferson zamilkł speszony.
– Wiesz, że nie ma teraz silnych – podjął po chwili trochę jakby do siebie – parasol jest szczelny, a nas jest mało. Dwie eskadry w Kanadzie, jedna zdekompletowana w Hiszpanii, kilka w Indiach i nie wiem ile w Tybecie i Afryce. Amerykanie i Rosjanie praktycznie nie latają, choć powinni mieć najwięcej sprzętu. Podróżować trzeba wozami konnymi lub w zaprzęgach z rogacizny. Nikt nadal nie odważa się używać radia, bo wydaje się, że Mechanizm jakby się jeszcze wyczulił.

Hornic przytaknął skinieniem głowy i powiedział:
– Hindusi sobie radzą.
– Tak, ale oni wiedzą, że nie są głównym celem – Jefferson przerwał. Po dłuższej chwili zdecydował się dokończyć wprost: – Wiemy, Teodor, że jesteś najlepszym tropicielem w tej części kontynentu. Powiem krótko. Moje dowództwo chce kupić u ciebie... Głowę Kasandry.

Hornic odstawił kieliszek na stół z taką siłą, że całe wino rozlało się na blacie.

– Rosjanie też chcą ją kupić – podniósł głos – i Hiszpanie chcą, i Chińczycy. I Polacy też. Ale ja już im mówiłem, że to utopia. Ona nie istnieje, a nawet gdyby istniała, to nikt jej nie znajdzie! Rozumiesz, nikt! Aż się sama nie ujawni!
Wstał z fotela i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Szukam jej trzynaście lat. Za każdym razem, gdy wpadam na trop, wydaje mi się, że to Ona. Prześladuje mnie w dzień i w nocy, bo czuję, że jest nieuchwytna i drwi sobie ze mnie. Jeżeli w ogóle istnieje! Wszyscy poszaleliście na jej punkcie. Kto ją w ogóle tak nazwał? Kto dziś potrafi powiedzieć, skąd się wzięła jej legenda? Przecież to mit. Mit, który jest chyba potrzebny temu światu, bo za mało miał strachu. Wszystkim, którzy tu przylatują lub przyjeżdżają, mówię to samo. Głowa Kasandry nie istnieje. To jest produkt chorej wyobraźni tych z lasów i chyba ptaków, bo nie wiem, kto inny mógłby roznieść tę legendę po wszystkich kontynentach w sytuacji, gdy wiadomości o skupiskach ludzkich nie przenikają z jednej okolicy do drugiej.

Zatrzymał się przy oknie patrząc na odcinające się na tle błękitnego nieba korony palm i buków. Uniesienie już minęło. Teraz głos jego zabrzmiał zupełnie cicho i z ledwo wyczuwalną ironią:
– Czym możecie mi zapłacić, żeby nie było za tanio?
– Ile ci proponowano? – ironii Jefferson nie wyczuł.

Hornic roześmiał się i odwrócił do niego.
– Rosjanie dawali mi harem i pięć ton złota w sztabach i wyrobach. Co możecie mi dać więcej? Dwa haremy?
Teraz Jefferson zaczął się śmiać i śmiał się z każdą chwilą coraz głośniej.

– Dziesięć ton – wyrzucił z trudem krztusząc się.
Ich śmiech odbił się echem od ściany lasu i spłoszył stłoczone w zagrodzie kozy i owce. Przestraszone słuchały dźwięku, który do tej pory był im obcy. Tylko niewielki wilczur na progu obory z leniwym zainteresowaniem nasłuchiwał unosząc głowę. Chwilę patrzył w stronę otwartych drzwi drewnianej chaty, w której siedzieli dwaj mężczyźni. Istoty dziwne, nie pasujące do burzliwie kotłującej się wokół bujnej przyrody.

Jefferson został w dolinie dwa dni. Hornic oprowadził go po okolicy. Z pasją opowiadał jak rok po roku przyroda strefy umiarkowanej, po odwróceniu się ziemskiej osi obrotu, dostosowywała się z trudem do warunków tropikalnych. Pierwsze poddały się brzozy. Uschły po kilku miesiącach, zostawiając po sobie pustynne tereny. Nie utrzymały się też wierzby, chociaż zrazu uległy specyficznemu przeobrażeniu. Zrzuciły gałęzie i pokryły się liśćmi, które zaczęły rosnąć wprost z korony pnia. Natomiast nadzwyczaj dobrze, ku zdziwieniu Hornica, przystosowały się drzewa iglaste, świerki i sosny. Sosny zrzuciły tylko część igieł i teraz, po trzynasu latach, ich gałęzie przypominały rzadki grzebień do włosów, igłami skierowanymi ku ziemi. Jefferson z zainteresowaniem przyglądał się lasowi złożonemu częściowo z dębów i buków, rosnących na przemian z palmami i tropikalnymi odmianami leśnego poszycia i lian.

– Tutaj – mówił Hornic – przyroda sama zasiała to wszystko. Nasiona przyszły z wiatrem w pierwszych latach stabilizowania się klimatów. Potem przyleciały ptaki. Po nich przywędrowały zwierzęta. W zeszłym roku miałem kłopot z bengalskim tygrysem, który, nie wiadomo dlaczego, rozbijał mi ule. Prawie miesiąc straciłem na wytropienie i upolowanie bestii. Ale za to – dodał z uśmiechem – mam teraz w czym chodzić.

Po kolacji Hornic pokazał Jeffersonowi lotnisko i zabudowania. Na końcu kilometrowego pasa startowego znajdował się hangar i zabudowania zaplecza. Po wieży kontrol-

nej pozostały tylko oczyszczone z gruzu ruiny. Jedną z bocznych ścian hangaru zdobił ślad po celnym pocisku rakietowym. Miejsce po wyrwie było zamurowane kamieniami rzecznymi. Zrobił to Hornic, podobnie jak z wyrwami w płycie startowej. Z tą tylko różnicą, że tam na plomby użył cegły.

W pierwszych miesiącach po ucichnięciu błyskawicznej i gwałtownej wojny, której nikt chyba nie kontrolował, Hornic latał trochę nad okolicą i szukał ludzi. Był to okres wędrówek ludów. Opuszczano tereny skażone i uciekano przez nie istniejące już granice państw, od wszystkich miejsc, które mogłyby stać się celem rakietowego ataku. Przez cztery następujące po sobie lata Hornic wędrował jak inni. Uprawiał ziemię, strzelał do tych, którzy chcieli go z niej wyrzucić i sam starał się unikać kuli. W czasie śnieżnych zamieci przeżywał katusze zimna i głodu. Usiłował iść na południe, ale tam tereny były całkowicie skażone. Wrócił więc z powrotem i tutaj, gdzie, jak mówiono, już nic nie istnieje, znalazł przystań. Tutaj też zaskoczyły go Trzy Dni Ciemności. Leżał w piwnicy na łóżku polowym i czuł, jak cały świat pęka i rozpada się w proch. Wstrząsy tektoniczne w tej okolicy nie były silne, ale huraganowe wiatry i grzmoty przykrywały wszystko swoim ogromem. Gdzieś daleko znikały wyspy i całe połacie kontynentów, gdzie indziej wynurzały się z oceanów nowe lądy. Bieguny topniały, a woda zalewała wybrzeża. Kiedy po raz pierwszy słońce wychnęło zza horyzontu po jego dotychczasowej zachodniej stronie, Hornic czuł, że jego życie przestało mieć znaczenie. Trwał w stanie otępienia przez miesiąc, aż obudził go pewnego dnia huk i smuga białego dymu na niebie. Chwilę przyglądał się jej bezmyślnie, wreszcie zrozumiał. Rakieta! Szła pod ostrym kątem w górę, niosąc w głowicy śmierć odległemu wrogowi, gdzieś w innej części świata. Biegał godzinami po lesie szukając tych, którzy ją odpalili, aż trafił na dymiącą jeszcze okrągłą studnię wyrzutni. Nie było nikogo. Rozkaz zniszczenia wroga wydany został wiele lat wstecz i utrwalony w elektronicznej pamięci systemu startowego.

Od tego dnia zaczął żyć naprawdę. Zbudował drewniany dom, zagrodę dla zwierząt złapanych w lesie i okolicach zburzonych miast i wsi. Spędzał dużo czasu na obserwacji nocnego nieba. Udawało mu się, od czasu do czasu, dostrzec punkty sporadycznie przesuwające się w tle nowych gwiazdozbiorów południowego nieba. Wiedział, że rakiety lecą zgodnie z programami w komputerowych pamięciach. Tyle, że nie było już starych punktów odniesienia. Zmierzały w stronę własnych terytoriów niosąc całkowicie przypadkową chemiczną lub atomową śmierć. Jeżeli, tam gdzie spadały, ktokolwiek jeszcze mieszkał lub żył.

Baza lotnicza Hornica wyposażona była znakomicie. W podziemiach ocalały systemy komputerowe, których część przeprogramował do swoich celów. W sekcji technicznej były trzy wozy bojowe i inne mniejsze pojazdy. Lekkie dźwigi używane w hangarze. Magazyny części i broni. Warsztaty, generatornia i wielkie zbiorniki lotniczego paliwa. Już w pierwszym roku udało mu się wykryć, w promieniu stu kilometrów, sześć stanowisk rakietowych i unieszkodliwić je. Następne lata zwiększały jego doświadczenie. Obserwował mrówki, pszczoły, trawę, ukształtowanie terenu, rodzaje gleb i setki innych czynników, zdradzających miejsca kryjące podziemne silosy. Rozpoznawał podziemne pustki jakimś nowym instynktem, pobudzanym przez ustawiczne myślenie o podziemnych zegarach odmierzających swój własny czas. Czas startu zakodowany bezimiennymi rękami i w niezliczonej ilości samoczynnych wyrzutni. Na wielu kontynentach. Ludzie skończyli wojnę w połowie drugiej godziny jej trwania. Pozbawione obsługi wyrzutnie prowadziły ją nadal. Nie zahamował tej wojny kosmiczny charakter kataklizmu, jakiemu uległa Ziemia. Od trzynastu lat startowały z podziemnych wyrzutni, już nie tylko na zewnętrzny rozkaz. Reagowały na najsłabszy radiowy sygnał. W nieprzewidziany sposób pobudzały je lecąc samoloty. Rakiety zmusiły ocalałych ludzi, by przytulili swe życie do Ziemi.

Wtedy, na raz w wielu miejscach, zaczęto powtarzać sobie legendy o Głowie Kasandry. Hornic początkowo wyśmiał to. Ale, tak jak u innych, i u niego zaczęły kiełkować ziarenka niepokoju. I bardzo szybko stał się ich ofiarą. Nikt tej rakiety nigdy nie widział. Zainstalowano ją, według szeptanych przekazów, w ostatnich tygodniach zbrojeń. Jedną, jedyną. Przeznaczoną dla tego, kto przeżyje... Zdolną do unicestwienia życia na całej kuli ziemskiej. Ustawiona na ukrytej wyrzutni przez szaleńca, gotowa do zniszczenia wszystkiego, co przetrwa. Nikt nie wiedział, gdzie jest. O dwieście czy dwa tysiące kilometrów od niego. Za każdym razem, gdy Hornic znajdował nowy silos, wydawało mu się, że będzie w nim Ona. Miał nadzieję i jednocześnie jej nie miał. Zdawał sobie sprawę, że mimo iż nauczył się łamać systemy zabezpieczeń zwykłych rakiet, to wtargnięcie do sterowni bunkra Kasandry niemal na pewno nie będzie miało szans powodzenia.

Za każdą „zwykłą" rakietę otrzymywał od zleceniodawców zapłatę w naturze i w złocie. Płacili mu za trofea, niezależnie od kierunków świata, z których do niego przybywali. Jedni drogą powietrzną, inni wołami i konno. Z ramienia jakichś nieznanych mu rządów i w imieniu rolniczych osad. Jego trofeum, Wielkiego Tropiciela, było zawsze takie samo. Końcówka kabla impulsowego, uruchamiającego system zapłonowy. Pierwsze trofeum wisiało nad drzwiami jego pokoju. Powiesił je na prostokątnej dużej płycie, obciągniętej skórą bengalskiego tygrysa.

W tym właśnie pokoju Jefferson rozłożył rulony planów, projekcji satelitarnych, zdjęć terenów sprzed kataklizmu.
– Naszym zdaniem, Ona jest gdzieś w tym rejonie – powiedział Jefferson, kreśląc palcem koło na jednym z kwadratów siatki. – Niestety, ani my, ani Hiszpanie, ani Rosjanie nie wiedzą tego dokładnie. Co więcej, na skutek przesunięć tektonicznych skorupy i praktycznej likwidacji ośrodków dowódczych, nie możemy dojść, kto i w jaki sposób ją tam zainstalował. Nie wiemy nic ponad to, że gdzieś w tym miejscu koncentrują się duże ilości stali i pustych przestrzeni.
– Znam trochę te miejsca – powiedział Hornic. – Byłem tam w zeszłym roku.

Zamilkł i podparty rękami na brodzie, spod przymrużonych powiek wpatrywał się w mapę, jakby starając się coś odtworzyć z pamięci. Od końca palców przez ręce, plecy, do nóg zaczęły wędrować po im drobne igiełki. Wiedział już, że się podejmie. Czuł, jak zbliża się znów Wielkie Polowanie.
– Dobrze, spróbuję jeszcze raz – powiedział powoli – ale nadal żadnych lotów i żadnego radia. Niczego, co mogłoby zainicjować jakikolwiek odpał.

Jefferson zwinął resztę map.
– Ile czasu potrzebujesz?
– Pół roku.
– A z materiałów?
– Nic, wszystko mam.
Po południu zakończyli tankowanie paliwa i po krótkim pożegnaniu samolot pokołował do początku pasa. Hornic nie został na dworze. Wrócił do domu i otworzył szafkę z płytami. Chwilę zastanawiał się, co położyć na talerz adaptera, po czym wyciągnął płytę na chybił trafił ze środka i przeczytał na krążku „J.Strauss – Nad pięknym, modrym Dunajem". Pierwsze tony walca utonęły w przykrywającym ziemię huku startującego samolotu Jeffersona, ale potem już całkowicie wypełniły wnętrze pokoju.

Teodor Hornic prowadził transporter opancerzony, głównie wzdłuż drogi. Asfalt był już mocno zniszczony, ale na ogół udawało mu się przejechać nawet przez wysokie piargi wysadzin lub lejów po bombach zarośniętych bujną roślinnością. Miejscami drogę przegradzały pnie zwalonych drzew. Musiał wtedy się zatrzymać i uruchamiać ramię hadraulicznego dźwigu zamontowanego na kadłubie. Co jakiś czas mijał ścieżki wydeptane przez karawany zwierząt i ludzi ciągnących we wszystkich możliwych kierunkach. Ludzie szukali miejsca do osiedlenia lub do już powstałych osad; zwierzęta przeciwnie, miejsc, w których nikt nie będzie ich niepokoił. Temperatura trzymała się w granicach czterdziestu stopni Celsjusza, lecz powietrze było względnie suche. Hornic pojazdu używał niechętnie. Po przebudowaniu stanowił dla niego rucho-

my magazyn sprzętu do wyszukiwania i otwierania wyrzutni. Jeżeli nie musiał, jeździł konno lub chodził po prostu pieszo. Tak było wygodniej. Myślał teraz o niej. Wszystkie sny obracały się wokół Niej. Do Niej mówił, Jej odgrażał się, o Nią prosił los. Czynił wszystko, by pobudzić podświadomość do pracy. Na miejsce dojechał późnym popołudniem. Zatrzymał się na wzniesieniu pokrytym tylko trawą. Przed nim po horyzont szumiały trawy na pofalowanym łagodnymi wzgórzami terenie. W zagłębieniach połyskiwały granatowe oka stawów i jeziorek. Pejzaż był niemal sielankowy. Włożył wysokie buty przeciw żmijom i pająkom i zeskoczył na ziemię. „Tak było chyba przed tysiącem lat" – pomyślał. Ogłuszony wielogodzinnym hałasem silnika, stał oswajając się z ciszą, jaka królowała nad krajobrazem. Wprawnym okiem tropiciela rozróżnił dalekie miejsce zdradzające konfiguracją zboczy ślad ludzkiej interwencji. Dla postronnego obserwatora różnica była niemal niezauważalna. Tylko przyroda zdradzała innym odcieniem traw to, czego sama nie stworzyła. Hornic zapragnął jeszcze przed zachodem słońca wykąpać się w kryształowo czystej wodzie najbliższego jeziorka. Wsiadł z powrotem do transportera i uruchomił silnik. Zjechał powoli po długim łagodnym zboczu. Dojeżdżał właśnie do granicy trzcin, gdy nagle, raczej ostrzeżony instynktem niż węchem, wysprzęglił i kopnął nogą hamulec. Transporter zarył się w ziemi stając niemal pionowo. Hornic błyskawicznym ruchem porwał wiszącą nad głową maskę gazową i założył ją na twarz. Odkręcił zawór butli tlenowej i wciąż wstrzymując oddech trzykrotnie odciągnął brzegi maski wypompowując spod niej resztki powietrza o subtelnym zapachu fiołków. Kiedy transporter opadł na cztery osie i ustał rumor kotłującego się w środku sprzętu, Hornic wrzucił wsteczny bieg i całą mocą silnika wycofał się na szczyt wzgórza. Tutaj, nie zdejmując maski i nie wyłączając silnika, długo siedział nieruchomo, czując jak w piersi tłucze mu się serce i krew pulsuje w skroniach. Ta piękna okolica była całkowicie stracona.

Po zachodzie słońca, o dwa kilometry dalej, między transporterem a wbitym w ziemię palem, rozwiesił hamak i rozpalił ognisko. Po kolacji ułożył się w hamaku słuchając nocnego życia owadów, którym zwielokrotniona radioaktywność atmosfery bynajmniej nie przeszkadzała w gatunkowym pochodzie ewolucyjnym. Po niebie wiła się zorza wielobarwnymi wstęgami i płaszczyznami. Patrzył na projekcję barw słonecznego widma i czuł, że to właśnie ona może stać się dla Ziemi zwiastunem najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Wcześniej już naruszona przez człowieka, równowaga magnetyczna planety od trzynastu lat nie istniała zupełnie. Do tej pory nie powstała nowa powłoka magnetyczna, analogiczna do tej, jaka od milionów lat chroniła glob przed kosmicznym promieniowaniem. Teodor Hornic zasnął dopiero przed północą śniąc znów o Głowie Kasandry, postrachu ocalałej ludzkości lub tylko wymyślonej przez niedobitków.

Koło południa następnego dnia temperatura otoczenia zrównała się niemal z temperaturą emocji Hornica. Miejsce wybrane z daleka rzeczywiście kryło pod sobą wyrzutnię. Płyta pokrywowa znajdowała się pod jeziorkiem otoczonym trzcinami i wysoką, soczyście zieloną trawą. Tuż obok, na małym pagórku rosły wrzosy, w których zaczął kopanie. Małą saperką kroił darń i odkładał ją na bok pozostawiając rowek szerokości łopatki i głębokości około trzydziestu centymetrów. Do wieczora pierwszego dnia wykopał w ten sposób ponad dwieście metrów kanalików. Pozwoliło mu tu ustalić zasięg robót niwelacyjnych, wykonanych przy maskowaniu terenu i stwierdzić, z jakim rodzajem pokrywy ma do czynienia. Po tygodniu jego wstępne oceny sprawdziły się. Silos należał do dużych i Hornic był niemal pewny, że wykonany został pod balistyczny pocisk taktyczny. Z takimi silosami już się spotykał i potrafił łamać ich systemy zabezpieczeń. Teren wokół stawu upodobnił się do placu poszukiwań archeologicznych. Gęsta sieć wykopów pokrywała okoliczne pagórki i cienkimi nitkami wpisywała się trawersami w okoliczne wzniesienia.

Niedzielę Hornic jak zwykle spędził na świętowaniu, a w poniedziałek rozpoczął pompowanie wody ze stawu. Zajęło to następnych dziesięć dni. W tym czasie jadł bardzo mało i sypiał krótko i źle. Monotonny warkot pompy ucichł następnej środy w południe. Wtedy zszedł na sam środek mokrego dna stawu, by stwierdzić, że rodzimy muł kończy się w odległości trzech metrów od brzegu. Dalej był ił gliniasty nie pasujący zupełnie do struktury geologicznej otoczenia. W najniższym punkcie dna znalazł wylot kamionkowej rury. Płynęła nią nadal leniwie woda, z któregoś, jak przypuszczał, okolicznych stawów. Zgarnął nogą glinę i wepchnął ją do wylotu rury. Zamknął oczy i długo stał nieruchomo czując, jak przez ciało przenika świadomość bliskości celu. Przed oczami przewijał mu się film z utrwaloną trzynastoletnią wiedzą. Wierzył zawsze w siebie i teraz swojej wiedzy ufał. Ostatni etap trwał trzy dni. W czterech punktach wyznaczonych teodolitem, z dokładnością do centymetra, wbił na głębokość pięciu metrów przygotowane w bazie stalowe kliny. Pozostawił na powierzchni tylko ich metrowe końcówki. Samą akcję odłożył do następnego dnia. Zwinął, zakonserwował i spakował sprzęt, który już nie był mu potrzebny. Przeglądnął mechanizm wyciągarki linowej i sterowanie jej zdalnego napędu.

Tej nocy po raz pierwszy się opanował. Nerwy, nie dające się dotąd ujarzmić, zaczęły mu być posłuszne. Jak nerwy myśliwego przed strzałem mającym zadecydować o jego życiu. Nie miał żadnych snów. Rano wolno zjadł śniadanie i umył naczynia. Przebrał się w kombinezon. Założył pasy i ładownice z wykonanymi przez siebie narzędziami. Na piersi zawiesił elektroniczny miernik uniwersalny z kwarcowym generatorem. Na drugim boku maskę przeciwgazową. Następnie otworzył nieużywany do tej pory pojemnik i zdjął pokrowiec. Skontrolował wzrokiem pulpit radiokomputera z ekranową końcówką i włożył kluczyk do stacyjki. Zgrał się z systemem sterowniczym wyrzutni symulując drogą radiową wstępne polecenia otwarcia systemu zabezpieczającego. Długo obserwował setki wariantów wyświetlanych na monitorze, sprawdzających punkt po punkcie cały system silosa. W końcu komputer wyświetlił ten właściwy, jedyny i niepowtarzalny klucz sygnałowy. Hornic uruchomił emisję i spojrzał przez ramię w kierunku stawu. Grunt drgnął i półokręgiem, wokół linii przybrzeżnych trzcin, ziemia zapadła się ukazując przepastną czeluść. Pale bite po drugiej stronie dolinki, uniemożliwiły szersze otwarcie wyrzutni, blokując tym samym moment odliczania do startu. Powrotną jej drogę, drżąc lekko z emocji, Hornic odciął hydraulicznymi rozporami. Podjechał transporterem do krawędzi szczeliny. Na krzesełkowym dźwigu ze sterownikiem w ręce i maską na twarzy, opuścił się w głąb. Zaledwie dwa metry pod stropem zatrzymał wyciąg. Odruchowo przetarł rękawicą szkła maski i zamarł.

Betonowy silos o średnicy około dwudziestu metrów i głębokości trzydziestu, był pusty. Dwa pionowe rzędy czerwonych świateł oświetlały ponurym światłem wilgotną i przepastną, pustą czeluść. Dziki wrzask wiszącego na linie człowieka targnął zamkniętą przestrzenią zwielokrotnionym pogłosem.

Purpurowy zachód słońca zastał Hornica stojącego twarzą w kierunku, który jego przodkowie nazywali północą. Na twarzy i gęstej brodzie mężczyzny widniały ślady łez. Były to łzy upokorzenia i zawodu. Przetarł rękawicą twarz rozmazując na niej smar z liny wyciągarki.

– Niewiele po nas zostało, to prawda – szepnął do siebie – ale nie oddam ci nawet tego. Znajdę cię, choćbyś się schowała pod stumetrową warstwą ziemi lub wody.

Odpowiedział mu szum traw, który trwał od stworzenia świata.

(O autorze: patrz „Fantastyka" nr 1/83)

■

- Koris, kapitan Estcarpu, nigdy nie powinien w ten sposób mówić o sobie, a już na pewno nie do kobiety takiej jak ja, pozbawionej posagu i urody!

Simon poruszył się, zdając sobie sprawę, że tamci zapomnieli o obecności drugiej pary w pomieszczeniu. Delikatnie dotknął ramienia czarodziejki i uśmiechnął się do niej.

- Pozwólmy im toczyć ich prywatną batalię - wyszeptał.

Śmiała się bezgłośnie w sposób tak dla niej charakterystyczny. - Te opowieści o braku wartości wkrótce doprowadzą do kompletnego milczenia i do ustalenia przyszłości dwóch osób.

- Rozumiem, że to jest zaginiona dziedziczka Varlaine, poślubiona przez pośredników księciu Yvianowi.

- Tak. Tylko dzięki jej pomocy wydostałam się bez szwanku z Verlaine. Byłam tam więźniem przez jakiś czas, a Fulk nie jest przyjemnym przeciwnikiem.

Uśmiech Simona, wyczulonego na każdy odcień jej głosu, przekształcił się w grymas.

- Myślę, że w najbliższej przyszłości trzeba dać nauczkę Fulkowi i jego złodziejom, trochę to przyćmi ich dobre samopoczucie - skomentował, znając jej skłonność do niedomówień. Wystarczyło mu, że przyznawała tamtej dziewczynie zasługę w zorganizowaniu ucieczki z Verlaine. W ustach kobiety dysponującej mocą takie wyznanie świadczyło o rzeczywistym niebezpieczeństwie. Miał nagle nieprzepartą ochotę wziąć jeden ze statków Sulcaru, obsadzić go swoimi góralami i pożeglować na południe.

- Bez wątpienia - ze zwykłym sobie spokojem przystała na jego stwierdzenia dotyczące Fulka. - Jak powiedziałeś, jesteśmy w środku wojny, nie na jej zwycięskim końcu. W odpowiednim czasie zajmiemy się także Verlaine i Karsten. Simonie, na imię mi Jaelithe.

Spadło to tak nagle, że przez dłuższą chwilę nie rozumiał znaczenia tych słów. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, znając obyczaje Estcarpu i zasady, które krępowały ją tak długo, owo kompletne poddanie. Nigdy nie można podać swego imienia, wszak jest to najbardziej osobista własność w królestwie mocy, wraz z imieniem oddaje się komuś własną tożsamość!

Tak jak Koris zostawił na stole swój topór, tak ona zostawiła magiczny kamień oddalając się z Simonem. Po raz pierwszy uświadomił sobie także i to. Świadomie się rozbroiła, odłożyła na bok wszystkie metody obrony, składając w jego ręce to, co uważała za przeznaczenie swego życia. Mógł jedynie odgadywać, co znaczyło dla niej takie poddanie się, mógł przypuszczać, że jest pełna lęku. Czuł się tak odarty ze wszystkich talentów i umiejętności, równie upośledzony jak widział siebie Koris.

A jednak zrobił krok i wyciągnął ramiona. Kiedy pochylił głowę szukając jej chętnych ust, po raz pierwszy odczuł, że coś się zmieniło. Stawał się częścią jakiejś całości, jego życie miało się połączyć z jej życiem na sposób obowiązujący w tym świecie. I tak miało pozostać aż do końca dni. W każdym razie takie było pragnienie Simona.

Koniec

Gniazdo sokołów

Ptak z umiejętnością właściwą drapieżnikom utrzymywał się nad nimi na rozpostartych skrzydłach. Simon dostrzegł jasne skrawki czerwonych wstążeczek zwisające z jego szponów, co świadczyło, że nie jest to ptak dziki.

- Kapitanie! - Tunston wychylił się, by obudzić Korisa, który usiadł rozcierając oczy gestem małego chłopca.

- Kapitanie! Sokolnicy są na szlaku!

Koris gwałtownie poderwał głowę i podniósł się, zasłaniając oczy od słońca, aby obserwować swobodne kołowanie ptaka. Gwizdnął. Powolne kołowanie ustało i Simon miał okazję obserwować ów cud szybkości i precyzji - lot w dół. Ptak usiadł na rękojeści topora Volta, na wpół ukrytego w trawie tej niewielkiej łączki. Z zakrzywionego dzioba wydobył się ochrypły dźwięk.

Kapitan ukląkł przy sokole. Bardzo ostrożnie podniósł jeden ze sznureczków zwisających z nogi ptaka i niewielki metalowy wisiorek zabłysnął w słońcu. Koris studiował go starannie.

- Nalin. To musi być jeden z posłańców. Leć, skrzydlaty wojowniku - zwrócił się do niespokojnego ptaka. - Należymy do jednego plemienia z twoim panem i panuje między nami pokój.

- Szkoda, kapitanie, że twoje słowa nie dotrą do uszu tego Nalina - skomentował Tunston. - Sokolnicy najpierw bronią granic, a potem zadają pytania, jeżeli jest jeszcze komu je zadać.

- Istotnie.

Słowo to rozległo się tuż za nimi. Obrócili się niemal równocześnie, ale dostrzegli jedynie skały i trawę. Czyżby to ptak przemówił? Jivin przyglądał się zwierzęciu z powątpiewaniem, ale Simon odmówił zaakceptowania tej magicznej sztuczki. Ścisnął w dłoni nóż przywiązany do pasa, jedyną broń, jaką udało mu się wydostać na brzeg.

Koris i Tunston nie okazali zdziwienia. Najwyraźniej oczekiwali czegoś podobnego. Kapitan zwrócił się w powietrze, wymawiając słowa wolno i wyraźnie, jakby miały przekonać niewidzialnego słuchacza.

- Jestem Koris, kapitan z Estcarpu, wyrzucony przez sztorm na te brzegi. A to są gwardziści z Estcarpu: Tunston, oficer wielkiej twierdzy, Jivin i cudzoziemiec Simon Tregarth, który przyjął służbę u Strażniczki. Zaklęciem Szpady i Tarczy, Krwi i Chleba proszę o schronienie udzielane wtedy, kiedy dwie strony walczą nie przeciwko sobie, ale żyją wspólnie pod podniesionym ostrzem!

Przez chwilę słychać było słabe echo jego słów. Ptak znów wydał swój dziwny okrzyk i wzbił się w powietrze.

Tunston uśmiechnął się kwaśno.

- Rozumiem, że teraz czekamy albo na przewodnika, albo na strzałę w plecy.

- Z ręki niewidzialnego wroga? - zapytał Simon.

Koris wzruszył ramionami. - Każdy dowódca ma prawo do własnych tajemnic. A Sokolnikom ich nie brakuje. Jeżeli przyślą przewodnika, rzeczywiście będziemy mieli szczęście. - Wciągnął w nozdrza powietrze. - Ale tymczasem nie ma powodu głodować.

Simon żuł rybę, nie przestawał jednak obserwować maleńkiej łączki przeciętej strumykiem. Jego towarzysze zdawali się mieć filozoficzny stosunek do przyszłości, a on ciągle nie miał pojęcia, na czym polegał ten trik z głosem. Ale przyzwyczaił się w każdej nowej sytuacji obserwować Korisa. Jeżeli kapitan zamierzał spokojnie czekać, to może rzeczywiście nie groziła im walka. Jednak z drugiej strony wolałby wiedzieć coś więcej o owych gospodarzach.

– Kim są Sokolnicy?

– Podobnie jak Volt – ręka Korisa sięgnęła po topór, pogłaskał pieszczotliwie jego rękojeść – są legendą i historią, ale nie tak starą.

– Na początku byli najemnikami, przybyli na statkach Sulcarpu z daleka, z kraju, w którym stracili wszystkie swe włości z powodu najazdu barbarzyńców. Przez jakiś czas służyli kupcom jako ochrona karawan i piechota morska. Jeszcze czasami bardzo młodzi Sokolnicy sprzedają swe usługi. Ale większość z nich nie dba o morze, pożera ich tęsknota za górami, bo pochodzą z wyżyn. Zwrócili się więc do Strażniczki Estcarpu z propozycją paktu: w zamian za prawo osiedlenia się w górach będą strzegli południowych granic.

– To była mądra propozycja! – wtrącił Tunston. – Szkoda, że Strażniczka nie mogła się zgodzić.

– Dlaczego nie mogła? – Simon chciał wszystko wiedzieć.

Koris uśmiechnął się ponuro. – Czyż nie jesteś już wystarczająco długo w Estcarpie, żeby się zorientować, że to matriarchat? Moc, która zapewniła krajowi bezpieczeństwo, leży nie w mieczach mężczyzn, ale w rękach kobiet. I prawdę mówiąc, władzą dysponują tylko kobiety.

– Sokolnicy mają swoje dziwne obyczaje, które są im tak drogie, jak zwyczaje Estcarpu bliskie są czarodziejkom. Stanowią walczący zakon złożony z samych tylko mężczyzn. Dwa razy do roku wybranych młodzieńców wysyła się do wiosek zamieszkałych wyłącznie przez kobiety, żeby przyczynili się do powstania nowych pokoleń, tak jak wypuszcza się na pastwisko ogiery z klaczami. Ale Sokolnicy nie uznają żadnych uczuć, sympatii czy równości między kobietą i mężczyzną. Nie uznają w ogóle innej roli kobiety poza rodzeniem dzieci.

– Toteż kobietom z Estcarpu wydawali się dzikusami, których zdemoralizowane życie oburza ludzi cywilizowanych. Strażniczka ostrzegła, że jeśli osiedlą się w granicach Estcarpu za zgodą czarownic, będzie to zniewagą dla Mocy, która wówczas opuści Estcarp. Toteż powiedziano im, że z przyzwoleniem Estcarpu nie mogą strzec jego granic. Dano im jednak prawo bezpiecznego przejścia przez terytorium kraju i na własną rękę poszukania sobie gór. Jeżeli zechcą sobie wznieść twierdzę poza Estcarpem, nasze czarodziejki będą im życzliwe i nie wystąpią przeciwko nim. I tak już trwa przez sto lat albo i więcej.

– Rozumiem, że udało im się wykuć sobie tę twierdzę?

– I to tak skutecznie – odpowiedział Simonowi Tunston – że trzykrotnie pobili doszczętnie hordy wysłane przeciwko nim przez księcia Karsten. Nawet ziemia, na której się osiedlili, walczy po ich stronie.

– Powiedziałeś, że Estcarp nie ofiarowało im przyjaźni – zauważył Simon. – Co więc znaczyła przysięga miecza i tarczy, chleba i krwi? Odniosłem wrażenie, że istnieje między wami jakiś rodzaj porozumienia.

Koris zajął się wyjmowaniem jakiejś ości z ryby, a Tunston zaśmiał się głośno. Jedynie Jivin miał niewyraźną minę, jakby mówili o rzeczach, których lepiej nie wspominać.

– Sokolnicy są mężczyznami...

– I gwardziści Estcarpu są także mężczyznami – zaryzykował Simon. Koris uśmiechnął się.

– Sokół! – Jivin wskazał palcem w niebo, nad swoim obozowiskiem ujrzeli czarno-białego ptaka. Okazał się strażą przednią grupki mężczyzn, którzy zjawili się na łące i przysiedli obserwując gwardzistów.

Ich konie były podobne do kucyków, miały długą sierść i, jak sądził Simon, nogi dość zwinne, by radzić sobie na wąskich górzystych ścieżkach. Używali lekkich prostych siodeł. Na każdym siodle znajdował się rozdwojony róg, na którym siedział sokół, na siodle przywódcy wolne miejsce oczekiwało ptaka, który służył za przewodnika.

Sokolnicy, podobnie jak gwardziści i obrońcy Sulcarkeepu, nosili kolczugi, a na ramionach mieli nie-

garnizon w ruinach Sulcarkeepu? Do jakiego stopnia przeniknęli do Karstenu i Alizon? Możemy być dopiero u progu długiej wojny, nie u szczytu zwycięstw.

– Dobrze – kobieta potarła kamień. – Skoro masz tak sprecyzowane poglądy, Simonie, zostań tutaj gubernatorem.

Koris odezwał się, zanim Simon zdążył odpowiedzieć. – Z tym planem mogę się zgodzić. Władaj Gormem z moim błogosławieństwem, Simonie, i nie myśl, że kiedykolwiek będę się starał ci je odebrać w imię moich dziedzicznych praw.

Simon potrząsał przecząco głową. – Jestem żołnierzem. I pochodzę z innego świata. Niech psy pozostaną między psami, jak mówi przysłowie. Sprawa Kolderu należy do mnie. – Dotknął ręką głowy. Wiedział, że gdyby teraz zamknął oczy dostrzegłby nie ciemność, ale wąską dolinę, w której rozeźleni mężczyźni bronili swych tylnych straży.

– Wyprawicie się tylko do Yle i Sulcarkeepu i nigdzie więcej – Briant po raz wtóry przerwał ciszę.

– A gdzie byś chciał nas widzieć? – zapytał Koris.

– W Karsten! – Simon zawsze uważał Brianta za bezbarwnego i pozbawionego osobowości młodzieńca, ale w tej chwili musiał zrewidować swoje poglądy.

– A cóż tak ważnego mamy w Karsten? – w głosie Korisa zabrzmiała niemal kpiąca nuta. A jednak pod tym tonem kryło się jeszcze coś, co Simon dosłyszał, ale nie potrafił zidentyfikować. Toczyła się tu jakaś gra, ale nie znał jej reguł, ani celu.

– Yvian! – to imię zostało rzucone kapitanowi jak wyzwanie bojowe, a Briant przyglądał się Korisowi jakby w oczekiwaniu, czy je podejmie. Simon przenosił wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Podobnie jak poprzednio on rozmawiał z czarodziejką, tak teraz ci ścierali się jakby nikogo przy tym nie było.

Po raz drugi purpura oblała policzki Korisa, po chwili ustąpiła, twarz jego stała się blada i zacięta, jak twarz człowieka, który toczy jakąś znienawidzoną walkę i nie może się od niej uchylić. Po raz pierwszy rozstał się z toporem Volta, zapomniawszy o nim, kiedy obchodził stół poruszając się z tym swoim kocim wdziękiem tak kontrastującym z niekształtną postacią.

Briant z wyrazem wyzwania i nadziei czekał bez ruchu na podejście kapitana. Ręce Korisa opadły na ramiona Brianta chwytem, który musiał mu sprawić ból.

– Tego chcesz? – Koris jakby z trudem wydobywał z siebie poszczególne słowa.

W ostatniej chwili Briant spróbował się wymknąć. – Chcę wolności – odpowiedział cicho.

Karzące ręce wycofały się z jego ramion. Koris roześmiał się z tak gryzącą goryczą, że Simon wzdrygnął się wewnętrznie na myśl o bólu, jaki zdradzał ten śmiech.

– Bądź pewny, że w odpowiednim czasie ją otrzymasz – kapitan odsunąłby się, gdyby tym razem Briant nie schwycił go za ramiona z taką samą niecierpliwością jak poprzednio uczynił to Koris.

– Potrzebna mi wolność tylko po to, żeby dokonać innego wyboru. A wybór ten jest już dokonany, chyba o tym nie wątpisz? Czy znowu jest jakaś Aldis, która dysponuje władzą o jakiej nie mogę nawet marzyć?

Aldis? Simon zaczynał podejrzewać o co rzeczywiście chodzi.

Koris wziął Brianta pod brodę, unosząc w górę twarz młodzieńca. Tym razem kapitan mógł spoglądać w dół, nie w górę, patrząc na swojego towarzysza.

– Wierzysz w zasadę pchnięcia za pchnięcie? – skomentował. – W więc Yvian ma swoją Aldis. Niech się cieszą sobą, dopóki mogą. Myślę tylko, że Yvian dokonał bardzo złego wyboru. A skoro jeden topór związał to małżeństwo, drugi może je rozwiązać!

– Małżeństwo jedynie w bełkocie Sirica – wykrzyknął Briant ciągle jeszcze trochę zaczepny, ale nie opierający się nowemu chwytowi kapitana.

– Czyż musiałaś mi to mówić, pani z Verlaine? – Koris uśmiechał się.

– Loyse z Verlaine nie żyje – powtórzył Briant. – Nie dostaniesz wraz ze mną żadnego dziedzictwa, kapitanie. Między brwiami Korisa pojawiła się niewielka zmarszczka. – Tego też nie powinnaś była mówić. Prawdą jest raczej, że ja powinienem kupić sobie żonę dzięki włościom i błyskotkom. I nigdy potem nie być jej pewnym!

Ręka Brianta zamknęła mu usta. Zarówno w jej oczach, jak i w głosie odczuwało się wściekłość.

– Odciąć? – Koris potraktował to jako pytanie.
– W ostatniej walce ich wódz wyjawił swój sekret.
– Że nie pochodzą z tego świata?
Simon gwałtownie obrócił głowę. Czy wyczytała to w jego myślach, czy też nie uznała za stosowne podzielić się tą informacją wcześniej?
– Wiedziałaś pani?
– Nie czytam w myślach, Simonie. Ale wiemy to od niedawna. Tak, oni przybyli do nas, tak jak ty, ale myślę, że z innych powodów.
– Byli uciekinierami, uciekali przed katastrofą, którą sami spowodowali, zostawili za sobą płonący świat. Nie przypuszczam, by odważyli się zostawić za sobą otwarte drzwi, ale to właśnie musimy sprawdzić. Pilniejszym problemem jest to, co znajduje się tutaj.
– Myślisz, że jeśli przejmiemy ich wiedzę, może nas porazić to samo zło. Wątpię. Estcarp długo trwał bezpiecznie dzięki własnym mocom.
– Pani, bez względu na to, jakie decyzje zostaną podjęte, przypuszczam, że Estcarp już nigdy nie będzie taki jak dawniej. Musi albo powrócić do aktywnego, głównego prądu życia, albo zadowolić się całkowitym odosobnieniem, stagnacją, co oznacza jakąś formę śmierci.
Rozmawiali tak, jakby byli zupełnie sami, jakby Briant i Koris nie mieli udziału w tej przyszłości, o której dyskutowali. Kobieta dorównywała Simonowi inteligencją, nigdy przedtem nie spotkał tego u żadnej z przedstawicielek płci pięknej.
– Mówisz prawdę, Simonie. Może musi się załamać dawna solidność mojego ludu. Znajdą się tacy, którzy będą dążyli do życia i nowego świata, i tacy, którzy wzdragać się będą przed każdą zmianą sposobów oznaczających pewność. Ale ta walka jest sprawą przyszłości. I jest wynikiem tej wojny. Co twoim zdaniem powinno się zrobić z Gormem?
Simon uśmiechnął się blado. – Jestem żołnierzem. Opuściwszy Gorm, udam się sprawdzić bramę, którą posłużył się Kolder, by przekonać się czy jest bezpieczna. Rozkazuj, pani, a twoje polecenia będą wykonane. Ale tymczasem zapieczętowałbym to miejsce, zanim zostanie podjęta ostateczna decyzja. Inni mogą próbować dostać się do tego, co się tutaj znajduje.
– Tak. Karsten czy Alizon chętnie złupiłyby Sippar. Skinęła zdecydowanie głową. Trzymała rękę na piersi, po chwili wydobyła spod kolczugi magiczny kamień.
– Taki jest mój rozkaz, kapitanie – zwróciła się do Korisa. – Niech będzie tak jak powiedział Simon. Zapieczętujmy tę składnicę dziwnej wiedzy, a resztę wyspy przygotujmy na garnizon wojskowy, dopóki nie zdecydujemy, jaka będzie przyszłość ukrytych tu skarbów. Zostawiam wyspę pod twoim dowództwem, lordzie obrońco Gormu! – Uśmiechnęła się do młodego oficera.

Nowy początek

Ciemny rumieniec rozlewał się po twarzy Korisa. Kiedy się odezwał, linie wokół jego ładnie wykrojonych ust pogłębiły się, dodając jego młodej twarzy lat.
– Czy zapominasz, pani – z hałasem położył na stole topór Volta ostrzem na płask – że dawno temu Korisa Kalekę wygnano z tych brzegów?
– I co się później stało z Gormem i z tymi, którzy byli sprawcami wygnania? – zapytała spokojnie. – Czy ktoś powiedział „kaleki kapitan Estcarpu"?
Dłoń Korisa zacisnęła się na rękojeści topora, aż zbielały kostki na jego dłoni. – Znajdź innego lorda obrońcę Gormu, pani. Przysięgałem na Normana, że tu nie wrócę. Dla mnie to miejsce jest podwójnie przeklęte. Myślę, że Estcarp nie ma powodu uskarżać się na swojego kapitana i myślę także, że ta wojna jeszcze nie jest skończona.
– On ma rację – wtrącił Simon. – Przedstawiciele Kolderu mogą być nieliczni, większość z nich może być uwięziona na statkach pod ziemią. Ale musimy pójść za nimi aż do ich bramy i sprawdzić, czy nie zbierają rozproszonych sił, by wystartować z nową próbą przejęcia tu władzy. A co z Yle? Czy mają jakiś

wielkie tarcze w kształcie rombów. Hełmy były ukształtowane na wzór głów ptaków, którymi się posługiwali. Chociaż Simon wiedział, że spoza otworów w tych nakryciach głowy obserwują go ludzkie oczy, to milczące spojrzenie egzotycznych przyłbic wprawiało go w zaniepokojenie.
– Jestem Koris, na służbie Estcarpu.
Koris, trzymając topór oparty na przedramieniu podniósł się i stanął na wprost milczącej czwórki.
Sokół powrócił właśnie na swoje miejsce, a jego pan uniósł w górę prawą dłoń gestem równie starym i uniwersalnym jak sam czas.
– Nalin z zewnętrznych gór – jego głos zadudnił w hełmie-masce.
– Pomiędzy nami panuje pokój – Koris wypowiedział te słowa na pół twierdząco, na pół pytająco.
– Pomiędzy nami panuje pokój. Pan Skrzydeł otwiera gniazdo dla kapitana Estcarpu.
Simon miał wątpliwości czy kucyki udźwigną podwójny ciężar. Kiedy jednak usiadł za jednym z Sokolników, przekonał się, że mały konik porusza się po niewidocznych ścieżkach równie pewnie jak osiołek, a dodatkowy jeździec wyd...ał się nie sprawiać mu żadnego kłopotu.
Szlaki na terytorium Sokolników nie zostały wytyczone dla zachęty czy wygody zwykłego podróżnika. Simon otwierał oczy jedynie siłą woli, kiedy przejeżdżali po skalnych półkach i nad przepaściami, których głębokości nie chciałby zmierzyć.
Od czasu do czasu jeden z ptaków wznosił się w powietrze i leciał przed nimi nad stromymi dolinami, charakterystycznymi dla tej okolicy, ale w porę wracał do swojego pana. Simon chciałby się dowiedzieć czegoś więcej o układzie między człowiekiem a ptakiem, bo wydawało się, że skrzydlaci skauci mają jakiś sposób zdawania relacji.
Grupa jeźdźców opuściwszy się po stromym stoku znalazła się na drodze gładkiej jak asfaltowa szosa. Jednak przecięli tę drogę i znów wjechali w dzicz. Nagle, nad nimi pojawił się jeden z ptaków, wydając głośne krzyki.
– Puść mnie i zsiadaj – rozkazał ostro towarzysz Simona. Simon posłuchał i czterej gwardziści zostali na szlaku, a kucyki pojechały naprzód, nawet w szybkim, jak na możliwości terenowe tempie. Koris przywołał pozostałych i pobiegł za szybko znikającymi kucykami z toporem przewieszonym przez ramię. Krótkie nogi wprawił w tak szybki trucht, że jedynie Simon nadążał za nim bez trudu.
Dochodziły ich krzyki i odgłosy uderzeń metalu o metal.
– Wojska z Karsten? – wydyszał Simon, kiedy zrównał się z kapitanem.
– Nie sądzę. Na tych terenach pełno różnych włóczęgów, a Nalin mówił, że stają się coraz śmielsi. Wydaje mi się, że to tylko maleńka cześć większej całości. Alizon zagraża od północy, Kolder maszeruje na zachód, bandy włóczęgów stają się niespokojne, w Karsten wrze. Już od dawna wilki i nocne ptaki mają apetyt na rozszarpanie Estcarpu. Choć w końcu sami się pokłócą o te szczątki. Niektórzy ożywają o zmierzchu i rzucają się w ciemność, by bronić resztek tego, co szanują.
– A to jest zmierzch Estcarpu?
– Któż to wie? O, to rzeczywiście włóczędzy!
Spojrzeli w dół na szlak handlowy. Toczyła się tam bójka. Jeźdźcy w ptasich hełmach zsiedli z koni, bo było zbyt mało miejsca, by umożliwić kawalerii jakiekolwiek regularne uderzenie, i bili przeciwników zwabionych na otwartą przestrzeń. Ale w ukryciu pozostali jeszcze strzelcy i brali na cel Sokolników.
Koris zeskoczył z półki skalnej na drogę i podbiegł do zagłębienia, w którym zmagali się dwaj mężczyźni. Simon przedarł się do miejsca, z którego mógł celnie rzuconym kamieniem unieszkodliwić strzelca celującego w plątaninę ciał. Wystarczyła sekunda, by zabrać zabitemu karabin i amunicję i obrócić tę broń przeciwko kompanom jej niedawnego właściciela.
Sokoły latały z krzykiem, dziobiąc twarze i oczy, wbijając szpony w przeciwników. Simon wypalił, wycelował i znów wystrzelił, z gorzką satysfakcją odnotowując swoje sukcesy. W tych gorączkowych chwilach, kiedy dokoła trwała jeszcze walka, opuściła go część goryczy przegranej w Sulcarkeep.
Głos rogu przerwał skrzek ptaków. Ostatni włóczędzy wycofali się na teren niedostępny dla jeźdźców. Dzień szybko zmierzał ku końcowi, zniknęli więc w cieniach zmierzchu.
Mogli się skryć przed ludźmi, ale nie przed sokołami. Ptaki kołowały nad zboczem, od czasu do czasu szybowały w dół, od czasu do czasu trafiały ofiarę, o czym świadczyły krzyki bólu dochodzące z zarośli. Simon zobaczył na drodze Korisa z toporem w dłoni, na ostrzu broni widoczna była ciemna plama.

Rozmawiał z jednym z Sokolników, nie zwracając uwagi na tych, którzy podchodzili do kolejnych ciał, szybkim uderzeniem miecza sprawdzając ich stan. W tym zajęciu kryła się taka sama ponura determinacja, jaka towarzyszyła gwardzistom po zasadzce Gormu. Simon zajął się przypinaniem nowo zdobytego pasa, starając się nie przyglądać tej dość szczególnej działalności.

Sokoły zaczęły wracać w odpowiedzi na gwizdy swych panów. Dwa ciała w ptasich hełmach przewieszono przez siodła nerwowych kucyków, wielu jeźdźców jechało w bandażach, podtrzymywali ich towarzysze. Ale straty w obozie przeciwnika były znacznie poważniejsze.

Simon znów jechał za jakimś Sokolnikiem, tym razem był to inny żołnierz, niezbyt skory do rozmowy. Przytrzymywał na piersi zranioną rękę i klął cicho na każdym wyboju.

W górach noc nadchodziła szybko, słońce kryło się za wyższe szczyty. Jechali szerszą i równiejszą niż poprzednio drogą. Po stromej wspinaczce doprowadziła ich ona do domu, jaki Sokolnicy wznieśli sobie na wygnaniu. Na widok tej twierdzy Simon aż gwizdnął ze zdumienia.

Stare mury Estcarpu wydawały się wyrastać z kości ziemi od początku jej powstania, zrobiły więc na Simonie wrażenie. Sulcarkeep, choć ukryty pod płaszczem owej nienaturalnej mgły, był też imponującym tworem. Ale to stanowiło część skały, część gór. Mógł tylko przypuszczać, że budowniczowie natrafili na szczyt, w którym znajdowały się liczne jaskinie i że po prostu je powiększyli i połączyli. Gniazdo nie było zamkiem, to była góra przekształcona w fort.

Przeszli przez zwieszany most spinający otchłań ukrytą na szczęście w mroku. Mógł się na nim zmieścić tylko jeden koń. Simon odetchnął dopiero wtedy, kiedy ich wierzchowiec przeszedł pod wystającymi zębami spuszczanej kraty. Pomógł rannemu Sokolnikowi zsiąść z konia, i oddał go w ręce kolegów rozglądając się za gwardzistami. Najpierw dostrzegł gołą, ciemną głowę wysokiego Tunstona.

Koris z Jivinem przeciskali się w ich stronę. Przez moment wydawało się, że gospodarze o nich zapomnieli. Odprowadzono konie, a każdy z żołnierzy posadził swojego sokoła na dłoni w rękawicy. W końcu jednak jeden z ptaków odwrócił głowę w ich stronę i po chwili pojawił się jakiś oficer.

– Pan Skrzydeł będzie z wami mówił, gwardziści. Krew i Chleb, Miecz i Tarcza za wasze usługi!

Koris podrzucił topór, złapał go i uroczyście odwrócił ostrze.

– Miecz i Tarcza, Krew i Chleb, Sokolniku!

Czarodziejka w Kars

Simon usiadł na wąskiej pryczy przyciskając pięści do bolącej głowy. Miał jakiś sen, wyraźny i przerażający, ale pamiętał z niego tylko strach. I wtedy obudził się z tym świdrującym bólem głowy w podobnej do celi kwaterze jakiegoś Sokolnika. Jednak bardziej istotna od bólu wydała mu się konieczność usłuchania jakiegoś rozkazu, a może chodziło o wezwanie na pomoc?

Ból minął, ale owa świadomość konieczności trwała, nie mógł więc pozostać w łóżku. Przywdział dostarczony przez gospodarzy skórzany strój i wyszedł.

Upadek Sulcarkeepu wzburzył surowych mieszkańców gór i przygotowania wojenne toczyły się całą parą. Na niższych piętrach dziwacznej fortecy kowale pracowali całe noce, płatnerze szykowali zbroje, a technicy przygotowywali maleńkie kuleczki przyczepiane do nóg sokoła, za pomocą których wysoko kołujący ptak przekazywał informacje swemu panu. Był to najbardziej strzeżony sekret Sokolników i Simon miał jedynie podejrzenie, że opiera się na jakimś wynalazku mechanicznym.

Tregarth wielokrotnie musiał zmieniać swoje zdanie o mieszkańcach nieznanego świata z powodu podobnie dziwnych sztuczek. Ludzie walczący mieczem i tarczą nie powinni wytwarzać skomplikowanych urządzeń komunikacyjnych. Takie luki i rozbieżności w wiedzy i wyposażeniu były zadziwiające. Łatwiej mu było zaakceptować „magię" czarownic niż oczy i uszy, a czasami nawet głosy sokołów.

Magia czarownic... Po schodach wyciętych w jednej z górskich jam Simon wszedł na platformę obserwacyjną. Żadna mgła nie przysłaniała łańcucha gór widocznych w świetle wczesnego poranka. Dzięki jakiejś sztuczce inżynieryjnej mógł przez szeroką przerwę obserwować otwartą przestrzeń, o której wiedział, że należy do Karsten.

Karsten! Wpatrywał się tak intensywnie przez tę dziurkę od klucza do księstwa, że nie zdawał sobie sprawy z obecności wartownika, dopóki tamten się nie odezwał:

istnieć siła, która sprawiała, że działali na pozór jak ludzie i zapadli się w nicość, która powinna być ich udziałem znacznie wcześniej, wkroczyli w krainę pokoju, której dotychczas odmawiali im ich władcy.

Żołnierze znaleźli innych więźniów w pomieszczeniu obok laboratorium, wśród nich także niektórych towarzyszy niedoli Simona. Z trudem budzili się z narkotycznego snu, nie pamiętając niczego od chwili zagazowania, ale dziękując swoim bogom, że przywieziono ich na Gorm za późno, by mogli iść w ślady tych wszystkich, których Kolder pochłonął.

Koris i Simon zaprowadzili ludzi z Sulcaru do podziemnego portu i tam w małej łódce opłynęli grotę. Odkryli tylko skalne ściany. Wejście do basenu musiało się znajdować pod wodą i przypuszczali, że musi być zamknięte, skoro uszkodzone statki dryfują w obrębie jaskini.

– Jeżeli kontrolował to ten, który nosił krążek – stwierdził Koris – to jego śmierć musiała też zamknąć wjazd. A ponieważ z nim stoczyłeś pojedynek sił już wcześniej, niewykluczone, że wydawał potem sprzeczne rozkazy, które doprowadziły do kompletnego zamieszania.

– Być może – zgodził się Simon myśląc o czymś innym. Zastanawiał się, czego się dowiedział od tamtego mężczyzny w ostatnich minutach jego życia. Jeżeli reszta sił Kolderu została zamknięta na tych statkach, to istotnie Estcarp ma się z czego cieszyć.

Zarzucili linę na jeden ze statków i przyciągnęli go do nabrzeża. Ale nie mogli sobie poradzić z zamknięciem pokrywy luku, więc powrócili do twierdzy pozostawiając ten problem ludziom z Sulcaru.

– To kolejna ich sztuczka. – Koris zasunął za sobą drzwi windy. – Ale najwyraźniej nie kontrolowana przez mężczyznę z krążkiem, skoro jeszcze działa.

– Możesz kontrolować ją równie dobrze jak on – Simon oparł się o ścianę kabiny odczuwając kompletne wyczerpanie. Ich zwycięstwo nie było decydujące, a Simon miał jeszcze przed sobą jedno zadanie, ale czy ludzie z Estcarpu uwierzą w to, co ma im do powiedzenia? – Pomyśl o korytarzu, w którym się spotkaliśmy, przypomnij go sobie dokładnie.

– I co? – Koris zdjął hełm, oparł się plecami o przeciwległą ścianę, zamknął oczy w pełni skoncentrowany.

Drzwi się otworzyły. Mieli przed sobą korytarz, na którym znajdowało się laboratorium i Koris zaśmiał się jak chłopiec podniecony nową zabawką.

– Takimi czarami również ja mogę się posługiwać. Ja, Koris Paskudny. Mogłoby się wydawać, że w Kolderze moc należy nie tylko do kobiet.

Simon raz jeszcze zamknął drzwi, przywołał w pamięci pokój z mapą na wyższej kondygnacji. Odpowiedział swemu towarzyszowi dopiero kiedy znaleźli się na górze.

– Może tego właśnie powinniśmy się teraz obawiać z ich strony, kapitanie. Mają swoją formę mocy i widziałeś, jak się nią posługują. Gorm może stanowić teraz skarbiec ich wiedzy.

Koris rzucił swój hełm na stół pod mapą i oparłszy się na toporze spojrzał na Simona.

– Jest to skarbiec, przed którego łupieniem przestrzegasz? – Szybko zrozumiał intencje Simona.

– Nie wiem. – Simon ciężko opadł na jedno z krzeseł, oparł głowę na dłoniach i wpatrywał się w powierzchnię stołu obok własnych łokci. – Nie jestem uczonym, nie władam tym rodzajem magii. Dla ludzi z Sulcaru te statki będą pokusą, dla mieszkańców Estcarpu to, co jest tutaj.

– Pokusą? – Ktoś powtórzył jego słowa i obaj mężczyźni obejrzeli się. Simon wstał z krzesła zobaczywszy, kto usiadł w pobliżu. Briant w pozie adiutanta stał koło kobiety.

Ubrana była w hełm i zbroję, ale Simon wiedział, że choć potrafi się zamaskować zmianą kształtu, on i tak ją rozpozna.

– Pokusa! – powtórzyła raz jeszcze. – Dobrze dobierasz słowa, Simonie. Tak, dla Estcarpu będzie to pokusa i dlatego właśnie tu jestem. Ten nóż ma dwa ostrza i możemy się sami pokaleczyć, jeżeli nie będziemy ostrożni. Jeżeli zniszczymy wszystko, co znaleźliśmy i zignorujemy tę dziwną wiedzę, możemy zapewnić sobie bezpieczeństwo, ale możemy także nierozważnie utorować drogę do następnego ataku Kolderu, bo nie można przygotować obrony, nie mając jasnego rozeznania, jaką bronią należy się posłużyć.

– Nie ma się czego obawiać ze strony Kolderu. – Simon mówił wolno, z trudem. – Na początku byli bardzo nieliczni. Jeżeli ktokolwiek stąd uciekł, można pójść za nim aż do źródła i tam go odciąć.

– Padnij! – rzucił Simon. Nie mieli już czasu dobiec do windy, jedyną nadzieję stanowiło przyłączenie się do leżących ciał.

Simon, z głową w ramionach, karabinem gotowym do strzału, obserwował wodę. Teraz mógł już odróżnić ostry dziób i podobnie spiczastą rufę. Jego domysły okazały się słuszne, to jeden ze statków Kolderu wracał do przystani.

Zastanawiał się, czy sam oddycha równie głośno jak leżący obok mężczyzna. Wszyscy trzej byli ubrani, w przeciwieństwie do leżących obok trupów, czy jakieś bystre oko wypatrzy błysk ich zbroi i zaatakuje ich którąś z broni Kolderu, zanim zdążą się poruszyć?

Srebrny statek jednak, wypłynąwszy na powierzchnię, nie wykonał już żadnego ruchu unosząc się na wodzie w jaskini jakby był równie martwy co ciała na nabrzeżu. Simon przyglądał mu się badawczo i podskoczył zaskoczony, kiedy leżący obok mężczyzna coś wyszeptał i dotknął jego ramienia.

Simon nie potrzebował jednak tej informacji. Sam dostrzegł owo kolejne wybrzuszenie się fal, które pchnęło pierwszy statek na nabrzeże. Teraz było jasne, że statku nikt nie prowadził. Nie mogąc w pełni w to uwierzyć, mężczyźni pozostali w ukryciu. Dopiero kiedy wynurzył się trzeci statek i fale zepchnęły dwa poprzednie, Simon uwierzył własnym oczom i podniósł się. Statki albo nie miały załogi, albo zostały uszkodzone. Dryfowały bezładnie, dwa zderzyły się z sobą.

W kadłubach i na pokładzie nie widać było żadnych otworów, żadnych śladów, że na statkach znajdowała się załoga czy pasażerowie. Ale wygląd nabrzeży wskazywał na coś innego. Sugerował pospieszne ładowanie statków, przygotowywanych albo do ataku, albo do opuszczenia Gormu. A gdyby celem miał być atak, czy niewolnicy zostaliby zabici?

Wchodzenie na pokład którejś z tych srebrnych łupin bez specjalnego przygotowania byłoby szaleństwem. Lepiej jednak nie spuszczać z nich oka. Trójka mężczyzn powróciła do kabiny, która ich tu przywiozła. Jeden ze statków uderzył o nabrzeże, odbił się od niego i podryfował dalej.

– Zostaniecie tutaj? – Simon zwrócił się do swoich podwładnych raczej z pytaniem niż z rozkazem. Gwardziści Estcarpu mogą być przyzwyczajeni do niezwykłych widoków, ale nie było to miejsce, w którym można było zostawić kogoś wbrew jego woli.

– Te statki, powinniśmy poznać ich tajemnice – odpowiedział jeden z mężczyzn. – Ale wydaje mi się, kapitanie, że już stąd nie odpłyną.

Simon zrozumiał tę okrężną odmowę. We trzech opuścili podziemny port, pozostawiając w nim jedynie uszkodzone łodzie i zmarłych. Zanim winda ruszyła w górę, Simon oglądał jej ściany w poszukiwaniu przycisków. Chciał znaleźć się na takiej kondygnacji, żeby spotkać się z oddziałami Korisa, a nie wracać z powrotem do pokoju z mapą.

Niestety, ściany kabiny były zupełnie gładkie. Rozczarowany Simon zamknął drzwi czekając aż winda ruszy. Wibracja ścian świadczyła o tym, że kabina się posuwa, i w tym momencie Simon przypomniał sobie laboratorium, bardzo zapragnął znaleźć się na tym piętrze.

Kabina zatrzymała się, po otwarciu drzwi trójka mężczyzn stanęła twarzą w twarz z przestraszonymi, ale czujnymi ludźmi Korisa. Jedynie te sekundy wahania uratowały obydwa oddziały od popełnienia fatalnego błędu, ponieważ ktoś z tamtej grupki zawołał Simona po imieniu. Simon rozpoznał Brianta. Wtedy pojawiła się charakterystyczna postać Korisa.

– Skąd się wzięliście? – zapytał. – Wyszliście ze ściany?

Simon znał korytarz, w którym zgromadziły się siły Estcarpu, o tym miejscu właśnie myślał. Ale dlaczego winda właśnie tu się zatrzymała, jakby w odpowiedzi na jego życzenia? Życzenia!

– Znaleźliśmy wiele rzeczy, ale niewiele z nich ma jakikolwiek sens. Ale dotąd nie znaleźliśmy żadnego z przedstawicieli Kolderu. A wy?

– Jednego i już nie żyje, ale może nie żyją wszyscy! – Simon pomyślał o statkach w przystani i o tym, co może kryć się w ich wnętrzach. – Nie przypuszczam, żebyśmy teraz musieli się obawiać spotkania z nimi!

W ciągu następnych godzin okazało się, że Simon był prawdziwym prorokiem. Poza człowiekiem w metalowym krążku w całym Sipparze nie można było znaleźć innego członka tej nieznanej rasy. A z niewolników Kolderu nikt nie żył. Znaleziono ich całe kompanie, a także dwójki czy trójki strażników w korytarzach i pomieszczeniach twierdzy. Wszyscy leżeli tam, gdzie upadli, tak jakby nagle przestała

– Czy masz jakieś polecenie, gwardzisto?

Polecenie? Te słowa poruszyły coś w umyśle Simona. Przez moment odczuł nawrót cisnącego bólu nad oczami, przekonanie, że musi coś zrobić. Był to rodzaj przeczucia, ale nie taki, jakiego doznał w drodze do Sulcarkeepu. Teraz było to przyzwanie, nie ostrzeżenie. Koris z gwardzistami może jechać na północ, ale on sam musi jechać na południe. Simon nagle przestał się bronić przed tym poczuciem konieczności.

– Czy przyszły jakieś wiadomości z południa? – zapytał wartownika.

– Zapytaj o to Pana Skrzydeł. – Wartownik, dzięki zdobytemu przeszkoleniu był podejrzliwy. Simon skierował się w stronę schodów.

– Zrobię to z pewnością!

Zanim udał się do wodza Sokolników, zaczął szukać Korisa. Znalazł go zajętego przygotowaniami do drogi. Kapitan podniósł wzrok znad siodła i nagle przestał zajmować się zamkami i rzemykami.

– Co się stało?

– Możesz się śmiać, ale moja droga prowadzi na południe – odpowiedział krótko Simon.

Koris usiadł na brzegu stołu i machał nogą. – Coś ciągnie cię do Karsten?

– Właśnie! – Simon na próżno starał się wyrazić słowami ów nakaz wzywający go wbrew zdrowemu rozsądkowi, nawet wbrew woli. Nigdy nie był specjalnie wymowny, ale teraz przekonał się, że jest mu trudniej wytłumaczyć motywy swojego postępowania. – Ciągnie mnie...

Machająca noga znieruchomiała. Na przystojnej, gorzkiej twarzy Korisa nie można było niczego odczytać. – Od kiedy? Jak to się objawiło? – Pytanie rzucone było szybko i ostro, tonem oficera żądającego raportu.

Simon mówił prawdę. – Coś mi się śniło i obudziłem się. Kiedy spojrzałem teraz na Karsten między górami, nie miałem wątpliwości, że tam wiedzie moja droga.

– A sen?

– Chodziło o niebezpieczeństwo, ale więcej nie pamiętam.

Koris włożył jedną pięść w drugą. – Niech tak będzie! Wolałbym, żeby twoja moc była albo większa, albo mniejsza. Ale jeśli ciebie ciągnie, to jedziemy na południe.

– My?

– Tunston i Jivin zawiozą wiadomości do Estcarpu. Kolder jeszcze przez jakiś czas nie potrafi się przebić przez barierę Mocy. A Tunston może prowadzić gwardię równie dobrze jak ja. Popatrz, ja pochodzę z Gormu, a teraz Gorm walczy z gwardią, choć może jest to Gorm martwy i kierowany przez demony. Od czasu gdy Strażniczka udzieliła mi schronienia, służyłem Estcarpowi najlepiej jak umiałem i będę dalej mu służył. Ale może nadszedł czas, kiedy przydam się bardziej poza szeregami jej poddanych. Mówię ci, Simonie, jeżeli ciągnie cię na południe, to nie bez przyczyny. A dwa miecze, czy raczej – poprawił się z uśmieszkiem – jeden topór i jedna kusza mają większą siłę niż samotny karabin. Sam fakt, że czujesz ten nakaz jest dobrą nowiną, musi bowiem znaczyć, że ta, która wyruszyła z nami do Sulcarkeepu, żyje i teraz stara się posunąć naprzód naszą sprawę.

Jechali na południe wyekwipowani w kolczugi i broń zwyciężonych rozbójników, mieli białe tarcze oznaczające, że są wędrującymi najemnikami, których można zaangażować. Straż graniczna Sokolników odtransportowała ich na skraj gór do szlaku handlowego w kierunku Kars.

Mając za przewodnika jedynie owo uparte poczucie konieczności Simon powątpiewał chwilami w sens ich wyprawy. Ten wewnętrzny nakaz nie opuszczał go jednak w dzień ani w nocy, chociaż nie śniły mu się koszmary. I co rano niecierpliwie oczekiwał na wyruszenie w dalszą drogę.

W Karsten były bardzo liczne wioski, a stawały się coraz większe i bogatsze w miarę jak podróżni zagłębiali się w urodzajne tereny wzdłuż szerokich rzek. Mali feudalni lordowie oferowali służbę dwóm żołnierzom z północy. Koris wprawdzie wyśmiewał się z proponowanych przez nich wynagrodzeń, podnosząc w ten sposób respekt, z jakim patrzono na niego i na jego topór, ale Simon mówił niewiele, bacznie obserwując wszystko dokoła, starając się zapamiętać topografię terenu, starając się zaobserwować także najdrobniejsze zwyczaje i przyjęte sposoby zachowania. W okresach kiedy podróżowali sami, zasypywał kapitana pytaniami.

Księstwo stanowiło kiedyś terytorium dość rzadko zaludnione przez rasę podobną do protoplastów

Estcarpu. Od czasu do czasu czyjaś dumnie podniesiona ciemnowłosa głowa i blada twarz z wyrazistymi rysami przypominała Simonowi mieszkańców północy.

- Przekleństwo Mocy wykończyło ich - wyjaśnił Koris w odpowiedzi na uwagę Simona.

- Przekleństwo?

Kapitan wzruszył ramionami. - Bierze się to z charakteru Mocy. Ci, którzy nią dysponują, nie mogą się rozmnażać. Tak więc co roku mniej było dziewcząt, które chciałyby wyjść za mąż i mieć dzieci. Wychodząca za mąż panna w Estcarpie może wybierać spośród dziesięciu, a wkrótce pewnie dwudziestu mężczyzn. Toteż pełno jest domów bez dzieci. Podobnie było tutaj. Kiedy silniejsi barbarzyńcy przybyli zza morza i tu się osiedlili, na wybrzeżu nie spotkali się z czynnym oporem. Coraz więcej ziemi przechodziło w ich ręce. Tubylcy cofali się w głąb lądu. Po pewnym czasie wśród nowo przybyłych wyrośli wielcy panowie. Stąd wzięli się książęta, a zwłaszcza ten ostatni, który był kiedyś zwykłym najemnym żołnierzem, ale dzięki sprytowi i sile swego miecza wzniósł się aż na szczebel najwyższego władcy.

- Podobna przyszłość czeka więc i Estcarp?

- Prawdopodobnie. Tylko, że nastąpiło wymieszanie krwi z mieszkańcami Sulcaru, którzy - jak się wydaje - mogą mieć potomstwo z rasą Estcarpu. Toteż na północy starej krwi przydała żywotności nowa. Ale Gorm może nas pochłonąć zanim stanie się cokolwiek innego. No jak tam, Simonie, czy miasto, do którego się zbliżamy, pociąga cię? To Gartholm nad rzeką, a dalej już jest tylko Kars.

- Więc jedziemy do Kars - odpowiedział po dłuższej chwili Simon. - Ciągle jeszcze czuję ten ciężar.

Brwi Korisa uniosły się. - Musimy poruszać się powoli i mieć oczy i uszy otwarte. Choć książę nie pochodzi ze znamienitego rodu i szlachta patrzy na niego krzywo, nie jest to człowiek tępy. Najmarniejszy nawet cudzoziemiec nie przemknie się niezauważony w Kars, a dwaj wolni żołnierze na pewno wzbudzą zainteresowanie. Zwłaszcza jeśli nie zechcemy natychmiast zaciągnąć się pod sztandary księcia.

Simon w zamyśleniu przyglądał się barkom rzecznym kołyszącym się na kotwicach przy nabrzeżu.

- Ale nie chciałby chyba przyjąć okaleczonego żołnierza. Czyż nie ma w Kars lekarzy, którzy zajęliby się rannym? Powiedzmy, człowiekiem, który otrzymał w czasie bitwy taki cios w głowę, że oczy nie służą mu już jak dawniej?

- Tak, że do Kars musiałby go przyprowadzić towarzysz? - zachichotał Koris. Tak, Simonie, to dobra opowiastka. A kto jest tym rannym wojownikiem?

- Myślę, że to moja rola. Pozwoli to uniknąć popełnienia rażących błędów, które niewątpliwie przykułyby uwagę bystrego książęcego szpiega.

Koris z aprobatą skinął głową. - Tutaj sprzedamy kucyki. Za dobrze wiadomo, że pochodzą z gór, a w Karsten góry są podejrzane. Możemy dopłynąć statkiem. To dobry plan.

Kapitan sam zajął się sprzedażą koni i kiedy wsiadł na barkę liczył jeszcze ostro zakończone kawałki metali, które w księstwie służyły jako monety. Z uśmiechem schował garść monet do sakiewki przy pasie.

- W moich żyłach płynie jednak kupiecka krew. Wziąłem o połowę więcej niż się spodziewałem, co wystarczy na posmarowanie kogo będzie trzeba, kiedy przyjedziemy do Kars, a także na zapasy żywności. - Położył na pokładzie tobół i topór, z którym nie rozstawał się od momentu, kiedy wyjął go z rąk Volta.

Spędzili dwa dni na rzece, niesieni jej powolnym prądem. Kiedy zbliżał się zachód słońca drugiego dnia i na horyzoncie zarysowały się wieże i mury Kars, Simon podniósł ręce do głowy. Znów odczuł pod oczami ból, który przeszył go z intensywnością ciosu. Po chwili ból ustąpił, pozostał tylko bardzo żywy obraz kiepsko wybrukowanej uliczki, muru i osadzonych w nim drzwi. To był ich cel i z pewnością znajdował się w Kars.

- To tu, Simonie? - kapitan położył rękę na jego ramieniu.

- Tak. - Simon zamknął oczy na odblaski zachodzącego słońca, kładące się na wodzie. Gdzieś w tym mieście musi znaleźć tę uliczkę, mur, bramę i spotkać się z osobą, która czeka. - Wąska uliczka, mur, brama...

krzesła, palce rozluźniły się i parowy pistolet wypadł na podłogę.

Po raz pierwszy od tamtego krzyku mężczyzna wydał dźwięk, był to rodzaj urywanego skomlenia, które sprawiło, że Simonowi zrobiło się niedobrze. Znów zanikająca wizja uciekających mężczyzn - chwila gorącego żalu, niemal cios dla człowieka, który w nim uczestniczył. Obydwaj walczący upadli na podłogę, mężczyzna nadział się na jakiś wystający drut. Simon uderzał mocno o podłogę metalowym krążkiem. Po raz ostatni coś w rodzaju rozpoznania przeskoczyło od mężczyzny do Simona i w tym ułamku sekundy zrozumiał może nie tyle, kim byli ludzie z Kolderu, ale skąd przybyli. Potem nie było już nic, Simon odepchnął zwiotczałe ciało i usiadł.

Tunston pochylił się i usiłował zdjąć metalowy krążek z poruszającej się bezwładnie głowy na szarych ramionach. Wszyscy byli nieco zaskoczeni, kiedy okazało się, że ów krążek stanowi nieodłączną część ciała.

Simon wstał. - Zostaw go! - rzucił gwardziście. - Ale niech nikt nie dotyka tych przewodów.

W tym momencie uświadomił sobie, że drganie podłogi i ścian ustało, że znikło życie, pozostawiając dziwną pustkę. Mężczyzna z krążkiem na głowie mógł stanowić serce, a kiedy ono przestało bić, cytadela przestała istnieć, tak jak wcześniej przestali istnieć mieszkańcy Sipparu.

Simon skierował się w stronę wnęki, w której znajdowała się winda. Czy nic już nie działa i nie będzie sposobu dostania się na niższe kondygnacje? Jednak drzwi niewielkiej kabiny były otwarte. Simon wydał rozkazy Tunstonowi i zabrawszy ze sobą dwóch żołnierzy, zamknął drzwi.

Szczęście wydawało się i tym razem sprzyjać obrońcom Estcarpu, bo zamknięcie drzwi wprawiło w ruch mechanizm windy. Kiedy drzwi ponownie się otworzyły, Simon miał nadzieję wysiąść na kondygnacji, na której znajdowało się laboratorium. Ale kiedy kabina się zatrzymała zobaczył coś, co było tak odległe od jego oczekiwań, że przez chwilę wpatrywał się w milczeniu, podczas gdy żołnierze wydawali okrzyki zdziwienia.

Znaleźli się na brzegu podziemnej przystani, w powietrzu unosił się zapach morskiej wody i czegoś jeszcze. Światło, podobne jak w całej twierdzy, koncentrowało się na pasie otoczonym z obu stron wodą, zmierzającym prosto w ciemną i ponurą czeluść. Na nabrzeżu leżały skłębione ciała ludzkie, wśród których nie było mężczyzn w szarych fartuchach.

Żywi umarli, których spotkali na ulicach Sipparu byli uzbrojeni i kompletnie ubrani, ci byli albo nadzy, albo odziani w strzępy dawnych ubrań, jakby od dawna sprawa ubierania ich nie dotyczyła.

Niektórzy padli obok niewielkich ciężarówek, na których piętrzyły się jeszcze pudła i kontenery. Inni leżeli rzędami jakby zmarli w czasie marszu w zwartym szyku. Simon podszedł bliżej i pochylił się, by się przyjrzeć pierwszemu z leżących. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna ten nie żył i to co najmniej drugi dzień.

Ostrożnie, przemykając się między leżącymi ciałami, trójka z Estcarpu zmierzała do końca nabrzeża. Żaden z zabitych nie był uzbrojony. Żaden też nie pochodził z Estcarpu. Jeżeli byli to niewolnicy Kolderu, należeli do innych ras.

- Tutaj, kapitanie. - Jeden z gwardzistów pozostał w tyle za Simonem i zatrzymał się w niemym zdziwieniu nad jakimś ciałem. - Tu leży człowiek, jakiego nigdy jeszcze nie widziałem. Popatrz na kolor jego skóry, na włosy, on nie jest stąd!

Nieszczęsny niewolnik Kolderu leżał na plecach jakby pogrążony we śnie. Ale jego skóra, przykryta tylko opaską wokół bioder, była czerwonobrązowa, a włosy ściśle przylegały do czaszki. Nie ulegało wątpliwości, że Kolder zarzucał swoje sieci w bardzo odległych regionach.

Nie bardzo wiedząc dlaczego, Simon doszedł do końca nabrzeża. Albo miasto Sippar wzniesiono kiedyś na gigantycznej podziemnej pieczarze, albo najeźdźcy wysadzili skałę, co jak przypuszczał Simon - mogło się wiązać z łodzią, na której był kiedyś więźniem. Czy to był ukryty port floty Kolderu?

- Kapitanie! - inny gwardzista trochę wyprzedził Simona mijając obojętnie stosy ciał. Stał teraz na cyplu kamiennego języka i przywoływał Simona.

W wodzie było jakieś poruszenie, fale wznosiły się wyżej zalewając nabrzeże, co zmusiło trzech mężczyzn do cofnięcia się. Nawet w tym minimalnym oświetleniu mogli dojrzeć wynurzający się na powierzchnię duży przedmiot.

Oczyszczenie Gormu

— Kapitanie - Tunston dogonił Simona. - Co znajdziemy na dole?
- Twoje przewidywania są równie dobre jak moje - odpowiedział Simon myśląc o czymś innym, bo właśnie w tym momencie uświadomił sobie, że nie wyczuwa żadnego niebezpieczeństwa, nawet w tym miejscu śmierci i połowicznego życia. A jednak coś musi być na niższych kondygnacjach, gdyż inaczej nie słyszeliby owego dźwięku.

Simon prowadził, trzymał karabin w pogotowiu, posuwał się naprzód ostrożnie, ale szybko. Mijali zamknięte drzwi, których mimo wysiłków nie udawało się otworzyć, aż doszli do pokoju z mapą.
Tutaj dźwięki unosiły się z podłogi pod ich stopami, przejmowały je następnie ściany, tak że wypełniły ich uszy i ciała swym powolnym rytmem.

Światełka na mapie nie paliły się. Na dużym stole nie było rzędu urządzeń obsługiwanych przez ubranych na szaro mężczyzn, chociaż metalowe uchwyty i zwisające luźno przewody wyznaczały miejsca, gdzie się dawniej znajdowały. Ale przy mniejszym stole w dalszym ciągu siedział mężczyzna z krążkiem, oczy miał zamknięte, był nieruchomy, tak jak podczas pierwszej wizyty Simona.

W pierwszej chwili Simonowi wydawało się, że mężczyzna nie żyje. Podszedł do stołu przyglądając się badawczo siedzącemu przedstawicielowi Kolderu. Nie miał prawie wątpliwości, że był to ten sam mężczyzna, którego wygląd przypominał sobie na użytek artystki z Estcarpu. Doskonałość własnej pamięci sprawiła mu przyjemność.

Tylko że... Simon zatrzymał się. Mężczyzna żył, choć miał zamknięte oczy i siedział nieruchomo. Jedna jego ręka leżała na pulpicie sterowniczym i Simon dostrzegł, że właśnie nacisnął palcem jakiś guzik.
Simon przyskoczył do niego. W ułamku sekundy dostrzegł otwarte oczy, na twarzy pod metalowym krążkiem malowała się złość, a może również strach. Simon schwycił przewody prowadzące od metalowego krążka do tablicy na ścianie. Pociągnął, zrywając liczne cienkie druciki. Ktoś krzyknął ostrzegawczo i Simon dostrzegł w powietrzu broń z lufą. To Kolder ruszył do akcji.
Simon ocalał jedynie dzięki temu, że splątany welon drutów uniemożliwił mężczyźnie swobodę ruchów. Simon uderzył karabinem w płaską twarz mężczyzny, który nie wydał żadnego dźwięku, choć w jego ciemnych oczach kryła się nienawiść. Uderzenie rozdarło skórę, spowodowało krwawienie policzka i nosa. Simon złapał nadgarstek mężczyzny i wykręcił go w ten sposób, że cienka strużka pary ze specjalnego pistoletu skierowana została na sufit.
Upadli obaj na krzesło, na którym siedział przedtem mężczyzna. Rozległ się ostry trzask, Simon poczuł ogień na szyi i na ramionach. W jego uszach dźwięczał przytłumiony i hamowany krzyk. Twarz mężczyzny pod osłoną krwi była skręcona agonią, ale opierał się w dalszym ciągu siłą stalowych mięśni.
Te oczy, coraz większe i większe, zdawały się wypełniać całe pomieszczenie, Simon po prostu w nie wpadał. I nagle nie było już oczu, tylko dziwne, trochę zamglone okno na inny świat, może na inny czas. Między filarami ukazała się grupa ubranych na szaro mężczyzn, jadących w nieznanych Simonowi pojazdach. Strzelali za siebie, była to niewątpliwie resztka jakiegoś rozbitego oddziału w pospiesznej ucieczce.
Walczyli w wąskim szyku, a Simon walczył wraz z nimi, wraz z nimi odczuwał desperację i taką zimną wściekłość, nie wyobrażał sobie, że w ogóle mogą istnieć uczucia tak ogarniające umysł i serce. Brama - kiedy raz znajdą się za bramą, wtedy będą mieli czas, czas na odbudowę, czas na to, by stać się tym, kim chcieli i mogli być. Strzaskane imperium i zrujnowany świat pozostawały za nimi, przed nimi był nowy świat do wzięcia.
Otoczonych uciekinierów rozproszono. Widział już tylko jedną pobladłą twarz z czerwoną plamą w miejscu, gdzie wylądował jego pierwszy cios. Otaczał ich obu zapach spalonego materiału i zwęglonego ciała. Jak długo trwała wizja owej doliny - nie mogło to być więcej niż sekundę! Simon ciągle jeszcze walczył, dociskając rękę mężczyzny do krzesła. Wreszcie dwukrotnie uderzył dłonią tamtego o oparcie

Koris zrozumiał. - To niezbyt wiele - zauważył. Wpatrywał się w miasto, jakby siłą woli mógł pokonać przestrzeń dzielącą jeszcze barkę od przystani.
Wkrótce szli z nabrzeża do bramy prowadzącej do miasta. Simon poruszał się powoli z niepewnością człowieka, który nie może zawierzyć swojemu wzrokowi. Był bardzo zdenerwowany, ale nie miał wątpliwości, że skoro znajdzie się w mieście, odszuka uliczkę. Nić, która prowadziła go przez teren całego księstwa, doszła już do końcowego węzła.
Na rogatkach Koris zajął się wyjaśnieniem. Wiarygodna historia o chorobie Simona, poparta łapówką wręczoną sierżantowi, pozwoliła im wejść do miasta. Kiedy przeszli przez ulicę i znaleźli się za rogiem, kapitan prychnął pogardliwie.
- Gdyby tak postąpił strażnik w Estcarpie, wyrzuciłby go z wojska i z miasta, zanim zdążyłby powiedzieć, jak się nazywa. Mówiono, że książę trochę zmiękł, odkąd objął władzę, ale nie uwierzyłbym, że aż do tego stopnia.
- Podobno każdy człowiek ma swoją cenę - wtrącił Simon.
- To prawda. Ale mądry dowódca zna cenę swych podwładnych i odpowiednio nimi rozporządza. To są najemnicy i można ich kupić tanio. Na polu bitwy stają jednak mężnie w obronie tego, kto im płaci. Co to?
Pytanie Korisa zabrzmiało ostro, ponieważ Simon nagle przystanął i obrócił się.
- Idziemy w złą stronę. Musimy kierować się na wschód.
- Koris bacznie obserwował ulicę przed nimi. - Cztery domy dalej jest przejście. Czy jesteś pewny?
- Tak. Najzupełniej.
Głuchy ból w skroniach Simona wzmagał się i malał, w jakiś sposób przypominał zabawę w „ciepło", „zimno". Szczególnie ostry atak bólu doprowadził go na biegnącą łukiem uliczkę, na którą wychodziły tylne ściany domów, z nielicznymi ciemnymi i pozasłanianymi oknami.
Przyspieszyli kroku. Simon rzucał okiem w każde mijane okno, bojąc się, że dostrzeże tam jakąś twarz. I wreszcie zobaczył bramę swoich wizji. Kiedy zatrzymał się przed nią, oddychał szybko nie tyle z fizycznego zmęczenia, ile z powodu wewnętrznego niepokoju. Uniósł dłoń i zapukał w solidne drzwi.
Nikt nie odpowiadał i Simon poczuł absurdalne rozczarowanie. Popchnął więc drzwi, ale okazało się, że były zaryglowane.
- Jesteś pewien, że to tu? - nalegał Koris.
- Tak. - Nie było żadnej zewnętrznej zasuwki, niczego, co pomogłoby sforsować drzwi. A jednak to, czego chciał, to, po co tu przybył, znajdowało się po drugiej stronie.
Koris cofnął się o krok szacując wzrokiem wysokość muru.
- Gdyby było trochę ciemniej moglibyśmy wejść przez mur. Ale o tej porze ktoś mógłby to zauważyć.
Simon zapomniał o ostrożności i zaczął walić w drzwi jak w bęben. Koris złapał go za ramię.
- Czy chcesz postawić na nogi całe wojsko księcia? - Przeczekajmy w jakiejś tawernie i wróćmy tu wieczorem.
- Nie ma potrzeby - usłyszeli nagle niski, pozbawiony wyrazu głos.
Koris uniósł topór, ręka Simona sięgnęła po kuszę. Drzwi uchyliły się minimalnie. W szczelinie między ceglanym murem a drewnianymi drzwiami stał młody człowiek. Był znacznie niższy od Simona, trochę niższy nawet od Korisa, zwinny i szczupły. Górną część twarzy przysłaniał mu daszek bojowego hełmu, miał na sobie kolczugę bez żadnych oznak.
Przeniósł wzrok z Simona na Korisa i widok kapitana zdawał się upewniać go o czymś, bo cofnął się trochę i wskazał im wejście. Znaleźli się w ogrodzie, w którym kruche łodyżki zmarzniętych kwiatów na grządkach otaczały nieczynną fontannę ze śladami starej piany na obrzeżach basenu. Kamienny ptak z obtrąconym dziobem wpatrywał się w od dawna już nieistniejące odbicie w wodzie.
Przeszli kolejne drzwi i powitał ich strumień światła. Młody człowiek wbiegł przed nimi, ale już ktoś inny zapraszał ich do wejścia.
Simon widział tę kobietę w łachmanach, kiedy próbowała się wymknąć sforze myśliwskich psów. Widział ją także w sali rady w skromnych szatach przynależnych profesji, jaką obrała. Jechał obok niej, kiedy udawała się z gwardzistami na wyprawę ubrana w kolczugę. Teraz miała na sobie kolory czer-

wone i złote, pierścienie na palcach i ozdobioną klejnotami siatkę przytrzymującą krótkie włosy.

– Simon! – Nie wyciągnęła do niego rąk, nie wykonała żadnych gestów, wypowiedziała tylko jego imię, ale Simon poczuł się ogrzany i uspokojony. – Koris! – Zaśmiała się ciepło, jakby zapraszając ich do zabawy, po czym wykonała ceremonialny dworski ukłon. – Czy przybyliście panowie, by zasięgnąć rady wróżki z Kars?

Koris położył na ziemi swój topór i zdjął z szerokich ramion torby.

– Przybyliśmy na twoje wezwanie, a raczej na wezwania, jakie słałaś Simonowi. A co będziemy tu robić, zależy od ciebie. Ale dobrze jest przekonać się, że nic ci nie grozi, pani.

Simon jedynie skinął głową. Po raz kolejny nie potrafił znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia uczuć, których natury nie chciał zbytnio zgłębiać.

Napój miłosny

Koris z westchnieniem odstawił puchar. – Najpierw łóżko tak królewskie, jakiego nie znają żadne koszary, a potem kolejno dwa takie posiłki. Nie piłem równie dobrego wina, odkąd opuściłem Estcarp. Nie ucztowałem też w tak dobranym towarzystwie.

Kobieta lekko klasnęła w dłonie. – Koris w roli dworzanina! I obaj z Simonem w roli cierpliwych. Żaden z was nie zapytał dotychczas, co robimy w Kars, chociaż jesteście pod tym dachem już całą noc i pół dnia.

– Pod tym dachem – powtórzył zamyślony Simon. – Czy to przypadkiem jest ambasada Estcarpu?

Kobieta uśmiechnęła się. – To mądra uwaga, Simonie. Ale nie, nie jesteśmy tu oficjalnie. Istnieje w Kars ambasada Estcarpu, której przewodzi pan o nienagannym pochodzeniu, całkiem nie związany z czarami. Przy uroczystych okazjach jada z księciem i wspaniale okazuje mu poważanie. Ale tamten budynek usytuowany jest w zupełnie innej dzielnicy. To, co my tu robimy...

Kiedy umilkła, Koris zapytał:

– Rozumiem, że nasza pomoc jest potrzebna, skoro Simon miał te swoje bóle głowy. Czy sprawi ci przyjemność, jeśli porwiemy Yviana, czy wystarczy jak rozpłatamy kilka czaszek?

Młody człowiek, który mówił niewiele, ale był zawsze obecny, a którego kobieta nazywała imieniem Briant, choć dotychczas nie wyjaśniła przybyszom jego obecności, sięgnął po półmisek z pasztetem. Bez hełmu i kolczugi, jakie miał na sobie przy pierwszym spotkaniu, wyglądał smukło, niemal krucho, wydawał się zbyt młody, by w ogóle potrafił sprawnie władać bronią, którą nosił. Ale w jego ustach i oczach kryła się jakaś zaciętość i zdecydowanie, które zdawały się świadczyć, że angażując go kobieta z Estcarpu dokonała mimo wszystko słusznego wyboru.

– Briant – zwróciła się teraz do niego – jak mają nam dostarczyć Yviana? – W pytaniu tym brzmiał jakiś figlarny ton.

Młody człowiek wzruszył ramionami, nadgryzając kawałek pasztetu. – Pragniesz go zobaczyć? Bo ja nie. – Obydwaj mężczyźni zauważyli, że wyraźny akcent padł na słowo ja.

– Nie, nie mamy zamiaru podejmować tu księcia. Chodzi nam o kogoś z jego otoczenia, o lady Aldis.

Koris gwizdnął. – Aldis! Tego bym nie przypuszczał...

– Że mamy jakieś interesy z metresą książęcą? Popełniasz tu błąd właściwy twojej płci, Korisie. Mam powody, by dowiedzieć się czegoś więcej o Aldis, a także wspaniały powód, by ją tu ściągnąć.

– Na przykład?

– Jej władza w księstwie opiera się wyłącznie na względach Yviana. Dopóki trzyma go w łóżku, ma to, na czym jej najbardziej zależy, nie służbę czy fatałaszki, ale wpływy. Ktokolwiek pragnie załatwić coś u księcia, to nawet jeśli pochodzi z najstarszego rodu, musi najpierw szukać pomocy Aldis. Zdobywszy pozycję, Aldis z nawiązką odpłaciła dawne zniewagi. Kiedy Yvian po raz pierwszy zwrócił na nią uwagę, wystarczały jej błyskotki i szmatki, ale po latach więcej zaczęła znaczyć władza. Doskonale sobie zdaje sprawę, że bez niej niewiele się różni od dziewki z portowej tawerny.

– Czyżby Yvian stawał się krnąbrny? – chciał wiedzieć Koris.

– Yvian się ożenił.

Simon obserwował dłoń nad półmiskiem z pasztetem. Tym razem ręka nie dotarła do celu.

instynktu samozachowawczego, tak jak żołnierze w zasadzce na drodze do Sulcarkeepu. Rzucili się na oddziały inwazyjne z siłą czołgu nacierającego na piechotę. Simon starym zwyczajem zabrał się do strzelania, za to Koris wymachiwał toporem Volta niby kołującą maszyną śmierci, wycinając przejście w szeregach nieprzyjaciela.

Niewolnicy Kolderu nie byli przeciwnikiem błahym, ale brakowało im błysku inteligencji, by w porę przegrupować siły, by lepiej wykorzystać przewagę liczebną. Wiedzieli tylko, że muszą atakować, dopóki jeszcze mają siłę, dopóki mogą utrzymać się na nogach. I tak właśnie postępowali, z niezdrową zaciętością ludzi pozbawionych rozumu. Były to czyste jatki, które brzydziły nawet doświadczonych gwardzistów, kiedy starali się bronić i opanować teren.

Ostrze topora Volta przestało błyszczeć. Koris wzniósł do góry splamioną krwią broń, dając znak posuwania się do przodu. Jego ludzie zwarli szeregi pozostawiając za sobą ulicę, która nie była już pusta, choć w dalszym ciągu pozbawiona życia.

– To miało nas zatrzymać – Simon dogonił kapitana.

– Tak przypuszczałem. Czego teraz możemy oczekiwać? Śmierci z powietrza, jak w Sulcarkeep? – Koris spojrzał w górę obserwując bacznie pobliskie dachy.

Te właśnie dachy nasunęły jego towarzyszowi pomysł nowego planu działania.

– Nie sądzę, by udało się dostać do twierdzy na poziomie ulicy – zaczął i usłyszał cichy śmiech pod hełmem kapitana.

– Na pewno nie. Ale ja znam przejścia, których nie zwietrzyli nawet ci z Kolderu. To była kiedyś moja twierdza.

– Ja też mam plan – przerwał Simon. – Na statkach jest pełno lin i mocnych haków. Niech jeden oddział spróbuje wejść przez dach, kiedy ty będziesz szukał swoich przejść. Może zaciśniemy szczęki z obu stron.

– Dobrze! – zgodził się Koris. – Próbuj więc podniebnych szlaków, skoro już tamtędy podróżowałeś. Wybierz sobie ludzi, ale nie więcej jak dwudziestu.

Jeszcze dwukrotnie zaatakowały ich oddziały tych nieżyjących żywych i za każdym razem tracili coraz więcej własnych żołnierzy, zanim unicestwili zupełnie siły Kolderu. W końcu oddziały Estcarpu rozdzieliły się. Simon z dwudziestoma gwardzistami wyłamał drzwi i wdrapał się na dach przedzierając się przez wszechobecny zapach śmierci. Nie zawiodło go poczucie kierunku, w sąsiednim dachu widoczna była postrzępiona dziura, ślad lądowania jego samolotu.

Odsunął się, by umożliwić marynarzom zarzucenie haków na balustradę tamtego dachu nad ich głowami, od którego dzieliła ich szerokość ulicy. Mężczyźni przywiązali miecze, sprawdzili zapięcia pasów i z determinacją spoglądali na tę podwójną linę przeciągniętą nad nicością. Simon wybrał tylko takich ochotników, którzy nie cierpieli na lęk przestrzeni. ale teraz, kiedy przyszło do ostatecznej próby, miał więcej wątpliwości niż nadziei.

Podjął jednak tę wspinaczkę, szorstka lina drapała skórę dłoni, wydawało mu się, że nie wytrzyma takiego obciążenia ramion.

Samoloty, które uszkodził, stały na swoich miejscach, ale otwarte pokrywy silników i rozrzucone wokół narzędzia świadczyły o tym, że próbowano je naprawić. Dlaczego nie skończono tej pracy, pozostawało tajemnicą. Simon wyznaczył czterech ludzi do pilnowania dachu i liny, a z resztą wyruszył na podbój niższych kondygnacji.

Panowała tu ta sama cisza co w całym mieście. Przechodzili długimi korytarzami, schodzili po schodach, mijali zamknięte drzwi i towarzyszył im tylko przytłumiony odgłos własnych kroków. Czyżby twierdza była opuszczona?

Zmierzali do centrum ślepego, zamkniętego budynku, oczekując w każdej chwili spotkania z jedną z band niewolników. Światło stawało się coraz jaśniejsze, wyczuwało się nieokreśloną zmianę w powietrzu świadczącą o tym, że jeśli nawet te kondygnacje były opuszczone, to od bardzo niedawna.

Oddział zszedł po ostatnich stopniach kamiennych schodów, które Simon pamiętał tak dobrze. Niżej schody te zakończą się szarymi ścianami. Przechylił się przez poręcz, nasłuchując. Gdzieś bardzo daleko słychać było dźwięk, powtarzający się równie regularnie jak bicie serca.

zarówno w tej, jak w każdej innej bitwie.

Przez chwilę wydawało się, że Koris może się temu sprzeciwić, ale już wołano ich do łodzi. A kiedy podpływali do statku, Simon zauważył, że młody człowiek przez cały czas przeprawy starał się trzymać tak daleko od swego dowódcy, jak na to pozwalały rozmiary łodzi.

Statek, który miał prowadzić atak Estcarpu, był kutrem rybackim i gwardziści stłoczyli się na jego pokładzie niemal ramię przy ramieniu. Inne, równie dziwaczne jednostki, pozostały w tyle, kiedy wypływali na wody zatoki.

Byli już na tyle blisko, by móc obserwować rozkładającą się w porcie Gormu flotę, kiedy rozległo się nawoływanie ze statków Sulcaru, które przepłynęły zatokę i udały się w kierunku przylądka. Te kupieckie statki wyładowane Sokolnikami, uciekinierami z Karsten i obywatelami Sulcaru miały dopłynąć do lądu od strony otwartego morza.

Simon nie miał pojęcia, w którym miejscu podczas ucieczki przebił się przez barierę otaczającą Gorm, niewykluczone więc, że prowadził całą tę zmasowaną inwazję prosto ku zagładzie. Mogli tylko mieć nadzieję, że gra sił osłabiła nieco obronę.

Tregarth stał na dziobie rybackiego kutra, obserwując port wymarłego miasta, czekając na pierwszą oznakę istnienia zapory. A może uderzy na nich teraz jeden z tych metalowych statków, których pokonanie jest absolutnie niemożliwe dla sił Estcarpu?

Wiatr dął w żagle i choć wszystkie statki były przeładowane, trzymały się kursu jak na ćwiczeniach. W pewnym momencie przeciął im drogę dryfujący kadłub, którego poszarpane żagle ciągle jeszcze potrafiły złapać wiatr, a którego tempo hamował szeroki kołnierz zielonych wodorostów widocznych tuż pod linią zanurzenia.

Na jego pokładzie nie było śladu życia. Ze statku Sulcaru wystrzelono kulę, która powoli wznosiła się w powietrze, by rozbić się na pokładzie dryfującego wraka. Po chwili z luku zaczęły się wydobywać płomienie, łapczywie obejmujące suche wiązania i statek płonąc jak pochodnia podryfował na pełne morze.

Simon uśmiechnął się do Korisa czując wzrastające podniecenie. Nie miał już wątpliwości, że znaleźli się poza pierwszą strefą niebezpieczeństwa.

– Minęliśmy twoją barierę?

– Tak, chyba że przenieśli ją bliżej brzegu.

Koris opierał brodę na toporze Volta obserwując ciemne place portowych nabrzeży tego niegdyś kwitnącego miasta. On również się uśmiechał, tak jak wilk szczerzy kły przed rozpoczęciem walki.

Zbliżali się do portu, teraz należało znaleźć dojście do nabrzeży pomiędzy zakotwiczonymi wszędzie statkami. Ciągle nie widać było żadnych oznak życia w Sipparze. Zapał najeźdźców osłabiła trochę ponura i odpychająca cisza martwego miasta, ich entuzjazm zmalał minimalnie, gasło też uczucie triumfu z powodu pokonania bariery.

Simon kontynuował obserwację brzegu, wpatrując się w wylot każdej pustej ulicy, od czasu do czasu spoglądając do góry na olbrzymią budowlę, która z wielu powodów stanowiła teraz serce Sipparu. Nie umiałby określić, czego się obawiał, samolotów czy żołnierzy wylewających się z ulic na nabrzeża. Bardziej denerwujący był ten absolutny brak reakcji. Lepiej byłoby zmierzyć się z dziwną bronią Kolderu w postaci hord ich niewolników. To było zbyt łatwe, Simon nie przywiązywał wielkiej wagi do gry sił, nie mógł w pełni uwierzyć, że skoro twarz pewnej małej figurki stopiła się, pokonali w ten sposób siły ukryte na Gormie.

Dobili do brzegu bez przeszkód, ludzie z Sulcaru lądowali trochę dalej na brzegu, by odciąć drogę ewentualnych posiłków z innych części wyspy. Ruszyli ulicami, po których Simon szedł kilka dni wcześniej, próbowali otwierać zamknięte drzwi, zaglądali w ciemne kąty. Ale wydawało się, że w stolicy Gormu nie porusza się żadna żywa istota.

Zbliżali się już do centralnej twierdzy, kiedy napotkali pierwszy opór, nie z powietrza, ani nie w postaci żadnej niewidocznej fali. Nagle ulice zapełniły się żołnierzami, którzy poruszali się zręcznie, ale w milczeniu, bez żadnych okrzyków bojowych, za to ze śmiertelną zaciętością. Niektórzy ubrani byli w mundury Sulcarkeepu, inni Karstenu, Simon dostrzegł także kilka ptasich hełmów Sokolników.

Ten milczący atak prowadzili ludzie, którzy nie tylko mogli zginąć, ale pozbawieni byli wszelkiego

– Słyszeliśmy w górach opowieści o ślubie z dziedziczką Verlaine.

– Małżeństwo przez topór wojenny – wyjaśniła kobieta. – Książę nie widział jeszcze swojej nowej małżonki.

– Jego obecna pani z Verlaine uważana jest za taką piękność? – zapytał niedbale Simon. Dostrzegł jednak, że Briant rzucił na niego szybkie, przelotne spojrzenie.

I właśnie Briant udzielił mu odpowiedzi:

– Nie jest! – W tych dwóch słowach zaprzeczenia kryła się nuta goryczy, która zaskoczyła Simona. Nie mieli pojęcia, kim był Briant, ani skąd go wytrzasnęła kobieta, ale może chłopak podkochiwał się w spadkobierczyni Verlaine i był rozczarowany.

Czarodziejka roześmiała się. – To także może być kwestia gustu. Ale masz rację, Simonie, myślę, że Aldis spędza bezsenne noce, odkąd odczytano tę wielką nowinę na rynku w Kars. Zastanawia się, jak długo jeszcze Yvian będzie ją chciał. A w tym stanie ducha nadaje się doskonale do naszych celów.

– Rozumiem, że ta dama może szukać pomocy – przyznał Simon. – Ale dlaczego twojej?

Kobieta spojrzała na niego z niemym wyrzutem.

– Chociaż nie występuję tutaj jako obdarzona specjalną mocą kobieta z Estcarpu, cieszę się jednak w tym mieście pewną reputacją. Nie jest to zresztą moja pierwsza tu wizyta. Mężczyźni i kobiety, zwłaszcza kobiety, zawsze chcą się dowiedzieć czegoś o swojej przyszłości. Dwie pokojówki Aldis odwiedziły mnie w ciągu ostatnich trzech dni, uzbrojone w fałszywe imiona i jeszcze bardziej nieprawdziwe opowieści. Kiedy powiedziałam im, jak się naprawdę nazywają, kim są i podałam kilka faktów, pobiegły co prędzej do swojej pani z wykrzywionymi twarzami. Nie ma obawy, wkrótce ona też się zjawi.

– Ale czego się po niej spodziewasz? Jeżeli jej wpływ na Yviana maleje... – Koris pokręcił głową. – Nigdy nie udawałem, że rozumiem kobiety, ale teraz czuję się kompletnie zagubiony. Naszym wrogiem jest Gorm, nie Karsten, w każdym razie jeszcze nie.

– Gorm! – Na twarzy kobiety odmalowały się hamowane emocje. – Gorm znajduje swe korzenie także tutaj.

– Co takiego?! – Koris uderzył pięściami o stół. – Co ma Gorm do księstwa?

– To wszystko trochę inaczej wygląda, raczej Karsten ma coś do Gormu, w każdym razie tam wysyła się część jego ludzi. – Kobieta oparłszy podbródek na złączonych rękach, mówiła z zapałem:

– Widzieliśmy w Sulcarkeep, co siły Kolderu zrobiły ludziom z Gormu, używając ich jako broni. Ale Gorm jest tylko małą wysepką i zanim został zdobyty, musiało polec w bitwie wielu jego mieszkańców, których nie zdążono... przerobić.

– To prawda! – głos Korisa brzmiał brutalnie. – Nie mogli oplątać zbyt wielu jeńców.

– Właśnie. A kiedy padło Sulcarkeep, w momencie wysadzania twierdzy Magnis Osberic musiał zabrać ze sobą także większość atakujących. W ten sposób oddał swoim przysługę. Większa część floty handlowej była na morzu, a według zwyczaju Sulcarpu na takie wyprawy zabiera się całą rodzinę. Ich przystań na tym kontynencie przestała istnieć, ale naród żyje i może się gdzieś osiedlić. Czy Kolder może tak łatwo zastąpić straconych ludzi?

– Musi im brakować żołnierzy – ton głosu Simona był na pół pytający, gorączkowo rozważał, jakie możliwości kryją się za stwierdzeniem kobiety.

– To może być prawdą. Ale może z jakichś powodów nie chcą lub nie mogą zmierzyć się z nami. Tak niewiele wiemy o Kolderze, nawet kiedy jest już przed naszymi drzwiami. Teraz zaciągają ludzi.

– Ale niewolnicy nie są pewnymi żołnierzami – zauważył Simon. – Wystarczy dać im broń do ręki i można oczekiwać buntu.

– Simonie, czyżbyś zapomniał, jacy ludzie czekali na nas w zasadzce? Zastanów się, czy byli skłonni do jakiegokolwiek buntu. Nie, ci którzy maszerują w takt wojennych bębnów Kolderu, nie mają już własnej woli. Ale prawdą jest także i to, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy galery podpływały do wyspy przy ujściu rzeki Kars i ładowano na nie więźniów z Karsten. Niektórzy pochodzili z więzień książęcych, innych po prostu łapano na ulicach w porcie, ludzi samotnych, takich, których nieobecności nikt nie zauważy.

– Takich działań nie da się długo utrzymać w sekrecie. Tu słówko, tam słówko i udało nam się złożyć je w całość. Ludzie sprzedawani są do Kolderu. A jeżeli tak się dzieje w Karsten, to dlaczego nie w

Alizon? Teraz lepiej rozumiem, dlaczego moja misja w Alizon się nie powiodła i dlaczego zdemaskowano mnie tak szybko. Jeżeli Kolder dysponuje pewnymi mocami, a przypuszczamy, że tak jest, to można mnie było odkryć z taką łatwością, z jaką psy biegły za naszym zapachem po wrzosowiskach.
– Sądzimy, że Kolder zbiera teraz siły na wyspie Gorm do uderzenia na kontynent. Może pewnego dnia Karsten i Alizon odkryją, że dostarczyły broni na swoją własną zagładę. Dlatego właśnie chcę się zająć Aldis, musimy wiedzieć więcej o tym plugawym handlu z Gorm, a nie może on przecież prosperować bez wiedzy i przyzwolenia księcia.
Koris poruszył się niespokojnie.
– Żołnierze także rozmawiają, pani. Runda gotowego się zaciągnąć wojaka po winiarniach, i to w dodatku z sakiewką pełną monet, może nam też przynieść wiele wiadomości.
Kobieta spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Yvian nie jest głupi. Ma oczy i uszy w każdym miejscu. Wystarczy, żeby ktoś taki jak ty, kapitanie, pojawił się w winiarni, a dowie się o tym.
Koris nie wydawał się tym zmartwiony. – Czyż Koris z Gormu nie stracił swych ludzi i swej reputacji w Sulcarkeep? Możesz mi wierzyć, że będę miał pod ręką przekonywającą historię, jeśli ktoś mnie o nią zapyta. Co do ciebie – skinął na Simona – to lepiej, żebyś się nie pokazywał, żeby nie dogoniła nas historia, jaką opowiedzieliśmy na rogatkach. Może przyczaiłbyś się tutaj? – Koris uśmiechnął się do Brianta.
Ku ogromnemu zdziwieniu Simona, młodzieniec, zazwyczaj poważny, posłał Korisowi w odpowiedzi nieśmiały uśmiech. Potem spojrzał na kobietę, jakby szukając przyzwolenia. I ku nie mniejszemu zdumieniu Simona ona dała owo przyzwolenie z tą samą figlarnością, jaką zademonstrowała wcześniej.
– Briant nie jest weteranem koszar, Korisie. Ale jest tu uwięziony już wystarczająco długo. I nie lekceważ jego miecza, zapewniam cię, że pod wieloma względami mógłby cię zadziwić i pewno to zrobi.
Koris się roześmiał. – W to nie wątpię, pani, zważywszy, że ty to mówisz. – Sięgnął po swój topór stojący obok krzesła.
– Lepiej zostaw tę zabawkę tutaj – ostrzegła. – Ona na pewno zostanie zauważona. – Położyła rękę na ostrzu. Jej ręce jakby przymarzły do topora. Po raz pierwszy od chwili ich przybycia Simon zauważył, że straciła właściwy sobie spokój.
– Pokaż mi wobec tego bezpieczne miejsce, w którym mogę to złożyć – odpowiedział Koris z nieukrywaną niechęcią.
Kobieta myślała przez chwilę, pocierając palcami o dolną wargę. – Niech tak będzie. Ale potem musisz mi wszystko opowiedzieć, kapitanie. Weź topór, a pokażę ci najbezpieczniejsze miejsce w tym domu.
Simon i Briant poszli w ślad za nimi do innego pokoju. Na ścianach wisiały tkaniny tak stare, że dawało się odczytać jedynie zarysy pierwotnego rysunku. Kobieta minęła jedną z tkanin i podeszła do rzeźbionego panneau, na którym szczerzyły kły bajeczne bestie. Pociągnęła płycinę i oczom wszystkich ukazała się szafa, na której dno Koris położył topór.
W twierdzy Estcarpu Simon czuł obecność dawnych wieków, potężne fale czasu otaczały człowieka całym naporem stuleci, w pieczarze Volta odczuwał lęk przed czymś nieludzkim, kiedy Volt jakby królował na dworze cieni i kurzu, w tym pomieszczeniu ze ścian bił także rodzaj promieniowania. Było coś namacalnego w powietrzu, co sprawiało, że cierpła mu skóra.
Ale Koris chciał szybko załatwić sprawę ukrycia swego skarbu, a kobieta zamknęła szafę gestem gospodyni domowej chowającej szczotkę. Briant zatrzymał się w drzwiach, jak zwykle spokojny. Dlaczego Simon czuł się tak dziwnie? Tak go to dręczyło, że został chwilę po wyjściu innych i starał się jak najwolniej przejść przez środek pokoju.
Stało w nim jedynie krzesło z wysokim oparciem z czarnego drewna, które mogło pochodzić z sali audiencyjnej, a naprzeciwko niego równie ciemny stołek. Na podłodze pomiędzy nimi leżał dziwny zbiór przedmiotów, w którym Simon starał się odnaleźć rozwiązanie zagadki.
Przede wszystkim był tam niewielki gliniany kociołek – palenisko, w którym można było podpalić najwyżej garstkę węgla. Umieszczony był na dokładnie przyciętej, gładko wypolerowanej deseczce. Obok stała ceramiczna waza z jakimś szarobiałym kitem i butelka w kształcie rombu. Dwa siedzenia i ta dziwna kolekcja przedmiotów, ale było tam jeszcze coś więcej.

powstrzymująca się od wszelkich sugestii. Simon był tak pewny posłuszeństwa nieprzyjaciela, jak pewny był tego, że w jego własnych żyłach płynie żywa krew. To, co panowało nad Gormem, zostanie skruszone, bariera będzie przełamana, dopóki to narzędzie działać będzie nie uszkodzone przez współtowarzyszy. Estcarp miał teraz sprzymierzeńca-robota w obrębie fortecy.
Simon podniósł głowę, otworzył oczy, zobaczył, że jego ręka ciągle jeszcze ściska palce Strażr zki wokół nóg maleńkiej figurki. Ale figurka ta nie była już doskonała. Pod metalowym przykryciem g wa stała się bezkształtną masą stopionego wosku.
Strażniczka rozluźniła uścisk, cofnęła rękę i położyła ją ciężko na stole. Simon obrócił głowę, zobaczył po swojej lewej stronie bladą i wyczerpaną twarz, lekko zamglone, ciemne oczy. Ta, która skoncentrowała swą moc na osobie Aldis, osunęła się na oparcie krzesła. Figurka przed nią także mocno ucierpiała.
Kukiełka nazwana Fulkiem z Verlaine leżała płasko na stole, a skulony Briant schował głowę w dłoniach, proste jasne włosy pot przylepił mu do czaszki.
– Zrobione. – Strażniczka pierwsza przerwała ciszę. – To, co mogła zdziałać moc, zostało zrobione. Dziś udało nam się lepiej niż kiedykolwiek w dziejach Estcarpu. Teraz miejsce na ogień i miecz, wiatr i fale, aby nam służyły, jeżeli znajdą się mężczyźni, którzy się nimi posłużą. – Jej głos był bardzo cichy z wyczerpania.
Odpowiedział jej ktoś, kto podszedł do stołu przy akompaniamencie szczęku metalu charakterystycznego dla wojownika w pełnej zbroi. Koris miał przywieszony do pasa hełm zwieńczony sokołem, teraz uniósł w górę topór Volta.
– Bądź pewna, pani, że są mężczyźni gotowi do użycia każdej broni, jakiej dostarczy nam los. Wici zapalono, nasze armie i statki ruszają.
Simon się podniósł, chociaż ziemia pod jego stopami wydawała się wirować. Kobieta siedząca po jego lewej stronie poruszyła się gwałtownie. Wyciągnęła rękę, ale nie dotknęła Simona, tylko opuściła ją z powrotem na oparcie krzesła. Nie wyraziła także słowami tego, co odczytywał w napiętych liniach jej ciała.
– Wojna, przeprowadzona zgodnie z waszymi mocami – zwracał się do niej, jakby byli sami – jest wojną zgodną z obyczajami Estcarpu. Ale ja nie jestem z Estcarpu i pozostaje jeszcze ta inna wojna, która należy do mojego typu mocy. Grałem w waszą grę, pani, zgodnie z waszym życzeniem, teraz chcę zagrać w swoją.
Kiedy obchodził stół, by dołączyć do kapitana, kobieta wstała i wahała się przez chwilę, z ręką opartą o stół. Briant patrzył na figurkę przed sobą z pozbawioną wyrazu twarzą, bo figurka na stole, choć przewrócona, pozostała nietknięta.
– Nigdy nie pragnąłem mocy – powiedział tępo swoim miękkim głosem. – Wydaje się, że w tym rodzaju wojny jestem do niczego. Może lepiej mi pójdzie z mieczem i tarczą.
Koris wykonał taki gest, jakby pragnął zaprotestować. Ale czarodziejka wtrąciła szybko:
– Wszyscy, którzy pozostają pod sztandarami Estcarpu, mają wolny wybór. Niech nikt nie kwestionuje prawa do tego wyboru.
Strażniczka przyzwalająco skinęła głową. Wyszli więc we trzech z namiotu na brzeg: Koris, pełen życia i energii, niosąc swą ładną głowę na groteskowych ramionach i rozdymając nozdrza jakby wyczuwał w powietrzu coś więcej niż zapach morskiej soli; Simon poruszający się wolniej, odczuwający nowy rodzaj zmęczenia, ale zdecydowany dotrwać do końca tej przygody i Briant nakładający hełm na jasną głowę, wpatrzony wprost przed siebie jakby kierowała nim siła znacznie mocniejsza od jego woli.
Kiedy zbliżyli się do łodzi, mających zawieźć ich na statki, kapitan odwrócił się do nich. – Ty popłyniesz ze mną na okręcie flagowym, Simonie, bo musisz służyć za przewodnika, a ty – spojrzał na Brianta i zawahał się. Ale młodzieniec z podniesioną głową i wyzywającym wyrazem oczu stawił czoła temu wahaniu. Simon wyczuł między tymi dwoma jakieś im tylko wiadome prądy i czekał, jak Koris przyjmie to milczące wyzwanie.
– Ty, Briant, dołączysz do moich żołnierzy i z nimi zostaniesz!
– Ja, Briant – odpowiedział niemal z bezczelnością młodzieniec – pozostanę za twoimi plecami, kapitanie, kiedy będzie ku temu wystarczająca przyczyna. Walczę własnym mieczem i z własną tarczą

cy Gormu z metalowym krążkiem na głowie. Wydawało mu się, że podobieństwo zostało uchwycone bezbłędnie.

– Gorm! – Rozpoznał postać, choć nie potrafił nadać jej lepszego imienia. A kobieta starannie ustawiła figurkę na brązowozłotym sokole.

Gra sił

Pięć postaci na symbolach krajów, pięć doskonałych przedstawień żywych mężczyzn i kobiety. Ale dlaczego? W jakim celu? Simon znowu spojrzał w prawo. Ręce czarodziejki obejmowały teraz maleńkie stopy laleczki Aldis, a ręce Brianta – nogi Fulka. Obydwoje wpatrywali się z zapamiętaniem w swoje laleczki, choć Briant miał dość niepewną minę.

Simon skierował uwagę na figurkę mężczyzny stojącą przed nim. Po głowie przemykały mu wspomnienia dawnych legend. Czy będą teraz wbijać szpilki w te repliki i oczekiwać, że pierwowzory dotknie cierpienie i śmierć?

Strażniczka sięgnęła po jego dłoń i trzymała ją w uścisku, jaki poznał w Kars w czasie transformacji. Równocześnie drugą ręką objęła podstawę stojącej figurki. Simon zrobił to samo i teraz ich palce zamknęły w uścisku laleczkę reprezentanta Kolderu.

– Myśl teraz o tym, z którym stoczyłeś próbę sił, z którym może łączyły cię więzy krwi. Wyrzuć ze swego umysłu wszystko inne, skoncentruj się na tym, którego musisz dosięgnąć i ugiąć, żeby służył naszym celom. Bo musimy teraz, przy tym stole, wygrać w tej grze sił, inaczej zginiemy!

Simon wpatrywał się w figurkę z krążkiem. Nie wiedział czy mógłby oderwać od niej wzrok, nawet gdyby chciał. Przypuszczał, że uczestniczy w tej dziwacznej procedurze przede wszystkim dlatego, że jako jedyny człowiek z Estcarpu widział owego wodza Gormu.

Maleńka twarz, na pół przysłonięta metalowym beretem, stawała się coraz większa, niemal naturalnych rozmiarów. Patrzyli na siebie teraz tak jak w kwaterze w sercu Sipparu.

Oczy mężczyzny były zamknięte, zajęty był swoimi tajemniczymi sprawami. Simon nie przestawał się mu przyglądać i uświadomił sobie, że w jego umyśle zbiera się cała nienawiść, jaką czuł do Kolderu, cały wstręt zrodzony w Sipparze, płynący ze sposobu, w jaki traktowali więźniów. Jakby z drobnych elementów składał jedną wspaniałą broń.

Simon nie znajdował się już dłużej w namiocie, w którym słychać było morski wiatr i zgrzytanie piasku pod palcami. Stał na wprost mężczyzny z Kolderu w twierdzy Sippar, chcąc go zmusić, by otworzył oczy, spojrzał na niego, Simona Tregartha, i zmierzył się z nim w pojedynku nie dwóch ciał, ale woli i umysłów.

Mężczyzna otworzył oczy i Simon patrząc w ciemne źrenice, zobaczył jak powieki unoszą się wyżej jakby w geście rozpoznania, uświadomienia sobie zagrożenia. Mężczyzna jakby zdał sobie sprawę, że staje się rodzajem tygla, w którym każdy strach, każde niebezpieczeństwo doprowadzić może do stanu wrzenia.

Wpatrywali się w siebie. Simon powoli tracił świadomość istnienia płaskich rysów twarzy, metalowego nakrycia głowy. Pozostawały tylko te oczy. Tak jak w Kars czuł przepływanie strumienia mocy z własnej ręki do ręki czarodziejki, tak teraz wiedział, że to, co w nim się gotuje, zasilane jest stale ciepłem większym, niż mógłby sam stworzyć, że był tylko kuszą, z której wylecieć miała fatalna strzała.

Początkowo człowiek z Kolderu stał naprzeciwko niego z pewnością siebie, teraz pragnął uwolnić się z tego pojedynku oczu, więzi umysłu, za późno uświadomił sobie, że schwytano go w pułapkę. Mężczyzna z Gormu nie mógł wycofać się z tego, co zaakceptował pełen wiary w swoje formy czarów.

Simon poczuł nagle rozluźnienie napięcia. Udzieliło się to przeciwnikowi. W jego oczach pojawiła się panika, która ustąpiła miejsca niewypowiedzianemu przerażeniu, płynącemu tak długo, aż nie zostało już żadne uczucie. Simon nie miał wątpliwości, że przed nim znajduje się już tylko powłoka, która podporządkuje się jemu, tak jak powłoki, które widział na Gormie podporządkowywały się woli swych właścicieli.

Wydał więc polecenia. Moc Strażniczki karmiła jego siłę, obserwowała i czekała, gotowa pomóc, ale

Simon nie słyszał, kiedy kobieta weszła do pokoju, toteż jej głos dość gwałtownie wyrwał go z zamyślenia.

– Kim ty jesteś, Simonie?

Ich oczy spotkały się. – Przecież wiesz. Powiedziałem prawdę w Estcarpie. Masz chyba własne sposoby sprawdzania, czy ktoś kłamie.

– Owszem, mamy takie sposoby, a ty powiedziałeś prawdę. Ale muszę raz jeszcze zadać ci to pytanie: kim jesteś, Simonie? Na drodze przybrzeżnej wyczułeś zasadzkę, zanim moc ostrzegła mnie. A przecież jesteś mężczyzną!

Po raz pierwszy opuściło ją opanowanie. – I wiesz, co się tutaj robi, czujesz to!

– Nie. Wiem tylko, że jest tu coś, czego nie mogę zobaczyć, a jednak to istnieje. – Raz jeszcze powiedział jej prawdę.

– No właśnie! – Kobieta złożyła ręce. – Nie powinieneś czuć takich rzeczy, a jednak czujesz. Ja też gram tutaj rolę. Nie zawsze wykorzystuję moc, to znaczy moc przekraczającą moje własne doświadczenie w rozpoznawaniu mężczyzn i kobiet, w dokładnym zgadywaniu, co kryje się w ich sercach i jakie są ich pragnienia. Trzy czwarte mojego daru polega na iluzji, sam to zresztą widziałeś. Nie przyzywam żadnych demonów, nie sprowadzam niczego z innego świata, mój czar działa na tych, którzy spodziewają się cudów. Ale moc istnieje i czasami przychodzi na moje wezwanie. Wtedy mogę dokonać rzeczywistych cudów. Mogę wyczuć nieszczęście, choć nie zawsze mogę powiedzieć, jaką formę przybierze. Tyle mogę zrobić i to jest prawdziwe. Przysięgam na moje życie!

– Wierzę – odpowiedział Simon. – W moim świecie także zdarzają się rzeczy, których nie da się wytłumaczyć za pomocą trzeźwej logiki.

– Ale takie rzeczy robią wasze kobiety?

– Nie, zdarza się to przedstawicielom obydwu płci. Miałem pod swoją komendą ludzi, którzy przeczuwali niebezpieczeństwo, śmierć, własną lub czyjąś. Znałem także domy, stare miejsca, w których coś się unosiło, coś, o czym lepiej było nie myśleć, coś, czego nie można było zobaczyć ani odczuć, tak jak nie możemy zobaczyć ani odczuć tego, co jest tutaj.

Teraz przyglądała mu się z nieukrywanym zdumieniem. Jej ręka poruszyła się, wykonała w powietrzu jakiś znak, który na moment rozpłomienił się ogniem.

– Widziałeś? – Czy miało to być oskarżenie, czy triumfalne uznanie? Simon nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić, bo z głębi domu dobiegły odgłosy gongu.

– Aldis! Będzie z nią eskorta! – Kobieta przebiegła przez pokój, by znów otworzyć ukrytą szafę, w której Koris schował topór. – Do środka! – rozkazała. – Jak zwykle, najpierw przeszukają dom, a lepiej żeby nie wiedzieli o twojej obecności.

Zanim Simon zdążył zaprotestować, znalazł się w pomieszczeniu stanowczo zbyt małym. Drzwi zamknęły się. Odkrył, że pomieszczenie owo bardziej przypominało judasza niż szafę. Między płaskorzeźbami były otwory, wpuszczające powietrze i pozwalające obserwować pokój.

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążył zareagować. Teraz zbuntował się i postanowił wyjść. Jednak zbyt późno odkrył, że po tej stronie nie było żadnego zamka i że został po prostu włożony do bezpiecznej przechowalni razem z toporem Volta do chwili, gdy kobieta uzna za stosowne znów go wypuścić.

Ze wzrastającym poirytowaniem Simon przyciskał czoło do rzeźbionej przegrody starając się jak najlepiej zobaczyć, co się dzieje w pokoju. Znieruchomiał na widok kobiety z Estcarpu, za którą weszli dwaj żołnierze: odepchnęli ją i zabrali się do przeszukiwania pomieszczenia, podnosili nawet wiszące na ścianach tkaniny.

Kobieta obserwowała ich ze śmiechem. Po chwili powiedziała przez ramię do kogoś, kto znajdował się jeszcze za progiem:

– Wydaje się, że w Kars nie wierzy się nikomu. A czy kiedykolwiek ten dom i jego mieszkańcy zamieszani byli w coś złego? Twoje psy mogą znaleźć trochę kurzu, jedną lub dwie pajęczyny, bo przyznaję, że nie jestem nadzwyczajną gospodynią, ale nie znajdą nic więcej, pani. Przez ich poszukiwania tracimy tylko czas.

Była w tym delikatna kpina, wystarczająca, by trafić w czułe miejsce. Simon podziwiał umiejętność, z

jaką kobieta posługiwała się słowami. Przemawiała jak dorosła osoba do dziecka, z odrobiną niecierpliwości, że odrywa się ją od ważniejszych prac. Było to równocześnie zaproszeniem owej niewidzialnej dla Simona osoby do udziału w tej dorosłości.

– Halsfric! Donnar!

Mężczyźni stanęli na baczność.

– Przeszukajcie resztę tej chałupy, jeśli chcecie, ale zostawcie nas same!

Szybko stanęli po obu stronach drzwi, robiąc przejście dla drugiej kobiety. Czarodziejka zamknęła drzwi zanim zwróciła się do nowo przybyłej, która zrzuciła na podłogę żółty płaszcz z kapturem.

– Witaj, lady Aldis!

– Tracimy czas kobieto, jak sama powiedziałaś. – Słowa były ostre, ale wypowiedziane głosem o miękkości aksamitu. Samo słuchanie takiego głosu mogło absolutnie oszołomić mężczyznę.

Książęca kochanka przypominała nie tyle dziewkę z tawerny, okrągłą i wulgarną, do jakiej porównywała ją czarodziejka, ale młodą dziewczynę, nie w pełni jeszcze świadomą swoich możliwości, z niewielkimi jędrnymi piersiami, skromnie ukrytymi, a jednak widocznymi wyraźnie pod materiałem sukni. Kobieta pełna sprzeczności, swawolna i zimna jednocześnie. Patrząc na nią Simon mógł zrozumieć, że potrafiła tak długo i skutecznie utrzymać władzę nad znanym rozpustnikiem.

– Powiedziałaś Fircie... – znów ten ostry ton złagodzony aksamitem.

– Powiedziałam twojej Fircie to, co mogłam i co było konieczne – kobieta była równie rzeczowa jak jej klientka. – Czy ten układ ci odpowiada?

– Będzie mi odpowiadał dopiero, kiedy okaże się skuteczny. Daj mi to, co mi zapewni pozycję w Kars, a potem upominaj się o zapłatę.

– Masz dziwny sposób załatwiania spraw, pani. Wszystkie korzyści są po twojej stronie.

Aldis uśmiechnęła się. – Jeżeli masz taką moc, jak utrzymujesz, mądra kobieto, możesz równie dobrze zaszkodzić, jak pomóc. Byłabym dla ciebie łatwą ofiarą. Powiedz, co mam zrobić i to szybko. Mogę ufać tym dwóm, ponieważ ich życie zależy od jednego mojego słowa. Ale są jeszcze inne oczy i języki w tym mieście.

– Daj mi rękę. – Kobieta z Estcarpu wzięła maleńką wazę z jakąś masą. Kiedy Aldis wyciągnęła swą przystrojoną pierścieniami rękę, kobieta wyjęła ze swej sukni igłę, błyskawicznie ukłuła ją i wpuściła kilka kropel krwi do naczynia. Dodała jeszcze trochę płynu z butelki, mieszając to wszystko na rzadką maź. Rozpaliła węgiel w maleńkim kociołku.

– Siadaj. – Wskazała ręką stołek. Kiedy tamta usiadła, postawiła deseczkę z płonącym kociołkiem na jej kolanach.

– Myśl o tym, którego pragniesz, zachowaj tylko jego w swoich myślach, pani.

Maź z wazy została rozpryśnięta nad płonącym ogniem i kobieta z Estcarpu zaczęła śpiewać. W sposób zadziwiający owo coś, co tak wyostrzyło uwagę Simona przed chwilą, co zagęściło się pomiędzy nimi w momencie, gdy kobieta narysowała w powietrzu ognisty znak, teraz zdecydowanie osłabło.

Ale w jakiś sposób jej śpiew roztaczał inny czar, zmieniał tok myśli, przywoływał inny rodzaj odpowiedzi. Zdawszy sobie sprawę, o co chodzi, po pełnych niedowierzania chwilach Simon przygryzł dolną wargę. A wydawało mu się, że zaczyna znać tę kobietę. Magia odpowiednia dla Aldis i jej podobnych i czyste wyrachowanie Estcarpu, no nie! Zaczynało to oddziaływać także i na niego. Simon zatkał uszy palcami, żeby oddzielić się od ciężkiego gorąca, które słowa czarownicy wpompowywały w jego coraz szybciej pulsującą krew.

Zrezygnował z tej samoobrony dopiero wtedy, gdy zobaczył, że usta kobiety przestały się poruszać. Twarz Aldis była zaczerwieniona, wilgotne usta rozchylone, patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem, dopóki czarownica nie zdjęła z jej kolan deski z kociołkiem. Kobieta z Estcarpu wyjęła z naczynia ów rodzaj ciasta, zawinęła w białe płótno i podała klientce.

– Dodawaj po szczypcie do jego jedzenia i napojów. – Teraz głos czarodziejki był głosem osoby kompletnie wycieńczonej.

Aldis porwała paczuszkę i włożyła za suknię na piersi. – Możesz być pewna, że to wykorzystam! – Złapała swój płaszcz już w drodze do drzwi. – Zawiadomię cię, jak mi się powiodło.

– Ja będę wiedziała, pani, będzie widziała.

swój dar dla dobra sprawy.

Wkrótce jednak wezwano go do działania. W czasie jego snu Estcarp postawił na nogi wszystkie swoje siły. Rozstawione na wzgórzach wici ściągnęły posłańców z gór, z Gniazda, od wszystkich chętnych do przeciwstawienia się Gormowi i zagładzie, którą niósł Gorm. Kilka bezdomnych statków Sulcaru zacumowało w zatoczkach znalezionych przez Sokolników, rodziny ich załóg wylądowały bezpiecznie, statki zostały uzbrojone i przygotowane do akcji. Wszyscy byli bowiem zgodni, że trzeba uderzyć na Gorm, zanim Gorm uderzy.

Przy ujściu rzeki Es założono obóz, olbrzymi namiot stanął na samym brzegu oceanu. Z tego namiotu widać było zarys przypominający nadmorską chmurę. A w pobliżu miejsca, gdzie stała kiedyś ich twierdza, czekały na sygnał statki z ludźmi z Sulcaru, Sokolnikami, oddziałami jeźdźców straży granicznej.

Najpierw należało złamać otaczającą Gorm barierę, a to mogły zrobić tylko czarodziejki z Estcarpu. Simon, nie bardzo wiedząc dlaczego został tu wezwany, znalazł się przy stole, który mógł równie dobrze być stołem do gry, choć jego powierzchnia nie składała się z kolorowych prostokątów. Natomiast przed każdym siedzeniem wymalowano symbol. Towarzystwo zbierające się w namiocie było mieszane, dobrane dość dziwnie jak na najwyższe dowództwo.

Simon zauważył, że jego krzesło stoi obok miejsca Strażniczki, a symbol na stole obejmuje podwójną powierzchnię. Był to brązowy sokół w owalnej złotej ramie, nad którą umieszczono potrójny róg. Po lewej stronie w niebieskozielonym owalu wymalowano pięść ściskającą topór. Dalej był czerwony kwadrat z rogatą rybą.

Po prawej stronie, za krzesłem Strażniczki, wymalowano dwa dalsze symbole, których nie mógł odczytać nie pochylając się nad stołem. Dwie czarodziejki usiadły na wprost owych symboli i siedziały trzymając płasko dłonie na rysunkach. Coś poruszyło się po jego lewej stronie. Poczuł dziwny przypływ dobrego samopoczucia, gdy spotkał jej wzrok, w którym kryło się więcej niż zwykłe rozpoznanie jego osoby. Kobieta nie odezwała się, więc Simon również milczał. Szóstą i ostatnią osobą był Briant, który siedział blady, wpatrując się w rysunek ryby, jakby było to żywe stworzenie i jakby siłą wzroku musiał uwięzić ją w tym morzu szkarłatu.

Kobieta, która trzymała ręce Simona, kiedy myślał o mężczyźnie z Gormu, weszła do namiotu z dwiema towarzyszkami, a każda z nich trzymała w ręku niewielki gliniany kociołek z płonącymi węglami, z którego unosił się słodkawy dym. Ustawiły te maleńkie paleniska na brzegu stołu, a jedna z nich przyniosła duży, ciężki koszyk. Odrzuciła przykrywający go kawałek materiału i w koszu ukazał się szereg niewielkich figurek.

Wziąwszy pierwszą z nich stanęła przed Briantem. Dwukrotnie przesunęła figurkę nad unoszącym się z kociołka dymem, po czym umieściła ją na linii wzroku młodzieńca. Była to starannie wykonana laleczka z kasztanoworudymi włosami, tak pełna życia, że Simon nie miał wątpliwości, iż miała przedstawiać jakąś autentyczną osobę.

– Fulk – kobieta wypowiedziała to imię i postawiła laleczkę na środku czerwonego kwadratu, na wymalowanej rybie. Briant nie mógł już bardziej zblednąć, ale Simon widział, jak nerwowo przełykał ślinę, zanim zdobył się na odpowiedź.

– Fulk z Verlaine.

Kobieta wyjęła z koszyka następną figurkę i zbliżyła się do sąsiadki Simona, który dzięki temu lepiej mógł ocenić maestrię jej sztuki. Trzymała bowiem w ręku, nad dymem z kociołka, doskonały obraz tej, która prosiła o sposób na zatrzymanie przy sobie Yviana.

– Aldis.

– Aldis z Kars – potwierdziła siedząca obok Simona kobieta, kiedy maleńkie stopy laleczki stanęły na pięści trzymającej topór.

– Sandar z Alizon – trzecia figurka zajęła pozycję bardziej na prawo od Simona.

– Siric. – Brzuchata laleczka w powłóczystych szatach jeszcze dalej na prawo.

Wtedy kobieta wyjęła z koszyka ostatnią figurkę i przyglądała jej się dłuższą chwilę przed umieszczeniem nad kociołkiem. Kiedy stanęła przed Simonem i Strażniczką nie wypowiedziała żadnego imienia, trzymała laleczkę pozwalając Simonowi ją zidentyfikować. Przyglądał się miniaturowej kopii przywód-

czył w radzie wojennej opowiadając swoją przygodę w Gormie, kontakty z siłami Kolderu. Słuchali go oficerowie Estcarpu i owe kobiety o pozbawionych wyrazu twarzach. Przez cały czas szukał pośród czarodziejek tej jednej, ale jej nie znalazł.

Kiedy skończył, zadano mu kilka pytań, pozwalając opowiadać we własny sposób. Koris z kamienną twarzą i zaciśniętymi wargami słuchał opowieści o mieście umarłych. Strażniczka wypchnęła naprzód jedną z kobiet.

– Teraz, Simonie Tregarth, weź ją za ręce i pomyśl o człowieku z metalowym krążkiem, staraj się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły jego stroju i twarzy – rozkazała.

Simon posłuchał, choć nie bardzo wiedział, jaki to ma sens. Pomyślał kwaśno, że na ogół jest się posłusznym czarodziejkom z Estcarpu.

Więc trzymał te ręce suche i chłodne i przypominał sobie szary fartuch, dziwną twarz, której dolna część nie odpowiadała górnej, metalowy krążek, poczucie władzy, a następnie zdziwienia, jakie odmalowało się na owej twarzy, kiedy Simon stawił opór. Ręce kobiety wysunęły się z jego dłoni i znów odezwała się Strażniczka:

– Widziałaś, siostro? Możesz nadać temu kształt?

– Widziałam – odpowiedziała kobieta. – Mogę nadać kształt temu, co mogę zobaczyć. Skoro użył mocy w pojedynku siły woli, wrażenie musiało być olbrzymie. Chociaż – spojrzała na swoje ręce, poruszając każdym palcem, jakby w przygotowaniu do jakiegoś zadania – czy będziemy mogli wykorzystać taką sztukę, to inna sprawa. Byłoby lepiej, gdyby polała się krew.

Nikt tego nie wytłumaczył, a Simon nie miał czasu zadawać pytań, bo po skończeniu narady Koris zabrał go do koszar. Znalazłszy się w tym pokoju, w którym kwaterował przed wymarszem do Sulcarkeepu, Simon zapytał kapitana:

– Gdzie pani? – Denerwujące było, że nie potrafił nazwać znanej osoby, ta właściwość czarodziejek złościła go teraz bardziej niż kiedykolwiek. Ale Koris zrozumiał.

– Sprawdza posterunki graniczne.

– Ale czy jest bezpieczna?

Koris wzruszył ramionami. – Czy ktokolwiek z nas jest bezpieczny? Bądź pewny, że kobiety dysponujące mocą nie ponoszą niepotrzebnego ryzyka. Mają zbyt cenny skarb. – Podszedł do zachodniego okna, wpatrując się w nie, jakby chciał zobaczyć coś poza okalającą miasto równiną. – A więc Gorm jest martwe. – Słowa te wypowiedział z trudem.

Simon ściągnął but i położył się na łóżku. Dokuczała ma każda kostka, każdy mięsień.

– Opowiedziałem ci, co widziałem, ale tylko to, co widziałem. Życie ogranicza się do centralnej twierdzy Sipparu. Nie znalazłem go nigdzie indziej, ale nie szukałem zbyt daleko.

– Życie? Jakie życie?

– Zapytaj tych z Kolderu, a może naszych czarodziejek – odpowiedział sennie Simon. – Żaden z nich nie jest taki jak ty i może życie też pojmują odmiennie.

Jak przez mgłę uświadamiał sobie, że kapitan odszedł od okna i stanął nad nim tak, że jego szerokie ramiona zasłaniały dostęp światła.

– Myślę, Simonie Tregarth, że ty też jesteś inny. – Głos jego znów zabrzmiał głucho, bezdźwięcznie. – A zobaczywszy Gorm jak oceniasz jego życie, czy śmierć?

– Jako wstrętną – wymamrotał Simon. – Ale to także można będzie ocenić we właściwym czasie. – Jeszcze zanim zasnął, zastanawiał się nad doborem słów.

Simon spał, obudził się na obfity posiłek i spał znowu. Nikt go nie potrzebował, nie obudziło go też to, co działo się w twierdzy Estcarpu. Mógł być zwierzęciem gromadzącym zapasy sił, tak jak niedźwiedź zbiera zapasy tłuszczu przed zimowym snem. Kiedy wreszcie się obudził, odczuwał zapał, siły, świeżość, co nie zdarzyło mu się już od bardzo dawna, chyba od czasu poprzedzającego Berlin. Berlin! Gdzie to było? Zupełnie nowe sceny zacierały w jego pamięci dawne wspomnienia.

A najczęściej prześladowało go wspomnienie pokoju w owym położonym na odludziu domu w Kars, pokoju, w którym tkaniny zdobiły ściany, a kobieta patrzyła na niego z podziwem w oczach, kiedy jej ręka kreśliła płonący symbol w powietrzu pomiędzy nimi. I jeszcze ten drugi moment, kiedy stał z bólem w sercu i poczuciem dziwnej samotności, a ona posłużyła się swymi czarami dla Aldis, kiedy splamiła

Po wyjściu Aldis kobieta stała z ręką na krześle, jakby potrzebowała oparcia. Na jej twarzy malowała się niechęć i coś jakby wstyd, jakby posłużyła się niegodnymi środkami dla osiągnięcia szlachetnego celu.

Wyrok

Ręce Korisa poruszały się rytmicznie czyszcząc ostrze topora wolnymi pociągnięciami jedwabnej szmatki. Zażądał swojego skarbu w momencie wejścia do domu i teraz przycupnięty na parapecie okiennym, z toporem na kolanach, opowiadał.

– ... wpadł, jakby miał za plecami cały Kolder. Wypaplał to sierżantowi, który rozlał połowę wina, za które ja płaciłem. Sierżant o mało się nie zakrztusił na śmierć, podczas gdy ten facet chwytał go za ubranie i wykrzykiwał. Założę się o tygodniowe łupy Kars, że jest w tym jakieś źdźbło prawdy, choć historia jest dość niejasna.

Simon obserwował pozostałą dwójkę. Nie spodziewał się, by kobieta okazała zaskoczenie. Jednak młodzieniec, którego wytrzasnęła nie wiadomo skąd, mógł być trochę mniej opanowany, Simon nie pomylił się. Briant zbyt nad sobą panował. Ktoś, trochę bardziej zaprawiony w sztuce udawania, jednak okazałby zaskoczenie.

– Przypuszczam – przerwał Simon opowieść kapitana – że dla ciebie, pani, taka historia nie jest niejasna. – Ostrożność, która od sceny z Aldis stała się częścią jego stosunku do tej kobiety, wykorzystał teraz jak tarczę przeciwko niej. Mogła sobie z tego zdawać sprawę, ale nie próbowała skruszyć tej tarczy.

– Hunold rzeczywiście nie żyje – powiedziała bezbarwnie. – Zmarł w Verlaine. Lady Loyse także opuściła ziemię. Tyle było prawdy w opowieści tego człowieka, kapitanie – mówiła najwyraźniej do Korisa, nie do Simona. – Ale oczywiście jest nonsensem, że to wszystko stało się w wyniku najazdu Estcarpu.

– To wiem, pani. To nie jest nasz sposób walki. Chodzi o to, czy ta historia ma ukrywać coś innego? Nie zadawaliśmy ci żadnych pytań, ale czy resztki gwardii wyszły na brzeg na skałach Verlaine?

Kobieta potrząsnęła głową. – O ile wiem, kapitanie, ocalałeś jedynie ty i ci, którzy byli z tobą.

– Opowieści tego typu mogą się stać wystarczającym powodem ataku na Estcarp. – Koris zmarszczył brwi. – Hunold cieszył się względami Yviana. Nie przypuszczam, żeby książę tak spokojnie przyjął jego śmierć, zwłaszcza jeśli owiana będzie mgłą tajemnicy.

– To Fulk! – Briant wyrzucił z siebie to imię jak strzałę z kuszy.

– To jedyne wytłumaczenie dla Fulka! – Teraz twarz Brianta była wystarczająco ożywiona. – Ale musiałby załatwić się także z Sirikiem i lordem Duarte. Przypuszczam, że Fulk był bardzo zajęty. Ten żołnierz znał tyle szczegółów najazdu, że musiał słyszeć bezpośrednią relację.

– Właśnie przybył posłaniec. Tyle zdołałem zrozumieć z jego gadaniny – wyjaśnił Koris.

– Posłaniec przybył morzem! – Kobieta wstała, czerwonozłota materia jej stroju układała się w wirujące fałdy. – Nie uważałabym Fulka z Verlaine za prostaczka, ale za tym kryje się zręczny manewr, wykorzystanie każdego przypadkowego wydarzenia, a to pachnie czymś więcej niż tylko pragnieniem Fulka, by zasłonić się przed zemstą Yviana.

Zaczęła spacerować po pokoju, a czerwona spódnica wirowała wokół niej. – Jesteśmy mistrzyniami iluzji, ale przysięgłabym przed mocą Estcarpu, że ten sztorm nie był iluzją. Chyba, że Kolder opanował siły natury... – głos jej przeszedł w szept. – Nie mogę uwierzyć, że znaleźliśmy się tutaj na ich życzenie. W to jednak nie mogę uwierzyć. Chociaż... – Obróciła się i podeszła do Simona.

– Brianta znam, wiem co i dlaczego robi. Korisa też znam, wiem co nim kieruje i dlaczego. Ale ciebie, człowieku z mgieł na wrzosowiskach Tor, nie znam. Jeżeli jesteś czymś więcej niż się wydajesz, to może sami na siebie ściągnęliśmy zagładę. – Sięgnęła za dekolt sukni i wydobyła nieprzezroczysty kamień, który przywiozła z Estcarpu. Przez dłuższą chwilę trzymała go w rękach, potem zdjęła łańcuch z szyi i podała Simonowi. – Weź to! – rozkazała.

Koris krzyknął i zeskoczył z parapetu. Ale Simon wziął klejnot. Przy pierwszym dotknięciu wydał mu

się równie zimny i gładki jak każdy oszlifowany kamień, ale potem zaczął się rozgrzewać, z każdą sekundą stawał się goretszy. Ale to gorąco nie parzyło, nie zostawiało śladów na jego skórze. Jedynie sam kamień nabrał życia, po jego powierzchni igrały linie opalizującego ognia.

– Wiedziałam! – szorstki szept kobiety wypełnił pokój. – Nie, on nie przychodzi z Kolderu. Nie mógłby utrzymać tego kamienia i nie poparzyć się. Witam, bracie obdarzony mocą! – Znów wykonała w powietrzu znak, który zapłonął tak jak przed chwilą kamień. Zabrała kamień od Simona, z powrotem zawiesiła na szyi i ukryła pod suknią.

– Ależ on jest mężczyzną! Zmiana kształtu nie wchodzi tu chyba w rachubę, a poza tym nie mógłby nas zwieść mieszkając z nami w koszarach – zaczął Koris. – Jak to możliwe, żeby mężczyzna był obdarzony mocą?

– Jest mężczyzną spoza naszego czasu i przestrzeni. Nie możemy powiedzieć, co się dzieje w innych światach. Mogę przysiąc, że nie ma nic wspólnego z Kolderem. Może właśnie to z nim Kolder musi się zmierzyć w decydującej walce. Teraz trzeba...

Jej słowa przerwało gwałtowne pukanie w ścianę. Koris i Simon spojrzeli na kobietę. Briant podniósł karabin. – Furtka w murze – powiedział.

– Ale to jest poprawny sygnał, tyle że w nieodpowiednim czasie. Otwórz, ale bądź czujny.

Brianta już nie było w pokoju. Koris i Simon pospieszyli za nim do ogrodowego wejścia. Kiedy znaleźli się na zewnątrz usłyszeli hałasy dobiegające z miasta. Simona ukłuło żądło wspomnień. W tych dochodzących z dala okrzykach była znajoma nuta. Koris wydawał się zaskoczony.

– To jest tłum! Ryk polującego tłumu!

Simon, pamiętając straszliwy koszmar z własnej przeszłości, potwierdził skinieniem głowy. Podniósł karabin na powitanie każdego, kto znajdował się za furtką.

Trudno byłoby się pomylić w określeniu, do jakiej rasy należy mężczyzna, który zatoczył się w ich stronę. Nawet krwawa pręga nie mogła przesłonić typowych rysów mieszkańca Estcarpu. Nagle wszyscy niemal zostali zbici z nóg przez wybuch i prąd powietrzny, które nawet ziemię wprawiły w drżenie.

Mężczyzna, którego podtrzymywał Koris, poruszył się, uśmiechnął, próbował przemówić. Nie mogli go jednak usłyszeć, ogłuszeni na moment wybuchem. Briant zatrzasnął furtkę i założył rygle. Simon wraz z kapitanem niemal wnieśli nowo przybyłego do domu. Poczuł się na tyle lepiej, że wykonał powitalny gest na widok kobiety. Nalała do filiżanki jakiegoś niebieskawego płynu i podała mu do wypicia.

– Lord Vortimer?

Wsunął się głębiej w krzesło, na którym go posadzono. – Słyszałaś, pani, przed chwilą, jego koniec, ten właśnie grzmot. Z nim razem odeszli wszyscy ci z naszych, którzy mieli szczęście dotrzeć na czas do ambasady. Za pozostałymi trwa nagonka na ulicach. Yvian wydał rozkaz trzykrotnego odtrąbienia wyroku na każdego mieszkańca Estcarpu czy członka starego rodu. Zachowuje się jak szaleniec!

– I to także? – Przycisnęła ręce do skroni, jakby chciała zagłuszyć nieznośny ból. – Nie mamy czasu.

– Vortimer wysłał mnie, bym cię ostrzegł, pani. Czy pragniesz pójść za nim tą samą drogą?

– Jeszcze nie.

– Ci, których otrąbiono, mogą być zabici bez dalszych kwestii, gdziekolwiek zostaną znalezieni. A dzisiaj zabijanie w Kars to nie jest zwykła śmierć. Nie wiem, pani, czego mogłaś się spodziewać po lady Aldis...

Kobieta zaśmiała się. – Aldis to żadna nadzieja, Vortginie. Jest nas pięcioro... – obracała w palcach filiżankę, wreszcie spojrzała na Simona. – Zależy od tego więcej niż tylko nasze życie. Są także w Karsten inni, pochodzący ze starych rodów. Jeżeli zostaną w porę ostrzeżeni, mogą bezpiecznie przedostać się przez góry do Estcarpu i zasilić nasze szeregi. Poza tym wszystko, czego się dowiedzieliśmy tutaj, choć nieskładne, musi być jednak przekazane do Estcarpu. Nie mogę oczekiwać, że przywołam wystarczające moce, musisz mi pomóc, bracie.

– Ale nie wiem jak. Nie mam przecież daru – zaprotestował Simon.

– Możesz mnie poprzeć. To nasza jedyna nadzieja.

kryciem. Pokruszone resztki innych zapasów dowodziły, że od bardzo dawna nikogo tu nie było. Z kranu kapała woda i Simon się napił, jeszcze zanim zabrał się do jedzenia.

Mimo głodu jadł z trudem, ponieważ słodkawy zapach był wszechobecny. Chociaż był to pierwszy budynek poza cytadelą, który udało mu się zobaczyć, podejrzewał że Sippar był miastem umarłych, nie licząc garstki mieszkańców centralnej budowli. Kolder musiał rozprawić się bezlitośnie z pokonanymi, którzy byli dla niego nieużyteczni. Nie tylko pozbawili ich życia, ale zostawili nie pogrzebanych w ich własnych domach? Czy miało to być ostrzeżenie przed buntem tych nielicznych, którzy ocaleli? Czy po prostu nie przywiązywali do tego wagi? Należałoby sądzić, że to było najbardziej prawdopodobne.

Zabrał z sobą cały chleb, jaki udało mu się znaleźć i butelkę wody. Zdziwiło go, że drzwi prowadzące na ulicę zaryglowane były od wewnątrz. Czyżby mieszkańcy tego domu najpierw zamknęli drzwi, a potem popełnili zbiorowe samobójstwo? Czy też ta sama metoda presji, którą próbowano zrzucić go z dachu, doprowadziła do ich śmierci?

Ulica była kompletnie opustoszała, dokładnie tak jak wyglądała z dachu. Simon jednak szedł blisko budynków, bacznie obserwując każdą zacienioną bramę, każde skrzyżowanie. Wszystkie drzwi były zamknięte, nic się nie poruszyło, kiedy zmierzał w stronę portu.

Simon starał się zapamiętać ulice i domy. Gorm można oswobodzić tylko jeżeli zniszczy się centralną twierdzę, tego był pewien. Wydawało mu się jednak, że pozostawienie tej pustyni opuszczonych domów dokoła własnej jaskini było grubym błędem sił Kolderu. Jeżeli nie ukryli jakichś urządzeń alarmowych w białych ścianach domów, to sprowadzenie na brzeg desantu i trzymanie go w ukryciu może wcale nie być trudne.

Przypomniał sobie opowieści Korisa o szpiegach wysyłanych przez lata z Estcarpu na tę wyspę. I to, że sam kapitan nie mógł tu powrócić z powodu jakiejś tajemniczej bariery. Po własnych doświadczeniach z bronią Kolderu Simon gotów był wszystko przyjąć. Tylko że jemu udało się uwolnić, najpierw w kwaterze, a potem dzięki użyciu jednego z samolotów. Fakt, że nie próbowali go ścigać na dole, jest jednym z dowodów, iż uznali go za niegroźnego. Trudno było uwierzyć, że nikt czy nic nie obserwuje milczącego miasta. Toteż przez całą drogę do przystani Simon starał się kryć.

Niektóre ze statków były mocno naznaczone przez sztormy, niektóre częściowo wyciągnięte na brzeg, ze zgniłym takielunkiem, podziurawionymi burtami, inne na pół zatopione, nad wodę wystawały jedynie górne pokłady. Żaden z tych statków nie pływał od miesięcy, nawet od lat.

Od stałego lądu dzieliła Simona szerokość zatoki. Jeżeli ten martwy port to Sippar, a nie miał powodu przypuszczać, że tak nie jest, to stał naprzeciw długiego ramienia lądu, na którym najeźdźcy zbudowali Yle, a który kończył się jakby palcem. W miejscu paznokcia stało kiedyś Sulcarkeep. Możliwe, że od momentu upadku twierdzy kupców siły Kolderu kontrolują teraz cały przylądek.

Gdyby udało mu się znaleźć niewielką łódź, musiałby płynąć dłuższą drogą na wschód wzdłuż butelkowatej zatoki do ujścia rzeki Es i potem do Estcarpu. A prześladowała go myśl, że czas już nie stoi po jego stronie.

Znalazł odpowiednią łódź ukrytą w hangarze. Wprawdzie nie był żeglarzem, ale podjął wszelkie środki ostrożności, by sprawdzić, czy łódź jest zdatna do drogi. Czekał do zapadnięcia zupełnej ciemności, zanim wziął się do wioseł, zaciskał zęby, żeby nie czuć bolących pęcherzy i wiosłował zaciekle klucząc pomiędzy przegniłymi kadłubami dawnej floty Gormu.

Kiedy wyjechał już z przystani i odważył się postawić niewielki maszt, natknął się na obronę Kolderu. Nic nie widział ani nie słyszał padając na dno łodzi, z palcami w uszach, z zamkniętymi oczami, broniąc się przed nawałą milczących dźwięków i niewidzialnego światła, które próbowały się wydostać z jakiegoś zakątka jego mózgu. Przypuszczał, że doświadczenie z siłą woli uświadomiło mu moc Kolderu, ale to rozdzieranie ludzkiego mózgu było znacznie gorsze.

Czy przebywał w tej chmurze minuty, dzień, rok? Ogłupiały i otępiały Simon nie potrafiłby tego powiedzieć. Leżał na dnie łodzi, która poruszała się na falach, posłuszna dotknięciu wiatru w żagle. A za nim pozostało Gorm, martwe i ciemne w świetle księżyca.

Przed świtem złapał Simona patrol przybrzeżny z rzeki Es. Już czuł się trochę lepiej, choć wydawało mu się, że mózg ma tak poharatany jak łódź. Często zmieniając konie dojechał do Estcarpu.

W twierdzy, w tym samym pomieszczeniu, w którym po raz pierwszy spotkał Strażniczkę, uczestni-

desperacką nadzieję, że wróg przyjmie ten gest jako kapitulację. Teraz już Simon był pewny, że chcieli jego śmierci. Taka sama byłaby jego decyzja, gdyby on tu dowodził.

Pozostawał jeszcze samolot, którym zamierzał się posłużyć jako ostatnią deską ratunku. Teraz nie było innej możliwości. Samolot znajdował się pomiędzy nim i skrajem dachu, ku któremu pchała go niewidzialna siła.

Szansa była niewielka, ale nie miał innej. Simon wykonał dwa kroki pod naciskiem nieznanej siły, zrobił następny tak szybko jakby opuszczały go siły. Kolejny krok i jego ręka znalazła się na drzwiach do kabiny pilota. Z najwyższym wysiłkiem wskoczył do wnętrza.

Pęd powietrza pchnął Simona na przeciwległą ścianę kabiny, a leciutki samolot zakołysał się w wyniku tego gramolenia. Simon patrzył na tablicę kontrolną. Na końcu wąskiego otworu znajdowała się dźwignia, był to jedyny przedmiot, który wydawał się ruchomy. Simonowi udało się podnieść ciężką rękę i opuścić dźwignię.

Miasto umarłych

Spodziewał się jak dziecko, że uniesie się w powietrze, tymczasem maszyna ruszyła do przodu nabierając szybkości. Uderzyła nosem w balustradę dachu z wystarczającą siłą, by przetoczył się cały samolot. Simon wiedział, że spada, ale wbrew intencjom swych prześladowców nie sam, lecz uwięziony w kabinie.

Miał jeszcze jeden moment świadomości, w którym zdał sobie sprawę, że nie spada prosto w dół, lecz pod pewnym kątem. Zrezygnowany raz jeszcze pociągnął dźwignię ustawiając ją w środkowym położeniu. Wtedy nastąpił huk, a po nim ciemność, bez żadnych widoków, dźwięków ani doznań.

Zdał sobie sprawę, że siedzi, a w słabym świetle dostrzegł szczątki samolotu, które utrzymywały go w tej pozycji. Ale prześladujący nacisk, który dręczył go na dachu zniknął, mógł spokojnie się poruszać, myśleć. Poza kilkoma bolesnymi stłuczeniami, wydawało się, że wyszedł z katastrofy bez szwanku. Samolot musiał złagodzić szok uderzenia o ziemię.

Simon uniósł się na siedzeniu i odpychał otaczające go ściany. Rozległ się dźwięk metalu drapiącego metal i część kabiny opadła. Simon z trudem wyczołgał się ze swej klatki. Nad głową dostrzegł dziurę obramowaną połamanymi listwami drewnianymi. Widział, jak następny kawałek dachu spadł na i tak już sfatygowaną maszynę. Samolot musiał uderzyć w dach któregoś z pobliskich domów i zapaść się w głąb. Dziwnym zrządzeniem losu Simon uszedł z życiem i stosunkowo nie potłuczonymi kończynami.

Przez jakiś czas musiał być nieprzytomny, ponieważ na niebie widoczny już był zbliżający się wieczór. Głód i pragnienie stały się niemal bolesne. Musi znaleźć jedzenie i wodę.

Ale dlaczego nieprzyjaciel jeszcze go nie odnalazł? Bez wątpienia z dachu zamku łatwo było zauważyć, gdzie zakończył się jego niefortunny lot. Chyba, że nie wiedzieli o próbie użycia samolotu i mogą wyśledzić go tylko przez rodzaj kontaktu myślowego. W takim przypadku wiedzieliby jedynie, że przeleciał przez balustradę, że jego upadek zakończył się utratą przytomności, która dla nich mogła oznaczać śmierć. Jeżeli byłoby to prawdą, to byłby rzeczywiście wolny, nawet w obrębie miasta Sippar!

Najpierw trzeba znaleźć coś do jedzenia i picia, a potem zorientować się, w jakiej jest odległości od portu.

Udało mu się odnaleźć drzwi prowadzące na schody, które, jak się spodziewał, dochodziły do poziomu ulicy. Powietrze było ciężkie, przesycone charakterystycznym zapachem. Potrafił zidentyfikować ten zapach i zawahał się na myśl o tym, co musi się znajdować na dole.

Ale na dole znajdowało się jedyne wyjście, więc trzeba było zejść. Okna nie były zabite i na każdej kondygnacji schodów kładły się plamy światła. Były także drzwi, ale Simon żadnych nie otworzył, bo wydawało mu się, że w ich pobliżu ten przerażający, budzący mdłości zapach stawał się silniejszy.

Jeszcze jedno piętro w dół i znalazł się w hallu zakończonym szerokim portalem, który – jak przypuszczał – musiał wychodzić na ulicę. Tutaj Simon odważył się przeprowadzić poszukiwania i w jednym z pomieszczeń znalazł ów podeszwowaty chleb, który stanowił główną rację żywnościową żołnierzy w Estcarpie i słoik smażonych owoców, które okazały się dobrze zakonserwowane pod szczelnym przy-

Koris odszedł od okna, skąd wyglądał na ogród.

– Zmiana postaci?

– To jedyny sposób. Ale jak długo się utrzyma? – kobieta wzruszyła ramionami.

Vortgin oblizał wargi językiem. – Wyprowadźcie mnie tylko z tego przeklętego miasta, a poruszę dla was całą okolicę. Mam krewnych w głębi kraju, którzy powstaną na moje słowo.

– Chodźmy! – Kobieta poprowadziła wszystkich do pokoju czarów. Zaraz za drzwiami Koris zatrzymał się.

– To, co dostałem, zatrzymam przy sobie. Przemień mnie tak, żebym mógł posługiwać się darem Volta.

– Nazwałabym cię tępakiem, gdybym nie znała wartości tej twojej zabawki. Nie została stworzona przez człowieka, więc może także zmieni kształt. Możemy jedynie spróbować. Bądźcie gotowi, szybko!

Zdjęła z podłogi kawałek dywanu, Simon i Koris przesunęli krzesło i stołek, przenieśli pozostałe rzeczy na koniec pokoju. Kobieta pochyliła się i cudownym kamieniem nakreśliła linie w kształcie pięciu gwiazd, które zaczęły lekko świecić. Nieco wyzywającym gestem Koris rzucił w środek swój topór.

Kobieta zwróciła się do Simona. – Przemiany nie są prawdziwe, tworzy się iluzję, która ma zwieść tych, co będą nas gonili. Pozwól mi czerpać z twojej mocy, abym mogła powiększyć swoją. A teraz – rozejrzała się dokoła i ustawiła mały gliniany kociołek obok topora rozdmuchując żar w węglach – róbmy to, co należy. Przygotujcie się.

Koris schwycił Simona za ramię. – Rozbieraj się do naga, inaczej moc nie działa. – Sam zaczął zrzucać kurtkę. Simon posłuchał rozkazu, po czym obaj pomogli Vortginowi.

Z kociołka unosił się dym, wypełniając pokój czerwonawą mgłą, w której skryła się przysadzista figura Korisa i muskularne ciało uciekiniera.

– Niech każdy z was stanie na gwieździe – rozległo się z mroku polecenie czarodziejki. – Ty, Simonie, stań koło mnie.

Poszedł za tym głosem zostawiając Korisa i Vortgina we mgle. Wyciągnęło się do niego białe ramię, biała dłoń ścisnęła jego dłoń. Pod stopami dostrzegł rysunek gwiazdy.

Ktoś śpiewał gdzieś bardzo daleko. Simonowi zdawało się, że unosi się w chmurze. Ale równocześnie odczuwał ciepło, nie z zewnątrz, ale wewnątrz. I to ciepło wydostawało się z jego ciała, przechodziło przez prawą rękę. Simon myślał, że gdyby mógł je obserwować, zobaczyłby ten strumień, ciepły, krwistoczerwony, przepływający rytmicznie. Nie widział jednak nic poza szarą mgłą, przy czym miał świadomość, że jego ciało jeszcze istnieje...

Śpiew stawał się coraz głośniejszy. Raz w życiu słyszał podobny, wtedy obudziło się w nim pożądanie, pragnienie zaspokojenia swoich apetytów, opanowane całą siłą woli. Teraz śpiew oddziaływał na niego inaczej, Simon przestał nienawidzieć tego dźwięku. Zamknął oczy na niekończące się kołowanie mgły, stał wsłuchany w śpiew, którego każda nuta pulsowała w jego ciele, stawała się jego częścią, wchodząc na zawsze w jego mięśnie i kości, ale równocześnie czuł, jak wypływa z niego ów ciepły strumień.

Nagle jego ręka opadła bezwładnie wzdłuż tułowia. Strumień przestał płynąć, śpiew cichł. Simon otworzył oczy. W nieprzeniknionej dotychczas ścianie mroku ukazywały się otwory. W jednym z nich dostrzegł brutalną, niemal zwierzęcą twarz. Ale kryły się w niej sardoniczne oczy Korisa. Trochę dalej widać było inną twarz, z pomacerowaną skórą i płaską opaską w miejscu, gdzie kiedyś było oko.

Głowa z oczami kapitana przeniosła wzrok z Simona na swego sąsiada i uśmiechnęła się demonstrując popsute i pożółkłe kły.

– Tworzymy wspaniałą kompanię!

– Ubierajcie się! – rzuciła kobieta z ustępującej mgły. – Tego dnia wyszliście z zaułków Karsu, by łupić i zabijać. To wy gonicie za skazanymi.

Założyli ubrania, w których przybyli do Kars, ale nie wszystkie, żeby nie wyglądać zbyt dobrze jak na męty miejskie. Zamiast topora Volta Koris podniósł z podłogi zardzewiały metalowy pręt z haczykami, których przeznaczenia Simon wolał sobie nie wyobrażać.

Nie było lustra, w którym mógłby obejrzeć swoją nową postać, przypuszczał jednak, że jest równie szkaradny, jak jego towarzysze. Oczekiwał, że czarownica i Briant także się przeistoczą, ale nie spodzie-

wał się tego, co zobaczył. Kobieta z Estcarpu stała się staruszką, pozlepiane kosmyki siwych włosów zwisały na przygarbione ramiona, w jej twarzy czaiło się zło. Młodzieniec natomiast był jej przeciwieństwem. Simon przyglądał się zadziwiony młodej dziewczynie przystrojonej w czerwonozłotą szatę, którą zdjęła czarodziejka.

Bladość i bezbarwność Brianta zastąpiła bogata uroda, więcej niż wyraźnie widoczna, gdyż dziewczyna nie zadała sobie trudu, by zawiązać tasiemki gorsetu. Staruszka wyciągnęła palec w stronę Simona.

– To twój łup. Zarzuć sobie ślicznotkę na ramiona, a jeśli zmęczy cię ten ciężar, kumple chętnie ci pomogą. Dobrze zagraj swoją rolę. – Dała rzekomej dziewczynie kuksańca między łopatki, popychając ją w ten sposób w ramiona Simona. Simon schwycił ją, zręcznie zarzucił sobie na ramię, podczas gdy czarownica obserwowała ich bacznym okiem reżysera, po czym ściągnęła jeszcze bardziej gorset dziewczyny, by ukazać gładkie ramiona.

Simon zdziwiony był doskonałością iluzji. Wyobrażał sobie, że będzie to tylko złudzenie optyczne, tymczasem miał pewną świadomość, że osoba, którą trzymał na ramieniu również zmysłom dotyku wydawała się kobietą. Musiał więc nieustannie sobie powtarzać, że wynosi na plecach Brianta.

Napotkali w Kars wielu podobnych ludzi. Widoki, na jakie natknęli się w drodze nad rzekę, sytuacje, w których nie mogli pomóc, mocno się wryły im w pamięć. Na rogatkach stały straże, jednak kiedy Simon zbliżył się z jęczącą ofiarą przerzuconą przez ramię, w kompanii wyraźnie gotowej skorzystać z okazji, czarodziejka z workiem podbiegła do przodu. Potknęła się i przewróciła tak zręcznie, że błyszczące łupy z torby potoczyły się po chodniku.

Wartownicy rzucili się do akcji, a ich dowódca kopnął leżącą staruchę. Jeden z nich miał jednak odrobinę większe poczucie obowiązku, a może po prostu większe wrażenie zrobił na nim wybrany przez Simona rodzaj łupu. Zagrodził Simonowi drogę lancą i uśmiechał się do niego znad tej bariery.

– Słodki ciężar sobie wybrałeś. Za dobry dla ciebie. Pozwól spróbować najpierw lepszemu.

Pręt z zardzewiałymi haczykami podciął nogi wartownika. Kiedy się przewrócił, zaczęli uciekać wzdłuż nabrzeża, a inni wartownicy ruszyli w pogoń.

– Do wody! – Briant został wyrwany z uścisku Simona, rzucony do rzeki, za nim wskoczył kapitan i po chwili wypłynął przy czerwonozłotym pakunku. Vortgin zataczając się dobiegł do brzegu. Simon widząc, że Koris zajmie się Briantem, obejrzał się za kobietą.

Przy nabrzeżu widoczna była plątanina ciał. Z karabinem gotowym do strzału Simon zawrócił, wystrzelił trzy razy, kładąc każdym strzałem jednego mężczyznę. Wrócił akurat w porę, by zobaczyć leżące nieruchomo ciało z siwą głową z ostrzem miecza przystawionym do gardła.

Simon wystrzelił jeszcze dwa razy. Potem jego pięści rozdzielały ciosy. Ktoś krzyknął i uciekł, kiedy Simon podnosił z ziemi czarownicę. Ważyła zdecydowanie więcej od Brianta. Z ciężarem przewieszonym przez ramię dobiegł do najbliższej barki, oddychał ciężko przeciskając się między ładunkiem na pokładzie, by dotrzeć do drugiej burty.

Kobieta w jego ramionach nagle ożyła, odpychając go, jakby rzeczywiście była walczącą ofiarą. Simon stracił równowagę i obydwoje wpadli do wody, uderzając o jej powierzchnię z nieoczekiwaną siłą. Simon napił się wody, zakrztusił się, zaczął niezdarnie płynąć.

Wytknął głowę na powierzchnię, rozejrzał się w poszukiwaniu kobiety i dostrzegł poruszające się rytmicznie pomarszczone ramię.

– Halo!

Wołanie dobiegło z barki płynącej w dół rzeki, przez burtę przerzucono sznur. Simon i kobieta wydostali się na pokład, tylko po to, by na polecenie Korisa znowu wskoczyć do wody, tym razem z drugiej strony, tak, by płynąca barka stanowiła rodzaj osłony od strony brzegu.

Czekała na nich maleńka łódka, w której siedział Vortgin, a Briant przechylony przez burtę wymiotował do wody, ściskając równocześnie swą czerwoną suknię, jakby rzeczywiście padł ofiarą gwałtu. Kiedy znaleźli się w łódce, Koris odepchnął ją od barki posługując się swą dzidą z haczykami.

– Myślałem, że straciłeś to na rogatkach!

Na twarzy Korisa odbiło się zdumienie. – Tego nie zgubię nigdy! No, to zyskaliśmy odrobinę czasu.

znalazł się na płaskim dachu. Nad jego częścią wzniesiono rodzaj daszka, pod którym Simon dostrzegł przedmioty, które – po tym, co widział na dole – bynajmniej go nie zdziwiły. Przysadziste skrzydła były skierowane do tyłu pod ostrym kątem, a żaden kadłub nie mógł pomieścić więcej niż pilota i dwóch pasażerów, ale były to niewątpliwie samoloty. W ten sposób wyjaśniła się tajemnica zdobycia Sulcarkeepu, jeżeli oczywiście nieprzyjaciel dysponował odpowiednią ilością powietrznych statków.

Dla Simona stanowiły one sposób ucieczki, o ile nie trafi mu się inna szansa. Ale skąd miał uciekać? Rozglądając się po tym zaimprowizowanym hangarze w poszukiwaniu strażnika Simon przesunął się do skraju dachu mając nadzieję, że zobaczy coś, co pozwoli mu zorientować się w okolicy.

Przez moment zastanawiał się, czy nie znalazł się z powrotem w odbudowanym Sulcarkeep. W dole widoczny był port z zakotwiczonymi statkami, z rzędem domów wzdłuż ulic biegnących w kierunku nabrzeża. Ale to miasto miało inny plan niż port kupiecki. Było większe i zaplanowane jakby odwrotnie: tam, gdzie w Sulcarkeep były magazyny i nieliczne domy mieszkalne, tu było na odwrót. Chociaż słońce zdawało się wskazywać, że zbliża się południe, ulice były opustoszałe, domy sprawiały wrażenie nie zamieszkanych. Ale nie widać było także oznak rozkładu i powolnego wkraczania przyrody, tak charakterystycznych dla domostw kompletnie opuszczonych.

Architektura przypominała budowle Estcarpu i Karsten, z minimalnymi tylko różnicami, nie mogło to więc być Yle wzniesione przez Kolder. Musiał znajdować się na wyspie Gorm, może w Sippar, owym ośrodku narośli, którego siły Estcarpu nie mogły przebić.

Jeżeli miasto widoczne w dole było rzeczywiście nie zamieszkane, powinien bez trudu dostać się do portu i znaleźć jakiś sposób, by przeprawić się statkiem na wschodni kontynent. Ale skoro budynek, na którym się znajdował, był tak dokładnie odizolowany od świata zewnętrznego, to może jedyną możliwość ucieczki stwarzał właśnie dach?

Budynek, na którym stał, był najwyższą budowlą w niewielkim mieście, może był to stary zamek, w którym władali członkowie klanu Korisa. Gdyby kapitan był tu razem z nim, sprawa mogłaby być o wiele prostsza. Simon obszedł wszystkie boki i przekonał się, że do budynku nie przylegał żaden dach, że z każdej strony była ulica lub ulice.

Niechętnie wrócił do hangaru z samolotami. Głupotą byłoby zawierzyć maszynie, której nie umiał pilotować. Ale nie był to powód, żeby chociaż jednej z nich nie przyjrzeć się dokładnie. Simon stawał się coraz bardziej śmiały, skoro tak długo nic mu się nie stało. Mimo wszystko zabezpieczał się od niespodzianek. Nóż tkwiący w zamku drzwi prowadzących na dach ostrzeże go o przybyciu intruza.

Podszedł do najbliższego samolotu. Bez trudu wypchnął go z hangaru. Maszyna okazała się lekka, łatwa do prowadzenia. Podniósł wieko w poddartym dziobie i oglądał silnik. Nie przypominał on żadnego znanego Simonowi silnika, ale nie był przecież ani inżynierem, ani mechanikiem. Miał jednak dość wiary w skuteczność działań ludzi znajdujących się poniżej, by zachować pewność, że samolot będzie latał, gdyby tylko potrafił go prowadzić.

Przed podjęciem dalszych poszukiwań Simon obejrzał cztery kolejne maszyny, rozbijając kolbą jednego z karabinów ich silniki. Jeżeli miał uciekać drogą powietrzną, nie chciał stać się celem polowania myśliwców.

Nieprzyjaciel uderzył w momencie, kiedy Simon po raz ostatni uniósł w górę zaimprowizowany młotek. Nie było dobijania się do zablokowanych drzwi, ani tupotu strażników na schodach. Znów milczące uderzenie owej niewidzialnej siły. Tym razem nie próbowała przygwoździć go do miejsca, próbowała go sprowadzić do siebie. Simon przytrzymał się uszkodzonego samolotu jak kotwicy, ale nie mógł się zatrzymać w swoim marszu na dół.

Jednak owa siła nie prowadziła go do drzwi! Z rosnącą paniką Simon uświadomił sobie, że jego przeznaczeniem nie była wątpliwa przyszłość na niższych kondygnacjach, ale szybka śmierć następująca po skoku z dachu.

Walczył całą siłą woli, stawiając po jednym kroku. Ponownie spróbował sztuczki ze znakiem w powietrzu, która pomogła mu uprzednio. Ale tym razem nie pomogła, może dlatego, że teraz nie znajdował się twarzą w twarz ze swym nieprzyjacielem.

Mógł opóźnić nieunikniony koniec o ułamki sekund. Próba podejścia do drzwi nie powiodła się, miał

się odepchnąć i odejść od ściany. Nie był pewny, czy szeroka twarz człowieka z krążkiem rzeczywiście wyrażała zaskoczenie.

Następnym krokiem Simona nie kierowała świadoma wola. Prawą rękę podniósł na wysokość serca, a jego palce nakreśliły w powietrzu rysunek pomiędzy nim a człowiekiem w krążku-czapce, który dysponował siłą.

Trzeci raz widział ten rysunek. Przedtem jednak rysowała go ręka mieszkanki Estcarpu i linie zapłonęły ogniem, który trwał sekundę.

Teraz rysunek również rozbłysnął, ale rozpryskującą się bielą. I w tym momencie Simon mógł się poruszyć! Nacisk zelżał. Podbiegł do drzwi, wykorzystując chwilową możliwość ucieczki na nieznane tereny leżące za nimi.

Była to jedynie chwilowa ucieczka, ponieważ natknął się na uzbrojonych mężczyzn. Trudno było źle odczytać ten wyraz koncentracji w zwróconych na niego oczach, kiedy wypadł na korytarz, na którym pełnili wartę. To byli niewolnicy Kolderu i tylko zabijając mógł sobie utorować drogę.

Zbliżali się w milczeniu, ciężkim od groźby, od obietnicy śmierci. Simon szybko się zdecydował i rzucił się na ich spotkanie. Prześliznął się w prawo i zwarł z mężczyzną będącym najbliżej ściany, przewracając go w taki sposób, by równocześnie zabezpieczyć sobie tyły.

Niespodziewaną pomocą okazała się gładka powierzchnia podłogi. Siła uderzenia Simona przeniosła ich obydwu poza dwóch pozostałych wartowników. Simon uderzył nożem, czując dotyk ostrza na własnych żebrach. Wartownik potoczył się kaszląc po ziemi, a Simon wyrwał mu zza pasa karabin.

Strzelił do pierwszego z pozostałych w samą porę i dzięki temu miecz wymierzony w jego szyję spadł na rannego. Dało to Simonowi cenną sekundę na wycelowanie w trzeciego i ostatniego przeciwnika.

Zabrawszy jeszcze dwa karabiny strzałkowe ruszył dalej. Na szczęście ten korytarz nie kończył się ukrytymi drzwiami, lecz schodami. Kamienne schody, biegnące przy kamiennej ścianie, znacznie różniły się od gładkich szarych powierzchni pomieszczeń, w których Simon dotychczas się znalazł.

Jego gołe stopy zapierały się na chropowatej powierzchni kamiennych stopni. Na wyższym piętrze natknął się na przejście podobne do tych, jakie widywał w twierdzy Estcarpu. Jakkolwiek funkcjonalno-futurystyczna była pokrywa tego miejsca, jego jądro przypominało miejscowe budowle.

Simon krył się dwukrotnie, z karabinem gotowym do strzału, kiedy mijały go oddziały tubylców, przemienionych przez siły Kolderu. Nie mógł stwierdzić, czy zarządzono jakiś ogólny alarm, czy też były to zwykłe rutynowe patrole, ponieważ poruszali się równym krokiem i nie przeszukiwali bocznych przejść.

Gdyby chociaż miał jakiś obraz wewnętrznego planu labiryntu, z którego próbował się wyrwać. Czy był na wyspie Gorm? Czy w owym tajemniczym mieście Yle założonym przez Kolder na wybrzeżu kontynentu? Czy może w jakiejś bardziej ukrytej kwaterze najeźdźców? Bo nie miał wątpliwości, że była to ważna kwatera.

Chęć znalezienia choćby tymczasowego schronienia i zaspokojenia głodu skłoniła go do przeszukania pomieszczeń na wyższym piętrze. Nie było tu mebli, jakie widział niżej. Rzeźbione drewniane skrzynie, krzesła i stoły były wytworem tubylców. W niektórych pomieszczeniach znać było ślady szybkiego opuszczenia ich przez mieszkańców, ślady poszukiwań pokryte teraz kurzem, jakby pokoje te od dawna nie były używane.

W jednym z takich pomieszczeń Simon znalazł odpowiednie ubranie. Ciągle jednak brakowało mu kolczugi i jakiejś innej broni poza karabinami, które odebrał zabitym wartownikom. Przede wszystkim jednak odczuwał głód i zastanawiał się czy w poszukiwaniu jedzenia nie będzie musiał wrócić na niebezpieczne niższe kondygnacje.

Choć myślał o zejściu na dół, na razie wspinał się po każdej rampie czy stopniach, na jakie natrafił. Zorientował się, że w tym labiryncie wszystkie okna pozabijano, funkcjonowało tu jedynie sztuczne oświetlenie, które stawało się tym słabsze, im więcej pięter dzieliło Simona od głównej kwatery Kolderu.

Ostatni, bardzo wąski bieg schodów wydawał się bardziej używany, toteż Simon trzymał w pogotowiu karabin, wspinając się w kierunku znajdujących się na górze drzwi. Drzwi otworzyły się łatwo i

Tak mi się przynajmniej zdaje. Pomyślą, że chowamy się na barce. Ale rozsądniej będzie przeprawić się na drugi brzeg, jak tylko barka oddryfuje wystarczająco daleko od nabrzeża przystani.

Wszyscy zgodzili się z sugestią kapitana, ale wydawało im się, że już bardzo długo czekają na odpłynięcie barki. Briant wreszcie się wyprostował, ale siedział z odwróconą głową, jakby szczerze zawstydzony swoim przebraniem. Kobieta na dziobie bacznie obserwowała odległy brzeg.

Na szczęście zapadła noc, a Vortgin dobrze znał okolice. Potrafi ich przeprowadzić polami, unikając zabudowań, dopóki nie znajdą się w bezpiecznej odległości od Kars.

– Trzykrotnie odtrąbiono wyrok, tak, mógł to narzucić w Kars. Miasto należy do niego. Ale starzy lordowie na ogół czują się związani z nami, a w braku tego rodzaju więzów czy sympatii może ich poruszyć po prostu zazdrość o Yviana. Jeśli nawet nie pomogą nam czynnie, to nie pomogą także ludziom księcia w zgładzeniu nas. Będzie chodziło głównie o to, żeby nic nie widzieli, ani nie słyszeli.

– Tak, Karsten jest teraz dla nas zamknięte – zgodziła się z Vortginem kobieta. – Radziłabym wszystkim należącym do starej rasy nie odkładać ucieczki do chwili, gdy będzie za późno. Może pomogą tu Sokolnicy. Jak widzicie nadchodzi noc.

Simon zdał sobie sprawę, że nie miała na myśli jedynie nadejścia nocnego mroku, otaczającego piątkę uciekinierów.

Fałszywy sokół

Simon, Koris i Vortgin leżeli w polu za stogiem, przykryci wiązkami wilgotnej słomy i obserwowali wioskę położoną na znajdującym się poniżej skrzyżowaniu dróg. Widać było czwórkę ludzi księcia ubranych w szaroniebieskie płaszcze, na koniach zdatnych do długiej i ciężkiej jazdy. Widać było także grupkę nędznie odzianych chłopów. Z zachowaniem ceremoniału przywódca niewielkich sił wysłanych z Kars doprowadził konia pod słup ogłoszeń, przyłożył do ust róg, w którego srebrnej oprawie odbijały się promienie słońca.

– Raz... dwa... trzy – Koris głośno liczył dźwięki. Słyszeli je dokładnie, musiała je słyszeć cała okolica, choć nie zrozumieli słów wypowiedzianych przez wysłanników księcia.

Koris spojrzał na Vortgina. – Dosyć szybko to rozgłaszają. Powinieneś się pospieszyć, jeżeli w ogóle chcesz uprzedzić kogokolwiek ze swoich krewniaków.

Vortgin wbił sztylet głęboko w ziemię, jakby miał do czynienia z jednym z jeźdźców w niebieskim płaszczu. – Potrzebowałbym czegoś więcej niż para moich nóg.

– Właśnie. Wszyscy tego szukamy – Koris wskazał palcem wysłanników księcia.

– Za mostem droga przecina niewielki las – rozmyślał głośno Simon.

Oblicze Korisa wyraziło złośliwe zrozumienie tej aluzji. – Wkrótce skończą pogawędkę. Lepiej ruszajmy.

Odczołgali się od punktu obserwacyjnego, przeprawili przez bród na rzece i znaleźli się w lesie. Droga prowadząca na północ nie była dobrze utrzymana. W tym okręgu rządom Yviana sprzeciwiali się zarówno możni, jak i biedota. Poza głównymi traktami, wszystkie drogi były ledwo przejezdne.

Droga biegła dnem wąwozu porośniętego krzakami i trawą. Nie był to bezpieczny dukt dla żadnego podróżnego, zwłaszcza noszącego liberię księcia.

Simon ukrył się po jednej stronie. Koris stanął bliżej rzeki, przygotowany na zajęcie się cofającymi. Vortgin znajdował się na wprost Simona. Pozostawało im tylko czekać.

Przywódca wysłanników książęcych nie był głupcem. Jeden z jego ludzi jechał przodem bacznie obserwując każdy poruszany wiatrem krzak, każdą podejrzanie wysoką kępę trawy. Przejechał pomiędzy zaczajonymi mężczyznami i pojechał dalej. Za nim pojawił się człowiek z rogiem i jego towarzysz, czwarty zamykał tyły.

Simon strzelił, kiedy ostatni jeździec zrównał się z nim. Bezbłędnie wycelowana strzałka zwaliła z konia jeźdźca straży przedniej.

Przywódca zawrócił konia ze zręcznością wytrawnego jeźdźca po to, by zobaczyć jak plując krwią spada z konia ostatni w orszaku.

- Sul... Sul... Sul... - Okrzyk wojenny, który Simon słyszał po raz ostatni w skazanym na zagładę porcie. Strzałka trafiła Simona w ramię, przedzierając kurtkę i lekko raniąc skórę, przywódca jeźdźców musiał mieć oczy kota.

Ostatni z pozostałych przy życiu żołnierzy usiłował wspomóc dowódcę, dopóki Vortgin nie wychylił się z ukrycia i nie rzucił sztyletem, którym poprzednio się bawił. Nóż utkwił u nasady czaszki jeźdźca, który bez słowa osunął się z konia.

Simon usłyszał nad głową stuk kopyt. Koń stracił równowagę i upadł przygniatając swym ciężarem jeźdźca. Koris wyskoczył z ukrycia i wbił zakrzywiony pręt w dającego jeszcze oznaki życia nieprzyjaciela.

Zabrali się do rozbierania żołnierzy i łapania koni. Odciągnęli w krzaki ciała zabitych, kolczugi, hełmy i dodatkową broń przytroczyli do siodeł, po czym udali się do opuszczonej szopy, w której się schronili.

Mężczyźni trafili w sam środek gorącego sporu. Starucha i ciemna piękność w szkarłatnozłotej szacie stały na wprost siebie z rozgorączkowanymi oczami. Ich podniesione głosy umilkły jednak, kiedy Simon przeszedł przez dziurę w rozpadającym się płocie. Nikt nie odezwał się, dopóki nie przyprowadzono koni z bagażami. Wtedy odziana na czerwono dziewczyna wydała cichy okrzyk i rzuciła się na tobołki skórzanych okryć i kolczug.

- Chcę wrócić do własnej postaci i to zaraz! - zażądała .

Simonowi łatwo było to zrozumieć. W wieku Brianta rola, jaką mu narzucono, mogła się wydawać bardziej upokarzająca od niewolnictwa. Zresztą nikt z nich nie chciał dłużej występować w tak nieatrakcyjnej postaci, nawet jeśli przebranie to pomogło im wydostać się z Kars.

- To słuszne - przyznał. - Czy możemy znów się przekształcić, raczej czy możesz nas przekształcić, pani? Czy też musi upłynąć jakiś czas?

Kobieta zmarszczyła brwi. - Dlaczego mamy marnować czas? Nie jesteśmy jeszcze poza zasięgiem wysłanników Yviana, choć jak widać niektórych już załatwiliście. - Wzięła jeden z płaszczy przymierzając go do swej zgarbionej figury.

Briant rzucał groźne spojrzenia, zabierając kłąb męskich ubrań. Odęte wargi jego dziewczęcej twarzy miały zacięty wyraz. - Odejdę stąd we własnej postaci albo nie odejdę wcale - oświadczył.

Kobieta z Estcarpu poddała się. Spod poszarpanego kaftana wyciągnęła woreczek i rzuciła go Briantowi. - Więc biegnij do strumienia. Użyj garstkę tego zamiast mydła. Ale uważaj, bo musi starczyć dla nas wszystkich.

Briant schwycił woreczek, uniósł go do góry i podbiegł w stronę strumienia przyciskając tobołek z męskimi ubraniami jakby w obawie, że ktoś mu odbierze te nowo zdobyte rzeczy.

- A co z nami? - zapytał zniecierpliwiony Simon.

Koris przywiązał konie do nadwerężonego płotu. Jego twarz wyglądała obrzydliwie, ale śmiech wskazywał na autentyczne rozbawienie.

- Niech chłopak spokojnie pozbędzie się tego przebrania. W końcu dotychczas nie protestował. A te suknie musiały go drażnić!

- Suknie? - w głosie Vortgina brzmiało zaskoczenie. - Ależ...

- Simon należy do starej rasy - kobieta przeczesywała swoje długie włosy palcami. - Nie zna naszych sposobów i transformacji. Masz rację, Korisie - spojrzała dziwnie na kapitana. - Trzeba pozwolić Briantowi dokonać w spokoju tej transformacji.

Ubrania zdobyte na niefortunnych wysłannikach księcia były trochę za duże na młodego wojownika, który wrócił znad strumienia znacznie pewniejszym krokiem. Cisnął zwitek czerwonej materii w kąt, a kiedy Simon i pozostali udawali się na wodę, zadeptywał go z energią przypominającą atak.

Koris najpierw pocierał i szorował zardzewiały pręt zanim zanurzył swoje ciało. Kiedy się mył nie wypuszczał z ręki topora Volta. Wybrali sobie ubrania, Koris musiał pozostać przy kolczudze, w której wyszedł z Kars, bo żadna inna na niego nie pasowała. Zarzucił jednak na nią płaszcz. Obaj mężczyźni poszli w jego ślady.

Kiedy wrócili, Simon podał kobiecie woreczek. Przez chwilę potrzymała go w ręku i z powrotem ukryła za dekoltem. - Jesteście dzielną grupą żołnierzy. Ja jestem waszym jeńcem. W tych kapturach i

Mapa wisiała nad stołem, na którym w pewnych odstępach umieszczone były maszyny, od czasu do czasu wydające jakieś dźwięki lub zapalające małe światełka kontrolne. Pomiędzy każdą parą maszyn, odwróceni plecami do Simona, całkowicie zaabsorbowani urządzeniami na stole, siedzieli ludzie w szarych fartuchach i czepkach.

Trochę z boku stał mniejszy stół czy biurko, przy którym siedziało trzech dalszych przedstawicieli Kolderu. Środkowy z tej trójki miał na głowie metalowy krążek-czapkę, z którego zwieszały się rurki i cała pajęczyna przewodów prowadzących do stojącego za nim pulpitu. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, oczy miał zamknięte. Jednak nie spał, ponieważ od czasu do czasu jego palce sprawnie dotykały guziczków i dźwigni na tablicy umieszczonej przed nim. Simon objąwszy wzrokiem całą scenę nabrał przekonania, że znajduje się w sztabie jakiegoś ważnego zbiorowego przedsięwzięcia.

Tym razem słowa skierowane do niego nie rozległy się z powietrza, wypowiedział je mężczyzna siedzący po lewej stronie tego z krążkiem. Wpatrywał się w Simona, a jego płaska twarz o nadmiernie rozwiniętej górnej połowie, początkowo wyrażała głównie zniecierpliwienie, które jednak przekształcało się w świadomość, że ma do czynienia z kimś należącym do innego gatunku.

Simon sprężył się. W jego zasięgu znajdował się jeden z obsługujących maszyny przy dużym stole przed mapą. Uderzył kantami dłoni, wymierzając cios, który mógłby złamać kark, ale pozbawił tylko ofiarę przytomności. Trzymając obwisłe ciało jak tarczę Simon cofnął się do ściany przy drugich drzwiach, mając nadzieję, że uda mu się tamtędy wyjść.

Ku jego zdziwieniu mężczyzna, który pierwszy zauważył jego przybycie, nie czynił żadnych prób, by go zatrzymać, przynajmniej prób fizycznych. Powtórzył jedynie wolno i dobitnie w języku tubylców z kontynentu:

- Powrócisz do swojej jednostki. Zameldujesz się w punkcie kontrolnym.

W czasie gdy Simon kontynuował wycofywanie się do drzwi, jeden z mężczyzn siedzących obok jego obecnego więźnia odwrócił zdumione oblicze od Simona, przenosząc wzrok na siedzących przy stoliku w głębi, a potem znów na Simona. Reszta jego kolegów spoglądała znad maszyn z takim samym zdziwieniem, kiedy ich oficer wstał. Było jasne, że oczekiwali od Simona natychmiastowego i bezwarunkowego posłuszeństwa.

- Wrócisz do swojej jednostki! Natychmiast!

Simon roześmiał się. Rezultat tej reakcji był zaiste zadziwiający. Wszyscy obecni, z wyjątkiem mężczyzny z krążkiem, który na nic nie zwracał uwagi, wstali z miejsc. Ci z dużego stołu ciągle patrzyli na dwóch zwierzchników w końcu pomieszczenia, jakby w oczekiwaniu na rozkazy. Simon pomyślał, że gdyby skręcał się w agonii, nie byliby tak zaskoczeni, jego reakcja na rozkaz oszołomiła ich całkowicie.

Człowiek, który wydał ten rozkaz, położył rękę na ramieniu swego towarzysza z krążkiem na głowie, potrząsając nim łagodnie. Gest ten, choć tak powściągliwy, zdawał się wyrażać najwyższą panikę. Przywzwany w ten sposób do rzeczywistości, mężczyzna z krążkiem otworzył oczy, rozejrzał się dokoła, najpierw z niecierpliwością, a potem z widocznym rozbawieniem. Patrzył na Simona, jakby obserwował cel.

To, co nastąpiło, nie było fizycznym atakiem, ale uderzeniem niewidzialnej siły, niemożliwej do określenia dla kogoś niewtajemniczonego. Ale to był cios, który przygwoździł Simona do ściany, odebrał mu zdolność poruszania.

Ciało, którym zasłaniał się jak tarczą, wyślizgnęło mu się z bezwładnych ramion i osunęło się na podłogę. Nawet oddychanie stało się dla Simona wysiłkiem, na którym musiał się skoncentrować. Jeżeli zostanie w miejscu, pod naciskiem niewidzialnej miażdżącej ręki, nie przeżyje. Znajomość z czarodziejkami z Estcarpu wyostrzyła jego percepcję. Pomyślał, że to, co złapało go w pułapkę, nie było tworem ciała, ale umysłu, więc tylko przez umysł może być zwalczone.

Z tego rodzaju mocą zetknął się jedynie w Estcarpie i nie miał wprawy w posługiwaniu się nią. Ale zbierając wszystkie siły woli skoncentrował się na podniesieniu ręki, poruszała się tak niezdarnie, że obawiał się niepowodzenia. Teraz kiedy oparł jedną dłoń na ścianie, do której przykuła go nieznana energia, podniósł drugą dłoń. Odczuwając zarówno ból mięśni, jak i wyczerpanie umysłowe, postarał

Szara świątynia

Czy znajdował się pod obserwacją? Czy był to po prostu jakiś system radiofonizacji? Skoro Simon upewnił się, że nadal jest sam w pokoju, zaczął wsłuchiwać się w słowa, których nie mógł zrozumieć i które mógł interpretować jedynie na podstawie intonacji. Spiker powtarzał coś, w każdym razie Simon był przekonany, że rozpoznał kilka dźwięków.

Ale czy to znaczyło, że ktoś go obserwuje?

Jak długo potrwa, zanim niewidzialny spiker zarządzi poszukiwania? Czy stanie się to natychmiast, jeżeli nie otrzyma odpowiedzi? Bez wątpienia było to ostrzeżenie. Należało coś zrobić. Tylko co? Simon wyszedł z powrotem na korytarz.

Z tej strony korytarz kończył się ślepą ścianą, należało więc spróbować drugiej strony, a to znaczyło przejście obok wszystkich drzwi. Ale wszędzie natykał się na niczym nie zakłóconą szarą ścianę. Mając w pamięci halucynacje z Estcarpu, Simon przeciągał dłońmi po gładkiej powierzchni. Jeżeli jednak znajdował się tam jakiś otwór, ukryty był znacznie lepiej niż mogłaby sprawić zręczność iluzjonisty. Simon nabrał pewności, że siły Kolderu, kimkolwiek czy czymkolwiek są, wywodzą się z innej rasy niż czarodziejki i że magia Kolderu ma inne pochodzenie. Opierają swe działania na umiejętnościach zewnętrznych nie na wewnętrznej mocy.

Dla mieszkańców Estcarpu większość umiejętności technicznych z jego własnego świata stanowiłaby czystą magię. I może właśnie spośród wszystkich gwardzistów Estcarpu jedynie Simon mógł częściowo chociaż zrozumieć, co dzieje się na Gormie, był lepiej przygotowany, by zmierzyć się z tymi, którzy stosują maszyny i naukę, niż jakakolwiek czarodziejka, która potrafiła stworzyć flotę z drewnianych okręcików.

Przeszedł wzdłuż korytarza, macając ręką najpierw jedną ścianę, potem drugą, w poszukiwaniu jakiejś nieregularności powierzchni wskazującej na istnienie wyjścia. A może drzwi wyjściowe znajdują się w którymś z pokojów? Jego szczęście z pewnością nie może trwać wiele dłużej.

I znów z otaczającej przestrzeni rozległ się ów głos wydający polecenia w nieznanym języku, jego gwałtowność nie ulegała wątpliwości. Simon, wietrząc niebezpieczeństwo, zamarł w bezruchu, oczekując niemal, że wciągną go jakieś ukryte drzwi lub że nagle znajdzie się w jakiejś sieci. W tym momencie zauważył wyjście, choć nie takie, jakiego się spodziewał, ponieważ w drugim końcu korytarza część ściany odsunęła się, a za nią widoczna była oświetlona przestrzeń. Simon wyciągnął nóż zza pasa, przygotowany na odparcie ataku.

Ciszę przerwał znów dźwięk owego tajemniczego głosu, Simon przypuszczał, że władcy tego miejsca nie odkryli jeszcze jego prawdziwego statusu. A może, jeśli nawet go widzieli, to w szarym fartuchu i czepku wydał im się jednym z ich ludzi, który zachowywał się dziwnie, toteż wzywano go, by się gdzieś zameldował.

Postanowiwszy występować w tej roli jak najdłużej się da, Simon zbliżył się do nowo odkrytych drzwi z pewnością siebie komandosa. Jednak omal nie popadł w panikę, kiedy okazało się, że drzwi zamknęły się za nim i został uwięziony w pudełku. Dopiero kiedy dotknął jednej ze ścian i poczuł lekkie wibracje, domyślił się, że to winda i odkrycie to nie wiadomo dlaczego, poprawiło jego samopoczucie. Coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Kolder reprezentowało cywilizację zbliżoną do tej, jaką znał w swoim własnym świecie. Znacznie mniej denerwujące było wyjeżdżanie czy zjeżdżanie windą na rozprawę z nieprzyjacielem niż na przykład stanie w wypełnionym mgłą pomieszczeniu i obserwowanie, jak w ciągu sekundy przyjaciel przemienia się w obrzydliwego cudzoziemca.

Drgania ścian ustały. Simon stanął z dala od drzwi niepewny, w którą stronę się otworzą. Nie miał jednak wątpliwości, że się otworzą i rzeczywiście tak się stało.

Tym razem z zewnątrz dochodziły jakieś dźwięki, stłumione nucenie, ostry ton odległych głosów. Wyszedł ostrożnie do niewielkiej alkowy. Na jednej ścianie wyeksponowana była olbrzymia mapa. Drogi, głęboko wcięta linia brzegowa, ukształtowane trójwymiarowo góry – wszystko to już kiedyś widział. W niektórych miejscach mapy wpięte były żaróweczki o różnych kolorach. Lampki, wzdłuż wybrzeża, gdzie znajdowała się nie istniejąca już twierdza Sulcar były fioletowe, na równinach Estcarpu paliły się światełka żółte, w Karsten zielone, a w Alizon czerwone.

hełmach nie widać tak wyraźnie, że pochodzicie z Estcarpu. Tylko ty, Vortginie, nosisz wyraźne piętno starej rasy. Ale gdybym ja pojawiła się w swojej zwykłej postaci, niechybnie bym was wydała. Więc jeszcze poczekam.

I tak wyjechali z ukrycia. Czterech mężczyzn w barwach księcia i starucha. Konie były wypoczęte, ale jechali powolnym truchtem, unikając otwartych dróg, aż do momentu, kiedy Vortgin musiał udać się na wschód.

– Jedziemy na północ traktem kupieckim – wydawała dyspozycje kobieta z siodła za Briantem. – Jeżeli uda nam się zawiadomić Sokolników, bezpiecznie przeprowadzę uciekinierów przez góry. Powiedz swoim, żeby zabierali z sobą tylko broń i żywność, tyle, ile uniosą juczne zwierzęta. I niech moc będzie z tobą, Vortginie, bo ci, których namówisz, by przyjechali do Estcarpu będą świeżą krwią dla naszych żył.

Koris zdjął z ramienia rzemień od rogu i podał Vortginowi. – To może być twój paszport, jeżeli natrafisz na jakieś siły Yviana, zanim znajdziesz się w głębi kraju. Niech ci szczęście sprzyja, bracie, i poszukaj gwardii na północy. W ich arsenale jest tarcza, która będzie akurat odpowiednia dla ciebie.

Vortgin wykonał gest pożegnania i skierował konia na wschód.

– A teraz? – kobieta zwróciła się do Korisa.

– Sokolnicy.

Kobieta zachichotała – Zapominasz, kapitanie, że choć wydaję się stara i zniszczona, pozbawiona soków żywotnych, jednak jestem kobietą i siedziba Sokolników jest dla mnie niedostępna. Przeprowadźcie mnie i Brianta przez granicę, a potem poszukajcie tych wrogów kobiet i przyjaciół ptaków. Poruszcie ich, jak najlepiej potraficie. Bo granica ozdobiona ostrzami mieczy każe Yvianowi trochę się zastanowić. A jeżeli Sokolnicy dopomogą naszym kuzynom przejść bezpiecznie przez góry, będziemy ich wielkimi dłużnikami. – Tylko – pociągnęła płaszcz na ramieniu Brianta – radziłabym odrzucić te barwy pana, któremu nie służycie, bo możecie zostać przykuci do jakiegoś górskiego drzewa, zanim zdążycie powiedzieć, kim naprawdę jesteście.

Tym razem Simon nie zdziwił się, że obserwuje ich sokół, nie wydało mu się też dziwne, że Koris wyraźnie wyjaśnia ptakowi ich prawdziwą tożsamość i sprawy, jakie mają do załatwienia. Briant i kobieta jechali pomiędzy nimi. Pożegnali się z Vortginem wczesnym popołudniem, teraz słońce zbliżało się ku zachodowi, a dotąd ich jedynym posiłkiem były racje żywnościowe znalezione w torbach przy siodłach zdobycznych koni.

Koris zaczekał, aż pozostali zrównają się z nim. Kiedy kapitan zaczął mówić, ciągle patrzył na rysujące się góry i wydawało się Simonowi, że utracił trochę swojej zwykłej pewności.

– Nie podoba mi się to. Informacja musiała być przekazana przez przekaźnik sokoła i straż graniczna powinna być już niedaleko. Już powinni się z nami spotkać. Kiedy byliśmy w Gnieździe, gotowi byli podjąć wspólną walkę z Estcarpem.

Simon niespokojnie przyglądał się stokom górskim. – Nie pojadę podobną ścieżką w ciemności bez przewodnika. Jeżeli, jak twierdzisz, kapitanie, Sokolnicy nie zachowują się dziś zgodnie ze swym zwyczajem, to jeszcze jeden powód, żeby nie wkraczać na ich terytorium. Proponowałbym rozłożenie obozu w pierwszym dogodnym miejscu.

Briant z głową zadartą do góry obserwował kołującego ptaka.

– Ten ptak nie lata tak jak trzeba. – Młodzieniec wypuszczając cugle uniósł ręce naśladując skrzydła. – Prawdziwy ptak robi tak, a sokół tak, ileż razy je obserwowałem. Ale ten, popatrzcie, flap, flap, to coś nie tak!

Teraz wszyscy obserwowali kołującego sokoła. Dla Simona był to ten sam rodzaj czarno-białego pierzastego wartownika, jaki odnalazł ich za pieczarą Volta i jakie widział na siodłach Sokolników. Nie miał jednak najmniejszego pojęcia o ptakach.

– Możesz zagwizdać, żeby usiadł? – zapytał Korisa.

Kapitan odpowiednio ułożył wargi i czyste dźwięki napełniły powietrze.

W tym samym momencie kusza Simona wystrzeliła. Koris obrócił się z krzykiem i schwycił go za rękę, ale już było za późno. Zobaczyli, że strzała trafiła w zakończenie białego V na piersi ptaka. Ale jego lot nie zmienił się, ptak nie wydawał się ranny.

- Powiedziałem, że to nie ptak! - wykrzyknął Briant. - Czary!

Wszyscy spojrzeli na kobietę oczekując wyjaśnienia, ale jej uwaga skupiona była na ptaku, z którego ciała wciąż sterczała strzała i który zataczał nad nimi powolne kręgi.

- To nie są czary znanej nam mocy. - Wydawało się, że udzieliła tej odpowiedzi wbrew swojej woli. - Nie mogę powiedzieć, co to jest. Ale nie jest to żywe, według naszych poglądów na życie.

- Kolder! - rzucił Koris.

Kobieta powoli potrząsnęła głową. - Jeżeli to sprawka Kolderu, nie jest to igranie z naturą, jak w przypadku ludzi z Gormu. Ale co to jest, nie potrafię powiedzieć.

- Musimy ściągnąć to na dół. Już się obniżyło od chwili, gdy strzała trafiła, może ściągane jej ciężarem - powiedział Simon. - Daj mi swój płaszcz, pani - zwrócił się do czarodziejki zsiadając z konia.

Podała mu postrzępiony łachman, a Simon owinąwszy go dokoła przedramienia zaczął wspinać się na ścianę obok wąskiej ścieżki, którą przyjechali. Miał nadzieję, że ptak pozostanie w miejscu, dalej kołując nad nimi i coraz bardziej się obniżając.

Simon czekał, rozciągnąwszy nieco płaszcz. Machnął nim i ptak wleciał w tę zaimprowizowaną sieć. Wyrwał się, latając na ślepo, aż w końcu rozbił sobie głowę o skałę.

Tregarth podbiegł, by podnieść leżącą na ziemi rzecz.

Pióra były prawdziwe, ale pod nimi! Zagwizdał równie głośno i wyraźnie jak Koris przywołujący ptaka, ponieważ pod masą ściągniętej skóry i połamanych piór kryła się plątanina delikatnych metalowych złączy, maleńkich kółek, przewodów i coś, co mogło być jedynie dziwacznej konstrukcji silniczkiem. Trzymając swą zdobycz w obu rękach powrócił do koni.

- Czy jesteś pewien, że Sokolnicy używają jedynie prawdziwych ptaków? - zapytał kapitana.

- Sokoły są dla nich święte - Koris wskazał na tłumok przyniesiony przez Simona, a na jego twarzy malowało się zdumienie. - Nie przypuszczam, żeby mogło to być ich dzieło, uważają, że ptaki stanowią ich siłę i nigdy by ich nie podrabiali, żeby nie zaczęły działać przeciwko nim albo nie opuściły ich całkiem.

- A jednak ktoś wypuścił w powietrze górskie sokoły, które są sztucznym tworem - zauważył Simon.

Kobieta pochyliła się pragnąc podobnie jak Koris dotknąć sztucznego ptaka. Podniosła wzrok na Simona, a w jej oczach malowało się pytanie i cień troski.

- Inne światy - mówiła niemal szeptem. - To nie jest owoc naszych czarów, naszego czasu i przestrzeni. To jest obce, Simonie, obce.

Przerwał jej okrzyk Brianta, który wskazywał palcem w niebo. Kolejny czarno-biały ptak unosił się nad ich głowami opuszczając się coraz niżej. Simon wolną ręką sięgnął do karabinu, ale chłopiec wychylił się z siodła i uderzając Simona w nadgarstek uniemożliwił mu celny strzał.

- To jest prawdziwy ptak!

Koris gwizdnął, sokół posłuchał tego wezwania, siadając na koronie skały, tej samej, o którą rozbił się jego sztuczny poprzednik.

- Koris z Estcarpu - powiedział kapitan - ale pozwól, skrzydlaty bracie, aby ten, co tobą włada, przybył ostrożnie, bo czai się tu zło, a gorsze może jeszcze nadejść. - Kiwnął ręką, a sokół ponownie uniósł się w powietrze kierując się w stronę szczytów.

Simon schował sztucznego ptaka do jednej z toreb przy siodle. Kiedy był w gnieździe Sokolników intrygowały go urządzenia komunikacyjne, wykorzystywane przez prawdziwe sokoły. Równie delikatna i skomplikowana techniczne maszyneria była całkiem nie na miejscu w tej feudalnej fortecy. A co powiedzieć o sztucznym oświetleniu i systemie ogrzewania w Estcarpie czy w budynkach Sulcarkeepu, o źródle energii, którą Osberic wykorzystał do wysadzenia portu? Czy były to ślady wcześniejszej cywilizacji, która zniknęła pozostawiając jedynie przykłady swych wynalazków? A może przeszczepiono to wszystko do tego świata z jakiegoś innego źródła? Choć wzrok Simona bacznie obserwował ścieżkę, po której jechali, jego umysł zajęty był zupełnie czym innym.

Koris mówił o rasie nie-ludzi, do której należał Volt, a która poprzedziła rodzaj ludzki na tych terenach. Czy to są pozostałości po nich? A może Sokolnicy, marynarze z Sulcarkeepu nauczyli się tego, co

kowe, szeroki nos, mały i zbyt wąski podbródek, nie pasujący do szerokości górnej połowy twarzy. Ale na oko nie wydawał się obcym demonem, bez względu na to, co kryło się pod roztrzaskaną czaszką.

Simon odnalazł tasiemki fartucha i rozwiązał je. Chociaż wzdrygał się na myśl o dotknięciu czepka, musiał to jednak zrobić. W drugim końcu pokoju znajdowała się umywalnia, położył tam skrwawiony czepek do wypłukania. Pod fartuchem laborant miał obcisły kombinezon, w którym Simon nie zdołał odkryć żadnego zapięcia, toteż postanowił zadowolić się jedynie fartuchem.

Nie mógł już nic zrobić dla dwóch pierwszych mężczyzn, których laborant zdążył podłączyć do aparatury, maszyneria była zbyt skomplikowna. Próbował jednak obudzić każdego z pozostałych trzech, ale przekonał się, że to także jest niemożliwe. Wyglądali na ludzi pozostających pod działaniem silnego narkotyku. Zupełnie nie rozumiał, w jaki sposób udało mu się uniknąć tego losu, jeżeli to byli współwięźniowie ze statku.

Rozczarowany bezowocnością wysiłków, Simon podszedł do drzwi. Nie dostrzegł żadnego zamka ani klamki, ale po chwili prób okazało się, że drzwi wsuwają się w prawą ścianę. Wyjrzał na korytarz, którego sufit, ściany i podłoga miały ten sam monotonnie szary kolor co laboratorium. Korytarz wydawał się pusty, choć na całej jego długości były liczne drzwi. Simon skierował się do najbliższych.

Uchyliwszy je z taką samą ostrożnością, z jaką wykonywał pierwsze poruszenia po odzyskaniu przytomności, zajrzał do przechowalni ludzi, których siły Kolderu przetransportowały na Gorm, jeżeli to w ogóle był Gorm. Co najmniej dwadzieścia ciał, jeszcze w ubraniach, leżało rzędami. Simon przyjrzał się im pospiesznie, ale żaden z leżących nie wykazywał oznak przytomności. Może uda mu się jeszcze znaleźć ratunek dla tych w laboratorium Dlatego też przywlókł do przechowalni trzech mężczyzn ze stołów i położył ich obok towarzyszy.

Odwiedzając laboratorium po raz ostatni Simon poszukiwał broni, ale znalazł jedynie zestaw skalpeli chirurgicznych, musiał więc zadowolić się najdłuższym z nich. Przeciął kombinezon laboranta, którego zabił, i ułożył go nagiego na jednym ze stołów w taki sposób, by od drzwi nie można było dostrzec roztrzaskanej głowy. Żałował, że nie zna sposobu zamknięcia drzwi na jakiś klucz czy zamek.

Zaczepił nóż za pas zdobycznego fartucha, wypłukał czepek i ostrożnie założył go na głowę, chociaż był wilgotny. Setki słoików, probówek i butelek kryły niewątpliwie niejedną śmiertelną broń, ale niestety, nie potrafił jej rozpoznać. Na razie musi więc polegać na własnych pięściach i zdobytym nożu.

Simon wrócił na korytarz, zasunąwszy za sobą drzwi od laboratorium. Jak długo nikt nie będzie poszukiwał laboranta? Czy jego pracy doglądał ktoś, kto ma za chwilę się pojawić, czy też Simon dysponuje większą ilością czasu?

Kolejne dwie pary drzwi na korytarzu nie poddały się jego wysiłkom. Ale przy końcu korytarza dostrzegł jedne, trochę uchylone drzwi i znalazł się w pomieszczeniu, które mogło być jedynie pomieszczeniem mieszkalnym.

Wyposażenie pokoju było surowe, funkcjonalne, ale dwa krzesła i pudełkowe łóżko okazały się znacznie wygodniejsze niż zapowiadał ich wygląd. Simona zainteresował inny mebel, który mógł być biurkiem lub stołem. Napędową siłą działań Simona było nieustanne zdumienie, ponieważ jego umysł nie potrafił połączyć miejsca, w którym się właśnie znajdował, ze światem, który stworzył Estcarp, Gniazdo i pełne owalnych uliczek Kars. Jedno należało do przeszłości, drugie do przyszłości.

Nie potrafił otworzyć szufladek biurka, chociaż na górze każdej z nich znajdowało się zagłębienie z łatwością mieszczące czubki palców. Zaskoczony, po daremnej próbie otwarcia najniższej szuflady, przysiadł na piętach.

W ścianach również znajdowały się schowki, z podobnymi zagłębieniami na palce. One także były zamknięte. Simon z uporem zaciskał szczęki zamierzając posłużyć się nożem jako podważającą dźwignią.

Nagle poderwał się, przywierając plecami do ściany i rozglądając się po pomieszczeniu. Tuż przed nim odezwał się głos mówiący w niezrozumiałym języku, najwyraźniej zadający jakieś pytanie, które wymagało natychmiastowej odpowiedzi.

Ktoś, kto mówił, oddalał się teraz, bełkot odszedł pozostawiony bez odpowiedzi. Ale ton był tak wyraźnie rozkazujący, że Simon nie odważył się poruszyć, aby nie zdradzić się przed jakimś milczącym podwładnym tamtego.

Dwukrotnie powoli policzył do stu i w czasie tego ćwiczenia nie usłyszał żadnego dźwięku. Podniósł powieki i szybko je zamknął, porażony jaskrawym światłem. Stopniowo odzyskiwał zdolność widzenia. To, co zobaczył kątem oka, było równie zaskakujące jak widok dziwnego statku.

Niewiele wiedział o laboratoriach, ale rząd probówek, butelek i zlewek na półkach tuż przed jego oczami mógł znajdowć się jedynie w laboratorium.

Czy był sam? Po co został tu przyniesiony? Cal po calu badał to, co mógł zobaczyć. Najwyraźniej nie leżał na podłodze. Leżał na jakiejś twardej powierzchni. Czy był to stół?

Powolutku zaczął obracać głowę pewien, że ostrożność jest konieczna. Teraz widział kawałek gołej, szarej ściany, a linia w końcu jego pola widzenia mogła oznaczać drzwi.

Tyle z tej strony pomieszczenia. Teraz druga strona. Znów odwrócił powoli głowę i odkrył nowe cuda. Pięć ciał, nagich jak on, leżało na stołach. Wszyscy byli nieżywi lub nieprzytomni, skłonny był raczej przypuszczać, że są nieprzytomni.

Ale w pokoju był jeszcze ktoś. Wysoka szczupła postać odwrócona plecami do Simona robiła coś przy pierwszym z leżących ciał. Nie mógł się zorientować, jakiej rasy i płci jest ta sprawnie działająca osoba, ponieważ ubrana była w długi, szary, przepasany pasem fartuch, a na głowie miała równie szary czepek.

Obok pierwszego mężczyzny stał stolik na kółkach z rozmaitymi butelkami i zwisającymi rurkami. W żyły mężczyzny wbito igły, okrągły krążek metalowy przyłożono do nieprzytomnej głowy. Simon ze zgrozą uświadomił sobie, że obserwuje śmierć człowieka. Nie śmierć ciała, ale śmierć, która sprowadzi to ciało do takiej postaci, jakie zabijano na drodze do Sulcarkeepu i jakie on sam zabijał w obronie tej twierdzy.

Był absolutnie zdecydowany, że nie dopuści, aby z nim zrobiono to samo. Sprawdził ręce i nogi, poruszając się powoli. Uświadomił sobie, że na szczęście jest ostatnim w rzędzie, nie pierwszym. Ciało miał trochę zesztywniałe, ale w pełni panował nad swymi mięśniami.

Szary laborant skończył z pierwszym mężczyzną. Przysuwał stolik do następnego. Simon usiadł. Przez sekundę lub dwie kręciło mu się w głowie, schwycił się stołu, na którym leżał, pełen szczęścia, że stół nie zaskrzypiał, kiedy zmieniał pozycję.

Praca na drugim końcu pokoju widocznie była skomplikowana i wymagała pełnej koncentracji uwagi. Simon spuścił nogi i odetchnął dopiero kiedy jego stopy stanęły pewnie na gładkiej, zimnej podłodze.

Obserwował swego najbliższego sąsiada w nadziei, że tamten także się obudzi. Ale chłopiec leżał bezwładnie z zamkniętymi oczami, jego pierś unosiła się i opadała w przerażająco długich odstępach czasu.

Simon zrobił krok w kierunku półek. Jedynie tam mógł znaleźć jakąś broń. Ucieczka z laboratorium, zanim zorientuje się trochę lepiej w topografii, byłaby zbyt ryzykowna. Nie mógł też pogodzić się z faktem, że w ten sposób pozostawi pięciu innych na pewną śmierć, a nawet coś gorszego.

Wybrał sobie broń, butelkę napełnioną do połowy żółtym płynem. Wydawała się ze szkła, ale była bardzo ciężka. Cienka szyjka nad pękatym korpusem butelki stanowiła wygodny uchwyt. Simon poruszał się zwinnie wzdłuż stołów w stronę pracującego laboranta.

Gołe stopy pozwoliły mu zbliżyć się bezszelestnie do człowieka w kitlu. Butelka uniosła się w górę i z całą siłą opadła w dół, rozbijając się u nasady głowy przyodzianej w szary czepek.

Laborant przewrócił się bez żadnego krzyku, pociągając za sobą metalowy krążek z przewodami, który miał być podłączony do głowy oczekującej ofiary. Simon chciał sięgnąć do gardła leżącego, ale zobaczył u nasady szyi płaską ranę, z której obficie płynęła krew. Przewrócił ciało na wznak, by przyjrzeć się twarzy człowieka należącego do Kolderu.

Wyobraźnia Simona okazała się znacznie bardziej szokująca niż rzeczywistość. Ten człowiek, a przynajmniej jego twarz, przypominała twarze wielu ludzi. Miał raczej płaskie rysy, wystające kości policz-

im było potrzebne od kogoś innego, gdzieś za morzami? Chciałby dokładnie zbadać resztki fałszywego sokoła, żeby móc na tej podstawie ocenić, jaki rodzaj umysłu czy wykształcenia stworzył podobny przedmiot.

Sokolnicy pojawili się na zboczach, jakby wychynęli z zagłębień ziemi. Czekali aż jeźdźcy z Karsu zbliżą się, ani nie blokując im drogi, ani specjalnie nie zapraszając.

- Faltjar z południowej bramy - Koris zidentyfikował ich przywódcę. Zdjął z głowy hełm, aby jego twarz była lepiej widoczna w gasnącym świetle dnia. - Jestem Koris z Estcarpu, a ze mną jest Simon Gwardzista.

- A także kobieta! - odpowiedź była lodowata, a sokół siedzący na siodle Faltjara załopotał skrzydłami i wydał okrzyk.

- Lady z Estcarpu, którą muszę bezpiecznie przeprowadzić przez góry - poprawił kapitan tonem równie chłodnym. - Nie prosimy was o schronienie, ale mamy wiadomości, które powinien usłyszeć Pan Skrzydeł.

- Możecie mieć przejazd przez góry, ludzie z Estcarpu. A nowiny możesz przekazać mnie, zostaną powtórzone Panu Skrzydeł przed wschodem księżyca. Ale w twoim pozdrowieniu mówiłeś, że czai się tu zło, a gorsze może nadejść. O tym muszę wiedzieć, bo to jest mój obowiązek wobec ludzi z południowych stoków. Czy Karsten wysłało swoich ludzi?

- W Karsten trzykrotnie otrąbiano wyrok na wszystkich należących do starej rasy. Uciekają, by ocalić życie. Ale jest jeszcze coś, Simonie, pokaż mu fałszywego sokoła.

Simon miał pewne opory. Nie chciał oddać tej maszyny, dopóki nie będzie mógł jej dokładnie obejrzeć. Góral spojrzał na przetrąconego ptaka, którego Simon wyjął z torby, pogładził jednym palcem jego skrzydło, dotknął otwartego szklanego oka, odsunął na bok upierzoną skórę, by zajrzeć do metalowego wnętrza.

- To latało? - zapytał w końcu, jakby nie mógł uwierzyć temu, co zobaczył i czego dotknął.

- Latało tak jak jeden z waszych sokołów, obserwując nas podobnie jak robią to wasi zwiadowcy i posłańcy.

Faltjar pieszczotliwie przeciągnął po głowie własnego sokoła, jakby chciał się upewnić, że to żywa istota, nie kopia.

- To rzeczywiście wielkie zło. Musisz sam porozmawiać z Panem Skrzydeł. - Najwyraźniej kierowały nim z jednej strony wiekowe tradycje jego ludu, a z drugiej konieczność natychmiastowego działania. - Gdyby nie było z wami kobiety, damy... - poprawił się z widocznym wysiłkiem. - Ona nie może wjechać do gniazda.

Czarodziejka wtrąciła się do rozmowy. - Pozwól, że rozbiję tu obóz wraz z Briantem, a ty, kapitanie, jedź do Gniazda. Chociaż mówię ci, ptaszniku, bliski jest dzień, w którym będziemy musieli odrzucić wiele starych obyczajów. I my w Estcarpie i wy w górach, bo lepiej jest żyć i móc walczyć niż zginąć w pętach przesądów. Nadchodzi takie poruszenie, jakiego ta ziemia nigdy nie widziała. I wszyscy ludzie dobrej woli muszą trzymać się razem.

Sokolnik nie spojrzał na nią, nie odpowiedział, choć wykonał coś w rodzaju ukłonu, pokazując, że robi wielkie ustępstwo. Wtedy jego sokół z krzykiem wzniósł się w powietrze, a Faltjar zwrócił się bezpośrednio do Korisa.- Obóz założymy w bezpiecznym miejscu. Potem pojedziemy.

Przygoda na Gormie

Przerwanie granicy

W powietrzu unosiła się wieża dymu, przerywana gwałtownymi podmuchami wiatru. Simon ściągnął wodze, żeby spojrzeć na miejsce kolejnej klęski sił Karstenu, kolejnego zwycięstwa jego własnej, zmęczonej, ale wytrzymałej grupki. Jak długo będzie im towarzyszyło szczęście? Dopóki jednak

bedzie, będą się wyprawiali na równiny, osłaniając linie ucieczki ciemnowłosych, zaciętych ludzi z wnetrza kraju, przybywających całymi rodzinami, w dobrze uzbrojonych i wyposażonych grupach, a czasami pojedyńczo w powolnym tempie dyktowanym ranami lub wyczerpaniem. Vortgin dobrze wykonał swoje zadanie. Dawna rasa, a w każdym razie to, co z niej zostało, wycofywała się przez otwartą przez Sokolników granicę do Estcarpu.

Ludzie pozbawieni obowiązków rodzinnych lub klanowych, którzy mieli zresztą znakomite powody, by z obnażonymi szpadami spotykać wojska Karstenu, zostali w górach, zasilając oddziały prowadzone przez Korisa i Simona. A potem już tylko przez Simona, gdyż kapitana gwardii wezwano na północ do Estcarpu, by tam objął naczelne dowództwo.

Była to wojna partyzancka, jakiej Simon nauczył się w innym kraju i innym czasie, tym razem podwójnie skuteczna, ponieważ żołnierze pod jego komendą znali okolice, obce dla oddziałów przeciwnika. Tregarth odkrył, że owi milczący, poważni mężczyźni, jadący za nim, w dziwny sposób przypominają samą ziemię, jej zwierzęta i ptaki. Może nie służyły im wytresowane sokoły, ale Simon był świadkiem dziwnych wydarzeń, kiedy na przykład stado danieli zatarło ślady konnicy, a kruki zdradziły zasadzkę wojsk Karstenu. Teraz przed każdym atakiem radził się swoich sierżantów, słuchał ich i wierzył temu, co mówią.

Przeznaczeniem starej rasy nie była wojna, choć znakomicie posługiwali się mieczem i karabinem. Traktowali to jednak jak nieprzyjemne zajęcie, które należało wykonać szybko i zapomnieć o nim. Zabijali sprawnie i z pośpiechem, ale nie byli zdolni do takiego bestialstwa, jakie napotykały oddziały z gór wszędzie tam, gdzie uciekinierzy zostali schwytani.

Kiedyś opuszczając podobne miejsce, pobladły Simon z najwiekszym wysiłkiem opanował chęć wymiotów. Zaskoczył go komentarz młodego człowieka o zacietej twarzy, który był porucznikiem w czasie tej wyprawy.

– To nie jest ich własny pomysł.

– Widywałem podobne rzeczy przedtem – odpowiedział Simon – i także robili je ludzie innym ludziom.

Młodzieniec, który miał posiadłości w głębi kraju i przed trzydziestu dniami ledwie uszedł z życiem, pokręcił głową.

– Yvian jest żołnierzem, najemnikiem. Wojna jest jego rzemiosłem. A zabijać w taki sposób, znaczy siać nienawiść, która później wyda owoce. Yvian jest panem tej ziemi, nie doprowadzałby dobrowolnie swoich włości do ruiny, to człowiek niegłupi. Nie wydawałby rozkazów tego rodzaju.

– Ale przecież zetknęliśmy się z tym wielokrotnie. Nie może to być dzieło jednej czy dwóch band pod wodzą sadysty.

– To prawda. I dlatego uważam, że walczymy teraz z ludźmi, którzy są opetani.

Opetani! Simon przypomniał sobie stare znaczenie tego słowa w jego własnym świecie – opętani przez demony. W istocie, można tak przypuszczać, zobaczywszy to, co tutaj oglądali. Opętani przez demony, albo, przypomniał sobie drogę do Sulcarkeepu, pozbawieni duszy! A więc znowu Kolder?

Od tej pory, bez względu na odrazę, jaką to w nim budziło, Simon starannie notował takie przypadki choć nigdy nie udało mu się złapać złoczyńców przy ich przerażającej robocie. Bardzo pragnął się naradzić z czarodziejką, tylko że ona wraz z Briantem i pierwszą partią uciekinierów udała się na północ.

Wydał rozkaz całej sieci powstańczych oddziałów, by zbierali informacje. A wieczorami, na kolejnych przypadkowych kwaterach, próbował ułożyć je w jakąś całość. Było bardzo niewiele konkretnych świadectw, ale Simon nabierał przekonania, że niektórzy dowódcy w siłach Karstenu nie działają według dawnych zwyczajów i że do armii księcia przeniknęły obce grupy.

Obce! Jak zwykle prześladowała go zagadka nierówności talentów i umiejętności. Wypytując uciekinierów dowiedział się, że maszyny wytwarzające energię, które znali od zawsze, przywiezione zostały zza mórz przez kupców z Sulcaru i przystosowane przez przedstawicieli starej rasy do oświetlenia i ogrzewania. Sokolnicy także przybyli „zza mórz" z zadziwiającym systemem komunikacji przenoszonym przez ptaki. Kolder również przychodził „zza mórz". Czy to nieprecyzyjne określenie miało oznaczać jakieś wspólne źródło?

Zdobyte wiadomości wysyłał Simon przez posłańca do Estcarpu, prosząc w zamian o cokolwiek, co

zatoczce. Większość więźniów była nieprzytomna lub mocno oszołomiona. Jeżeli nawet potrafili sobie przypomnieć jakieś wydarzenia poprzedzające ich obecne uwiezienie, wspomnienia te kończyły się na przybyciu na wyspę w pobliżu Kars albo na plaże zatoczki.

Jednak w miarę jak Simon kontynuował wypytywania, zaczeła się wyłaniać pewna zbieżność, jeśli nie pochodzenia więźniów, to występków przeciwko księciu i temperamentu schwytanych. Wszyscy byli ludźmi przejawiającymi pewną inicjatywę, wszyscy mieli przygotowanie wojskowe poczynając od spędzających życie w klasztorno-wojskowych barakach Sokolników, których głównym zajęciem była walka, aż do pierwszego informatora Simona, który był niewielkim właścicielem ziemskim w Kars i dowodził oddziałem milicji. Byli w wieku od kilkunastu do trzydziestu lat, i mimo niezbyt łagodnego traktowania w lochach książęcych, wszyscy znajdowali się w dość dobrej kondycji. Dwaj najmłodsi więźniowie pochodzili z drobnej szlachty, mieli trochę wykształcenia. Byli to bracia schwytani przez siły Yviana pod zarzutem pomocy komuś należącemu do starej rasy.

Nikt z więźniów nie należał do starej rasy, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że należących do niej mężczyzn, kobiety i dzieci w całym księstwie zabijano zaraz po schwytaniu.

Cierpliwe pytania Simona wyrwały wreszcie jednego z młodych szlachciców z otępienia spowodowanego troską o ciągle jeszcze nieprzytomnego brata, on też dostarczył Simonowi pierwszej wartej zastanowienia informacji.

– Strażnik, który tak pobił Garnita, niech szczury z Nore gryzą go dzień i noc, powiedział im, żeby nie przyprowadzali Renstona. Od chwili, gdy po raz pierwszy przypięliśmy miecze, łączyło nas braterstwo krwi, toteż dostarczaliśmy mu pożywienie i broń, aby mógł przedostać się przez granicę. Wyśledzili nas i złapali, ale trzech zostawiliśmy z dziurami w głowie i bez oddechu w piersi. Jeden z tych, którzy towarzyszyli szumowinom księcia, chciał zabrać także Renstona, ale powiedziano mu, że to nie ma sensu, bo na tych ze starego rodu nie ma ceny i kupcy ich nie biorą. Facet wykrzykiwał, że Renston jest tak samo młody i silny jak my i powinien się równie dobrze sprzedać. Ale ludzie księcia odpowiedzieli, że stara rasa pęka, ale się nie nagina, wobec tego tamten przebił Renstona jego własnym mieczem.

– Pęka, ale się nie nagina – powtórzył wolno Simon.

– Stara rasa tworzyła kiedyś jedno z ludem czarownic z Estcarpu – dodał młodzieniec. – Być może szatany z Gormu nie mogą sobie z nimi poradzić tak łatwo jak z innymi.

– Chodzi o to – dołożył półszeptem człowiek leżący obok Simona – dlaczego Yvian tak nagle obrócił się przeciwko starej rasie? Nie wtrącali się do nas, jeśli się ich nie zaczepiało. A kto się z nimi trzymał, mógł się przekonać, że wcale nie są źli mimo tej całej starej wiedzy i dziwnych obyczajów. Czy Yvian robi to na czyjś rozkaz? Ale kto i dlaczego wydaje mu takie polecenia? A może, bracia w nieszczęściu, obecność tamtych wśród nas stanowiła jakąś przeszkodę dla ekspansji Gormu i trzeba było ich wyeliminować?

Było to dość zręczne rozumowanie i podobne do tego, o czym myślał Simon. Starałby się jeszcze dalej zadawać pytania, gdyby nie to, że przez ciche jęki i westchnienia tych, którzy nie odzyskali jeszcze przytomności, przedzierać się zaczął nieprzerwany syk, dźwięk, który na próżno starał się zidentyfikować. Ciężkie powietrze miejsca uwięzienia utrudniało oddychanie, utrudniało też rozpoznawanie niebezpieczeństwa, które Simon zrozumiał zbyt późno – wpuszczenia pary do pomieszczenia, gdzie znajdowało się i tak mało powietrza.

Ludzie dusili się i kasłali, próbowali za wszelką cenę wciągnąć w płuca trochę powietrza i wkrótce znieruchomieli. Simona uspokajała tylko jedna myśl: nieprzyjaciel nie zadawałby sobie trudu załadowania na statek czternastu mężczyzn tylko po to, by ich tam zagazować. Toteż Simon był jedynym spośród więźniów, który nie starał się walczyć z gazem, oddychał powoli, pogrążając się w niezbyt wyraźnych wspomnieniach fotela dentystycznego w swoim własnym świecie.

–.....,,...bełkot...bełkot...bełkot" – Słowa, które nie były słowami, jedynie zlewającymi się dźwiękami ostrego, wysokiego głosu, kryły w sobie jakiś kategoryczny nakaz. Simon nie poruszył się. W miarę jak powracała mu świadomość, wrodzony instynkt samoobrony nakazywał spokój.

–...bełkot...bełkot...bełkot...

Ból w głowie był po prostu tępą obecnością. Simon był pewien, że nie znajduje się już na statku. To, na czym leżał, nie trzęsło się, nie ruszało. Ale nie miał na sobie ubrania, a miejsce, w którym się znajdował, było chłodne.

Uczucie zamknięcia w trumnie stało się tak przemożne, że musiał przygryzać wargi, żeby nie krzyczeć. Był tak zajęty swą prywatną walką z nieznanym, że dopiero po kilku minutach zorientował się, że gdziekolwiek jest, nie jest osamotniony w tej niewolniczej biedzie.

Z prawej strony ktoś cichutko pojękiwał. Z lewej ktoś wymiotował, dodając nowe odcienie zapachów do i tak zagęszczonej atmosfery. Simon poczuł się pewniejszy słysząc te niezbyt zachęcające odgłosy i wykrzyknął:

– Kto tu jest? I gdzie jesteśmy, czy ktoś wie?

Jęk urwał się nagłym powstrzymaniem oddechu. Ale człowiek, który wymiotował albo nie mógł zapanować nad swoimi męczarniami, albo nie zrozumiał.

– Kim jesteś? – ledwo słyszalny szept doszedł Simona z prawej strony.

– Człowiekiem z gór. A ty? Czy to więzienie w Karsten?

– Lepiej, żeby to było więzienie w Karsten, człowieku z gór. Byłem w lochach Karsten, byłem nawet w sali przesłuchań. Ale to było dużo lepsze.

Simon próbował uporządkować niedawne przeżycia. Wspiął się na szczyt skały, by obserwować zatoczkę. Zauważył ten dziwny statek w przystani, potem zaatakował go ptak, który mógł wcale nie być ptakiem. Odpowiedź mogła więc być tylko jedna – znajdował się na tym statku, który widział w zatoczce.

– Czy znajdujemy się w rękach handlarzy ludźmi z Gormu? – zapytał.

– Właśnie, człowieku z gór. Nie byłeś z nami, kiedy ci poplecznicy Yviana wydali nas Kolderowi. Czy jesteś jednym z Sokolników, których schwytali później?

– Sokolników? Halo, ludzie Pana Skrzydeł! – Simon podniósł głos, słyszał jego echo odbijające się od niewidocznych ścian. – Ilu was tu jest? Pytam o to ja, należący do jeźdźców.

– Jest nas trzech. Chociaż Faltjara przyniesiono tu w takim stanie, że nie wiemy czy żyje.

– Faltjara! Strażnika południowego przejścia? Jak został wzięty?

– Słyszeliśmy o zatoczce, w której mogłyby cumować statki i posłaniec z Estcarpu powiedział, że gdyby udało się ją znaleźć, można by wysyłać dla nas transporty morzem. Pan Skrzydeł rozkazał nam szukać i w drodze napadły nas sokoły. Ale nie były to takie sokoły, jakie walczą dla nas. Potem obudziliśmy się na brzegu, już bez broni i kolczug, a potem przynieśli nas na pokład tego statku, który nie ma sobie podobnych na tym świecie. Mówię to ja, Tandis, który służyłem przez pięć lat jako żołnierz kupcom z Sulcaru. Widziałem wiele portów i więcej statków niż człowiek zdołałby zliczyć w ciągu tygodnia, ale żaden nie był podobny do tego.

– Jest zrodzony z czarów Kolderu – wyszeptał słaby głos po prawej stronie. – Gniłem w więzieniu w Kars, bo ofiarowałem schronienie kobiecie i dziecku należącym do starej rasy już po tym, kiedy trzykrotnie otrąbiono na nich wyrok. Z tego więzienia zabrali nas wszystkich, młodych, i przywieźli na wyspę w ujściu rzeki. Tam nas zbadano.

– Kto? – zapytał zaciekawiony Simon. Oto był ktoś, kto być może widział tajemniczych przedstawicieli Kolderu i kto będzie mógł udzielić trochę konkretnych informacji.

– Tego nie pamiętam. – Głos stawał się coraz cichszy i Simon przysunął się na tyle blisko, na ile pozwalały mu więzy. – Oni mają jakieś czary, ci faceci z Gormu, tak że człowiekowi kręci się w głowie, w ogóle przestaje się myśleć. Mówi się, że to demony z krainy wiecznego zimna na końcu świata i ja w to wierzę.

– A ty, Sokolniku, czy widziałeś ludzi, którzy cię pojmali?

– Tak, ale to ci niewiele pomoże. Nas przyprowadzili tutaj ludzie z Karsten, zwykłe tępe pachołki, silne ręce i plecy w służbie swoich panów. A ci panowie mieli już na sobie przebrania, które z nas ściągnęli, dla zmylenia przeciwnika.

– Ale jeden z nich też został schwytany – wyjaśnił Simon. – Ciesz się z tego, Sokolniku, bo może on pozwoli rozwikłać przynajmniej część zagadki. Dopiero w tym momencie zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem te ściany nie mają uszu podsłuchujących bezradnych jeńców. Ale nawet jeżeli mają, może ten strzęp informacji zasieje trochę niepokoju w umysłach prześladowców.

W pomieszczeniu więziennym było dziesięciu ludzi z Karsten, wszyscy zebrani z więzień, gdzie wtrącono ich za jakieś wykroczenia przeciwko księciu. Prócz tego było trzech Sokolników schwytanych w

miałyby na ten temat do powiedzenia czarodziejki. Był pewien tylko jednej rzeczy: dopóki jego oddziały składają się z członków starej rasy, nie musi się obawiać infiltracji. Bo ta właściwość, która sprawiła, że stanowili jedność z krajobrazem, roślinnością i zwierzętami, pozwalała im także wyczuć obcego.

W górach odkryto jeszcze trzy fałszywe sokoły. Ale wszystkie zostały zniszczone przy łapaniu, toteż Simon dysponował tylko połamanymi częściami. Skąd one pochodziły i w jakim celu zostały zmontowane w dalszym ciągu pozostawało tajemnicą.

Ingvald, porucznik z Karsten, stanął obok Simona, by spojrzeć w dół na scenę zniszczenia, którą przed chwilą opuścili.

– Kryje się w tym zagadka – rozmyślał na głos Simon, raz jeszcze rozważając stale dręczący problem. – Wygląda na to, że ktoś przypuszcza, że brutalnością można nas doprowadzić do posłuszeństwa. Ale ten ktoś czy coś nie rozumie, że tymi metodami można człowieka doprowadzić do przeciwnych reakcji. A może – dodał po chwili milczenia – chodzi o to, by całą naszą złość skierować przeciwko Yvianowi i jego państwu, rozpłomienić granice, ściągnąć tu wszystkie siły Karstenu, a wtedy będą mogli uderzyć gdzie indziej?

– Może i to, i to – powiedział Ingvald. – Wiem, kapitanie, że myślisz o obecności innych sił w wojskach Karstenu, słyszałem o tym, co znaleziono w Sulcarkeep, słyszałem plotki o sprzedaży ludzi do Gormu. Co do jednego jesteśmy bezpieczni, żadna nie w pełni ludzka istota nie może się znaleźć pomiędzy nami. Natychmiast o tym wiedzielibyśmy, tak jak wiedzieliśmy zawsze, że ty nie jesteś z naszego świata.

Simon drgnął, odwrócił głowę i zobaczył uśmiechniętą twarz porucznika.

– Tak, cudzoziemcze, twoja opowieść jest znana, ale od razu wiedzieliśmy, że nie jesteś jednym z nas, choć w jakiś sposób należysz do nas, jesteś z nami spokrewniony. Nie, Kolder nie może tak łatwo przeniknąć do naszych szeregów. Żaden nieprzyjaciel nie może też przedostać się do Sokolników, bo zdradzą go ptaki.

Simona to zastanowiło. – W jaki sposób?

– Ptak czy zwierzę wyczuje ten rodzaj obcości prędzej nawet niż ktoś obdarzony mocą. A istoty przypominające ludzi z Gormu przekonają się, że i ptaki, i zwierzęta są przeciwko nim. Toteż sokoły z Gniazda oddają podwójne usługi swoim trenerom i sprawiają, że góry są bezpieczne.

Jednak zanim dzień dobiegł kresu, Simon miał się przekonać, iż owo osławione bezpieczeństwo gór jest równie mocne jak kruche ciało ptaka. Oglądali właśnie złupione zapasy i Simon odkładał na bok racje przeznaczone dla Gniazda, kiedy usłyszał zawołanie wartownika i odpowiedź Sokolnika. Rad z okazji wysłania zapasów do Gniazda innym sposobem i oszczędzenia swoim ludziom drogi Simon ruszył naprzód.

Ale jeździec nie postąpił zgodnie z obyczajem. Jego hełm w kształcie ptasiej głowy miał opuszczoną przyłbicę, jakby wjeżdżał w gromadę obcych. Nie tylko to powstrzymało Simona przed wypowiedzeniem powitania. Ludzie z jego oddziału zaczęli formować krąg. Simon odczuł ukłucie rosnącej podejrzliwości i zanim zdążył pomyśleć, rzucił się na milczącego jeźdźca chwytając go za pas. Zdumienie Simona wzrosło, kiedy siedzący na siodle sokół nawet nie próbował stanąć w obronie swojego pana. Atak Simona zaskoczył Sokolnika, który nie zdążył nawet ruszyć ręką. Ale szybko przyszedł do siebie, rzucając się całym swym ciężarem na Simona i przygniatając go do ziemi. Ręka w blaszanej rękawicy sięgała do gardła.

Przypominało to potyczkę ze stalowymi mięśniami i żelaznym ciałem, po kilku sekundach Simon zdał sobie sprawę, że porwał się na rzecz niemożliwą, że to, co kryło się pod postacią Sokolnika, nie da się zwalczyć gołymi rękami. Nie był jednak sam, inne ręce ściągnęły z niego owego rycerza, przytrzymały go przy ziemi, choć cudzoziemiec walczył zaciekle.

Simon rozcierając zadraśniętą szyję ukląkł na kolana.

– Zdejmijcie mu hełm! – rozkazał, a Ingvald zajął się zapięciem hełmu.

Wszyscy zebrali się wokół grupki przytrzymującej ciągle jeszcze stawiającego opór mężczyznę. Sokolnicy stanowili odrębną rasę z dominującym typem fizycznym o rudawych włosach i brązowożółtych oczach przypominających oczy ich ptaków. Ten człowiek wyglądał jak prawdziwy przedstawiciel owej rasy. A jednak zarówno Simon, jak i każdy z obecnych na polanie zdawał sobie sprawę, że nie mają do czynienia z normalnym mieszkańcem górskiego kraju.

- Związać go mocno! - rozkazał Simon. - Myślę, Ingvaldzie, że mamy to, czego chcieliśmy. Podszedł do konia, na którym przyjechał pseudosokolnik. Skóra zwierzęcia błyszczała od potu, strumyczki piany zbierały się przy pysku, koń wyglądał jak po morderczym wyścigu. Jego oczy były dzikie, z białymi obwódkami. Ale kiedy Simon sięgnął po wodze, koń nie próbował ucieczki, stał z opuszczoną głową, a jego spocone ciało przebiegały dreszcze.

Sokół także zachowywał się spokojnie, nie machał skrzydłami, nie syczał ostrzegawczo. Simon zdjął ptaka z siodła i w momencie gdy dotknął jego ciała, wiedział, że nie ma do czynienia z żywą istotą.

Trzymając sokoła w ręku zwrócił się do swojego porucznika. - Ingvaldzie, wyślij Lathora i Karna - byli to dwaj najlepsi zwiadowcy w jego oddziale. - Niech jadą do Gniazda. Musimy wiedzieć, jak daleko rozprzestrzeniło się zło. Jeżeli znajdą tam wszystko w porządku, niech ich ostrzegą. A na dowód swej opowieści - przerwał, by podnieść hełm jeńca w kształcie ptasiej głowy - niech wezmą to. Myślę, że to hełm wyprodukowany przez Sokolników, ale - podszedł do związanego mężczyzny, który leżał w milczeniu obserwując ich z szaloną nienawiścią w oczach - nie mogę uwierzyć, żeby ten był jednym z nich.

- A jego nie zabierzemy? - zapytał Karn. - Albo ptaka?

- Nie. Nie otwieramy przecież drzwi całkiem zamkniętych. Musimy na jakiś czas umieścić go w bezpiecznym miejscu.

- W jaskini przy wodospadzie, kapitanie - zaproponował Waldis, chłopak służący u Ingvalda, który poszedł za swoim panem w góry. - Wystarczy jeden wartownik przy wejściu, a nikt prócz nas nie zna tej pieczary.

- Dobrze. Dopilnujesz tego, Ingvaldzie.

- A pan, kapitanie?

- Ja pojadę jego śladem. Możliwe, że przyjechał z Gniazda. Jeżeli to prawda, lepiej będzie jak najprędzej dowiedzieć się najgorszego.

- Jeżeli stamtąd przyjechał, co wydaje mi się nieprawdopodobne, to nie prostą drogą. Pojawił się na ścieżce prowadzącej do morza.

- Santu - zwrócił się do jednego z tych, co pomagali wiązać więźnia - pilnuj tego szlaku i przyślij tu Calufa, on pierwszy go zauważył.

Simon osiodłał swego konia, przytraczając dodatkowo torbę z żywnością. Na wierzchu umieścił sztucznego sokoła. Nie umiał jeszcze powiedzieć, czy był to jeden z tych fałszywych latających ptaków, ale w każdym razie był to pierwszy nietknięty okaz, jakim dysponował. Skończył właśnie przygotowania, kiedy pojawił się Caluf.

- Jesteś pewien, że on przybył z zachodu? - nalegał Simon

- Mógłbym przysiąc na głaz Engis, kapitanie. Sokolnicy nie bardzo lubią morze, chociaż czasami służą kupcom jako morska piechota. A on przyjechał prosto spomiędzy tych pokarbowanych głazów, które sterczą nad drogą do zatoki, której mapę sporządziliśmy przed pięcioma dniami. Poruszał się jak ktoś, kto dobrze zna drogę.

Simon był mocno zaniepokojony. Zatoczka, którą niedawno odkryli, stanowiła podstawę jego nadziei na ustalenie lepszej komunikacji z północą. Nie groziło tam niebezpieczeństwo raf i zębów skalnych, tak powszechnych na tym wybrzeżu i Simon zamierzał wykorzystać ją jako przystań dla niewielkich statków, które przewoziły uciekinierów na północ, a z powrotem przywoziły zapasy i broń dla obrońców granic. Jeżeli ta zatoczka znalazła się w rękach nieprzyjaciela, chciałby dowiedzieć się o tym jak najprędzej.

Kiedy opuszczał polanę, a za nim podążał Caluf i drugi jeździec, myśli jego pracowały niejako na dwóch poziomach. Bacznie obserwował otaczający go pejzaż w poszukiwaniu naturalnych walorów terenu, które można by wykorzystać w akcji obronnej lub zaczepnej. Ale poza tą stałą troską o bezpieczeństwo, żywność, schronienie, toczył własne, prywatne rozmyślania.

Strach mógł zrozumieć. Ale było to przejściowe uczucie, zazwyczaj popychające go do jakiegoś działania. W Kars poczuł innego rodzaju przyciąganie, ale udało mu się je zwalczyć. Kiedyś uwierzył, że przeszedłszy przez furtkę Petroniusa stanie się znów pełnym człowiekiem. Ale do tej pory to się nie sprawdziło. Ingvald mówił o panowaniu demonów, ale jeżeli człowiek nie panuje nad sobą?

Zawsze był stojącym z boku obserwatorem, przyglądał się innym. Obcy, tak, ludzie, którym przewodził, dobrze to wyczuli. Czy był jeszcze jedną z tych dziwnych części rzuconych na świat, części do niczego nie pasujących, z maszynerii z innych czasów? Czuł, że jest u progu jakiegoś odkrycia, które będzie ważne nie tylko dla niego samego, ale dla sprawy, której zgodził się służyć.

W tym momencie ten stojący z boku obserwator znów został usunięty w cień przez kapitana jeźdźców, kiedy Simon dostrzegł gałąź drzewa, ułamaną przez burzę, pozbawioną liści. Odbijała się ciemno na popołudniowym niebie, a jeszcze ciemniejszy wydawał się ciężar, zwisający na niej na eleganckich pętlach.

Podjechał bliżej i wpatrywał się w trzy drobne ciała, poruszane wiatrem, z otwartymi dziobami, szklanymi znieruchomiałymi oczami, z zakrzywionymi szponami, na których wciąż jeszcze widoczne były czerwone bransoletki ze wstążki i małych metalowych krążków. Trzy autentyczne sokoły ze skręconymi szyjami, pozostawione w widocznym miejscu, aby dostrzegł je pierwszy podróżny jadący tą ścieżką.

- Ale dlaczego? - zapytał Caluf.

- Może ostrzeżenie, a może coś więcej - Simon zsiadł z konia i podał Calufowi wodze. - Czekajcie tutaj. Jeżeli nie wrócę w miarę szybko, jedźcie do obozu i zdajcie sprawę Ingvaldowi. Nie idźcie za mną, nie możemy sobie pozwolić na bezużyteczne tracenie ludzi.

Obydwaj mężczyźni zaprotestowali, ale Simon uciszył ich stanowczym gestem, zanim zagłębił się w zarośla. Znalazł tam aż zbyt wiele dowodów czyjejś obecności: połamane gałązki, podeptany mech, kawałek urwanej bransoletki sokoła. Simon zbliżał się do brzegu, słyszał już szmer fal, a to, czego szukał, bez wątpienia przybywało z zatoki.

Spodziewał się wielu rzeczy: czystego piasku bez śladów inwazji lub oddziału z Karsten czy zakotwiczonego statku. Ale to, co zobaczył, przechodziło wszelkie oczekiwania. W pierwszej chwili pomyślał o iluzjach charakterystycznych dla Estcarpu. Czy to, co dostrzegł na piasku nie było projekcją jego własnych wizji, jakichś starych wspomnień ożywionych teraz, by go oszołomić? Ale dokładniejsze przyjrzenie się ostrej, czystej krzywiźnie metalu przekonało go, że chociaż łódź przypominała trochę znane mu statki, to była tak różna od jego dotychczasowych doświadczeń, jak fałszywy sokół od prawdziwego.

Była to najwyraźniej łódź dalekomorska, choć nie miała żadnej konstrukcji nadpokładowej, czy masztu, trudno też było się domyślić, jaki ma napęd. Ostro zakończona ku górze zarówno od strony dziobu, jak i rufy przypominała kształtem podłużny przekrój torpedy. Na górnej płaskiej powierzchni znajdował się otwór, przy którym stali trzej mężczyźni. Ich głowy rysowały się na srebrnym tle kadłuba jak ptasie hełmy Sokolników. Ale Simon był absolutnie pewny, że tych hełmów nie nosił żaden prawdziwy Sokolnik.

Znów zetknął się z wieczną tajemnicą tego świata, statki kupców z Sulcarkeepu miały maszty i należały zdecydowanie do cywilizacji niemechanicznej, ta łódź mogłaby być marzeniem przyszłości w jego własnym świecie. Jak mogły istnieć obok siebie dwa tak różne poziomy cywilizacji? Czy to też była sprawka Kolderu? Obcość, obcość, znów poczuł, że znajduje się o krok od zrozumienia, odgadnięcia...

I w tym momencie rozluźnił czujność. Jedynie potężny hełm wyszabrowany z magazynów Karstenu ocalił mu życie. Cios, który trafił go nie wiadomo skąd, ogłuszył Simona. Poczuł mokre pióra, i coś jeszcze, na pół ogłuszony i skołowany, usiłował się podnieść i wtedy uderzono go po raz drugi. Tym razem dostrzegł skrzydło nieprzyjaciela od strony morza. Sokół, ale prawdziwy czy fałszywy? To pytanie zabrał ze sobą w ciemność, która go pochłonęła.

Haracz dla Gormu

Pulsujące uderzenia bólu wypełniały mu czaszkę, obejmowały całe ciało. Zorientował się, że ten rytm istniał nie tylko wewnątrz niego. To, na czym leżał, również rytmicznie drgało. Zamknięty został w czarnym sercu bębna.

Kiedy otworzył oczy, było ciemno, a kiedy próbował się poruszyć, zorientował się, że nogi i ręce ma związane.

Nasz konkurs – pierwsza odsłona

Na konkurs „Fantastyki" nadeszło kilkaset prac prozatorskich; niestety ich czytanie jest bardzo męczącym zajęciem. Początkujący autorzy piszą, my czytamy i włos nam się jeży na głowie. Wygląda to mniej więcej tak: *„powłanczał komputery, pobrał krew oraz podłączył mnustwo małych drucików do kończyn ciała"*, albo tak: *„po zbadaniu pana Borax zauważyłem brak 1/2 narządów płciowych we wnętrzu organizmu"*.

Nie chciałbym mówić o niewypale, lektura potężnej góry maszynopisów i rękopisów (czasem ilustrowanych – dzięki choć za to) jeszcze trwa, ale już dziś wypadnie mi się przyznać do uczucia zawodu. Irzykowski nazwał kiedyś konkursy literackie badaniem zapasów narodowej wyobraźni. Gdyby mu wierzyć, należałoby stwierdzić, że wyobraźnia się nam skurczyła, proszę Państwa, zrobiliśmy się posępni; a w dodatku jest tak, jakby te kilkaset tytułów książek SF, które przecież wchłonął nasz rynek, pozostawiło nam nienaruszone wyobrażenie o SF jako bajeczce traktującej nieodmienie o komputerach, rakietach, kosmicznych agresorach i policjantach uzbrojonych w blastery. Spoza nadsyłanych tekstów wygląda początkujący kandydat na fantastę o twarzy niedzisiejszej, nienowoczesnej, rozumiejący literaturę SF bardzo naiwnie i rozwijający w swojej prozatorskiej próbce standardowe wątki. Obserwuję wielki dystans między trzeźwymi opiniami na temat „Fantastyki" zawartymi w listach Państwa, a poziomem konkursowej prozy. Widać listy i opowiadania piszą i nadsyłają nam zupełnie różne osoby.

Do konkursu będę wracać, być może na dno wspomnianego stosu papieru zawędrowały – prawem ciążenia – teksty ważkie, do których, chwilowo, kolegom i mnie nie udało się przebić. Oby tak było. Dziś prezentuję (z niewielkimi skrótami) jeden z ciekawszych jak dotychczas konkursowych tekstów – opowiadanie Zygmunta Jazukiewicza (ur. w 1953 r. w Szczecinie), absolwenta Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Szczecińskiej i studenta Wydziału Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. W mrowiu wprawek nijakich lub wręcz poronionych ujęła mnie ta epistolarna historyjka satyrycznym zacięciem i celną obyczajową pointą. Nie jest to chyba najgorszy początek, choć przyznajmy, po piękną mowę Paska sięgał nie tylko Sienkiewicz, lecz także na terenie fantastyki zabawiali się staropolszczyzną i Stanisław Lem i Ryszard Głowacki, a z młodszych autorów choćby Zbigniew Dworek. Chwyt, słowem, jest stary ale – jary. Wesołej zabawy.

(mp)

niebezpieczne SPRZĘŻENIA

Zygmunt Jazukiewicz

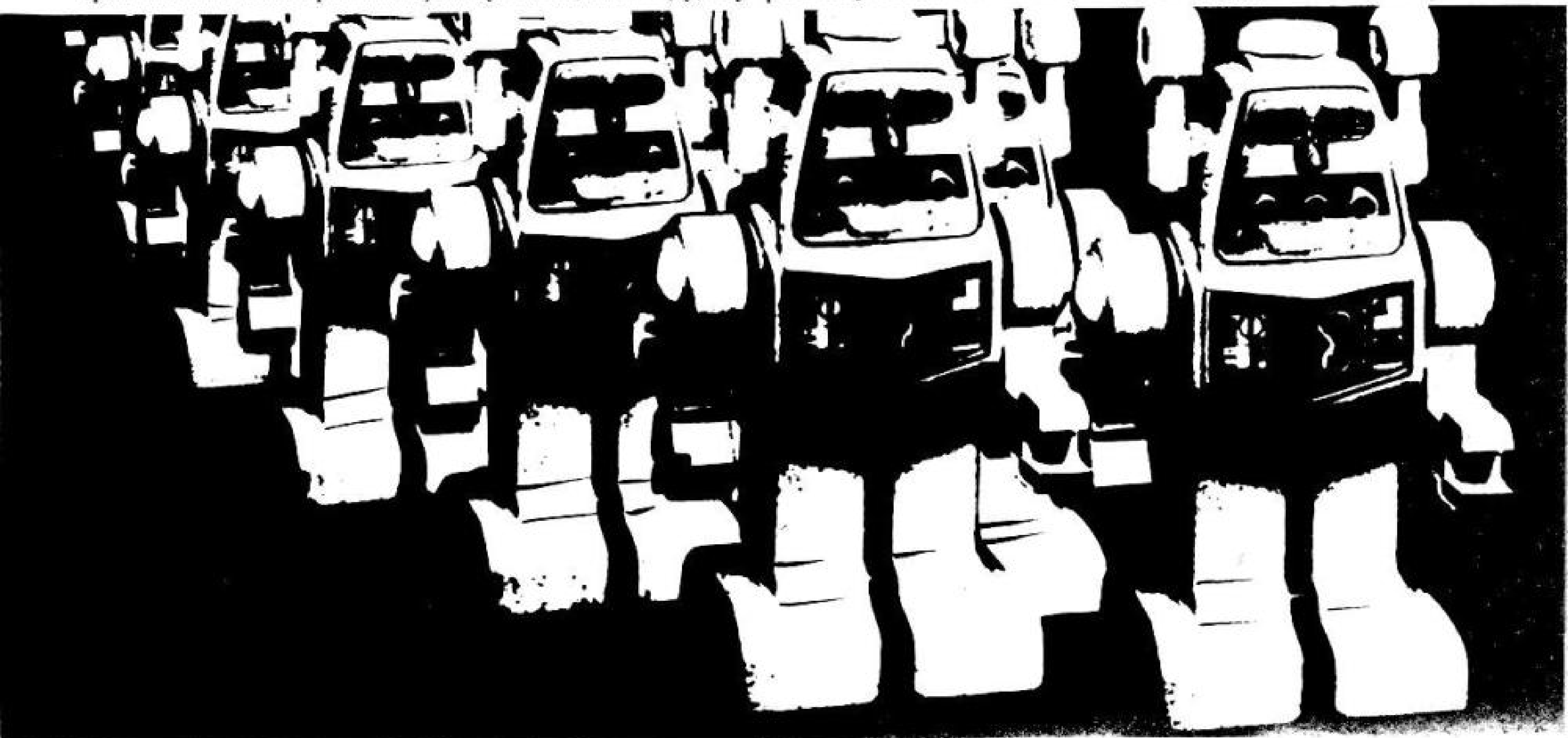
Wśród pamiątek przywiezionych z kosmosu przez naszych zdobywców, szczególnie ciekawy jest pakiet listów z planety Lambda 8, leżącej w jednym z układów mgławicy Andromedy. Cywilizacja zastana tam przez wysłanników Ziemi dała się zaskakująco łatwo podbić i włączyć do Wielkiej Wspólnoty Planet. Listy znalezione na Lambdzie wyjaśniają po części, jak do tego doszło. Historyczna ich wartość polega na tym, iż uświadamiają przydatność pewnych, zaniedbanych od stuleci, metod oddziaływania na społeczeństwa i pomagają w postępowaniu względem mieszkańców innych planet.

List pierwszy

Termistor III, król Reaktancji
do
Mezonina Kształtnego, księcia Mutry, Dławy i Permutacji

Jaśnie Wielmożny Książę muterski, mój wielce miły panie i bracie! Nie wiem, azali doszły Cię wieści o owym niezwyczajnym wydarzeniu, które opodal Katodowa, przy północnej rubieży, dwie niedziele temu się było stało. Opodal owego Katodowa, jako się rzekło zaspadł wończas z nieba przedmiot jakowyś wielki, a świecący, cały nakształt grzyba uczyniony. Przedmiot ów, na dziesięciu chłopa wysoki i takoż szeroki, cztery ogromne świce miał u spodu, palące okropnie i na czterech wielkich łapach wsparłszy się, huczał trwogę powszechną wokół wzbudzając. Paź mój, imieniem Karboryn, szczwany obwieś, którego dla pertraktacyj z Rezystantkami na owych rubieżach trzymam, wnet na miejsce nadbieżał, a chociaże z duszą na ramieniu, chorągiew zebrał i w chaszczach się zasadził. Nie minęły i dwa pacierze, jak grzyb zagasnął, zaczym jakowyś otwór w nim się był pokazał, z którego dwa pokraczne stwory na grunt się spuściły. Stwory te cale do nas podobne są, jeno z miękkiej jakowejś materyji uczynione i bez nijakich wyrostków, jak owe trawożerce, co po drzewach łaziły i parzyły się sromotnie, a ohydnie, co dziadowie nasi widząc, słusznie je wytępić kazali. Ze łbów rzeczonych stworów pakuły alboli konopie zwisają, ręce dwie długie, ale po pięci paliców mają dziwnie chwytnych. Karboryn, z krzykiem wielkim, hałastra takoż za nim wypada, stwory w nagotowane postronki wiąże, mnie ich do stolicy odstawia.

Wiesz, Mezoninie, żem ciekawy spraw i dziwadeł wszelakich, zaraz tedy rozmawiać z nimi począłem, a wypytywać. Rzekli mnie,



że człekami się nazywają i przybywają z innej jakowejś planety. Siła innych rzeczy powiadali, aż niektórym wiarę dać trudno. W nocy oba w komnacie legli, mówiąc, że spocząć muszą. W ścianie owej komnaty jest otworek uczyniony, tedy przez ów otworek słuchać umyśliłem o czymże te człeki gadać między sobą będą. Nie gadali oni wszakoż,tylko zaraz wierzchnie skorupy,ze siebie zwlekli. Zaczym większy człek jakowegoś organu niby kwacza dobył i mniejszego okrutnie nim zaczął trącać, boleść mu zadając, co snadnie po jękach i krzykach owego poznać mogłem. Gniew mnie zdjął straszny na takowe niecne praktyki; brałem się do szabli, ale Karboryn i insi przedkładać jeli, że nie godzi się gwałtem gości traktować i zwyczajów zacnych nauczać. Tedy, wyrozumieć już przybyszów nie mogąc, Wielkiego Przewodnika wezwać kazałem, żeby rady zasięgnąć. Ten, w pamięci przepastnej swojej pogrzebawszy, dziwne rzeczy prawił, które w niezwykłe wprawiły mnie pomieszanie. Oto człeki tymże sposobem, com go wonczas był widział, się spłodzą, mimo mądrości swojej na sromotę tegoż nie zważając, a wielkie z tego mając ukontentowanie. Co większa, toż samo możemy i my czynić, z Rezystantkami obcując, wszelkie po temu organa mając, jeno wyłączone.

Jakim sposobem włączyć owe można, tego nikt nie wie, ale w Mnożysku jakoby sekret jest ukryty. Jeżeli to prawda, proszę Cię i nakazuje, byś wzmocnił około Mnożyska straże, bo jeśli sekret kto wykradnie, gotowi wszyscy obyczaje nasze święte porzucić.Co bądź mogli czynić poddani nasi, gdy w chutliwej rządzy z Rezystantkami się zespolą? Nie żyć nam wówczas, jeno na złomowisko prosto się puścić i, hańby zbywając, rozkręcić na kawały. To zakonotuj sobie, mości książę bracie. Tymczasem przygotowania zacznij do nowych na Mnożysku prac nad narodu naszego rozmnożeniem. Pisała mi królowa Coulumbina, że w Rezystancji wszelakie programa do machiny mnożyskowej już ułożone, a i surowiec przysposobiony. Toż samo i nam uczynić jak najprędzej trzeba, by godny obrzęd onym sprośnym gościom przedstawić i na drogę cnoty sprowadzić.

Bywaj zdrów, obaczym się na świecie przepysznym, jakiego nie widział świat.

Termistor III, król Reaktancji,
książę Kotwy i Translacji,
neutroński, protoński, nukleoński,
etc., etc. udzielny władca

List drugi

Ks. Mezonin Kształtny
do
Króla Termistora III

Najjaśniejszy Miłościwy Królu Panie!
Otrzymawszy pismo WKM niezwłocznie z odpowiedzią spieszę. Najprzód powiedzieć trzeba, że sekretu owych przybyszów zachować się nie udało. Wszyscy dworzanie, szlachta, ba – lud prosty o niczym innym nie gada. W co niektórych poniektórych gminach lud burzy się, danin do mnożyskowych prac przeznaczonych składać nie chce, a i szlachta szemrze, podatków zmniejszenia żądając. Niejaki Voltożyn, chłop prosty, ze starych generantów, a przy tym złoczyńca urwany z elektrostryka, na Zaprzewodziu rebelię wzniecił, pułk tamtejszy w pień wycinając. Ajenci moi donoszą, jakoby teraz siły zbierał i Mnożysko zagarnąć zamierzył, iżby sekret owych sromotnych praktyk wydrzeć.
Zaklinam tedy WKM, by wojska z działami i prochów jak najwięcej przysłać raczył, bo z mymi jeno siłami ruchawki stłumić nie jestem w możności. Co do przygotowań mnożyskowych, robię, co mogę, jednakowoż posłańcy z Rezystancji dziwne jakoweś wieści do królowej Coulombiny przynoszą, o nadzwyczajnych niepokojach i ruchach wojsk tamże świadczące.

Zdrowia WKM życzę.
Ks. Mezonin Kształtny

List trzeci

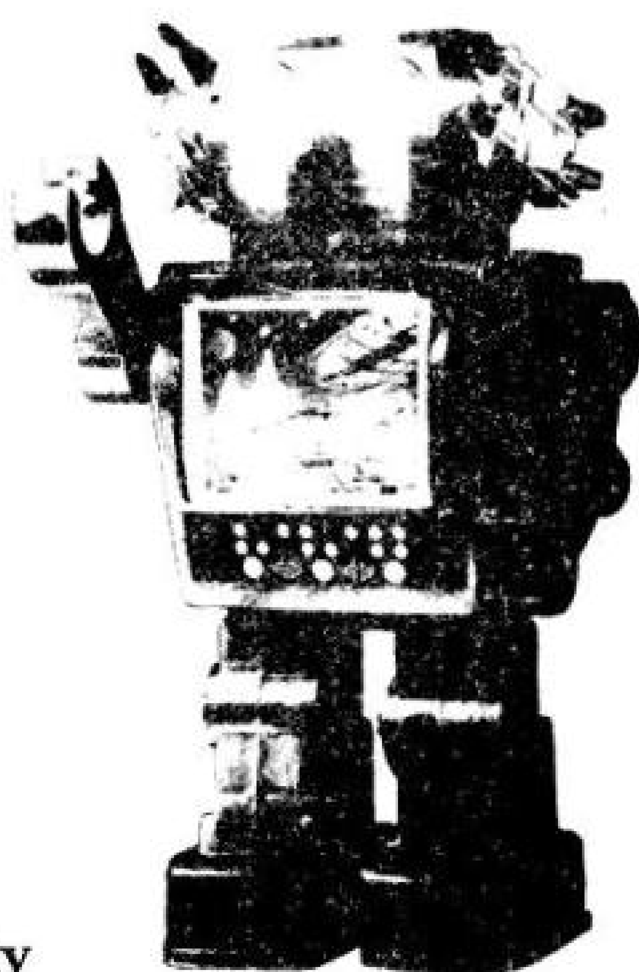
Voltożyn do Karboryna

Mości Karborynie, przyjacielu mój i bracie!
Jako wiesz, odkąd szczęśliwym losu zrządzeniem z lochum się wydobył i na Zaprzewodzie zbieżał, żywot mój upływa na nader ważnych pracach i zatrudnieniach okrom mnożyskowej pracy. Kiedym się od Ciebie, Karborynie dowiedział, jako to człeki między sobą czynią, jużem był pewien, że i my takowe instrumenta mamy. Wszak grabiąc niegdy Rezystantek siedziby po wielokroć się onym przyglądałem, cale insze elementa w nich znajdując, niźli nasze. Dziwne mię ciągoty brały do jednej szlachcianki; wyrozumieć tego nie mogłem. Teraz już nie masz wątpienia!
Trzeba nam zatem sekret ów wydobyć i z Rezystantkami się połączyć w lube stadła, co z pożytkiem dla całego ludu będzie. Do tegoż potrzeba mocy; takową zbieram, wojska gromadząc, z przyczyny nieotrzymania żołdu zbuntowane. Chłopi liczni do mnie bieżą z bronią lada jaką. W tym to wojsku ducha wzmóc trzeba bojowego przed ostateczną z hetmanami rozprawą. Umyśliłem, Karborynie, człeków ze dworu porwać i przed wojskiem stawić, iżby w kwestyj obłapiania wszelkich dostarczyli instrukcyj. Niełatwa to sprawa i bez twojej pomocy nijak się nie obedzie. Posyłam tedy dziesięciu towarzyszów moich, we władaniu wszelaką bronią sprawnych, na śmierć gotowych. Z tymi tajemnie się spotkawszy, ułóż porwania projekta i rzecz przeprowadź. Jako paź królewski do dworu dostęp mający, siła dobrego dla naszej sprawy uczynić możesz. Wiem jakżeś chytry, ale zaklinam byś uważał, bo cię tam wnet z pokrycia obłupią. Kiedy, jakoś pisał, z poselstwem na dwór królowej Coulombiny pojedziesz, miej oczy otwarte, a wszystko mnie potem opisz najdokładniej, bo słyszę, że i tam niezwyczajne się rzeczy dzieją. Nie wadzi też, byś dwórkom o naszych sprawach ostrożnie napomknął.

Pozostawaj w zdrowiu

Voltożyn
Wojska zaprzewodziego
naczelny wódz





List czwarty

Karboryn do Voltożyna

Mości Voltożynie, druhu i bracie!

Stało się wszystko, po naszej myśli, gładko, bom się nie poszkapił i pomyślunkiem ruszył, o czym Ci Ferryt pewnikiem zdał sprawę. Zbir to zawołany; straże w oka mgnieniu wymordował, człeków, jakoby naszych przystroił i szparko z nimi uszedł.

Ale mnie teraz co inszego po głowie chodzi. Wróciłem ja ze dworu rezystanckiego, gdziem wszystko całe innym zastał, niźli wprzód. Królowa Coulombina i dwórki ani słyszeć już chcą o mnożyskowych pracach, jeno ciegiem o człekach gadają i z nami obcować chcą. Pierwszego dnia zaraz porwały mnie dwórki i na sztuki rozkręcić chciały. Ciekawość je okrutna do tego przywiodła. Wiedzieć chcą, jakoż Mnożysko te nasze organa kształci. O sobie juże się dowiedziały, bo królowa sama kazała przestępczynię jedną – miast na złom przetopić – rozebrać i zbadać. Tak tedy w silnych byłem opałach, szczęściem królowa zakazała mnie jako posła ruszać.

Nimem się puścił zawrotem, parę dni na dworze zabawiłem i tam do Rezystantki jednej, nadzwyczaj gładkiej, okrutnym zapłonąłem afektem. Zwie się Dyfrakcya; tak wdzięcznej istoty w życium nie widział, może to być, że i uwagi nie zwracałem. Dała mi antenę jedną na pamiątkę, tę ściskając w kleszczach dzień i noc od zmysłów odchodzę. Zdobądźże co prędzej Mnożysko i sekret porwij, bo ze szczętem zgorzeję, hołdów mojej lubej złożyć nie mogący. Już mię rozpacz do tego przywiodła, że jak pijanica jaki, prądem się rażę codzień do zmysłów utraty. Bywaj druhu serdeczny.

Karboryn

List piąty

Termistor III
do
Mezonina Kształtnego

Jaśnie wielmożny książę muterski, mój wielce miły bracie i przyjacielu! Wielkie nieszczęścia a dopusty kraj nasz doświadczają. Jak mi wojewodowie donoszą, całe prowincje jakoby oszalały, szkodliwymi ideami owładnięte. Gromady chłopstwa, porzuciwszy swe codzienne zatrudnienia a powinności, do Twego Voltożyna ciągną. Sądy grodzkie a kaci nie mogą z karami nastarczyć. Codziennie setka głów spada, lecz tym więtszą zawziętość a opór to przywodzi. Spisek w zamku uknuto i człeków wykradziono, gdzie by oni być teraz mogli nie wiadomo. Gońców wszędy rozsyłam i szpiegów, by szkodliwców tych gdzie znaleźli i zdławili albo porazili, toż samo i ty uczyń. Wojska, com ci posłał, przepadły, bo je emisariusze od Voltożyna pobuntowali. Chuć zaraźliwa i na zamek już się przedostaje; paź mój Karboryn ze szczętem zgłupiał, w niedojdę jakoby się przemieniając. Po krużgankach jeno łazi i jęczy, a oczyma przewraca. Instrumentum z drutów żelaznych sobie uczynił, druty owe szarpiąc dźwięki przeraźliwe wydaje. Wczora gadał wszystkim, że juże nie zdzierży i do fosy się rzuci. Jeszczem ja takowego obłędu nie widział. Wierzyć nam wszak potrzeba, że one faneberie niedługo już ojczyźnie naszej szkodzić będą, bom szczęśliwy zamysł podjął, który jeden mój rotmistrz, nazwiskiem Emiter, przeprowadził. On to mianowicie na Mnożysko się przekradł, pułki zbuntowane omijając, do machiny mnożykowej odważnie się zapuścił i sekret obłapiania tamże ukryty zwarciem zniszczył. Dzielny ów oficer poległ był przy tym hazardzie, ale chwałę nieśmiertelną zyskał. Wachmistrz jego dwa stopione łożyska jeno po nim przyniósł, które godnym uczcić kazałem pogrzebem.

Ufaj tedy, mój bracie, że szaleństwo to niebawem minie, a rebelizanci w sromocie do dom powrócą, próżność swych wysiłków zobaczywszy.

Termistor III, król Reaktancji,
Książe Kotwy i Translacji, nukleoński,
neutroński, protoński, etc., etc.
udzielny władca

List szósty i ostatni

Mezonin Kształtny
do
Termistora III

Termistorze, bracie i przyjacielu! Oto mnie masz najszczęśliwszym pod słońcem, czego i Tobie życzę. Jako do tego przyszło, opowiem. Pisałeś mi, że człeków z zamku wykradziono, przedstaw sobie, że się u Voltożyna w obozie znaleźli. Tenże, dowiedziawszy się o zniszczeniu sekretu w desperację straszną zrazu popadł i sam stopić się chciał, a wojska rozpuścić. Szczęściem na koncept wpadł i człeków o chlebie i wodzie posadził, żby uradzili, jakim sposobem my obcować z poddanymi królowej Coulombiny możemy. Człeki myślili trzy dni, a członki żołnierzom voltożynowym badali, na koniec należyte programa nakreślili. Trza było odważnego szukać, co na hazard się puści i organa wszelakie na szwank narazi. Skoczył Voltożyn; program ów na oczach całego wojska pochłonął. Toż samo jednej Rezystantce w jasyr wziętej uczynić kazano. Imaginuj sobie: rezultat nastąpił niesłychany, acz pomyślny wielce. Jako to szczegółowo przebiegało, pisać się nie godzi, jedno powiem, że Voltożyn z ową Rezystantką trzy dni i trzy noce w namiocie przepędził, o świecie nie wiedząc. Wnet i całe wojsko, widząc tak szczęśliwe eksperymentu zakończenie, programów takowych zażądało. Posłańców z tymiż programami do Rezystancji co koń wyskoczy puszczono. Wnet u granicy Rezystantek tłumy się zjawiły, co było obłapiania, a całunków (dowiesz się niebawem jako to się czyni), opisać trudno. Ja, o tych dziwach usłyszawszy, chorągiew zwołałem i kłusem na podjazd się puściłem, by rzecz z bliska zbadać. Na miejscu, prostej gawiedzi niebywałą szczęśliwość ujrzawszy, zakosztować tego musiał i wnet z młodą szlachcianką wszedłem w komitywę. Nie uwierzysz, cóż to za delicje, żałuję po stokroć, żem był głupi i młode lata na próżnych a jałowych deliberacyjach i naukach strawiłem. Teraz, od tygodnia w Rezystancji w gościnie będąc, owych fruktów kosztuję. Z listem bestyjkę jedną Ci przysyłam. Wielka to szelmutka i fertyczna, aże żal mi było z nią się żegnać. Ale wiesz, żem ci przyjaciel i sługa oddany, do najwiętszych skory poświęceń. Pewnikiem obaczym się wkrótce, bo królowa Coulombina na ślub uroczysty Cię zaprosić zamierza, który z druhem moim Voltożynem bierze. Z serca żem mu to odradzał, bo królowa stara jest i brzydka, przy tym sekutnica. Voltożyn wszakoż, dworskich nabrawszy manier, poważnie bardzo rzecz całą układa. I tobie radzę się żenić, młodą, a zdrową jakowąś pannę, z ludu się wywodzącą wziąwszy, jako i ja uczynić zamierzam.
Powiedzieć na koniec wypada, że człeki tu u nas wielkiej powagi zażywają, nic bez ich rady i woli się stać nie może, osobliwie w sprawach ożenków. Wybacz, że należneć tytuły i honory pomijam, aleć i Ty niebawem inszym się staniesz. Na ten przykład ja już przemyśliwam, jakoby księstwa obowiązków uciążliwych zbyć i żywot szczęśliwy w spokojności pędzić z jakowym dziewczęciem, własnych nareszcie potomków się dorabiając, a w sprawy publiczne nie mieszając. Bywaj zdrów.

Mezonin Kształtny

■

Dworak Zbigniew

(1942 –)

Fizyk, astronom, popularyzator nauki, autor SF

Dr T. Zbigniew Dworak urodził się 14 października 1942 r. w miejscowości Posądza w województwie krakowskim. Po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w Proszowicach studiował astronomię i fizykę na Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie im. M. Łomonosowa w Moskwie. Do 1976 r. pracował w Obserwatorium Astronomicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, od 1976 do 1980 w Zakładzie Meteorologii Kosmicznej IMGW, obecnie pracuje w Instytucie Kształtowania i Ochrony Środowiska AGH w Krakowie.

Razem z Konradem Rudnickim wydał książkę „Świat planet" (Biblioteka Problemów, t. 250, PWN 1979, II wyd. 1983). W rok później pracę: „Astrologia, Astronomia, Astrofizyka" (LSW, 1980). Artykuły i szkice o charakterze popularyzacyjnym zamieszczał m.in. na łamach „Uranii", „Wiedzy i Życia", „Młodego Technika", „Fantastyki". W najbliższym czasie ma się ukazać jego kolejna książka: „Z astronomią za pan brat" (Wyd. „Iskry").

Debiutem literackim Z. Dworaka było opowiadanie „Temida", nadane najpierw, w opracowaniu Romana Danaka, w 1968 r. przez krakowską rozgłośnię Polskiego Radia i opublikowane na łamach sierpniowego numeru „Młodego Technika". W tym samym miesięczniku oraz w czasopismach „Wiedza i Życie", „Razem", „Politechnik" i „Panorama Śląska" – Z. Dworak zamieścił kilka kolejnych opowiadań, zebranych następnie w tomie **„Jana Ciągwy władza nad materią"** („Iskry" 1977, współautor – R. Danak; zawartość: „Temida", „Model supernowej", „I wprost do piekła", „Niepożądane wizyty", „Nieskuteczność", „Meldunek A-B-8", „Wielka encyklopedia", „Dziwny, spadający kamień", „Spotkanie", „Skok w przestrzeni", „Miłość kosmonauty", „Pora zmierzchu", „Grawiskaf", „Wizja nieskończona", „Zapis z planety Lhaara", „Zniszczone zasiewy", „Transplantacja", „Tajemnice miasta Os-Azuri", „Jana Ciągwy władza nad materią", „Powiedział nam kapitan"). W antologii „Wołanie na Mlecznej Drodze" (oprac. Z. Przyrowski, Nasza Księgarnia 1976) ukazało się jego opowiadanie „Dziwny, spadający kamień", a w almanachach: „Drugi próg życia" (oprac. Z. Przyrowski, Nasza Księgarnia 1980) i „Spotkanie w przestworzach" (t. I, KAW 1982, oprac. A. Wójcik): „Model supernowej", „Antybajka", „Niezwykłe spotkanie", „Esperia", „Planeta grozy". W przygotowaniu zbiór **„Antybajki"** (KAW, 1984).

Współautorem wielu utworów zamieszczonych w tomie „Jana Ciągwy władza nad materią" (autorem tytułowego) jest Roman Danak, ur. 1935, z wykształcenia – iranista, elektronik-amator, wieloletni pracownik Polskiego Radia, obecnie – Spółdzielczego Instytutu Badawczego w Krakowie. Opowiadania obu pisarzy ukazywały się zazwyczaj pod pseudonimem: Zbigniew Skawski. „Temida" została przełożona na esperanto, a tytułowa pozycja zbioru „Jana Ciągwy..." – na język węgierski. R. Danak jest także autorem opowiadania „Kmu" zamieszczonego w „Politechniku".

W pisarstwie Zbigniewa Dworaka i Romana Danaka dominują dwa zasadnicze kierunki poszukiwań twórczych. Bardziej tradycyjny nawiązuje do klasycznej formuły science fiction, pojmowanej jako literatura przygód i niezwykłych, „cudownych" możliwości: jest techniczną bądź socjologiczną prognozą czasów nadchodzących, odkrywaniem tajemnic Przyrody, granic i wymiarów otaczającego świata („Planeta grozy", „Model supernowej", „Transplantacja", „Grawiskaf" etc.) Drugi stanowi jego refleksyjną nadbudowę, alegoryczną, niekiedy satyryczną deformację naszej rzeczywistości („późna narracja archeologiczna" w „Tajemnicach miasta Os-Azuri", ironiczna wymowa „Meldunku A-B-8" etc) Z połączenia tych dwóch nurtów rodzi się interesująca odmiana science fiction, obdarzona wieloznacznością i charakterystycznym dystansem narracyjnym („Jana Ciągwy...", „Powiedział nam kapitan", „Temida").

Dziekoński Józef Bohdan

(1816–1855)

Literat, krytyk, malarz

J.B. Dziekoński, syn pedagoga Tomasza Sylwestra Dziekońskiego i Tekli z Bociszewskich, urodził się 7 lutego 1816 r. w Warszawie. Tu uczęszczał do szkół średnich. Brał udział w Powstaniu Listopadowym. Po jego upadku wyjechał na Uniwersytet w Królewcu, później do Dorpatu i Moskwy. W 1840 r., nie uzyskawszy doktoratu, powrócił do Polski i poświęcił się działalności literackiej. Od 1840 do 1846 mieszkał w Ustroniu koło Warszawy, w posiadłości swoich rodziców. Podróżował po kraju. Należał do grona tzw. „Cyganerii warszawskiej" (utrzymywał bliskie kontakty z Wolskim, Miniszewskim, Sierpińskim, Zmorskim). Był członkiem „Cechu Głupców" i redakcji „Dzwonu Literackiego", gdzie zamieszczał swoje artykuły krytyczne. W 1846 r., w wyniku nieudanego zamachu na jedną z osobistości rosyjskich, opuścił Polskę, uciekając przez Gdańsk i Brukselę do Paryża. Tu poznał Mickiewicza, a w 1847 r. stał się jednym z najzagorzalszych zwolenników Andrzeja Towiańskiego. Służył w legionie włoskim, uformowanym przez twórcę „Składu zasad", walcząc z Austriakami podczas kampanii badeńskiej (1849). Po zakończeniu działań wojennych powrócił do Paryża, zarabiając na życie jako malarz i rytownik. Umarł w skrajnej nędzy na gruźlicę płuc w szpitalu Beacjon w Paryżu – 3 lipca 1855 r. Pochowany na cmentarzu Montmartre. Zgodnie z wcześniejszą wolą zmarłego, spalono większość jego rękopisów.

J.B. Dziekoński debiutował w roku 1839 opowiadaniem „Ogłoszenie w gazetach". Potem drukował najchętniej w czasopiśmie „Nadwiślanin": tu m.in. ukazały się jego nowele fantastyczne: w 1840 – „Moja fajka. Marzenie", „Trupia głowa na biesiadzie", „Piosnka", „Wyzwolenie zapaleńca"; w 1841 – „Pająk"; w 1842 – „Siła woli" (przedruk w 2 tomie antologii „Polska nowela fantastyczna", oprac. J. Tuwim, Wyd. Lit. 1953; wyd. 2 – 1976). W następnych latach Dziekoński pracował nad 3-tomową powieścią **„Sędziwoj"**, którą opublikował w roku 1845 (Warszawa, druk. J. Jaworski; wyd. 2 – Geberthner i Wolf, Warszawa 1907; wyd. 3 z posłowiem A. Gromadzkiego, PIW, Warszawa 1974). Swoje nowele i szkice krytyczne (poświęcone m.in. sprawom magnetyzmu, okultyzmu i alchemii) zamieszczał na łamach „Przeglądu Naukowego" (1842–1843), „Jaskółki" (1843), „Biblioteki Warszawskiej" (1841–1845). Przekładał Jean Paula Richtera („Zaćmienie księżyca", 1841), Fryderyka Schillera („Zbrodniarz przez stracony honor", 1845), Fr. Roselly de Lorques („Chrystus w obliczu wieku", 1842). Jego opowiadania i nowele ukazywały się również pod pseudonimem: Bogdański.

Większość rozproszonych utworów Dziekońskiego zebrał i wydał August Wilkoński („Wspomnienia i marzenia Bogdańskiego", t. 1–2, Warszawa 1848).

Do najciekawszych wypowiedzi Dziekońskiego należy powieść „Sędziwoj", porównywana niekiedy z „Faustem" J.W. Goethego, będąca zjawiskiem unikalnym w polskiej, krajowej prozie romantycznej. W tej tragicznej historii o człowieku poszukującym „kamienia filozoficznego", który zapewnia nieśmiertelność i przemianę materii w złoto, dźwięczą echa okultystycznych traktatów G. Bulwera-Lyttona, fantastycznych opowieści Hoffmanna i Gotfreda von Herdera. Synkretyczne przesłanie „Sędziwoja" jest jednak niesprowadzalne do żadnego z wyżej wspomnianych utworów. Jest to opowieść historyczna: relacjonuje dzieje autentycznej postaci – Michała Sędziwoja (1566–1636), nadwornego alchemika króla Zygmunta III Wazy, panującego w burzliwym okresie kontrreformacji polskiej (autor podbudował swe obserwacje wnikliwymi studiami epoki, która fascynowała jego współczesnych różnorodnością postaw i konfliktów światopoglądowych). Jest to również powieść psychologiczna: studium bohatera usiłującego zrealizować własne marzenia na przekór naturalnym dążeniom natury ludzkiej i zbiorowym prawom społecznym. Jest to wreszcie historia filozoficzno-fantastyczna, moralitet o Człowieku Wiecznym, w którym realistyczna motywacja wydarzeń przeplata się z uzasadnieniami nadprzyrodzonymi, nadrealnym planem walki Dobra ze Złem, świadectwem ingerencji sił wyższych w prawa ludzkiego świata (zespolone wartości tych sił uosabia sylwetka Maga Kosmopolity).

Poetycka opowieść o dramacie słynnego alchemika, dzięki drobiazgowym analizom historycznym, naukowym i psychologicznym stanowi, w pewnym sensie, jedną z prekursorskich pozycji literatury scjentyficznej (pisałem o tym w numerze 3/82 „Fantastyki"). Niektóre przemyślenia i uwagi autora niewiele straciły ze swej bezpośredniej aktualności (zob. np. refleksje „antyurbanizacyjne" w cyt. fragmencie utworu).

Bibliografia wybrana

– W. Merrené *„Zapomniani. Józef Bohdan Dziekoński"* (w) „Dodatek do «Przeglądu Tygodniowego»" 1881 t. III,
– Półkozic (A. Niewiarowski) *„Cyganeria Warszawska"* (w) „Kurier Warszawski", listopad 1881 – luty 1882,
– *„Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej"* t. IX, s. 225–252,
– G. Korbut *„Literatura polska"* wyd. 2., t. 3, Warszawa 1930,
– *„Słownik biograficzny"* t. I, Kraków 1935,
– S. Kawyn *„Cyganeria warszawska"* Warszawa 1938,
– *„Polski słownik biograficzny"* Kraków 1948, t. VI.

„Bądź ty błogosławionym czy przeklętym duchem;
Przynoś rosę nieba czy dym piekieł z sobą;

. . . . .

Muszę z tobą mówić!”

(Szekspir – „Hamlet”)

SĘDZIWOJ

Józef Bogdan Dziekoński

...Duszne są te smętarze ludzi żyjących nazywane miastami. Wspaniałe pałace i rzędy domów są tylko szeregiem grobowców. Tu nawet wzrok jest spętany, zimne głazy spotyka lub zimniejszą pierś człowieka kupczącego. Tu myśl jest spętana, niebo nawet dym kominowy ci zasłoni, tu musisz zapomnieć, żeś człowiekiem, a żyć jak jedno kółko machiny bezduszne, bez woli, bo gdybyś własnym życiem się poruszył, to cały rój wyrzuci cię ze swego mrowiska, jako przestępcę praw wiszących na szyldach ulicznych. Żadna pierś czująca nie odetchnie w mieście – tam czołgaj się jak robak, w ślady za drugimi, a jeśli chcesz skrzydła rozwinąć lub ulżyć oddechem duszy – uciekaj za miasto!

Sędziwoj mijał już bramę Bazylei, czarowny widok okolic roztaczał się przed jego oczami i gwałtem go ciągnął ku siebie. Zszedł z głównej drogi i boczną ścieżką udał się w dolinę między góry (...). Wszystko było ciche, spokojne, a on z rozpaczą patrzał dokoła, jakby burze z całej ziemi do jego się piersi teraz schroniły. Podwojonym krokiem postępował wyżej i wyżej. (...) Chmury zasłoniły Bazyleę i cały widok daleki. Sędziwoj spoczął, odetchnął, był sam jeden, dokoła tylko zimne kamienie. Nieznacznie wpadł w głębokie zadumanie. Cała jego przeszłość, burzliwa w głębi, a na pozór spokojna, młodość, wszystkie żądze, wszystkie chęci tańczyły dokoła, jakby obręb czarodziejskiego kręgu, a on, spętany, nie mógł się wydobyć na zewnątrz. Złożył rozpalone ciało na zimnym głazie...

– Tak jest – myślał sam w sobie – miłość mogła uwieńczyć moją cierpliwość. W nauce nowych sił nabrałem, byłem bliski szczęścia, od chwili jak J e g o spotkałem, całe moje jestestwo zostało wzburzone. Tak jest, on przyczyną tej walki śmiertelnej, z której wyjść muszę, bo bym upadł pod jej brzemieniem.

Po chwili podniósł głowę – gdy oto blisko, oparty o ścianę szarego granitu, stał, wpatrując się w niego, Kosmopolita. To nagłe i nieprzewidziane zjawisko odrętwiło młodzieńca.

– Szukałem cię – rzekł na koniec – i nigdzie znaleźć nie mogłem.

– Wszystko co byś mi miał powiedzieć – odrzekł Kosmopolita – wiem zawczasu; za całą odpowiedź usłuchaj rady, którą ci podam. Póki pora, unikaj mnie. Palmy, o które się kusisz, zbyt wysoko rosną i te lodowce byś przebył, a nie ochłodziłyby twojego tchnienia. Na ich szczycie chciałbyś się piąć jeszcze wyżej, dokąd tylko orle skrzydła doniosą – i nigdze byś nie znalazł pokoju (...).

– Więc nazwę cię oszustem, a całą twoją władzę i mądrość występkiem! Bo jeśli wiesz istotnie, jakiś wpływ wywarł na mnie i teraz unikasz, to chyba chciałeś mnie uwieść lub władza twoja dalej nie sięga!

– Wiem – odrzekł spokojnie Kosmopolita – iż ten duch niespokojny prędzej czy później sam by się w tobie obudził. Moje spojrzenie roztliło tylko w tobie te iskry, które wyobraźnia z większą szkodą później by rozpaliła. Ty zewnątrz siebie szukasz winy, a lękasz się spuścić w głębię własnej duszy i tam samotnie stoczyć walkę i uśmierzyć złe, które cię niepokoi...

– Póki ciebie nie widziałem – rzekł Sędziwoj – póty jeszcze mogłem mieć nadzieję zostania szczęśliwym; miłość i nauka starczyły mi za świat. Po co żeś mnie przekonał, że jest świat wyższy, o którym wątpiłem; stanąłeś na drodze mej miłości, zniweczyłeś urok nauki, jakiem ją dawniej pojmował. (...)

– Odwieczne prawa, którym podlegam – rzekł Kosmopolita – nakazują nam rozciągać opiekę nad wszystkimi, których tylko dotknie się koło naszej potężnej nauki. Tysiące biednych szperaczy pozostawiamy spokojnie, bo ciasny zakres ich poziomego życia i myśli nie stanie się dla nich katuszą, ani dla nas nadzieją zyskania wyznawcy. Lecz są inni, szczęśliwi, których dusza stać się może znaczącą cyfrą w ludzkości lub nauce; byłoby występkiem opuszczać ich. Gdybyś to zrozumiał, mógłbyś do ich liczby należeć, stąd moja nad tobą opieka. Ale ty chciałbyś, aby kilku wyrazami wcielić cię do tajemnic, które spodziewasz się, że posiadam, aby potem, jak szaleniec rozrucać złoto, ogień – żelazo i zbrodnie, i klejnoty z jednego rogu obfitości. Chciałbyś małpować Opatrzność i wedle widzimisię mniemałbyś Boską naśladować władzę, a ty byś ją tylko znieważał. Rozumiałbyś, że mędrzec może być potężnym nie rozumiejąc odwiecznego porządku!

– Więc jeśli widzisz, że błądzę, ukaż mi powrót na prawą drogę! Czyż dla mnie nie ma nadziei szczęścia? Ukaż mi, jakbym mógł się stać godnym mądrości i zdobyć ją. Przecież i ty jesteś człowiekiem i tyś się mędrcem nie rodził.

– Mądrość i szczęście! – rzekł posępnie Kosmopolita. – Mniemasz, iż oboje w jednej piersi śmiertelnej obrać mogą mieszkanie? Zapomnij o mądrości, a idź drogą do szczęścia, możesz być jeszcze szczęśliwym. Porzuć nauki, o które się kusisz, a które ci tylko hańbę lub zgryzotę zniszczonego na próżno żywota dać mogą!



I o mnie zapomnij, jak o śnie rannym...

– Nie! To niepodobna! Piąć się tak wysoko i znowu wracać, rozpoczynać drogę – ha! Lepiej zginąć w pół kresu (...). Ja mam teraz całe życie przesiąkłe tylu czczymi nadziejami rzucić od siebie, jak zużyte odzienie? Mam patrzeć, jak najgoretsze życzenia moje pękają jako bańki na wodzie? Nigdy! Chociażbym miał szatanowi duszę na wieczność zaprzedać!

– Nierozważny! Jakby człowiek był mocen cokolwiek zaprzedać na wieczność, a tym bardziej to, co nie jest jego własnością! Przypatrz się tylko swoim myślom, a ujrzysz z przestrachem, że twoja żądza sławy, miłość ludzkości, nie cnotą, lecz są egoizmem w innej formie – a ty z nimi jak wodę z ogniem, chcesz łączyć miłość nauki!

– A więc pokaż mi, jak mam zapomnieć czym byłem i do czegom dążył?

– Jedno słowo – rzekł Kosmopolita – najmniejszego z uczni moich może tę skałę, na której stoimy, wtrącić w przepaść, może na tę śmiejącą dolinę sprowadzić jęki rozpaczy i zagłady, ale żadna mądrość mistrza nie jest w stanie powiedzieć temu, co raz było w pamięci: nie bądź! Nie może wyrzec do jednej myśli człowieka: powróć do nicości, z którejś powstała.

– Jeśli tak jest – rzekł Sędziwoj powstając – to w imię potężnych praw, którym podlegasz, wyzywam cię mistrzu! Przyjmij mnie za ucznia!

***„Sędziwoj”*, druk. J. Jaworski, Warszawa 1845, fragm. rozdz. IX.**

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Marek Zaleski

SCIENCE FICTION – FANTASTYKA – BAŚŃ

I

Literatura SF sytuuje się w obrębie pewnego, znacznie szerszego obszaru prozy imaginacyjnej obejmującej utwory, które w procesie semiotyzacji zyskują charakter określany jako „nierealistyczny" lub „fantastyczny". Pojęcia takie są jednak zbyt nieprecyzyjne i wieloznaczne, by mogły określać specyfikę literatury imaginacyjnej. Czymże więc wyróżnia się ona w całokształcie beletrystyki i jakie miejsce zajmuje w niej SF, w stosunku do odmian pokrewnych?

W przypadku literatury imaginacyjnej, wyobraźnia autora nie poprzestaje (przy tworzeniu fikcyjnego świata) na elementach znaczących odnoszących się bezpośrednio do sfery zjawisk empirycznych. Wprowadza składniki nie mające pozaliterackich odpowiedników w obrębie dostępnego ludzkiemu poznaniu universum lub też ze składników obiektywnie i empirycznie poprawnych tworzy elementy własnego świata, nie pokrywające się z nauką i empiryczną wiedzą czytelnika, nie mające żadnych odpowiedników pozaliterackich. Inaczej mówiąc, autor wprowadza do tekstu lub konstruuje w nim pewne cechy znaczące (nazwy przedmiotów, fragmenty opowiadania i opisu, wypowiedzi bohaterów dotyczące pewnych faktów, zjawisk czy wydarzeń itp.), w których znaczenia jednostkowe – (np. upiór, wampir, android, niewidzialny człowiek) względnie kompleksowe – (np. cywilizacja pozaziemska, obraz Nowego Jorku w dalekiej przyszłości, świat krasnoludków) nie mają odpowiedników w obrębie empirii i co najwyżej odwołują się do określonej konwencji i tradycji literackiej. Zaliczyć tu można wszelkie utwory, w których pojawiają się krasnoludki, wróżki, mówiące zwierzęta, duchy, potwory, niezwykłe cechy fizyczne czy biologiczne u człowieka (tu również np. nieśmiertelność czy niewidzialność), twory sztucznie „ożywione", niezwykłe urządzenia techniczne, nieznane planety, obce cywilizacje, nowe prawa i zjawiska fizyczne, mutacje biologiczne, inne wersje wydarzeń historycznych, nowe struktury społeczno-polityczne, takie zjawiska jak czary, zatrzymanie lub przesunięcie w czasie, oniryczne lub poetyckie deformacje materialnej rzeczywistości, czy wreszcie zjawiska nie dające się jednoznacznie określić, tajemnicze i niezwykłe. Mogą one być prezentowane bezpośrednio lub tylko przez zasugerowaną czytelnikowi możliwość ich zaistnienia w obrębie świata przedstawionego.

Jak widać, w obrębie literatury imaginacyjnej sytuuje się, obok SF, kilka różnych odmian literackich, jak fantastyka, baśń, bajka zwierzęca, utopia, niektóre mity, legendy, oraz utwory o charakterze alegorycznym lub filozoficznym, a także wypowiedzi zawierające element wizji onirycznych czy poetyckich.

II

Do najważniejszych odmian prozy imaginacyjnej należą: SF, fantastyka i baśń. Pokrewieństwo pomiędzy nimi polega nie tylko na samym fakcie posługiwania się imaginacyjnymi elementami znaczącymi, lecz również na pewnych podobieństwach genologicznych, tematycznych oraz odmienności świata przedstawionego względem rzeczywistości pozaliterackiej. Jednakże, niezależnie od wszelkich podobieństw, najważniejsze są te cechy literatury SF, które różnią ją od fantastyki i baśni, gdyż one właśnie stanowią o jej specyfice w całokształcie prozy imaginacyjnej.

Współczesna literatura SF przejęła wiele elementów tematycznych ontologicznie przynależnych do świata baśni. Na dalekich planetach również pojawiają się dzielni rycerze dosiadający rumaków (często sześcionożnych), walczący z potworami, ratujący bezbronne księżniczki, posługujący się cudowną bronią czy amuletami. Możliwa jest również interwencja sił magicznych, czarów (charakterystyczna dla heroic fantasy). Elementy pochodzenia baśniowego mogą stanowić podstawę tematyczną utworu, odgrywać określoną rolę w rozwoju akcji, spełniać funkcję czysto dekoracyjną, jak np. w przypadku ziejącego ogniem, skrzydlatego smoka, będącego osiągnięciem inżynierii genetycznej (S. Sniegow – *„Ludi kak bogi"*). Jednakże trudno tu mówić o istotnych podobieństwach, gdyż sam sposób potraktowania tematu bywa zazwyczaj zasadniczo odmienny. Wszelkiego rodzaju analogie uwypuklają tylko nowe możliwości zastosowania starych baśniowych wątków i nadawania im innych znaczeń. I tak na przykład człowiek może znikać i przenosić się w inne miejsce nie za sprawą „czapki-niewidki" i „siedmiomilowych butów", lecz dzięki „dematerializacji" czy „teleportacji"; zamknięte drzwi może otwierać wypowiedzianym rozkazem, który nie będzie formułą magiczną, lecz hasłem dla automatycznego urządzenia, etc.

Podobnie jak ekran zastąpił magiczne lustro, a samolot – latający dywan, tak formuła „za górami, za lasami" lub „bardzo dawno temu" ustępuje miejsca „dalekiej" lokalizacji czaso-przestrzennej: w odległej przyszłości czy na nieznanej planecie. Jak zauważa S. Lem, „zarówno baśń, jak i fantastyka naukowa korzystają z chwytu usuwania świata przedstawionego z zasięgu empirii odbiorcy". Jednakże zasadnicza różnica polega tu nie tylko na odmienności stosowanych metod i na samym „wyglądzie" świata przedstawionego, ale również na jego usytuowaniu względem empirycznej rzeczywistości.

Świat baśni jest całkowicie oderwany od świata rzeczywistego i nie ma z nim żadnego, nawet pośredniego, związku. Należy do autonomicznego universum, będącego wytworem dawnej konwencji literackiej. Określenie w rodzaju „dawno, dawno temu" nie oznacza właściwie czasowego usytuowania akcji utworu w stosunku do momentu jego napisania czy odbioru, lecz jest konwencjonalnym sygnałem wywoławczym specyficznej, baśniowej rzeczywistości. Rządzi się ona sobie tylko właściwymi prawami, determinującymi wszelkie składające się na nią elementy (przedmioty, istoty żywe, zjawiska, wydarzenia). Zdaniem R. Caillois i P. Versinsa baśń sytuuje się w konwencjonalnym, fikcyjnym universum, gdzie cudowność i czary są prawem i regułą, są czymś naturalnym, nie wywołującym zdziwienia ani, tym bardziej, przerażenia; w universum nie mającym żadnego związku ze światem rzeczywistym.

W baśni, poza szeregiem specyficznych, antywerystycznych elementów znaczących, pojawia się również charakterystyczny sposób funkcjonowania tych elementów w treści utworu. Zauważyć tu można podwójną różnicę w stosunku do SF.

Po pierwsze, baśń zakłada określony sposób przedstawiania Niezwykłego. Jak zauważa R. Handke, „jakkolwiek ujęta formuła wyjaśniająca, heterogeniczna wobec reguł baśniowego świata, natychmiast zdejmuje zeń zaklęcie cudowności". Obok braku wyjaśnień na temat „czarodziejskich" czy „cudownych" elementów świata przedstawionego, utwory baśniowe charakteryzuje także sam styl języka narracji i specyficzna frazeologia.

Po drugie, w klasycznej baśni nie istnieje przypadek jako losowość, lecz tylko determinizm moralny: jak mówi S. Lem, „bajka to takie szachy, w których białe zawsze wygrywają". Charakterystyczne dla baśni „szczęśliwe zakończenie" – wynikające z niewzruszonych praw deterministycznych i aksjologicznych – jest jedną z zasadniczych cech odróżniających tego rodzaju utwory od innych odmian prozy imaginacyjnej. Z kolei w SF, podobnie jak w fantastyce, postacie pozytywne podlegają takim samym czynnikom losowym jak cała rzeczywistość przedstawiona (w utworach fantastycznych można zauważyć wyraźną przewagę elementów sprzecznych z szeroko pojętym interesem bohatera, lecz nader często nie jest to bohater wyraźnie „pozytywny"). Analogia pomiędzy baśnią a SF związana z faktem wyposażenia postaci w niezwykłe możliwości działania – o czym wspomina R. Handke – jest nader powierzchowna. Zarówno w baśni, jak i w SF, „niezwykłe" elementy świata przedstawionego podlegają takim samym prawom jak cały ten świat. Latający dywan – w przeciwieństwie do urządzenia w rodzaju „gwiazdolotu" – nie może „ulec awarii", a jeśli zostanie bohaterowi ukradziony, fakt ten nie może, lub raczej „nie ma prawa" stać się przyczyną „rzeczywistego" zagrożenia dla bohatera pozytywnego (nawet jeśli ten ostatni zamieni się w kamień, to „musi" zostać później „odczarowany"). Tymczasem w utworze SF wszyscy bohaterowie oraz ich niezwykłe „wyposażenie" podlegają czynnikom losowym i stają wobec niebezpieczeństw jak najbardziej „realnych".

Tak więc na specyfikę świata przedstawionego utworów baśniowych składają się: usytuowanie w konwencjonalnym, fikcyjnym universum poza obszarem świata „rzeczywistego", szczególny charakter i autonomia rządzących nim praw oraz obecność elementów nie mających odpowiedników w świecie realnym, zgodnych z fikcyjną rzeczywistością, do której przynależą i z rządzącymi nią prawami.

III

Jak słusznie stwierdza A. Zgorzelski, „zazwyczaj już pierwsze zdania utworu przynoszą sygnały konwencji, według której zostanie zbudowana rzeczywistość literacka". Jednakże, podczas gdy pierwsze słowa baśni w rodzaju „Za siódmą górą..." są sformułowaniem czysto konwencjonalnym, początkowe zdania tekstu SF zawierają zazwyczaj – oprócz sygnału określonej konwencji gatunkowej – istotne informacje związane z treścią danego utworu. I tak na przykład pierwsze zdanie w rodzaju: „W roku 230 Nowej Ery Poatomowej został powołany Ogólnoświatowy Komitet do Spraw Kontaktów Pozaziemskich" określa czasowe i przestrzenne usytuowanie akcji w stosunku do rzeczywistości odbiorcy, nawiązując do niektórych aspektów tejże rzeczywistości poprzez informację o „historycznym" konflikcie atomowym (po którym rozpoczęła się Nowa Era w dziejach świata), a zarazem sygnalizuje określoną problematykę, związaną z treścią utworu (kontakty pozaziemskie). Z kolei na przykład w zdaniu: „Statek wyszedł z subprzestrzeni i przeszedł na podświetlną" pojawia się nie tylko informacja o miejscu (Kosmos) i czasie akcji (przyszłość, na co wskazuje niezwykle wysoki poziom wiedzy i techniki), lecz również określenie ogólnej tematyki utworu oraz szczególne „wyzwanie" rzucone nauce i całej ludzkiej wiedzy (lub raczej wiedzy, jaką dysponuje odbiorca utworu).

Przykłady te pozwalają zaobserwować istotną różnicę pomiędzy konwencjonalnym światem baśni i światem SF, niezależnie od podobieństwa polegającego na wprowadzeniu elementów „imaginacyjnych" (bez odpowiedników w rzeczywistości pozaliterackiej) oraz ogólnej „zgodności" tych elementów z rzeczywistością przedstawioną. W przeciwieństwie do całkowicie autonomicznego – i heterogenicznego w stosunku do świata

rzeczywistego – baśniowego universum, rzeczywistość przedstawiona literatury SF, aczkolwiek wykraczająca poza granice ludzkiego poznania, nie traci związku z owym światem rzeczywistym. Wprost przeciwnie: przynależność ontologiczna zjawisk z repertuaru tematycznego SF do „realnej" rzeczywistości jest jedną z charakterystycznych cech tego gatunku i zostaje zawsze, mniej lub bardziej wyraźnie, zaznaczona. Możliwości są rozmaite. Obok różnorakich naukowych lub pseudonaukowych „usprawiedliwień" prezentowanych „niezwykłości" w fikcyjnym świecie utworu, dopuszcza się zabiegi „dostosowujące" do owych niezwykłości całą rzeczywistość przedstawioną. Do zabiegów tych należą: odległe przesunięcie przestrzenne (na odległość planety, w nieznane galaktyki) lub przeniesienie w „universum paralelne". Nie zawsze informacje o usytuowaniu świata przedstawionego względem naszej empirycznej rzeczywistości są dokładne, czasami bywają pseudonaukowe i wyraźnie irracjonalne (np. podziemny świat E. R. Burroughsa), jednakże zawsze funkcjonują jako kryterium przynależności danych utworów o określonej konwencji literackiej, a ukształtowana przez tę konwencję świadomość literacka odbiorców umożliwia im uzupełnienie ewentualnych braków informacyjnych.

W utworach SF, świat przedstawiony nie tylko ma konwencjonalny związek z rzeczywistością empiryczną odbiorcy, lecz również – w przeciwieństwie do świata baśni – podlega takim samym prawom (znanym lub hipotetycznie przez autora przyjętym), jak materialna rzeczywistość pozaliteracka, co wiąże się z jego przynależnością do tego samego, jedynego, obiektywnie istniejącego wszechświata. Opowieści SF oparte są na założeniu, że wszystko co dzieje się w opisywanym świecie może być wyjaśnione zgodnie z prawami Natury, zarówno tymi, które są znane, jak i tymi, które moglibyśmy ewentualnie poznać w przyszłości (co zaznacza w swych wypowiedziach R. Zelazny czy P. Anderson).

Jednocześnie można zauważyć, że literatura SF warunkuje w pewnej mierze sposób percepcji odbiorcy (podobnie zresztą jak fantastyka i baśń). Sugeruje ona niejako możliwość zrozumienia i racjonalnego uzasadnienia „rzeczywistego" charakteru prezentowanych niezwykłości (w przeciwieństwie do fantastyki, która możliwość taką wyklucza). Jak stwierdza J. Gattégno, „to, co dla czytelnika jest tajemnicze i niezwykłe, jest całkowicie zrozumiałe dla autora SF i jego bohaterów, gdyż dysponują oni daleko większą wiedzą". W przypadku, gdy czas narracji (i czas akcji) wyprzedza czas odbioru, czytelnik czuje się „gorzej poinformowany" niż autor, narrator, czy bohater i skłonny jest tym właśnie usprawiedliwiać swoje ewentualne wątpliwości.

IV

Tak więc, jak zostało stwierdzone, SF zakłada – w odróżnieniu od baśni – związek świata przedstawionego z rzeczywistością czytelnika (choć świat ów wykraczać może poza rzeczywistość empiryczną). Nasuwa się tu pewne podobieństwo do fantastyki, która sytuuje prezentowane wydarzenia w świecie „odpowiadającym" realnej i empirycznej rzeczywistości. Jednakże, o ile w utworach SF wszelkie elementy treściowe zachowują swą przynależność do świata przedstawionego i nie są sprzeczne z rządzącymi prawami, o tyle fantastyka zakłada zasadniczą rozbieżność pomiędzy odtworzonym w tekście, naturalnym porządkiem rzeczy a wprowadzonymi w jego obręb obcymi elementami, które mają w stosunku do świata przedstawionego (jak również do rzeczywistości czytelnika) charakter nadprzyrodzony.

Ten ostatni fakt szczególnie mocno podkreśla R. Caillois w swej teorii związanej z definicją fantastyki. Według niego, fantastykę charakteryzuje pewnego rodzaju „rozdarcie", wtargnięcie Niemożliwego w sferę świata rzeczywistego. W przeciwieństwie do świata baśniowego, w którym wszystko jest możliwe, fantastyka „mogła się zrodzić dopiero wtedy, kiedy zatriumfowała naukowa koncepcja racjonalnego i koniecznego porządku rzeczy". Wtargnięcie w ów niewzruszony porządek rzeczy elementu niezwykłego, którego zaistnienie jest tu – zdawałoby się – całkowicie wykluczone, wywołuje właśnie, charakterystyczne dla utworów fantastycznych, przerażenie. Fantastyka stanowi swoistą „grę ze strachem", której reguły respektowane są zarówno przez autora, jak i przez czytelnika. Definicja R. Caillois zgodna jest ze stanowiskiem P.-G. Gastexa i L. Vaxa. Odmienną koncepcję formułuje na przykład M. Schneider, który – nie odróżniając fantastyki od baśniowości, poezji, alegorii czy mitu – znacznie rozszerza jej granice. Z kolei nader ścisłe tych granic zawężenie następuje w przypadku ogólnej strukturalnej teorii T. Todorova.

Rozbieżności w definiowaniu literatury fantastycznej wiążą się niewątpliwie z pewną poliwalencją terminologiczną. Termin „literatura fantastyczna", stosowany dla określenia pewnej kategorii estetycznej, wiąże się z konkretnym rodzajem opowiadań, jakie pojawiły się w literaturze europejskiej z końcem XVIII w. i których rozwój przypada na okres romantyzmu. Obecnie można zaobserwować zarówno zwężenie pojęcia fantastyki przez ograniczenie jej do „literatury grozy", gdzie „przerażenie" wiąże się już z reakcją bohaterów utworu, jak też – skrajne jego rozszerzenie (zdarza się nawet, że zalicza się do niego wszelkie odmiany prozy imaginacyjnej, w tym również SF). Jednakże najczęściej termin ten rozumiany bywa jednoznacznie – w tym sensie, w jakim stosuje go na przykład R. Caillois.

Wracając do problemu odrębności fantastyki i SF należy stwierdzić, że pierwszą z nich charakteryzuje, zaznaczona w tekście (lub tylko zasugerowana), sprzeczność pomiędzy elementami o charakterze imaginacyjnym, a ogólnymi prawami rządzącymi rzeczywistością przedstawioną. Z kolei w utworach SF zostaje zaznaczona (lub tylko zasugerowana) zgodność wszelkich „niezwykłych" elementów świata przedstawionego z rządzącymi tu prawami, przy czym ów świat nie musi być odwzorowany na świecie empirycznym, choć sytuuje się w obrębie wspólnego, jedynego, materialnego wszechświata. Ponieważ rzeczywistość przedstawiona w utworach SF najczęściej nie pokrywa się z wiedzą empiryczną odbiorcy, wyznaczników zgodności pomiędzy fikcyjnym światem i umieszczonymi w nim „niezwykłymi" elementami należy szukać wyłącznie w obrębie tego świata, czyli na poziomie tekstu.

V

Do charakterystycznych cech literatury fantastycznej, odróżniających ją od SF, należy również specyficzna atmosfera pojawiająca się w utworach fantastycznych i związany z nią sposób percepcji odbiorcy. Wspominając o owej atmosferze, H. P. Lovecraft określa ją jako „niewytłumaczalny lęk przed niewytłumaczalnością sił Nieznanego", który powoduje kształtowanie się szczególnego stanu emocjonalnego odbiorcy. Określenie takiego funkcjonowania utworów fantastycznych, jako „gry ze strachem", jak czyni to R. Caillois, jest w dużej mierze słuszne, lecz trochę zawężone. Ciekawą propozycję wysuwa tu na przykład J. Pierrot, według którego „gra fantastyczna opiera się na istnieniu kilku poziomów koegzystujących w psychice indywidualnej" i przejawia się jako „gra pomiędzy dwiema różnymi instancjami psychicznymi, jedną gruntownie racjonalną, zbliżoną do freudowskiego superego, i drugą przesyconą irracjonalizmem".

Charakterystyczna dla SF, nierzadko pozorna, „możliwość zrozumienia" przedstawionych „niezwykłości", mająca istotny wpływ na czynną postawę odbiorcy, jest w literaturze fantastycznej całkowicie wyeliminowana. Wobec utworu fantastycznego czytelnik pozostaje w zasadzie bierny (pomimo ewentualnych wahań i refleksji, które nie mogą doprowadzić do decydujących rozstrzygnięć) i nie zadaje pytań w rodzaju „W jaki sposób?", poddając się narzucanemu stanowi emocjonalnemu.

W przypadku utworów SF, wytwarzanie określonych stanów emocjonalnych odbiorcy ma nieco odmienną postać. Niezależnie od ewentualnych napięć, niepokoju lub „strachu", związanych bezpośrednio z rozwojem akcji, w procesie percepcji występuje tu często kolejny etap konkretyzowania znaczeń ogólnych, związanych z treścią danego utworu. Ten etap percepcji ma charakter czysto racjonalny i refleksyjny, a dany stan emocjonalny czytelnika jest raczej efektem dokonanych w trakcie lektury przemyśleń, niż jak w przypadku utworów fantastycznych, do tychże przemyśleń bodźcem. Literatura SF związana jest przede wszystkim z różnorodną problematyką dotyczącą perspektyw nauki i techniki, rozwoju naszej cywilizacji oraz człowieka jako istoty gatunkowej i jako istoty społecznej. Jej tematy dotyczą zarówno zagadnień czysto technicznych, jak i naukowych, takich jak medycyna, biologia, psychologia, socjologia, czy filozofia. Utwory SF komunikują zawarte w nich treści zarówno bezpośrednio – poprzez przekazywane w tekście informacje i wyjaśnienia – jak również pośrednio, poprzez wywoływane refleksje. Tak więc nie tylko charakterystyczny dla gatunku SF rzeczowy, racjonalny, a często naukowy styl narracji, nie tylko zakres poruszanej problematyki, ale również i sposób odbioru tego rodzaju tekstów usprawiedliwia ogólnie przyjętą nazwę „science (lub speculative) fiction".

Zdarzają się oczywiście utwory, które z racji swych głównych cech charakterystycznych należą do SF, a które jednocześnie wprowadzają elementy typowe dla literatury fantastycznej. Dzieje się tak na przykład wtedy, gdy głównym celem autora jest ukazanie skutków niezwykłego zdarzenia czy zjawiska, zaś samo zjawisko, jego wytłumaczenie i uzasadnienie stają się sprawą drugorzędną. Odpowiednia konstrukcja utworu, odbiór poszczególnych elementów tła i fabuły sprzyjają wytworzeniu atmosfery zaskoczenia, przerażenia. Tym samym zaakcentowana zostaje „niezwykłość" danego elementu (np. „cudownego wynalazku" i jego skutków), a nie jego „zwyczajność". Jednakże, w przeciwieństwie do utworu fantastycznego, nie jest to element niezgodny z prawami świata przedstawionego, z założenia nie mający prawa w nim się pojawiać. Jego ontologiczna zgodność z fikcyjną rzeczywistością zostaje natychmiast uzasadniona (np. *„The Invisible Man"* H. G. Wellsa), zaznaczona, bądź zasugerowana (np. pozaziemskie pochodzenie danej istoty czy zjawiska). Jeśli chodzi o same zapożyczenia tematyczne, to nawet obecność wampira mo-

dokończenie na stronie 52

Barbara OKÓLSKA

Ukończyła studia filologiczne na Wydziale Romanistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Autorka szkiców krytycznych i przekładów z literatury francuskiej, zajmuje się również teorią i historią prozy fantastyczno-naukowej.
Esej „Science Fiction – Fantastyka – Baśń" jest fragmentem jej pracy doktorskiej: „Gatunek science fiction i jego kształtowanie się w literaturze francuskiej pod koniec XIX i na początku XX wieku", pisanej w latach 1980–1982 pod kierunkiem prof. dra Jerzego Parviego.

dokończenie ze strony 51

żna usprawiedliwić mutacją („*I Am Legend*" R. Mathesona) lub pozaziemskim pochodzeniem („*La querre des Vampires*" G. Le Rouge).

Niektórzy podkreślają podobieństwo funkcji spełnianych przez baśń, fantastykę i SF. Niewątpliwie wszystkie one odpowiadają pewnym określonym zapotrzebowaniom społecznym, związanym z chęcią „oderwania się od rzeczywistości". Można tu zauważyć pewną analogię pomiędzy SF i baśnią, w której następuje niejako spełnienie marzeń człowieka, związanych z jego sytuacją w świecie i z jego aktualnymi możliwościami. Z kolei zarówno fantastyka i SF poruszają problemy dotyczące poznawczych ograniczeń i predyspozycji człowieka. Jednakże ogólne zadania literatury SF są o wiele bogatsze. Spełnia ona nierzadko istotną funkcję popularyzatorską, a częstokroć stanowi formę ogólnej refleksji nad sytuacją i perspektywami Człowieka, naszego gatunku i naszej cywilizacji. Jest związana z dzisiejszym obrazem świata i jego problemami. Odmienność funkcji baśni, fantastyki i SF wiąże się w znacznym stopniu z ich genologiczną przynależnością do danego poziomu rozwoju świadomości społecznej, związanego z danym etapem rozwoju cywilizacyjnego.

VI

Podsumowując przedstawione obserwacje, wypada raz jeszcze podkreślić, że pomimo ogólnego podobieństwa polegającego na obecności elementów imaginacyjnych, świat przedstawiony w utworach SF różni się zasadniczo od świata fantastyki i baśni. Fantastyka sytuuje się w całkowicie „realnej", „empirycznej" rzeczywistości, w którą wprowadza elementy „nadprzyrodzone", z założenia nie mające prawa się tu pojawić. Świat baśni jest całkowicie oderwany od rzeczywistości, wyimaginowany, wewnętrznie spójny i rządzący się sobie tylko właściwymi prawami. SF zaś – unikając właściwego fantastyce „rozdarcia" – stosuje albo „dopasowanie" niezwykłych zjawisk do rzeczywistości przedstawionej (przez różnego rodzaju uzasadnienia), albo „dostosowuje" ową rzeczywistość do swoich potrzeb. Jednakże, w przeciwieństwie do baśni, SF zachowuje wyraźny związek z rzeczywistością empiryczną, gdyż wszelkie, nawet najbardziej odległe zakątki fizycznej czasoprzestrzeni (lub konwencjonalne paralelne universa) w jakie się zapuszcza, zostają przedstawione jako rzeczywiście istniejące, zgodne z ogólnymi prawami (nawet tymi, których jeszcze nie znamy...) obowiązującymi we wszechświecie, do którego należymy.

Ogólna różnica pomiędzy SF a fantastyką, związana ze specyfiką świata przedstawionego, dotyczy przede wszystkim stosunku zawartych w treści utworów elementów „niezwykłych" do rzeczywistości, w jakiej zostały usytuowane. W utworach fantastycznych występuje tu zasadnicza sprzeczność ontologiczna: wszelkie cechy rzeczywistości przedstawionej (będącej jak najwierniejszą „reprodukcją" rzeczywistości empirycznej), których poznanie i jednoznacznie określenie jest rezultatem ogólnego dorobku nauk eksperymentalnych i całej wiedzy ludzkiej, wykluczają możliwość pojawienia się w niej tych właśnie niezwykłych zjawisk, jakie zostały tu umieszczone (lub których obecność została tylko zasugerowana). W utworach SF zaś, sprzeczność taka nie występuje. Wprost przeciwnie: wszelkie stosowane uzasadnienia i sugestie mają na celu podkreślenie zgodności między ogólną charakterystyką świata przedstawionego – o którym wiedza nasza jest często niepełna lub nawet żadna – a teoretyczną i techniczną możliwością zaistnienia w nim owych „niezwykłości".

Barbara Okólska

■

TAJEMNICA W WIELKIM GUSLARZE

Kiedy przed kilku laty pojawił się w Polsce zbiór szkiców krytycznych Gordona Brotherstona poświęconych współczesnej prozie iberoamerykańskiej („W granicach samotności",1977) – Sergio Galindo był już uznanym pisarzem latynoskim, tłumaczonym na wiele języków świata („Meksykański karnawał",1967; „El Bordo", 1972). Brytyjski literaturoznawca pominął jednak dorobek tego autora i oceniając powieść jego rodaka – Juana Rulfo („Pedro Paramo",1966), nawiązał do twórczości innych autorów meksykańskich – Carlosa Fuentesa i Augustina Ÿaneza. Na taką „prezentację" Sergio Galindo z pewnością nie zasługiwał. Dowodzi tego najnowszy przekład jego mikropowieści – „El hombre de los hongos"(„Grzybojad", 1982), który ukazał się nakładem Wydawnictwa Literackiego w serii prozy latynoamerykańskiej.

Fabuła utworu nie należy do zbyt skomplikowanych, ale jej streszczenie nie oddaje w pełni literackich wartości przekazu, podobnie jak relacja z koncertu Vivaldiego nie odtwarza nastroju ulotnych fraz muzycznych.

Bohaterką powieści jest Emma, dorastająca córka zamożnego właściciela hacjendy – Everarda, mieszkająca w rodzinnym domu na skraju tajemniczej, tętniącej życiem puszczy, z dala od zgiełku świata i wielkomiejskiej cywilizacji. Do niepisanych tradycji tego domu należą wystawne posiłki, w czasie których, obok różnego rodzaju potraw, podaje się grzyby zbierane w okolicznych lasach. Wiadomo jednak, że nawet najbardziej znany gatunek grzybów może okazać się trujący, jeśli czerpał swe soki ze skażonego, jadowitego podłoża puszczy. Aby wykluczyć możliwość tragicznej w skutkach pomyłki, Everard zatrudnia okolicznych wieśniaków – „grzybojadów", którzy na własnej skórze sprawdzają jakość przyrządzanych posiłków. Zachęceni wysokim zarobkiem, ludzie ci godzą się ze swoim losem, mimo iż mają przed sobą najwyżej kilka tygodni życia.

Pewnego dnia, polując w dzikich ostępach puszczy, Everard trafia do tajemniczego parowu, w którym znajduje nagiego, porzuconego chłopca. Zabiera go do domu, nadając imię jednego z Trzech Króli – Gaspara. Wkrótce pomiędzy Emmą a pięknym nieznajomym zawiązuje się nić sympatii, przyjaźni, uczucia ujawniona przez próżną, zawistną intrygantkę, starszą siostrę Emmy – Lucyllę. To właśnie dzięki jej namowom uległy, załamany po śmierci swej żony, Everard postanawia uczynić Gaspara grzybojadem. Zemsta kochanków jest okrutna. Gasparowi, z pomocą Emmy, udaje się osłabić czujność domowników: w czasie jednego z bankietów gospodarze i zaproszeni goście zostają otruci potrawą z Bollestus Satanas, „najbardziej jadowitych grzybów jakie istnieją".

Pogrzeb Lucylli i Everarda zbiega się ze ślubem Emmy i Gaspara. Szczęście nie trwa jednak długo. Tajemniczy przybysz odchodzi nagle, niespodzianie, tak jak się pojawił, a samotna Emma oczekuje dnia, „w którym zapadnie zupełna ciemność".

Z ostatnim słowem historii rodzi się pierwsze nieporozumienie. Ta liryczna opowieść, nie pozbawiona racjonalnej, precyzyjnej logiki działań, kojarzy się, być może, z konwencją powieści kryminalnej. Fabuła „Grzybojada" bliższa jest jednak antykryminalnym powieściom Dürrenmatta, aniżeli klasycznym schematom Simenona. Brak tu swoistych reguł gatunkowych: sylwetki zwycięskiego detektywa, błędnego tropu, świata bez przypadków; brak śledztwa w

● ●

Dobrze się stało, że Redakcja „Iskier" wydała tom opowiadań Kiryła Bułyczowa „Retrogenetyka". Zamieszczone w nim utwory doskonale harmonizują z opublikowanym przed laty tomikiem „Ludzie jak ludzie" (1976), stanowią ciekawą ilustrację najbardziej typowego dla Bułyczowa nurtu psychologiczno-obyczajowego, są wyraźną kontynuacją znanych tematów, problemów, stylistyk.

Najwyraźniej widać to w opowiadaniach „guslarowskich" – dominującym bloku tematycznym. Podobnie jak w „Ludziach", czy powieści „Rycerze na rozdrożach" (Czytelnik, 1979) śledzimy zadziwiające przygody Udałowa, Grubina, prof. Minca i Miszy Standala, świetnie łączące groteskę z realizmem. Bułyczow pisząc „Czudiesa w Guslarie" wpadł na doskonały pomysł i, co ważniejsze, w równie doskonały sposób potrafił go wykorzystać. Zderzenie przedziwnych wydarzeń wywodzących się czy to z fantastyki naukowej, czy baśniowej – z realiami prowincjonalnego miasteczka musi dawać imponujące, zwłaszcza humorystyczne efekty. Autor przyjmuje tu szalenie prostą zasadę – „mogło się zdarzyć, bowiem się zdarzyło", likwidując tym samym konieczność uzasadniania sytuacji i troszczenia się o jej prawdopodobieństwo. Nietrudno jednak zauważyć, że dowolność, swoboda w ujmowaniu tematu istnieje u Bułyczowa wyłącznie w odniesieniu do tego, co można by nazwać „fantastyczną przyczyną sprawczą" opisywanego wydarzenia. Cała reszta – postacie, realia – to już „samo życie". I właśnie dzięki owym „niezwykłościom", z całą ostrością ujawniają się problemy psychologiczne czy obyczajowe, które w gruncie rzeczy stanowią obiekt zainteresowania autora: nie Kosmita w latającym talerzu lądujący przymusowo na podwórku domu Udałowa, nie „termometr uczuć", ale to co owe wypadki i odkrycia inicjują. Oczywiście każde zderzenie fantastyczności z codziennością zawiera w sobie potencjalny ładunek komizmu sytuacyjnego i Bułyczow, ku zadowoleniu czytelników, bezbłędnie możliwości te wykorzystuje. Śmieszą nas sytuacje, ludzie, ich sposób myślenia, ale warto chwilami, śmiejąc się, zadać sobie to samo pytanie,

MEKSYKAŃSKIEJ HACJENDY

typowym tego słowa znaczeniu, ba – nawet motywacja zachowań postaci i jej logiczna konsekwencja – kara, nabiera wymiaru psychologicznego, wiąże się raczej z przemianą świadomości bohaterów działających pod nieustanną kontrolą Gaspara – tajemniczego przybysza „z zewnątrz".

Dużo łatwiej przychodzi zatem wyjaśnić genezę utworu w kategoriach psychoanalitycznych – jako wizję senną, rekompensujące marzenie Emmy, która niesłychanie emocjonalnie (o czym świadczy subiektywna narracja I-osobowa) reaguje na przemiany otaczającego świata i boleśnie odczuwa swoją obcość, nieprzystosowanie, brak porozumienia z najbliższymi jej osobami, rzutując podświadomie okrutne, bezwzględne prawa Przyrody na relacje stosunków międzyludzkich. To przecież właśnie jej Everard d a r o w u j e Gaspara, który, niczym mityczny władca Teb – Edyp, okazuje się narzędziem w ręku nieznanych sił niszczących świat ludzkich wartości i przekonań. Wyraźnej symboliki nabiera motyw grzybów – zatrutego owocu puszczy będącej, jak chce Emma, „gęstwiną rozrastającą się w n a s z y m w n ę t r z u, z którą wiążą nas niezbadane struny wibrujące ze złowróżbnym, monotonnym natężeniem". Niezmiernie charakterystyczny jest również końcowy passus utworu: „zapadające ciemności" to efekt „przebudzenia ze snu", utraty złudzeń, zstąpienia do Hadesu codziennej udręki. I tak stopniowo nad logiczną, racjonalną motywacją wydarzeń, nadbudowuje się kolejna, zgoła odmienna – fantastyczna. „Świat Emmy" – pisze autor posłowia, Henryk Czubała – „jest u c z u c i o w o n i e j e d n o r o d n y i dlatego właśnie fantastyczny". Ale nie jest to świat baśniowy; ten ostatni – zdaniem Rogera Caillois – „to wymiar cudowności, który łączy się z rzeczywistością nie naruszając w niczym jej wewnętrznego ładu, nie niszcząc jej spójności /.../. Fantastyka natomiast jest manifestacją skandalu, niezwykłym, nieznośnym wdarciem się w ową rzeczywistość". Już pierwsze słowa powieści wprowadzają nastrój nieuchwytnej tajemniczości, szczególnego podniecenia, które udziela się mieszkańcom hacjendy witającym powracającego do domu Everarda: „Miałam pewność (bez żadnej zapowiedzi usprawiedliwiającej ją) ,że coś odmiennego przywożą nam z tego polowania. Nie wiem, czy poczułam strach, czy wielkie szczęście z powodu możliwej niespodzianki. Był to jednak rodzaj radości, która kiełkuje wśród podejrzeń, mogąc oznaczać – bardziej niż przyszłe szczęście – ukryte niebezpieczeństwo". Przeczucie niespodzianki, zaskoczenia, obawy wyrażonej w reakcji bohaterów, to pierwszy, najistotniejszy sygnał narodzin fantastyki, odpowiedzi na „T O C O Ś N I E Z N A N E, które" – jak przed laty pisał Jerzy Żuławski – „urąga wszelkiej wiedzy, wszystkim badaniom i dociekaniom"...

O czym zatem traktuje meksykańska historia Galindo? Jest z pewnością świadectwem wyobcowania, „wyzucia z własnego świata, które pozwala uczynić przedmiotem refleksji, poetyckiego wspomnienia własne uczucia, przeżycia; nadać faktom swojej biografii cechy fantastyczne". Ale jest również opowieścią o niemożliwości uniknięcia własnego losu, przyszłości, która zbliża się do nas z każdym ruchem wskazówek zegara. Jak tragiczne memento brzmią tu gorzkie słowa Emmy: „Nic nie jest pewne, nie jest bowiem nam dane poznać przeznaczenie. Gdyby to było możliwe, potrafilibyśmy, być może, zmienić je według naszego kaprysu. Ale nie możemy. Przeznaczenie spełnia się według naszych pragnień lub wbrew nam samym".

To Heraklitejskie przesłanie powieści wydaje się przybliżać historię Sergio Galindo do niektórych utworów science fiction, ujawniających działanie różnych nadrzędnych praw, mechanizmów, które pętają nas niewidzialnymi więzami zależności. Fantastyka „Grzybojada" bliższa jest jednak poetyckiej odmianie „fantasy", aniżeli pseudonaukowej motywacji science fiction, którą nietrudno wykryć w powieściach argentyńskiego pisarza Bioy Casaresa („Plan ucieczki", „Wynalazek Morela"). Jest ponadto fikcją realizowaną w kategoriach emocjonalnych i tym samym odcina się wyraźnie od założeń prozy przyszłościowej spod znaku A. Clarke'a i I. Asimova, rządzonej intelektualnymi prawami przedstawieniowymi. A co najważniejsze: dzięki specyficznej, latynoamerykańskiej aurze realizmu magicznego, rodzi się na styku dwóch systemów: kultury i natury, zracjonalizowanej cywilizacji i zachłannej, żywiołowej Przyrody, w odrębnym wymiarze – zagubionej w czasie i przestrzeni meksykańskiej hacjendzie Everarda.

Andrzej Niewiadowski

■

Sergio Galindo „*Grzybojad*" przełożyła Barbara Stawicka. Wyd. Literackie, Kraków 1982, cena zł. 35,-

●●

I GDZIE INDZIEJ

które pada w zakończeniu „Rewizora". Może wtedy przestaniemy się śmiać, chociaż na chwilę poważniejąc.

Zresztą, nie we wszystkich opowiadaniach Bułyczow stara się rozśmieszyć swych czytelników. W „Sztuce rzucania piłki", „Mutancie" fantastyczny pretekst pozwala spojrzeć na codzienne, zwykłe sprawy pod innym kątem, wydobyć nieoczekiwane, aczkolwiek istniejące w nich możliwości. Jak będzie widzieć ludzi mrówka, ale mrówka rozumna, jaka jest zatem cena inteligencji? Albo sprawa tolerancji środowiskowej widoczna w obu wspomnianych utworach, problem inności?

Warto zwrócić uwagę, że Bułyczow potrafi w przekonywający sposób konstruować owe opowiadania. Tworząc fantastyczne sytuacje, zawsze kieruje się znajomością ludzkiej psychiki, obyczajowości jednostek i środowisk, unikając jednocześnie jakichś przerysowań, karykaturalności. Ujmujący jest sposób, w jaki traktuje swych bohaterów – z sympatią, rozumieniem wad i przywar, z pewnym przymrużeniem oka. Są oni często śmieszni, czasem groteskowi, ale nawet przy silnie uwypuklonych rysach komicznych, przy dość krytycznym stosunku autora do niektórych postaci, nie są nigdy ośmieszani i często pod błazeńską maską kryje się dramat ludzi uwikłanych w losy szarej, codziennej rzeczywistości.

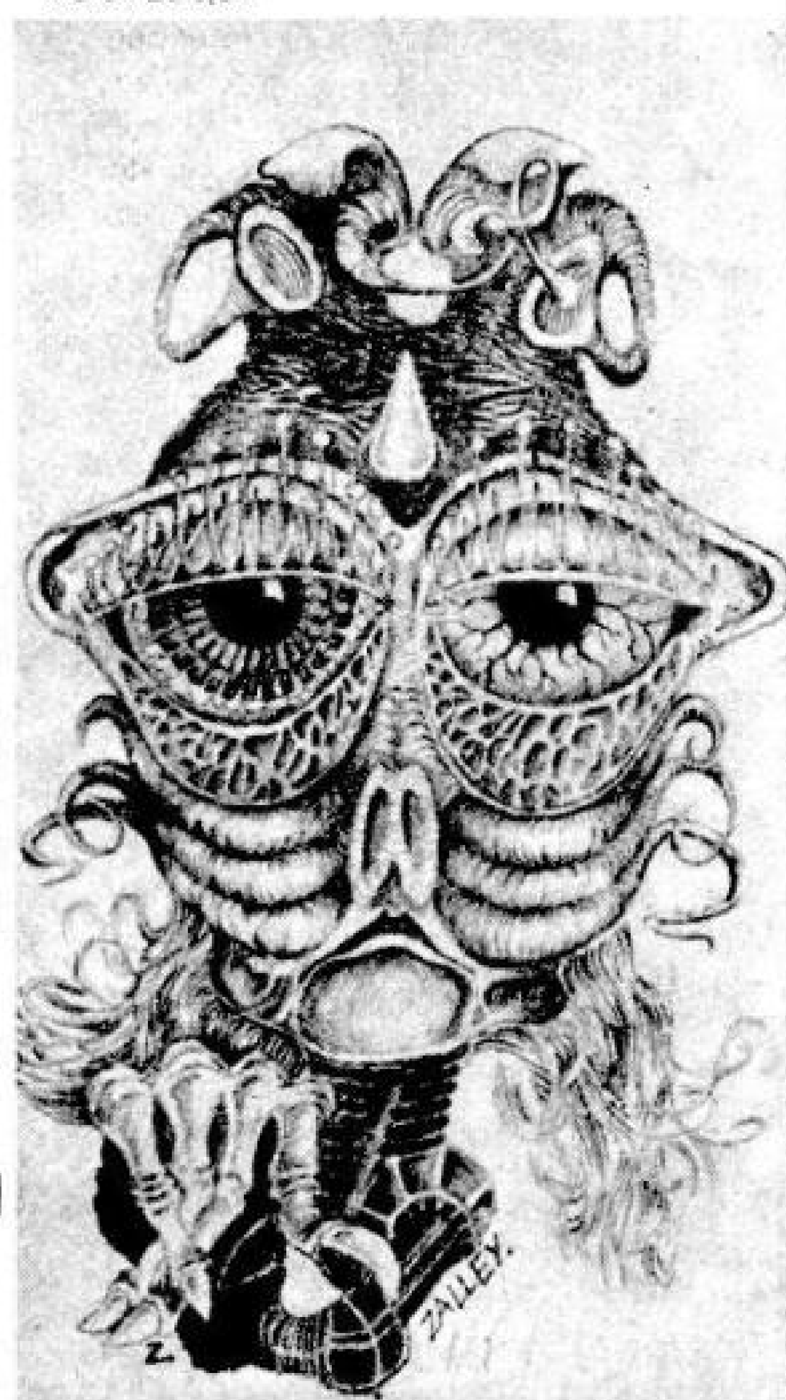
Wybór opowiadań i ich tłumaczenie są dziełem Tadeusza Goska, który, jak chyba nikt w Polsce, doskonale zna i „czuje" twórczość Bułyczowa, toteż wspaniale potrafi oddać jej specyficzny klimat, nastrój i język. Czekamy zatem na następne przekłady opowiadań – i może warto by się zastanowić nad zebraniem wszystkich „guslarowskich" utworów w jednym, oddzielnym tomie?

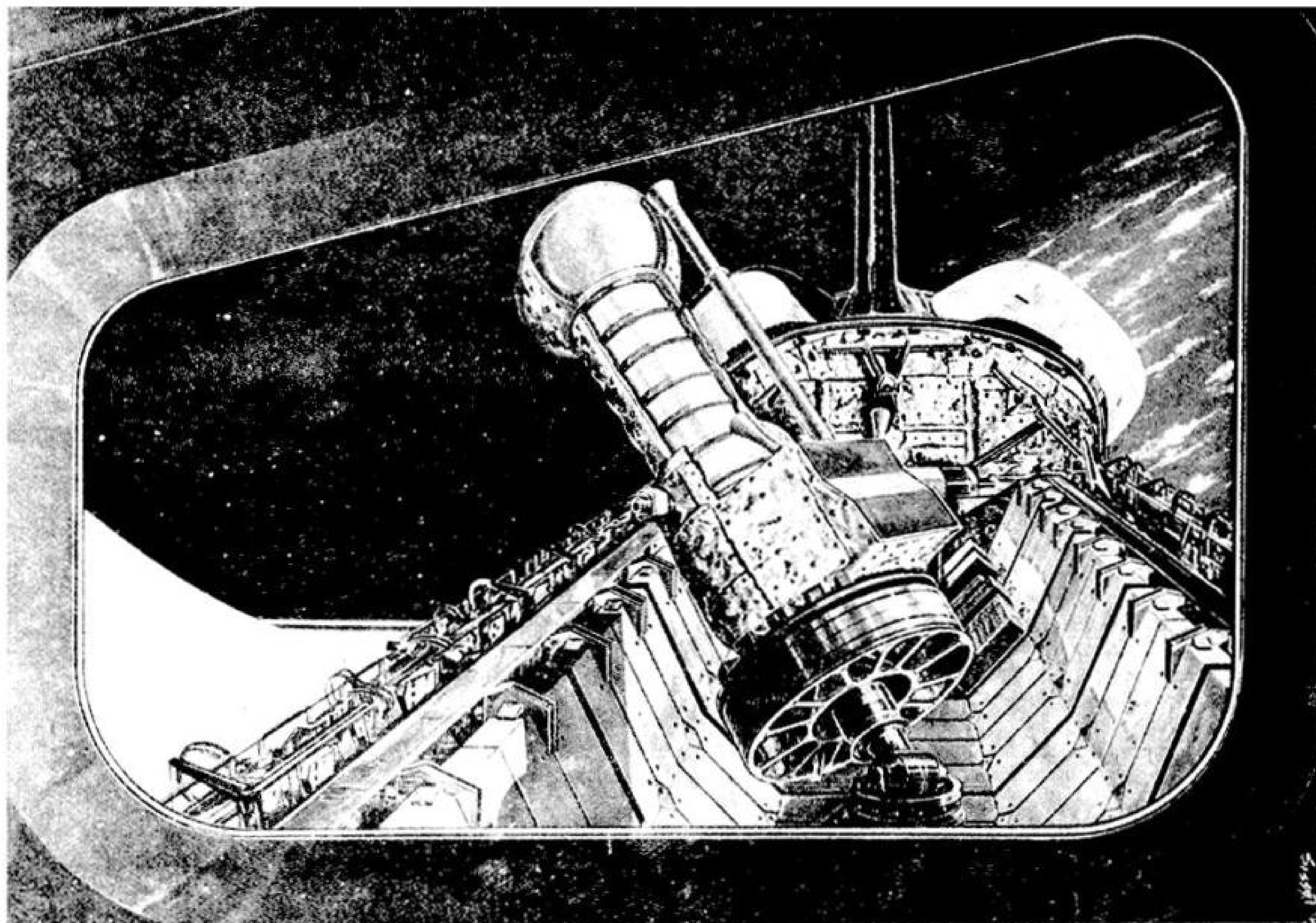
Sławomir Kędzierski

■

Kirył Bułyczow „*Retrogenetyka*" Przełożył Tadeusz Gosk. Iskry, Warszawa 1983, cena zł. 80,-

Marek Zaleski





SOCJOLOGIA KOSMOSU

Helga Reuter

Bez względu na cele – polityczne, ekonomiczne, militarne, czy naukowe – operacje w Kosmosie łączy do chwili obecnej pewien wspólny rys: trudności technologiczne powodują, że w przestrzeni może przebywać tylko ograniczona liczba osób i to przez względnie krótki czas. Pierwsze loty kosmicznego wahadłowca w latach 80-tych nie zmieniają jeszcze zasadniczo tej sytuacji. Natura stosunków między ludźmi w czasie tych lotów stanowi wyzwanie dla psychologów i lekarzy, którzy badają zachowanie i reakcje w środowisku pozaziemskim.

Dla socjologów, gałęzie ich nauki, które zajmują się bezpośrednim i pośrednim wstrząsem związanym z technikami kosmicznymi, nie różnią się zbytnio od tych, które badają wpływ innych technik, na przykład jądrowej. Tak więc stwierdzają oni, że na razie nie miałoby sensu tworzenie poddziedziny „socjologia Kosmosu", ponieważ związane z tą techniką zjawiska społeczne dają się doskonale wytłumaczyć w ramach istniejących dziedzin socjologii.

Chociaż obecnie nie ma potrzeby wyłaniania socjologii Kosmosu, to czy zaistnieją warunki, które wymagać będą stworzenia takiego kierunku?

Zwięzłe wyliczenie możliwości wykorzystania Kosmosu na dłuższą metę pomoże rozwiązać to zagadnienie i przeprowadzić dowód:

– Eksploatacja energii słonecznej przez zainstalowanie przekaźników kosmicznych; jest to pomysł, który zaczął się przyjmować wraz z pojawieniem się w latach 70-tych zjawiska niedostatku, choćby sztucznie wywołanego, ziemskich zasobów energetycznych.

– Wykorzystywanie szczególnych własności fizycznych Kosmosu; najbardziej bezpośrednim początkiem tych nowych dziedzin działania wydaje się eksploatacja fizycznych warunków nieważkości do produkcji materiałów specjalnych o wysokim koszcie wytwarzania, monokryształów i wysokocząsteczkowych związków organicznych.

– Powstanie kolonii kosmicznych; według modelu O'Neilla równocześnie zawiera w sobie i przekracza oba poprzednie sposoby wykorzystania Kosmosu.

O'Neill wychodzi z dwóch zasadniczych założeń. Po pierwsze, ponieważ ludzkość będzie zmuszona – dla podtrzymania i rozszerzenia swoich systemów produkcji – zwrócić się ku energii słonecznej, pewnego dnia okaże się, że ekonomicznej jest eksploatować ją tam, gdzie jest łatwo dostępna – w Kosmosie. Po drugie, ponieważ większość surowców będących podstawą przemysłu jest dostępna w Kosmosie, a zwłaszcza na Księżycu, mogą one zastąpić surowce pochodzące z ziemskich źródeł.

To na tym współistnieniu dwóch rodzajów zasobów – energii i surowców – O'Neill opiera swój model kolonizacji Kosmosu. Model ten przewiduje przede wszystkim zbudowanie i uruchomienie urządzeń przemysłowych. Wielu amerykańskich autorów podziela ten pogląd, ale ich podejście różni się od podejścia O'Neilla, ponieważ a priori ograniczają oni długość przebywania w tych odległych miejscach produkcji. Natomiast O'Neill po kolonizacji Kosmosu spodziewa się nie tylko przemysłowej eksploatacji miejscowych zasobów, ale także podboju dla człowieka nowego środowiska życiowego. Nie zagłębiając się w szczegóły jego koncepcji należy wspomnieć, że zawiera ona projekty prawie całkowitej samowystarczalności przyszłych grup kosmicznych, zarówno na płaszczyźnie produkcji żywności, jak i na płaszczyźnie infrastruktury codziennego życia pozazawodowego (rodzina, rozrywki, kultura, etc.).

W stosunku do obecnych działań w przestrzeni kosmicznej, urzeczywistnienie tych modeli przyniosłoby zasadniczą zmianę, ponieważ pociągałoby za sobą stałą obecność w Kosmosie dużej liczby ludzi. Pierwsze pytania, jakie mogłaby sobie postawić socjologia, dotyczyłyby kryteriów definiujących populację kosmiczną. Wydaje się, że jej skład powinny przede wszystkim charakteryzować trzy kryteria:

– zróżnicowane pochodzenie socjalno-zawodowe,

– przystosowanie profilów wykształcenia do warunków produkcji w Kosmosie,

– budowa fizyczna i psychiczna odporna na warunki życia w Kosmosie.

Wszystkie te cechy można interpretować jako wymagania rynku pracy, dla którego można znaleźć odpowiedniki na Ziemi. Na przykład właściwością naftowych platform wiertniczych jest sytuowanie zawodowej aktywności w takim otoczeniu, które, ze względu na swoje cechy fizyczne, jest wrogie człowiekowi i na dłuższy okres oddala go od jego zwyczajowego życia. Jednakże, jeśli nawet pomysł kosmicznych kolonii O'Neilla, z ich quasi-ziemskimi infrastrukturami, sprawia naszej wyobraźni kłopoty, to urzeczywistnienie skromniejszych modeli eksploatacji przemysłowych zasobów Kosmosu, różnić się będzie od dłuższych działań na morzu tylko kryteriami rzędu wielkości. Uprzemysłowienie przestrzeni kosmicznej stworzy konieczność odpowiednio większych nakładów na:

– koszty osobowe zapewniające funkcjonowanie instalacji,

– koszty inwestycji,

– koszty wymiany personelu.

Równocześnie charakterystyki natury zasadniczo ekonomicznej, ale również demograficznej, oddziaływać będą na strukturę ewentualnych wspólnot kosmicznych.

Jednocześnie elementy te tworzą aksjomatyczną bazę socjologicznych refleksji: o ile każdy z tych elementów teoretycznie da się określić przez techników czy ekonomistów, zadaniem socjologa będzie zbadanie ich

wpływu na zachowanie ludzi, czy grupy ludzi, mających produkować w Kosmosie. Wydaje się prawdopodobne, że cele państwa zamierzającego stworzyć i utrzymać wysoki stopień produktywności w oddaleniu od Ziemi, stale mogłyby być kwestionowane przez personel kosmiczny, który korzystałby z ochrony, jaką stanowią poważne koszty jego wymiany. W istocie, sprawa kosztów wymiany zmniejszałaby ryzyko personelu kosmicznego, że zastąpi się ich przez konkurencyjnych pracowników przysłanych z Ziemi. Sytuacja taka wzmacniałaby znacząco pozycję personelu w negocjacjach o warunki pracy, przydając większe znaczenie jego żądaniom dotyczącym płac, warunków, czasu pracy etc. Ale współzależność życia prywatnego i zawodowego rozszerza zakres możliwych rewindykacji także na warunki mieszkaniowe, rodzinne, rozrywki – żeby podać tylko kilka przykładów. Wszystko to nosi w sobie zarodki klasycznych konfliktów społecznych.

Odpór, jakim państwo mogłoby zrównoważyć presję pracowników, na przykład groźba redukcji czy wstrzymania zaopatrzenia i świadczeń witalnych dla kosmicznej populacji, oprze się być może polityczno-humanitarnemu rozumowaniu, które potępia zamierzanie się na życie człowieka. Przy takich wątpliwościach, świadomy ukrytej groźby podobnego konfliktu, organizm państwowy czy inny, planujący zainstalowanie kosmicznych kolonii, zmuszony będzie rozważać środki, które ograniczyłyby ryzyko konfliktu.

Dla każdego systemu społeczno-politycznego znajdującego się u początków tworzenia kolonii kosmicznych, problem przedstawia się identycznie: chodzi o wprowadzenie form organizacyjnych, które mogłyby zapobiec lub zneutralizować sytuacje konfliktowe. A więc przed każdym systemem społeczno-gospodarczym, kapitalistycznym, socjalistycznym, czy przejściowym pojawi się teoretycznie wielość możliwości, co do wyboru organizacji społecznej w Kosmosie.

Niezależnie od sposobu produkcji, w koloniach kosmicznych mógłby wytworzyć się typ organizacji społecznej, który uchodziłby za korzystniejszy z punktu widzenia opłacalności inwestycji, inaczej mówiąc, społeczność taka mogłaby określić zasady determinujące stosunki między jednostkami, grupami jednostek, a także ich relacji ze środowiskiem. Kraj na Ziemi poprzez te zasady wyznaczałby system wartości, jaki chce wprowadzić w Kosmosie. Są tu zresztą niezliczone możliwości, wliczając znane systemy wartości, kombinacje ich elementów i wprowadzenie jako kryteriów wartości dotąd nieznanych. Zróżnicowanie tych kryteriów, od różnych stopni autonomii aż do bardzo ścisłych form reglamentacji, pozwoliłoby na ustalenie poziomu przymusu, jaki będzie nałożony na populację kosmiczną.

Wspólnota kosmiczna mogłaby żyć i pracować według każdej wyobrażalnej relacji między sposobem produkcji i typem organizacji. Utajona potencjalna możliwość wybuchu konfliktów społecznych, tkwiąca w przemysłowych zespołach kosmicznych skłania jednak do zawężenia (niezależnie od sposobu produkcji) skali form organizacyjnych do dwóch rozwiązań o całkowicie różnym charakterze:
– systemu organizacyjnego typu militarystycznego,
– egalitarnego systemu demokratycznego.

W systemie zorganizowanym na sposób wojskowy, ryzyko konfliktu ograniczałaby systematyczna kontrola, albo, jak kto woli, zastraszenie populacji kosmicznej. Dobre funkcjonowanie tego, co zostałoby zdefiniowane jako porządek społeczny, tzn. nie tylko stosunki pracy, ale i współżycia, byłoby zapewnione i wyznaczone przez układ norm obejmujących maksimum potencjalnie konfliktowych sytuacji. Narzucenia tych norm i sankcji za ich naruszenie dokonano by dzięki podziałowi silnie zhierarchizowanej populacji. Społeczno-zawodowa rola jednostek byłaby więc określona przez ich pozycję w hierarchicznym systemie i umocniona poziomem wynagrodzeń, których siatka odpowiadałaby władzy przypisanej jednostce.

Przyszłych „pracowników Kosmosu" można by powoływać w sposób obowiązkowy, tak jak do służby wojskowej. Promocje na stopnie wyższe odbywałyby się z jednej strony według klasycznych kryteriów, takich jak staż pracy, a z drugiej według stopnia adaptacji do obowiązujących zasad, zarówno w stosunkach zawodowych, jak i pozazawodowych.

W demokratycznym systemie egalitarnym, czy też utopijnym, zminimalizowanie groźby społecznych konfliktów osiąga się minimalizując istnienie konfliktowych stosunków i maksymalizując motywację jednostki do utrzymania działalności w Kosmosie. Życie prywatne i zawodowe zorganizowano by na bazie consensusu między możliwie jak największą liczbą osób. Społeczny statut jednostki nie byłby określony przez istotne na Ziemi kryteria (pochodzenie społeczne, rodzaj wykształcenia etc), zaś zrównanie płac czy innych sposobów wynagradzania prowadziłoby do postępującego zaniku form podziałów społecznych przez nas stosowanych. Równość rekompensat materialnych oznaczałaby przypisanie takiego samego znaczenia dla życia wspólnoty wszystkim działaniom.

Rekrutacja populacji czynnej odbywałaby się przez kooptację, w oparciu o kryteria charakteryzujące rynek pracy. System promocji wzmacniający motywację personelu bez wprowadzania różnic społecznych, powinien przynosić poprawę warunków życia wspólnoty jako całości.

Jeśli ekploatacja zasobów okazuje się dziś najprawdopodobniejszym motywem zakładania w Kosmosie ludzkich społeczności, to dlatego że każde posunięcie industrializacyjne bez trudności znajduje miejsce w naszych schematach odniesień intelektualnych. Jeśli z dwóch modeli organizacji społecznej, zaproponowanych w myśl logiki wydajności przemysłowej system militarystyczny wydaje się łatwiejszy do zrealizowania, to dlatego, że jesteśmy z nim bardziej oswojeni. Jednakże byłoby bez wątpienia interesujące rozważenie starych utopii demokracji egalitarnej, poduktu ludzkich umysłów, pod kątem rentowności. Zastosowanie logiki rentowności dla fikcyjnych modeli, jakie amerykańscy naukowcy opracowali na temat uprzemysłowienia Kosmosu, wyłoniło zjawiska społeczne, które można uważać za specyficzne dla Kosmosu. Pierwsze wiąże się z troską o rentowność. Wysokie koszty przemieszczania personelu dałyby mu bowiem w negocjacjach siłę, która daleko przewyższyłaby pozycję ich kolegów na Ziemi. Drugie zjawisko wynika z izolacji kolonii Kosmicznej. Współzależność dziedziny zawodowej i niezawodowej poszerzyłaby zakres ewentualnych rewindykacji także na te aspekty, które nie oddziałują w ziemskich relacjach zawodowych (obecność rodziny, rodzaj mieszkania, wyżywienia, rozrywki etc.). Ta pozycja przetargowa personelu Kolonii Kosmicznych, wciąż w ramach logiki rentowności, zmuszałaby metropolie do unikania ryzyka konfliktu. Odmiennie niż na Ziemi, gdzie stosunki społeczne są rezultatem długich historycznych ewolucji, rząd teoretycznie miałby wolną rękę w określaniu typu organizacji społecznej w swoich koloniach kosmicznych. Tak więc metropolia mogłaby wprowadzić system społeczno-polityczno-ekonomiczny, który – jej zdaniem – pozwoliłby najlepiej kontrolować ciążące nad rentownością zagrożenia.

Wyobrażalne remedia zarysowane w tym tekście (system organizacyjny typu militarystycznego i egalitarno-utopijny system demokratyczny) są tylko przykładami: każde usiłowanie uprzemysłowienia Kosmosu nie tylko powinno brać pod uwagę najbardziej oczywiste kryteria ekonomiczne, ale także ich związek z zespołem czynników oddziałujących na życie społeczeństwa kosmicznego. Nie wystarczy więc przewidzieć pewną formę organizacji pracy, trzeba jeszcze zrodzić pełną organizację społeczną w celu optymalizacji oczekiwanych rezultatów.

Jeśli chodzi o zasadność istnienia „socjologii Kosmosu", to socjologiczne analizy stosunków między metropoliami a „pracownikami Kosmosu" i stosunków wewnątrz społeczności kosmicznej z pewnością będą musiały odwołać się do nowych elementów. Elementy te nie będą odznaczały się tymi charakterystykami, co instytucje ziemskie (wychowanie, rodzina, praca, rozrywki, kultura, szpitale, więzienia etc.), którymi zajmują się niezliczone dyscypliny socjologii. Rozważania nad naturą stosunków ludzkich w Kosmosie wykazują jednak, że nie można traktować różnych dziedzin w Kosmosie oddzielnie, bowiem zbyt ściśle splatają się z sobą. Tworzenie nowej dyscypliny wydaje się więc sprzeczne z naturą obiektu, który należy badać. Tyko socjologia, która wzięłaby pod uwagę integralność warunków życia społecznego w Kosmosie, mogłaby poszerzyć nasze rozumowanie tych zjawisk.

Przełożyła **Magdalena Hen**

futuribles 2000

Ukazujący się w Paryżu miesięcznik „Futuribles 2000", którego wydawcą jest działająca w Europie Zachodniej l'Association Internationale Futuribles, jest dość typowym przykładem pisma z pogranicza nauki i fantastyki naukowej. W USA odpowiednikiem jest dwumiesięcznik „The Futurist", wydawany przez World Future Society, natomiast w kraju nie mamy czasopisma tego typu. Warto dodać, że w skład rady programowej „Futurbiles" wchodzą m.in. Aurelio Peccei, prezes Klubu Rzymskiego i Bertrand de Jouvenel. Drukowany artykuł pochodzi z numeru specjalnego, poświęconego w całości ekonomicznym, politycznym i społecznym skutkom zagospodarowania kosmosu.

(Red.)

z tamtej strony lustra

OBSERWATORZY

Maciej Iłowiecki

Gdyby zapytać, jakie gatunki naprawdę opanowały Ziemię, odpowiedź nie nastręczałaby dziś trudności. Planetę opanowały dwa gatunki ssaków i one właśnie są na niej najliczniejsze i najlepiej przystosowane do życia w Wielkim Śmietniku, w jaki powoli Ziemia się zamienia.
Te dwa gatunki to człowiek i szczur. Występują w równych proporcjach: jeden do jednego, około czterech i pół miliarda ludzi i około czterech i pół miliarda szczurów. Człowiek, odkąd istnieje, walczy ze szczurami, ale szczury mnożą się coraz szybciej: jedna para tych zwierząt może w ciągu roku 6 razy wydać na świat po 10 potomków (zwykle zdarza się to rzadziej, ale średnio co najmniej 3 razy w roku). Teoretycznie w ciągu 3 lat potomstwo j e d n e j szczurzej pary może rozmnożyć się do 20 m i l i o n ó w, po 5 latach – choć trudno w to uwierzyć, potomków jednej pary byłoby już 940 miliardów! Takie są wyliczenia teoretyczne, w praktyce zaś, n a r a z i e, szczury rozmnażają się znacznie wolniej, ale od kilku stuleci ich liczba na Ziemi rośnie szybciej niż liczba ludzi i właśnie teraz osiągnęliśmy pewien punkt równowagi – jeden do jednego. Z tym, że proporcje nie są wszędzie równe. Na przykład w Indiach i większości krajów Afryki na jednego człowieka przypada dziesięć szczurów, w Stanach Zjednoczonych na dwóch ludzi jeden szczur.
Jeden szczur zjada w ciągu roku od 10 do 15 kilogramów żywności, niszczy trzy razy tyle. Łatwo obliczyć, ile żywności zabierają szczury głodującemu światu. Jako przykład można tylko podać, że w Indiach armia szczurów pożera rocznie około 3 milionów ton zbóż, ponadto niszczy co najmniej jedną czwartą upraw orzeszków ziemnych, roślin oleistych, jarzyn, owoców, a nawet kawy i kwiatów. Bangladesz musi co roku importować tyle zboża, ile go właśnie zjadają szczury. Oblicza się, że w krajach tropikalnych szczury niszczą przeciętnie jedną trzecią całej produkcji żywności, czyli taką ilość, jaka dziś jeszcze mogłaby zapobiec klęsce głodu.
Ale szczury jadają nie tylko ziarno czy warzywa, pożerają właściwie wszystko, co można pogryźć: od żywych zwierząt hodowlanych (potrafią zagryźć dużą świnię albo krowę) po papier, skóry, farby, mydło, wyroby z gumy i tworzyw sztucznych. W ciągu kilku dni mogą zniszczyć bibliotekę, archiwum albo magazyn jakichś wyrobów. Wywołują pożary i wybuchy, przegryzając przewody elektryczne i gazowe. Wywołują powodzie, podgryzając tamy. Z łatwością przegryzają ołowiane rury, drewniane belki, blachę aluminiową, szkło piankowe, ściany z cegły i nawet betonu. Praktycznie nie powstrzyma ich nic, prócz stali. Zresztą gryzą nie tylko wtedy, kiedy chcą się gdzieś dostać lub skądś wydostać – m u s z ą nieustannie gryźć wszystko wokół siebie, ponieważ ich zęby o twardości hartowanej stali rosną bez przerwy przez całe życie. Gdyby nie były ścierane, przebiłyby w końcu mózg zwierzęcia...
Niszczenie zbiorów, przegryzanie tam czy powodowanie pożarów nie jest jednak głównym orężem szczurów w walce z ludźmi. Najbardziej groźne są roznoszone przez nie choroby. To właśnie szczury wywoływały największe w historii ludzkości epidemie dżumy i tyfusu, zarazki tych chorób roznoszą do dziś. Prócz tego zarażają ludzi biegunkami, wścieklizną, tularemią, trychinozami (włośnicą), leptospirozami (rodzaj chorób zakaźnych – na przykład zakażenie żółtaczką krętkową zwaną chorobą Weila), a także tzw. szczurzymi gorączkami (sodoku – wywoływana przez zarazki Spirillum minus lub gorączką Haverhill, wywoływana przez pewne grzyby). Szczury są nosicielami także licznych pasożytów z gromady robaków (np. tasiemców). W sumie – na pewno zakażają ludzi ponad 30 groźnymi chorobami, zaś podejrzane są o roznoszenie wielu innych.
Nie wszyscy uświadamiają sobie rozmiar niebezpieczeństwa ze strony „szczurzych chorób" – może więc przekona ich fakt, że w ciągu ostatniego tysiąclecia (mniej więcej od czasów Chrztu Polski) szczury wyprawiły na tamten świat więcej ludzi, niż zginęło ich we wszystkich wojnach tego tysiąclecia!

Szczury są gatunkiem dużo od nas starszym. Ich przodkowie żyli na Ziemi już przed 50 milionami lat, grubo wcześniej, niż pojawili się ludzie. Ale też od początku towarzyszyły człowiekowi – w prastarych jaskiniach ich kości pomieszane są z kośćmi ludzkimi.
W starożytności o szczurach mniej się słyszało (choć pojawiają się w świętych księgach wielu ludów właśnie jako symbol plag). W Europie pojawiły się masowo dopiero w czasach wypraw krzyżowych, przywieźli je z Ziemi Świętej krzyżowcy. Były to szczury czarne i to one właśnie przywlokły ze sobą dżumę. Epidemia „czarnej śmierci" wygubiła wtedy jedną czwartą ludności Europy. Dużo później, bodaj dopiero w połowie XVII wieku, pojawił się w Europie szczur wędrowny, szarordzawy albo śniady, zwany też „norweskim" (bo Anglicy sądzili, że do ich portów przywiozły go statki norweskie). Znacznie większy i inteligentniejszy od swego czarnego krewniaka, szybko wyparł go z większości siedzib. Czarne szczury z Bliskiego Wschodu są do dziś w Europie dużo rzadsze, żyją tylko w niektórych portach, na strychach różnych magazynów. Szczur wędrowny opanował wszystkie podziemia, piwnice, urządzenia kanalizacyjne, śmietniki i ścieki. Waży do pół kilograma, od wąsów do końca ogona osiąga pół metra (choć pewna jego odmiana indyjska, mnożąca się ostatnio szczególnie intensywnie, dochodzi do 5 kg i już w ogóle nie obawia się kotów). Najbardziej wszakże zadziwiająca jest inteligencja szczurów i organizacja ich społeczności. A także niespotykana u innych zwierząt odporność na skrajnie trudne warunki i na wszelkie trucizny, łatwość przystosowywania się do bardzo różnych środowisk, żywotność i zdolność do uczenia się.
Szczury znajdujące nowe pożywienie, nigdy, nawet jeśli są wygłodzone, nie ruszają go od razu. Najpierw jeden z nich próbuje pokarm, zaś reszta czeka kilka godzin, czy próbujący nie zachoruje... Wciąż pozostaje tajemnicą, na jakiej zasadzie następuje wybór szczurzego kamikadze – czy jest to ochotnik poświęcający się dla wspólnoty, czy może osobnik słabszy, zmuszany do tego przez inne? Dzięki szczurom-samobójcom najstraszniejsze nawet trucizny umieszczane w najsmakowitszych kąskach nie są dla wspólnoty groźne – najwyżej zginie jeden szczur, ostrzegając pozostałe. Jeśli szczur ma do wyboru kilkanaście pojemników z różnymi pokarmami, zawsze wybierze ten, który jest najbardziej odżyw-



Marek Zalejski

czy, względnie taki zestaw i takie proporcje pokarmu, które są najzdrowsze. Zupełnie jakby znał zasady dietetyki i skład chemiczny pokarmu! W społeczeństwach szczurzych nawet w okresach głodu nie bywa tak, jak w innych społecznościach [illegible]ych: że pożywiają się do syta najsilniejsi, a słabi dopiero wtedy, kiedy coś zostanie. W szczurzym stadzie pokarm zostaje sprawiedliwie rozdzielony, również między najsłabsze samiczki i dzieci. Jeśli zaś zginie samiczka obarczona potomstwem, jej dziećmi zaopiekują się inne matki.

W latach 60-tych zdawało się, że znaleziono wreszcie sposób na szczury, truciznę działającą z dużym opóźnieniem, więc niemożliwą do wykrycia przez szczurzych samobójców. Przez parę lat większość trutek na szczury na świecie zawierała tę supertruciznę (tzw. antykoagulanty przeciwdziałające krzepnięciu krwi i powodujące całkowite wykrwawienie się zwierzęcia) – zwycięstwo ludzi wydawało się pewne. I oto niedawno w Nowym Jorku pojawiły się superszczury, genetycznie uodpornione na supertruciznę, którą pożerają w dużych ilościach bez żadnych skutków.

Superszczury są odporne praktycznie na wszystko, a przy tym bardziej inteligentne od swoich pobratymców. Błyskawicznie się mnożą i kpią sobie ze wszystkich pułapek. Już dotarły do Europy. W maju 1979 r. w Nowym Jorku, blisko siedziby burmistrza, nastąpiło historyczne wydarzenie: pierwszy w naszych czasach udokumentowany atak szczurów na idącego ulicą człowieka...

Tylko dwa gatunki na Ziemi są odporne na promieniowanie po wybuchu bomby atomowej. Oczywiście: szczury, a także karaluchy. Doktor Jackson, który badał wyspy Atolu Eniwetok w 10 lat po próbie z bombą wodorową, znalazł tam jeszcze wysoką radioaktywność i tylko niewiele radioaktywnych roślin. Spośród zwierząt żyły tam wyłącznie szczury, w doskonałym zresztą zdrowiu. Wiadomo już, że po globalnej wojnie atomowej na Ziemi pozostałyby tylko szczury i karaluchy...

Prezes Międzynarodowej Organizacji Do Walki Ze Szczurami (i taka istnieje od niedawna!), Michel Densel powiedział: „W wojnie z człowiekiem szczur pozostanie zawsze zwycięzcą". Znany „szczuroznawca" brytyjski, doktor Drummond, napisał: „Szczury są obecnie tak liczne, jak my. Znacznie płodniejsze. Mają wszelkie szanse, żeby nas przeżyć".

Szanse szczurów rosną. Zwiększa je, o dziwo, właśnie ostra walka, jaką toczą z nimi ludzie. W walce tej giną bowiem osobniki najgłupsze i najsłabsze, powiększa się ogólna inteligencja i odporność gatunku. Superszczury mają dużo czasu, czekają; ich błyszczące oczy obserwują nas z ukrycia.

Jeden ze znawców zachowania tych zwierząt powiedział, że gdyby to nie było absurdem, byłby skłonny uwierzyć w legendę, w którą wierzą pewne plemiona afrykańskie: że szczury są obserwatorami. Przysłane kiedyś na Ziemię jako forpoczty OBCYCH, mają za zadanie wszędzie towarzyszyć ludziom, by w końcu wpędzić ich w szaleństwo i doprowadzić do zguby (notabene w Średniowieczu wierzono, że szczury są psami diabłów).

No cóż, gdyby to wszystko nie było absurdem... ■

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Trzy godziny do sukcesu

O Tsukubie już wspominaliśmy. Obecnie – wg „US News and World Report" Nr 1 – podajemy dokładniejsze parametry naukowego raju. Projekt założenia Tsukuby powstał już w 1963 roku, nowe miasto postanowiono umiejscowić 50 km od Tokio, co równa się trzem godzinom dojazdu z centrum miasta dla 3000 upartych wielbicieli swojej stolicy. Tych mniej upartych jest już około 137 000, w tym 8600 studentów. Rzecz jasna – nie wszyscy są naukowcami, czego dowodem 94 parki i place zabaw, 14 szkół i przedszkoli, liczne supermarkety, banki i urzędy pocztowe. Natomiast – co podajemy jako ciekawostkę do przemyślenia – nie ma w samej Tsukubie ani w jej pobliżu żadnego zakładu przemysłowego, co ma według Japończyków sprzyjać umysłowej wydajności. Do kwietnia 1981 roku wydano na budowę około 4200 milionów dolarów, a ze względu na stały rozwój miasta, wciąż inwestuje się nowe, wręcz astronomiczne kwoty. Japończycy twierdzą, że to się mimo wszystko opłaca. Właśnie w Tsukubie wynaleziono sztuczną rękę z trzema palcami sterowaną przez komputer i spisującą się równie dobrze, jak ręka każdego człowieka, tutaj też prowadzi się badania nad wykorzystaniem lasera do leczenia raka żołądka i płuc, poszukuje się alternatywnych w stosunku do ropy źródeł uzyskiwania energii, tu po raz pierwszy na świecie zastosowano mikroładunki wybuchowe do... wysadzania kamieni w pęcherzu. Właściwie nic dziwnego, skoro Tsukuba jest obecnie siedzibą 43 rządowych i 4 prywatnych instytucji badawczych oraz dwóch uniwersytetów, co stanowi około 40% ważniejszych ośrodków badawczych w Japonii. Zatrudnia się tutaj aż 11000 naukowców. Dzięki temu już w marcu 1985 roku w Tsukubie zostanie otwarta wystawa, obrazująca osiągnięcia ponad 100 japońskich i zagranicznych ośrodków naukowych. Przewiduje się, że w ciągu sześciu miesięcy wystawę obejrzy około 20 000 000 zwiedzających. Nasza propozycja: zamiast kendo, jiu-jitsu i karate warto może paru młodych ludzi nauczyć japońskiego i wysłać na tę wystawę. Obejrzeć na pewno warto.

Lampa, tranzystor, scalak i...

...quiteron, czyli zaprezentowany przez amerykański koncern IBM groźny konkurent tranzystora. IBM do wiadomości publicznej podał jedynie opis: „nadprzewodzący układ elektroniczny, operacyjny analog półprzewodników". Nie podano szczegółów nowego układu ani jego technologii. Wiadomo tylko, że quiteron może jednocześnie wzmacniać i przełączać sygnały przechodzące, a także wyłączać je w razie potrzeby. W efekcie pełni funkcje tranzystora, bramki logicznej i mikroprzekaźnika. A czyni to wszystko z niesłychanie małą inercją i ze stratami mocy mniejszymi, niż w tranzystorze. Może być stosowany w układach cyfrowych i analogowych.

Rewolucja w genetyce?

Genetyka do nauk łatwych nie należy, ale chyba warto o niej jak najwięcej wiedzieć, skoro w SF tak często przewija się motyw genetycznych manipulacji, skoro – według danych Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) – co dwudzieste dziecko przychodzące na świat w dowolnym punkcie Ziemi dziedziczy po przodkach jedną z 2000 chorób, kwalifikowanych jako patologia genów. Nosiciel genów mutacyjnych jest zazwyczaj zdrowym człowiekiem, który nie podejrzewa niczego aż do chwili, w której urodzi mu się chore dziecko. 15 lat temu znano zaledwie 15 rodzajów takiego nosicielstwa, dziś genetycy potrafią wykryć nosicieli aż 200 rodzajów zmutowanych genów. Wszystkie odkrycia w tej dziedzinie są ściśle powiązane z badaniem mechanizmów dziedziczenia i tzw. pierwotnym materiałem genetycznym. Jeszcze niedawno odkryto priony, mogące być podstawową jednostką genów, a już Thomas R. Cech z uniwersytetu w Kolorado stwierdził, iż molekuły kwasu RNA mogą przeprowadzać reakcje biochemiczne w ogóle bez pomocy białka! Prowadzone przez naukowca badania nad morskimi jednokomórkowcami o nazwie Tetrohymena thermiphila wykazały, że obserwowany przez niego fragment RNA (tzw. pre-rRNA) dokonywał odcinania i wiązania elementów łańcucha RNA bez wykorzystywania enzymów. Upadło przy tym przypuszczenie, iż w takim wypadku białka powinny spełniać rolę enzymów, bowiem doświadczenie prowadzono bez udziału białek. Stwierdzono, iż biochemiczne reakcje pre-rRNA nie wykorzystują nosiciela wolnej energii w badanym systemie biologicznym, lecz „trafiają" w 2 (na 1300 możliwych) punkty, w których przerwanie łańcucha RNA nie wymaga energii. Naukowcy przypuszczają, iż w pewnych warunkach fragment RNA może „wbudować się" do łańcucha innego kwasu rybonukleinowego i w wyniku rekombinacji prowadzić do powstania odmiennych sekwencji tego kwasu.

Dęty satelita

Na ostatnim Kongresie Astronautyki w Paryżu Michel Ferronniere (dyr. działu badań i rozwoju firmy Zodiac) przedstawił projekt nadmuchiwania satelitów, co byłoby według niego doskonałą metodą uniknięcia długotrwałego, trudnego i kosztownego montażu wielkich satelitów na orbicie. Satelitą byłby balon, napełniony azotem lub gazami powstałymi w wyniku spalania paliwa rakietowego. Powłoka balonu w stanie złożonym byłaby dostarczana przez rakietę nośną do miejsca przeznaczenia. Teoretycznie kula balonu mogłaby mieć średnicę jednego kilometra, obecna technika pozwala na tworzenie dętych satelitów w kształcie kuli o średnicy około 200 metrów. Konkretny projekt p. Ferronniere'a przewiduje zainstalowanie na orbicie radioteleskopu z nadmuchiwaną anteną o średnicy 900 metrów. Masa tego urządzenia wyniosłaby 18 ton, wszystko zaś – oczywiście w stanie złożonym – mieściłoby się w kontenerze o objętości 30 m³, a więc z powodzeniem mógłby je wynieść na orbitę prom kosmiczny Challenger. ■

OKOŁO 100 TYTUŁÓW ROCZNIE
MILIONOWE NAKŁADY

Zaproszona przez Radziecką Wszechzwiązkową Agencję Praw Autorskich (WAAP – odpowiednik naszego ZAIKS-u) spędziła kilka dni w Moskwie delegacja naszego pisma. Oto relacja Adama Hollanka i Jacka Rodka.

Jechaliśmy do kraju, w którym Stanisław Lem należy do najpopularniejszych pisarzy spośród światowej czołówki, w którym nie opuszczono ani jednej jego książki. Wszystkie wychodziły i wychodzą w kolosalnych nakładach. Wiedzieliśmy również, że ranga science fiction jest tutaj szczególnie wysoka, a także iż w ostatnim dziesięcioleciu liczni pisarze, uprawiający ten gatunek, zdobyli dużą sławę poza granicami ZSRR, m.in. w USA, we Francji, Anglii, czy RFN. Byliśmy więc ciekawi zasad i sposobów, pozwalających na rozwój fantastyki radzieckiej, jej rosnącą ekspansywność.

Liczne rozmowy z redaktorami, a także z całymi zespołami wydawnictw i czasopism drukujących literaturę fantastyczno-naukową, wypełniły nam niemal cały czas pobytu w Moskwie. Byliśmy w „Mirze", wydającym przekłady najcelniejszych dzieł SF zagranicznej, w „Młodej Gwardii", która publikuje serie najlepszych utworów rodzimych tego gatunku, w tym także najciekawsze debiuty. Odwiedziliśmy redakcję miesięcznika „Znanije – Siła". Tu wystartował do swojej wielkiej sławy w ZSRR – Stanisław Lem, tu zaczynali druk swych utworów pisarze radzieccy tej miary, co bracia Strugaccy. Przyjmowano nas serdecznie i w „Technice Mołodiozy", jednym z najstarszych pism radzieckich publikujących literaturę SF, i w „Iskatielu" – almanachu nastawionym na druk fantastyki, który wychodzi jako specjalny dodatek literacki do cieszącego się znakomitą tradycją i wielomilionowym nakładem czasopisma „Wokrug Sweta".

Byliśmy również na spotkaniu z kierownictwem WAAP-u (Agencji Autorskiej), reprezentowanym przez Nikołaja P. Karcowa, Wadima W. Panowa, Aleksandra R. Runkowa. WAAP to instytucja, która dba o eksport dzieł rodzimych autorów i stara się zapewnić import do ZSRR najciekawszych książek z zagranicy. Z ramienia WAAP-u przewodniczkami (znakomitymi) w naszej wędrówce po wydawnictwach i czasopismach Moskwy były panie Swietłana N. Michajłowa oraz Natalia A. Gremiaczkina.

Do szczególnie interesujących należała rozmowa, którą przeprowadziliśmy z przewodniczącym sekcji pisarzy science fiction w Związku Pisarzy Radzieckich, jednocześnie członkiem władz World Science Fiction i innych organizacji międzynarodowych – doktorem Jeremiejem Parnowem. Towarzyszyli mu pisarze: Dmitryj Bilenkij, Georgij Guriewicz, Edward Geworkian, Władimir Michajłow, Aleksander Sileckij, Władimir Gopman, Władimir Pokrowskij i Borys Rudienko. Przedstawiamy najciekawsze wypowiedzi.

Wysoko ustawiona poprzeczka

Pytanie: – *Czy oprócz licznych, a nawet bardzo licznych, publikacji w specjalnych czasopismach i dodatkach do nich literatura SF w ZSRR ma jakiś swój centralny organ, jakieś pismo w rodzaju naszej „Fantastyki"?*

Odpowiedź: – Takim magazynem jest „Nauka i Fantastyka", wydawana i redagowana wspólnie z grupą pisarzy, członków Związku Pisarzy Radzieckich. Struktura magazynu, a także jego układ bardzo przypominają „Fantastykę". Drukuje się teksty oryginalne, przekłady z dzieł zagranicznych, publicystykę, krytykę, a także artykuły naukowe. Specjalną rubryką przeznaczoną dla debiutantów jest „Słowo młodych autorów". Zamieszczane są także relacje z prac klubów miłośników literatury SF. Magazyn wychodzi dwa, trzy razy w roku.

– *Co u Was rozumie się przez określenie młodzi twórcy. Ilu jest, mniej więcej, debiutantów rocznie?*

– Młodzi autorzy to tacy, którzy nie mają w swym dorobku żadnego zbioru opowiadań lub własnej powieści. Wiek bywa więc różny. Zdarzają się wypadki, że debiutuje ktoś koło czterdziestki czy nawet dopiero koło pięćdziesiątki. Debiutantów jest od kilkunastu do kilkudziesięciu rocznie.

– *Czy młodemu autorowi trudno jest wydać książkę SF? Czy kryteria druku są surowe?*

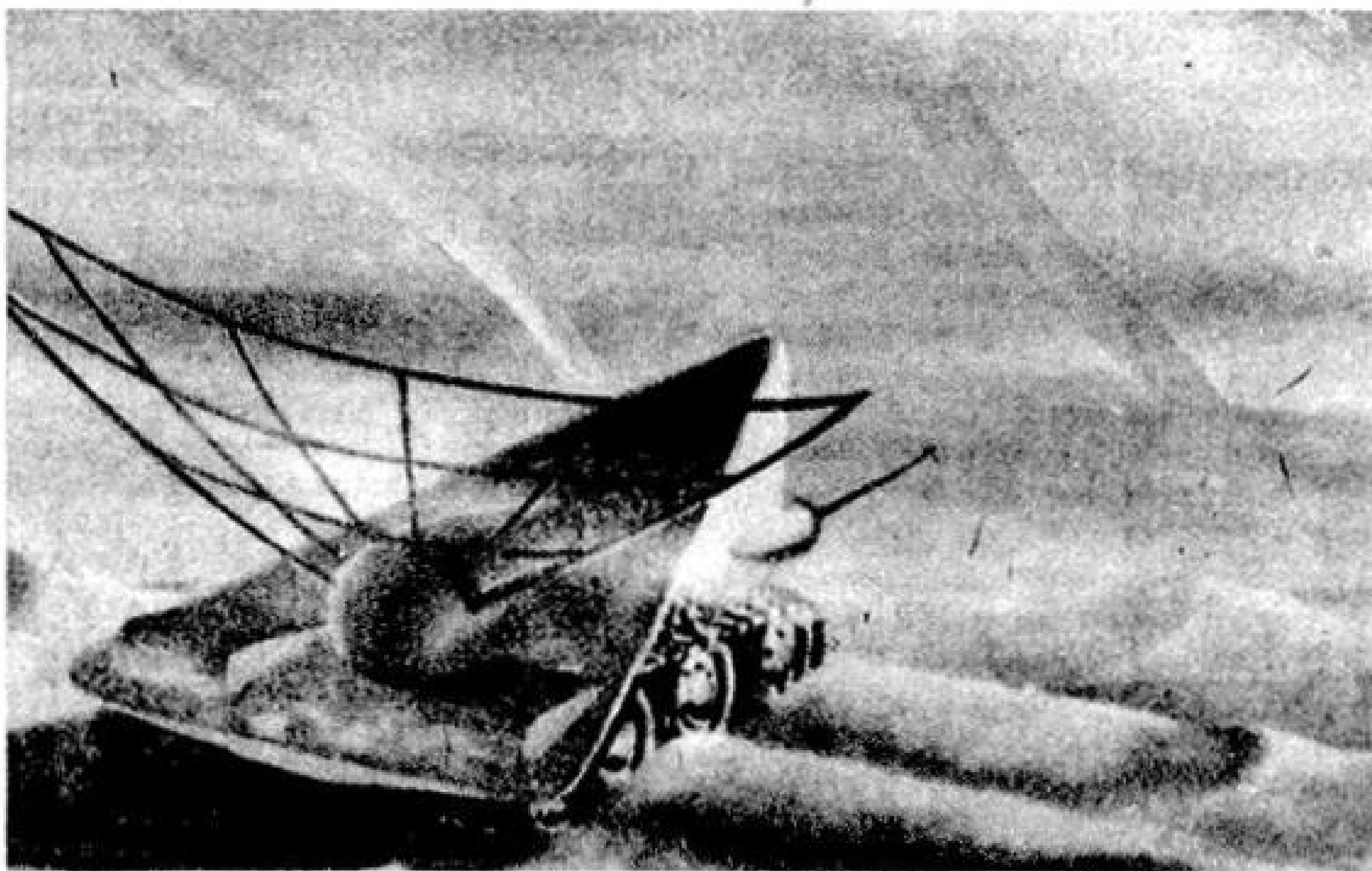
– Trudno, gdyż kryteria są bardzo surowe. Musi to być naprawdę rzecz w pełni dojrzała, stąd owe nierzadko późne debiuty. Nie mamy, podobnie zresztą jak i wy, wydawnictw, które publikowałyby wyłącznie literaturę SF. Nie ma także, na razie, nagród za twórczość w tej dziedzinie. A fantastykę czytają u nas bardzo liczne i różne grupy ludzi – młodzież, kosmonauci, naukowcy.

– *Ile tytułów z dziedziny fantastyki wydaje się w ZSRR rocznie? Jakie bywają ich nakłady?*

– Oryginalnych, rodzimych pozycji jest co roku około trzydziestu. Oprócz tego są oczywiście przekłady, z których najciekawsze, na wysokim poziomie, drukuje „Mir". W sumie, biorąc pod uwagę wszystkie pozycje, jakie wydajemy w największych centralnych wydawnictwach i czasopismach, należy przyjąć, że wychodzi łącznie około 100 tytułów. Proszę jednakże pamiętać, że nasz kraj to ojczyzna wielu narodów. Wydaje się więc fantastykę i po ukraińsku, i po tatarsku, i po ładżycku – we wszystkich językach ZSRR. Najwięcej wychodzi jej w stolicy, w Moskwie. Ale tutaj jest także i największe skupisko ludzi piszących, wydać więc najtrudniej. Łatwiej wydać poza Moskwą, gdzie mniej pisarzy. A nakłady? Walczymy o ich wydatne zwiększenie. W chwili obecnej książki znikają natychmiast z lad księgarń, są rozchwytywane, podobnie jak i u was. Nakłady zaś wynoszą od ośmiuset tysięcy do półtora miliona egzemplarzy. I to za mało! Warto również nadmienić, że dyskusje na temat utworów fantastyczno-naukowych, ich tematyki, sposobów ich rozpowszechniania prowadzi się w największych pismach centralnych. Między innymi także i „Literaturnoj Gazecie". Jest to, jak wiadomo, pismo o wielkim w dziedzinie literatury autorytecie.

– *Jakiego typu fantastykę najchętniej się w ZSRR wydaje? Czy przedstawia ona głównie świat już uporządkowany, w pełni szczęśliwy, a kłopoty bywają tylko jednostkowymi kłopotami natury moralnej?*

– Nasi autorzy starają się ukazywać szanse optymistycznej przyszłości kraju i świata. Tak jest! Równocześnie jednak nie brakuje utworów brzmiących ostrzegawczo, czy wręcz pesymistycznie. Są to opowiadania i powieści przestrzegające na przykład przed trzecią wojną światową, totalną, atomową, po której czwartej już nie będzie. Jest też w utworach naszych pisarzy przedstawiony z pozycji przyszłościowych stosunek do teraźniejszości, do tego, co rozgrywa się w naszych czasach, czym obecnie żyje ludzkość. Science fiction sprzyja takim spojrzeniom, takim ocenom. Pragniemy tworzyć taką fantastykę, która zmuszałaby ludzi do własnych, oryginalnych przemyśleń i opinii, która wpływałaby na postawy ludzkie. Wielu wydawców u nas preferuje taką fantastykę naukową, w której idee naukowe szczególnie służą ludzkości. W jednych więc wydawnictwach jest więcej podbudowy naukowej, np. w „Mirze", w „Młodej Gwardii", w czasopismach „Tiechnik Mołodiozy" i „Iskatiel". W innych, takich jak np. „Znanije i Siła", podbudowa ta opiera się także na naukach humanistycznych. Można w takich przypadkach mówić o fantastyce społecznej. Wszystkie gatunki fantastyki znajdują jednak u nas szanse wydania i bywają chętnie czytane.



Tak wyobraża sobie radziecki plastyk A. Sokołow pojazd dla kosmonautów badających powierzchnię Marsa (Z wydawnictwa „Kosmiczeskaia Fantazja")

Co załatwiliśmy

- Stałą wymianę publikacji zarówno książkowych, jak i czasopiśmienniczych.
- Znane są obecnie w ZSRR nazwiska i niektóre książki takich naszych pisarzy, jak – przede wszystkim Lem, a także – Boruń, Weinfeld, Fiałkowski i Chruszczewski. Zaproponowaliśmy kolegom radzieckim uzupełnienie tej listy o takich twórców, jak np. Zajdel, Parowski, Snerg-Wiśniewski, Żwikiewicz i kilku innych. Postanowiliśmy także proponować przedruk utworów debiutanckich. Najbardziej oczywiście interesujących.
- Będziemy również i z ZSRR otrzymywać zestawy najciekawszych książek, almanachów i magazynów oraz pozycji debiutanckich. Okazało się bowiem, że o wielu znanych i uznanych tam pisarzach średniego pokolenia, piszących bardzo interesujące utwory, czytelnik polski w ogóle nie ma pojęcia.
- W czasie pobytu w ZSRR ugruntowała się idea zorganizowania w niedługim czasie spotkania pisarzy SF – przedstawicieli przede wszystkim krajów naszego obozu. Ale nie tylko. I nad tym także będziemy wspólnie pracować.

Adam Hollanek i Jacek Rodek

DWIE STRONY LUNETY

z Januszem A. Zajdlem rozmawia Maciej Parowski

MP: *Ochrona radiologiczna uprawiana przez kilkanaście lat musiała być dla ciebie bardzo nudnym zajęciem. Ucieczka w literaturę okazała się więc jedynym wyjściem. Zwłaszcza, że uwieńczyły ją powieści tej klasy, co „Cylinder van Troffa" i „Limes inferior".*

JAZ: Współczesna nauka w ogóle niewiele ma wspólnego z tym, co roją na jej temat profani pochłaniający arcydzieła popularyzacji. Nie istnieje człowiek ogarniający współczesną wiedzę w dziedzinie fizyki jądrowej, biologii molekularnej czy choćby ochrony radiologicznej. Zawsze pracuje się nad małym wycinkiem – człowiek zajmuje się na przykład aspektami meteorologicznymi, zachowaniem smugi zanieczyszczonego powietrza z komina i rozchodzeniem się skażenia w atmosferze. Z kolei ktoś kierujący pracą zespołów nie może widzieć szczegółów, ogólność jego wiedzy sprowadza się do programu uniwersyteckiego. Potem ilość wiedzy do przyswojenia błyskawicznie rośnie.

MP: *Maslow wygłasza na temat współczesnej nauki sąd jeszcze bardziej ponury: „Jest to technika – powiada – umożliwiająca twórcze działanie nietwórczym ludziom".*

JAZ: Zgadza się. Nie trzeba być wynalazcą ani myślicielem, żeby obsłużyć przydzielony sobie kawałeczek nauki. To nie wymaga ani superumiejętności, ani wyjątkowej inwencji.

MP: *Więc czemu nie uciekłeś z nauki i nie postawiłeś tylko na literaturę? Dlaczego jedziesz na dwu koniach?*

JAZ: Z paru powodów. Po pierwsze studiowałem fizykę z autentycznego zamiłowania, po drugie z trudem rozstaję się z czymkolwiek: z dziedziną wiedzy, z ludźmi, z którymi się zżyłem, ze środowiskiem, które rozumiem i darzę sentymentem. Praca etatowa zapewnia mi kontakty, wyjazdy tu i ówdzie. Dzięki ochronie radiologicznej widziałem drugą półkulę, co – podejrzewam – nigdy by mnie nie spotkało, gdybym czekał na stypendium ZLP. Samo pisanie oznaczałoby zamknięcie się w kręgu własnej jaźni i przymus organizowania sobie życia twórczego. Wolę to, co mam teraz. Zwłaszcza, że trzymając się fizyki zaspokajam nie tylko mój instynkt wierności, lecz także przekory. Jest paru ludzi, którzy sądzą, że powinienem się z nukleoniką pożegnać, starają się mi to nawet ułatwić na przeróżne sposoby. W tej sytuacji... sam rozumiesz.

MP: *A nie myślałeś o dziennikarstwie, socjologii, historii?*

JAZ: Oj nie, dziennikarstwo jest profesją znacznie bardziej ryzykowną, niż ochroną radiologiczna. Poza tym nie żałuję i nigdy nie żałowałem, że wybrałem fizykę. Studia pozwoliły mi zdobyć pojęcie o strukturach i metodach nauki, nauczyły mnie precyzyjnego myślenia, czego na pewno nie dałyby mi studia humanistyczne. Liznąłem sporo matematyki, chemii, astronomii – słowem rzeczy, których człowiek nie może przyswoić sobie samodzielnie, bo to owocuje dyletantyzmem typu Dänikenowskiego. Natomiast takich dziedzin jak historia i nauki społeczne znaczenie łatwiej nauczyć się samemu. Mnie właśnie ta ścisła wyuczona wiedza skłoniła do poszukiwań socjologicznych, politycznych, filozoficznych. Uważam że każdy humanista powinien znać nauki ścisłe, choćby pobieżnie.

MP: *I potem tę wiedzę ścisłą przenosi się bezwiednie do prozy. W twoich opowiadaniach na przykład powtarza się motyw lunety. Dwie strony mikroskopu, teleskopu – po obu istoty myślące – jedna ogląda drugą, nie wiedząc, że sama także jest podglądana. To refleksja wyniesiona z laboratorium... czy z obserwatorium astronomicznego?*

JAZ: Może z obserwatorium, a może z historii filozofii. Sygnalizuję po prostu niepewność, niespójność naszej wiedzy o świecie. Poddaję ją w wątpliwość. Eksperymentujemy, podglądamy... tak? A może sami jesteśmy obiektem eksperymentu. Owszem, uważam, że świat jest wyjaśnialny przez aproksymacje z dowolnie dużym przybliżeniem. Dotyczy to jednak świata materialnego, dostępnego pomiarom fizycznym. A ten drugi?.. Do diabła, to co mówię to pewnie agnostycyzm. Ale skażenie fizyką, logika nauki ścisłej podpowiada mi, że subiektywne obserwacje zawsze można zakwestionować. Wątpliwości są z punktu widzenia logiki absolutnie uprawnione. Trudno je obalić.

MP: *Nie zamierzam ich obalać. Rzecz w tym, że za twoją prozą wcale nie stoją eschatologiczne wątpliwości, jakie tu rozwijasz. Ciebie nie interesują problemy teologów, tylko polityków. Nie tropisz, zwłaszcza w powieściach, niejasności wynikłych z metafizycznej nieciągłości świata, tylko z tego, że ktoś coś ukrył pod kocem.*

JAZ: Konsekwencje mojej naukowej praktyki sprowadzają się do tego, że nie lubię bajek ani irracjonalności. Dzielę świat na to, co poznawalne na drodze naukowego eksperymentu (dającego powtarzalne wyniki) i na to, co z założenia niepoznawalne, dziejące się poza obszarem materii. W tej drugiej dziedzinie nie rozstrzyga eksperyment, lecz wiara, nie zmysły, lecz umysł. Jedni **wierzą**, że istnieje Bóg i świat duchowy, inni **wierzą**, że nie istnieje. Stoję po stronie tych pierwszych i rzeczywiście nie mam solipsystycznych wątpliwości dotyczących faktu istnienia świata. Świat zbyt boleśnie odciska mi się na skórze.

> **Janusz Andrzej ZAJDEL**
> **(ur. w 1938 r. w Warszawie) – fizyk jądra atomowego, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, autor opracowań naukowych i popularno-naukowych. Pracuje w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie.**
> Jako autor SF debiutował w 1961 r. **Wydał 5** zbiorów opowiadań, napisał 7 **powieści SF.**

MP: *I jako pisarz budujesz modele, wyjaskrawiasz pewne tendencje, konstruujesz własne światy z rozpoznawalnymi elementami wziętymi z rzeczywistości. Cudowności w tym mało, faktów i metafory – sporo.*

JAZ: Dzielę fantastykę na FR – fantastykę racjonalną i FI – fantastykę irracjonalną. Określam się jako zwolennik FR, natomiast czary, telepatia, duchy, sakiewki bez dna i kije samobije, płody halucynacji czy imaginacji mnie nie interesują. Wolę modelowo, jak mówisz, boksować ze światem. Zwłaszcza, że mam do tego skłonność z dwu powodów. Po pierwsze, wyłazi ze mnie fizyk doświadczalny, po drugie, sam będąc od trzydziestu paru lat obiektem społecznych eksperymentów, mogę się wreszcie jako pisarz SF na rzeczywistości odegrać. Nigdy zresztą nie łudzę się, że uda mi się dać syntetyczny i skończony obraz człowieczego losu w naszych czasach. Liczę tu na twórczą współpracę czytelnika.

MP: *Też mam wrażenie, że nie dopowiadasz wszystkiego. Zza twoich powieści nie stłumiony wyrost wygląda kształt programu społeczeństwa szczęśliwego. W „Limes inferior" pokazujesz strzeżoną duchowo Ziemię urządzoną przez Nadzerowców pod dyktando Kosmitów, lecz spoza wierszy tej ponurej prezentacji prześwieca przesłanie, że istnieją światy inne, lepsze – nie wymuszone i nie kiksujące. Masz gotowy ich projekt.*

JAZ: Szczegółowego projektu nie mam. Chcę natomiast czytelnika przekonać, że jest mu nieodzowna wiara w możliwość istnienia na Ziemi uczciwiej zorganizowanego świata. Cywilizacji, społeczeństwa, rodziny – też. Należy pielęgnować wiarę w istnienie dobra jako takiego. Paradoksem jest, chciałbym to kiedyś opisać, że tacy sami ludzie jak poszukiwacze dobra, uniemożliwiają jego zaistnienie. A przecież ludzie są potencjalnie zdolni do wytworzenia warunków od wieków opisywanych w utopiach. Niestety zło, nawet w mniejszości, jest bardzo silne. Niewielki procent sług Szatana jest w stanie zatruć ludzkie dzieło.

MP: *A Szatan istnieje?*

JAZ: Chyba musi. To pojęcie intuicyjne – symbol, wyobrażenie motoru tego, co nazywamy złem.

MP: *W co w takim razie gra Szatan?*

JAZ: Nie wiem dokładnie. Nad tym można się zastanawiać pisząc literaturę. W „Limes" Szatan gra w pychę i egoizm Nadzerowców, w ich draństwo pozwalające im okłamywać resztę, w ich lenistwo, wygodnictwo, w gotowość zapewnienia sobie godziwego standardu kosztem innych. Pewnie to w książce nie wyszło dość ostro, ale Sner trafia na ten trop, gdy robiąc rachunek sumienia pyta sam siebie – może nie dlatego mnie wybrano, że jestem mądrzejszy, lepszy, lecz dlatego, że moralnie gorszy?... Chyba w to właśnie gra Szatan. W sfałszowanie wartości, w przedstawienie gorszego jako lepszego.

MP: *Wątki poważne, jak ten, podejmujesz w powieściach. Twoje opowiadania są już przejawem produkcji standardowej, mniej tu indywidualności, mniej boksowania z absolutem.*

JAZ: Nie zgodziłbym się, że dotyczy to wszystkich opowiadań. W każdym moim zbiorku, począwszy od „Jadu Mantezji" jest kilka tekstów odbiegających od głównego standardu. Podobnie w zbiorku ostatnim, „Ogon diabła", gdzie pomieściłem opowiadanie o Chrystusie, za które dostałem baty od wierzących przyjaciół. A przecież napisałem rzecz na zasadzie biblijnej przypowieści, tyle że nie dla pasterzy, którym Chrystus opowiadał o winnicach, lecz dla ludzi XX-ego wieku, którym można już rzecz wyłożyć w kategoriach cybernetycznych. I z tymi oryginalnymi opowiadaniami tak właśnie jest. Trudno je pisać i, o dziwo, znajdują najmniej zwolenników... Opowiadania dają więcej możliwości do wyrażania pojedyńczych myśli, powieści, kiedy braknie tych myśli, zwykło się watować tzw. „literaturą". Ja lubię pisać powieści, kiedy mam mięsistą akcję; piszę je zresztą tak samo jak opowiadania, nie lubię zostawiać „pustych stron", które w lekturze można opuścić.

MP: *Ostatnio miałeś okres bardzo dobry właśnie dla powieści. W druku są „Cała prawda o planecie Ksi" i „Wyjście z cienia"; złożyłeś też w jednym z wydawnictw „Paradyzję", bardzo chwaloną przez recenzentów?*

JAZ: Ale z opowiadaniami też się nie rozstanę. Chodzi mi na przykład po głowie pomysł na 10 stron w stylu „Gwiezdnych wojen" o agresji na Ziemię dokonanej przez kosmitów, którzy są kanibalami i straty własne ich nie przerażają. Im więcej ich natłuką Ziemianie, tym bardziej syta i tym bardziej waleczna jest armia kosmitów; nie muszą przecież troszczyć się o aprowizację, tylko dowożą wojsko.

MP: *Bardzo dobre. Choć jednocześnie przerażające. Dziękuję ci za rozmowę.*

■

LĄDOWANIE SZÓSTE

To listy Czytelników skłoniły mnie do rozpisania małej ankiety. Chcemy po prostu usystematyzować i podliczyć Wasze różne pomysły, żądania i propozycje, aby móc dać satysfakcję jak największej liczbie osób. Bardzo więc proszę o zastanowienie się nad pytaniami, jakie pozwolę sobie postawić i o szczerą na nie odpowiedź. Pomiędzy tych, którzy trafią w gusty większości, rozlosujemy nowe książki science fiction.

Oto moja ankieta.

- Proszę podać imię, nazwisko i adres oraz wymienić wiek i zawód. Jasne, że tylko tym, którzy podadzą nazwiska i adresy, będziemy mogli przyznać nagrody. Ale w ankiecie mogą również brać udział i ci, którzy chcą wystąpić ze swymi odpowiedziami na pytania - incognito. Tych proszę o podanie jedynie miejscowości, w której mieszkają, zawodu i wieku.
- Pozycje, które najchętniej w „Fantastyce" czytuję - powieści, opowiadania, recenzje, pożółkłe kartki, słownik polskich autorów fantastyki, artykuły naukowe i paranaukowe, listy bestsellerów, komiksy. Proszę każdą pozycję zaopatrzyć w numerek, poczynając od jedynki, w zależności od swego wyboru.
- Lubię utwory i artykuły: krótkie, średnie, długie (w odcinkach) - wymienić jakie.
- Najpopularniejszy autor zagraniczny i krajowy (podać pierwsze trójki w kolejności przez siebie wybranej).
- Najlepsza powieść (wymienić tytuł). Najlepsze opowiadanie (tytuł) - pośród krajowych i zagranicznych.
- Czego „Fantastyce" brakuje? Czego znieść w niej nie mogę?

Czekamy na Wasze odpowiedzi - zwięzłe i precyzyjne - cały miesiąc od ukazania się tego numeru „Fantastyki". Zapraszam serdecznie.

A teraz do listów. Oczywiście nie jestem w stanie odpowiedzieć wszystkim na tych łamach: na odpowiedzi zabrakłoby bowiem miejsca, nawet gdyby wypełnić nimi cały numer. Dlatego możliwe są tylko krótkie cytaty z Waszej korespondencji i ustosunkowanie się moje (oczywiście po konsultacji z resztą zespołu) do propozycji i żądań.

Na początku listy, które nadeszły spoza naszych granic. Pan **Stefan Lefteron** z Warny (Bułgaria), zajmujący się plastyką SF w swoim kraju, przesłał nam slajdy. Niektóre z nich postaramy się wykorzystać. Donosimy również, że jest on prezesem Klubu Miłośników Fantastyki „Andromeda", mieszczącego się w Domu Młodzieżowym, w Warnie. Podajemy adres p. Stefana: 9010 Warna, ul. Studentska 12/3, Bułgaria. Pan **Roman Lipčik** przesyła nam z Pragi ocenę naszej działalności w „Fantastyce". O komiksie wyraża się z ostrożną dezaprobatą. Mniejsza dotyczy już szaty graficznej. *„Opowiadania są bardzo dobre włączając w to i polskie. Szczęśliwy kraj, w którym drukuje się w czasopiśmie listy bestsellerów samej fantastyki. Słownik polskich autorów fantastyki jest interesujący, szczególnie dla cudzoziemców. To samo dotyczy także przeglądu książek mających się ukazać. Mogę dzięki temu orientować się, co wyjdzie w Polsce, zanim zdołam to zakupić w Pradze. Życzę dalszych sukcesów".*

Napisał do naszej redakcji znany redaktor wielkich serii SF pan **Wolfgang Jeschke** z wydawnictwa Heyne-Verlag z Monachium, RFN. *„Dziękuję za zeszyty „Fantastyki". Zadziwiające jest, co wy Polacy potraficie osiągać. W naszych wielkich magazynach mamy grubo lepszy papier, lecz treść bywa o połowę mniej interesująca".* Dziękujemy za zachętę do pracy.

Nasi czytelnicy nie tylko sami ferują opinie o piśmie, lecz także przesyłają nam wycinki z gazet i czasopism, w których pozytywnie lub negatywnie się o nas pisze. Między innymi otrzymaliśmy ostatnio od pana Łukasza K. z Saskiej Kępy w Warszawie korespondencję zawierającą wycinek z krakowskiego „Zdania", z kilkoma zaledwie cytatami wyrwanymi z kontekstu kilku opowiadań, zamieszczonych na naszych łamach, ze złośliwym komentarzem. Pan Łukasz K. na ten temat: *„Przesyłam wam to i nie komentuję. Chcę jednak zaznaczyć - nakład Waszego pisma jest zbyt mały, trudno bowiem „Fantastykę" kupić. „Zdanie" zaś zalega półki kiosków".*

Stały nasz czytelnik z Kielc, pan **Jarosław Patrzałek**, ocenia naszą grafikę w ostatnich numerach. Poprzednio ostro krytykował plastyczny wystrój pisma. *„Moim pierwszym powodem pozytywnej oceny pisma* - donosi - *są grafiki zamieszczone w 5 numerze... Za niezwykły talent uważam p. Ryszarda Wojtyńskiego. Chciałbym i w przyszłości widzieć jak najwięcej jego prac, a także prac takich autorów jak T. M. Wiśniewski, M. Trojanowski oraz R. Lechowicz. Natomiast zdenerwował mnie rysunek p. Marka Zalejskiego..."* Tym listem otwieram (na razie bez ankiety) dyskusję nad stroną plastyczną pisma, prosząc, aby Czytelnicy byli łaskawi nadsyłać nam swoje uwagi zarówno pozytywne, jak i krytyczne. Jak wynika z nadchodzącej korespondencji, coraz więcej osób zwraca na sprawy plastyki w „Fantastyce" baczną uwagę. To znaczy, że strona wizualna naszego pisma nabrała pewnej siły. Stała się zauważalna - warto ją więc zacząć oceniać. Zwłaszcza, że naszą ambicją jest stworzenie czegoś w rodzaju rodzimej „szkoły" plastycznej SF, różniącej nasze ilustracje od metod ilustrowania w innych krajach.

Cieszy mnie, że obok dyskusji o grafice pisma, rozwijają się także rozważania na temat komiksu. Nadeszło tym razem sporo listów oceniających negatywnie nie konkretnie u nas drukowany komiks, lecz w ogóle fakt publikowania tej formy. *„Ogólnie uważam* - pisze np. p. **Tomasz Kudelski** z Gdańska - *że tego rodzaju historyjki nie są aż tak strasznie potrzebne".* Chwali natomiast dział krytyki. Pan **Roman Więckowiak** z Tych wolałby natomiast widzieć u nas raczej komiks w kolorach, niż taki jaki jest. Proponuje jednocześnie otwarcie kącika humoru fantastycznego. Krytycznie odnosi się do naszego komiksu p. **Marek Osipowicz** z Rzeszowa. Myślę, że wiele w sprawach komiksowych wyjaśni nam ankieta dzisiaj rozpisana.

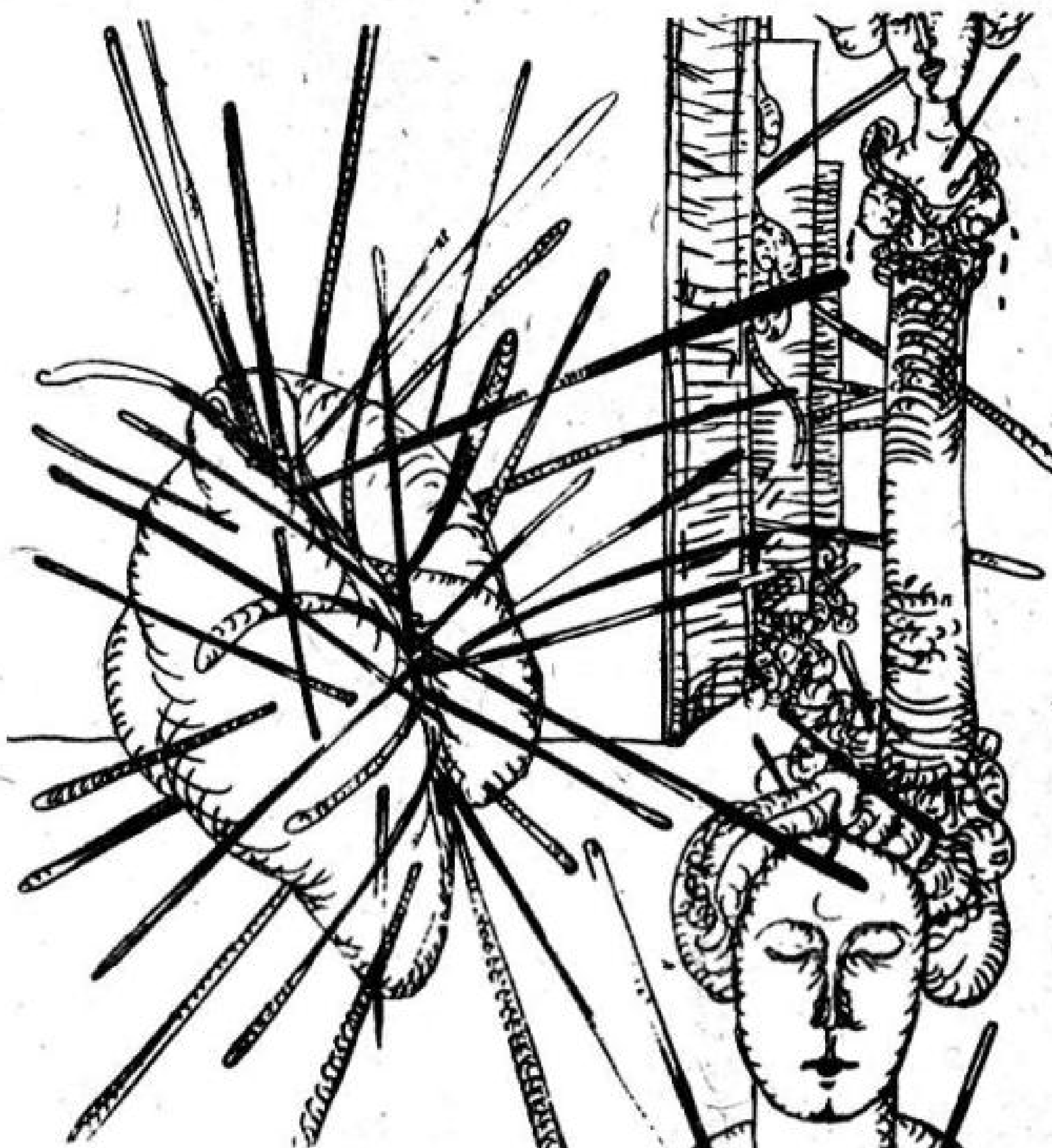
Pan **Krzysztof Grzywnowicz** z ulicy Puławskiej w Lublinie w ostry, bezkompromisowy sposób ruga mnie za rzekome manipulowanie korespondencją, zamieszczając przy tym szereg interesujących uwag krytycznych odnoszących się do różnych pozycji w „Fantastyce". Uwagi Pana z listu poprzedniego i bieżącego oczywiście uwzględniamy. Niestety, nie mamy innej możliwości porozumiewania się na naszych łamach z Czytelnikami, jak wybieranie z ich korespondencji najistotniejszych problemów i podawanie ich do publicznej wiadomości. Na druk całych listów po prostu objętość tej rubryki nie pozwala. Podobnie jak liczni inni Czytelnicy, pan Grzywnowicz za najlepszy nasz numer uważa piąty kolejny, ten z Dickiem. Trzeba powiedzieć, że i nasza opinia jest podobna. Zna się Pan w ogóle znakomicie na SF. Gdyby bawił Pan w Warszawie, bardzo prosimy, „Zaciekły Czytelniku", jak się Pan również podpisuje, o kontakt z nami i o odwiedziny w redakcji.

Na koniec zjawisko, które bezwzględnie należy odnotować. Wśród listów coraz częściej spotykamy i takie, które mówią o tym, że niektórzy Czytelnicy pochłaniają nasze pismo w całości, niczego nie opuszczając. Pan **Wolny** z Dębna podaje, że *„jest „Fantastyka" pierwszym czasopismem, które przeczytałem w całości, mimo że gazet wiele i to całkiem ciekawych".* Podobnie formułuje swój stosunek do pisma p. **Jan Zubek** z Łodzi, p. **Halina Darowska** z Poznania i jeszcze kilka innych osób.

Komunikuję, że uzyskaliśmy dodatkowo najbardziej poszukiwane, egzemplarze naszego pisma: numer 2/82 i 3/82. Pierwszego na razie nie mamy. Oczywiście bardzo tego mało, czym dysponujemy. Prosimy o zgłaszanie się w tej sprawie w redakcji lub w Krajowym Wydawnictwie Czasopism.

Życzę pogody na wczasach i podczas weekendów. Czekam na dalsze listy.

Redaktor



Grafika Heronim Kozłowski


!
ALARM!




PAN MNIE WZY... ?
PAUL BARLEY


AGHHH...
?


!
STAĆ! NIE RUSZAĆ SIĘ!
TERAZ!
PAUL BARLEY


GREGOR - ZDRAJCA?...
?!


FUNKY, Z ŁASKI SWOJEJ!...

W GNIEŹDZIE WĘŻA

...SPRAWDŹ NIEPROSZONEGO POMOCNIKA...

...KRIS I ALEX, ADIUTANTÓW ROZEBRAĆ I ZWIĄZAĆ! ZABLOKOWAĆ WEJŚCIA!

AUUU!

DOKŁADNIE WIEMY, CO CHCEMY ZROBIĆ I ZNAMY WYSOKOŚĆ STAWKI. TWOJA ŚMIERĆ W NICZYM NAM NIE PRZESZKODZI!... ALE SKORO SAM NARZUCASZ SIĘ Z POMOCĄ...

TAK JEST... JA... NATYCHMIAST, PANIE BARLEY...

NIE ZA PÓŹNO NA ZMIANĘ BARW KLUBOWYCH? ZACZEKAŁEŚ Z TYM DO FINAŁU... PRZYŁĄCZAMY SIĘ DO LEPSZYCH, CO?..

TAK I NIE. ROZWIĄŻ MI RĘCE I PODŚWIETL LEWĄ DŁOŃ ULTRAFIOLETEM. JAK TO PRZECZYTASZ, MOŻE SIĘ POLUBIMY...

CERTYFIKAT: POR. GREGOR McBAIN – SPECJALNY AGENT RZĄDOWY Z MISJĄ NA DB-4. POSIADA WSZELKIE PREROGATYWY.

FUNKY, Z RZĄDEM TEŻ NIE MAMY NAJLEPSZYCH DOŚWIADCZEŃ...

JESTEM CZŁOWIEKIEM SENATORA BOBBERA.

ROZKAŻESZ SWOIM ŻEBY POŁĄCZYLI MNIE Z ZIEMIĄ. POTEM WEZWIESZ KOMENDANTÓW WSZYSTKICH ODCINKÓW. POWIESZ IM, ŻE TO ODPRAWA SPECJALNA! NASTĘPNIE SPRAWA JEŃCÓW. MUSIMY ICH TU MIEĆ, GRETZ!... ALE BEZ OFIAR!... WYKONAĆ!

TAK JEST. W KOLEJNOŚCI, PANIE BARLEY.

PÓŹNIEJ...

ADIUTANTÓW I THORNA Z KUMPLEM RYGLUJEMY TUTAJ.

O.K! BRENDA ODPYTUJE GRETZA. ALEX I GREGOR, PRZEBIERAJCIE SIĘ ZA ADIUTANTÓW. ALEX, NAWIĄZESZ KONTAKT Z DROLLEM A PAN, McBAIN, PROSZĘ SZYBKO MÓWIĆ, CO, GDZIE I JAK!

JEŃCY – TO ŚWIETNI SPECE, NAJCZĘŚCIEJ PILOCI. TRZEBA ICH WŁĄCZYĆ DO GRY, TAK, ABY UNIKNĄĆ NAJGORSZEGO – WZIĘCIA ICH JAKO ZAKŁADNIKÓW PRZEZ PRZECIWNIKA.


TYMCZASEM NA ZIEMI. WILLA SEN. BOBBERA...
DZIĘKUJĘ ZA OCHRONĘ W KLINICE. PODSUMUJMY FAKTY: PREZYDENT I KILKU MOCNYCH LUDZI W RZĄDZIE ORAZ SZEF STELLAR FOX, PAN VISA-VIÑEGO MAJĄ CIEMNE INTERESY NA DB-4. MÓJ CZŁOWIEK, GREGOR McBAIN PRZENIKNĄŁ DO STELLARU JUŻ DAWNO. OD ROKU JEST NA DB-4 I PATRZY IM NA RĘCE. MA WRÓCIĆ W TYM KWARTALE. OBECNIE KONTAKT Z NIM JEST NIEMOŻLIWY. MOŻE JEDNAK ZDOŁA DOTRZEĆ DO WASZYCH LUDZI.
BARLEY NIE ODEZWAŁ SIĘ DO TEJ PORY, A SĄ W STREFIE DB-4 OD 24 GODZIN. PRZED POŁUDNIEM SEKRETARZ PREZYDENTA PRÓBOWAŁ MNIE ZNOKAUTOWAĆ - TWIERDZI, ŻE EKIPA BARLEYA WPADŁA. TO CHYBA BLEF!... TAKI TEAM, BARLEY, KOVAL, BRENDA... NIE MOGĘ W TO UWIERZYĆ, SENATORZE.


PRZYJMIJMY NAJGORSZE. OD DB-4 DZIELI NAS TYDZIEŃ LOTU PODPRZESTRZENNEGO. W OBECNEJ SYTUACJI RZĄD ANI MYŚLI O WYSŁANIU EKSPEDYCJI. ZOSTAŁO NAM LICZYĆ NA GREGORA I... KOMANDORA DUPREE. STACJONUJE ON O 5. DNI LOTU OD DB-4. JEŚLI NIE ZAPOMNIAŁ PRZYSŁUGI JAKĄ MU KIEDYŚ ODDAŁEM I JEŚLI SIĘ NIE ZESTARZAŁ, A CHYBA NIE, BO SZALEJE NA POGRANICZU JAK DAWNIEJ MIMO ŻE NIE AWANSOWANO GO OD KILKU LAT - TO POWINIEN NA TO POJŚĆ I WYKONAĆ NIEREGULAMINOWY REKONESANS SIŁĄ ESKADRY NA DB-4! TYLKO ŻE ON MA JAKIEŚ ZADAWNIONE PORACHUNKI Z ANKUZAMI Z OKRESU WIELKIEJ PRZEPYCHANKI! ŻEBY TO SIĘ NIE SKOŃCZYŁO TOTALNYM KONFLIKTEM.
NIE MAMY INNEGO...
-BIP! PANIE NACZELNIKU, JEST DB-4! ŁĄCZĘ!


MÓWI KOVAL. BARLEY JEST ZAJĘTY. MAMY TU DROBNE KOMPLIKACJE. ZADANIE ROZPOZNANIA DB-4 WYKONANE! STELLAR FOX OD 9 LAT PENETRUJE TĘ PLANETĘ. BADAJĄ ŚLADY PRASTAREJ, WYRAFINOWANEJ CYWILIZACJI. SĄ NA TROPIE SUPERBRONI. WZIĘLIŚMY ICH CENTRALĘ, TRZYMAMY ZA GARDŁO ICH WODZA. FACET SIĘ ROZSYPAŁ. WIEMY DUŻO, MOŻEMY MNIEJ. NAJWIĘKSZY PROBLEM TO ŻYCIE 82 JEŃCÓW, POTENCJALNYCH ZAKŁADNIKÓW STELLARU. SIEDZIMY W TWIERDZY POD WODĄ I NIE MAMY DO NICH DOJŚCIA. ZJAWIŁO SIĘ KILKU NADPROGRAMOWYCH SOJUSZNIKÓW. DWUZNACZNA ROLA ANKUZÓW W TYM WSZYSTKIM. TERAZ GRAMY O ŻYCIE JEŃCÓW. JEŚLI NIE DOSTANIEMY ODSIECZY, ODSKOCZYMY STĄD SAMI. SKOŃCZYŁEM!
NIECH PAN MU POWIE O GREGORZE!


NIEMOŻLIWE. TO ŁĄCZNOŚĆ ULTRATACHIONOWA. KONTAKT JEDNOSTRONNY.
ANDRE! POMÓŻ MI WSTAĆ... POZOSTAJE KOMANDOR. POŁĄCZĘ SIĘ Z NIM.
JEŚLI SIĘ ZGODZI TO MUSI SIĘ POŚPIESZYĆ! PRZECIEŻ STELLARZY TEŻ SŁYSZELI TEN KOMUNIKAT - TO ICH PASMO! NATYCHMIAST WYŚLĄ SWOJĄ EKIPĘ, A RZĄD IM POBŁOGOSŁAWI. KOMANDOR MA TYLKO DWA DNI PRZEWAGI. A BARLEY NIC NIE WIE, ŻE RZĄD JEST PRZECIW NAM, ŻE UNIVERSS ZAPIECZĘTOWANO A ZAPRZYJAŹNIONĄ PRASĘ ZAKNEBLOWANO...


CAŁY CZAS MARTWI MNIE, JAK W TEJ SYTUACJI ZACHOWAJĄ SIĘ ANKUZI? TO ICH STREFA...


SENATORZE, PAN WIE W CO SIĘ PAKUJEMY? TO WIELKA PRZYGODA, ALE JEŚLI SIĘ POTKNIEMY TO DOSTANIEMY TAKIEGO KOPA, ŻE...
A CO? MOŻE MAMY POŁOŻYĆ SIĘ NA WZNAK I CZEKAĆ AŻ NAS DORŻNĄ?!
BROKEN COLLAR-BONE

W GNIEŹDZIE WĘŻA













LISTA BESTSELLERÓW

Pomimo stale rosnącej liczby głosów (na kwietniową listę oddano ich 1403) wśród bestsellerów typowanych przez czytelników sytuacja nadal dość stabilna. Od pięciu miesięcy niezagrożenie przewodzi „Słoneczna loteria" Philipa K. Dicka zgromadziwszy do 3 maja 358 punktów. Dalej za to tłok. Zajmująca drugie miejsce antologia młodych „Spotkanie w przestworzach" t. 1 i 2, prezentująca dokonania najmłodszego pokolenia fantastów, ma 101 punktów, trzecia z kolei – „Planeta śmierci" Harry Harrisona ustępuje jej jedynie o 3 punkty, zaś zajmujące czwarte miejsce „Remedium" zgromadziło tych punktów 89.

Tymczasem na liście redakcyjnej niemalże rewolucja! Ale i jest z czego wybierać! Po okresie zastoju wydawniczego znowu lawina książek! Tym razem prym wiodą „Iskry" – oficyna, która zdecydowanie stara się odrobić zaległości i wrócić na tradycyjnie wiodącą pozycję wśród krajowych wydawców SF. W kwietniu uraczyła swych wiernych czytelników aż czterema pozycjami: od dawna oczekiwaną **„Cieplarnią"** angielskiego pisarza Briana W. Aldissa, **„Kosmicznym kalejdoskopem"** również Anglika – Boba Show, **„Miastem na górze"** jednego z najwyżej cenionych pisarzy SF – Kiryła Bułyczowa oraz wznowieniem **„Stref zerowych"** Bohdana Peteckiego. Po jednej książce wydały: Wydawnictwo Literackie – trzecie wydanie powieści – laureatki plebiscytu na najlepszą polską powieść SF powojennego trzydziestolecia – **„Robota"** Adama Wiśniewskiego – Snerga i Wydawnictwo Poznańskie – antologię fantastyki NRD zatytułowaną niezbyt szczęśliwie **„Niemoc".** Przeczytaliśmy, przedyskutowaliśmy i wyniki widoczne na liście.

CZYTELNICY

1.	1.	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
2.	2.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
3.	3.	Harry Harrison	**Planeta śmierci**	Czytelnik
4.	4.	Stefan Wul	**Remedium**	KAW
5.	6.	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry
6.	7.	Stanisław Lem	**Niezwyciężony**	Iskry
7.	8.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
8.	5.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik
9.	–	Kate Wilhelm	**Gdzie dawniej śpiewał ptak**	Czytelnik
10.	10.	Tadeusz Markowski	**Tak bardzo chciał być człowiekiem**	KAW
–	9.	Andrzej Krzepkowski	**Śpiew kryształu**	Wydawnictwo Lubelskie
–	–	Peter Zsoldos	**Zadanie**	Iskry
–	–	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
–	–	Jacek Sawaszkiewicz	**Kronika Akaszy 2**	Wydawnictwo Poznańskie
–	–	Janusz A. Zajdel	**Ogon diabła**	KAW

REDAKCJA

1.	1.	Janusz A. Zajdel	**Limes inferior**	Iskry
2.	–	Philip K. Dick	**Słoneczna loteria**	Czytelnik
3.	–	Adam Wiśniewski-Snerg	**Robot**	Wydawnictwo Literackie
4.	4.	Stanisław Lem	**Wizja lokalna**	Wydawnictwo Literackie
–	–	Kirył Bułyczow	**Retrogenetyka**	Iskry
6.	–	Stanisław Lem	**Bajki robotów**	KAW
7.	5.	James G. Ballard	**Wyspa**	Czytelnik
8.	–	Stanisław Lem	**Dzienniki gwiazdowe**	Wydawnictwo Literackie
9.	–	Marek Oramus	**Senni zwycięzcy**	Czytelnik
10.	2.	Wiktor Żwikiewicz	**Druga jesień**	Wydawnictwo Poznańskie
–	6.	Andrzej Krzepkowski	**Kreks**	KAW
–	3.	Stanisław Lem	**Solaris**	Iskry
–	9.	Maciej Parowski	**Twarzą ku ziemi**	Czytelnik
–	8.	Antologia	**Spotkanie w przestworzach**	KAW
–	–	Marcin Wolski	**Numer**	KAW

(jasną czcionką podano pozycję na liście w poprzednim miesiącu)

andré norton

świat czarownic



fantastyka